

RAFAŁ DEBSKI
ŻAR TAJEMNICY

RUBIEŻE



IMPERIUM

Rafał DĘBSKI

ŻAR TAJEMNICY



Warszawa 2015

Rafał Dębski

ŻAR TAJEMNICY

Na ostrzu szpady

Aidan ze smutkiem i rozdrażnieniem patrzył na krzątających się po całym okręcie naukowców, techników i robotników. Dosłownie rozbierali „Sirene” kawałek po kawałku, starając się odnaleźć jakiegokolwiek ślady oddziaływania tajemniczej bariery, a części, które nie dawały się rozmontować, były skrupulatnie prześwietlane każdym dostępnym rodzajem promieniowania – oczywiście w widmach, które nie działały destrukcyjnie na konkretne struktury. Ten sam los spotkał zresztą również niszczyciele „Greese” i „Fitzcarraldo”.

Kapitan codziennie przychodził na pokład i patrzył na ręce technikom. Nie potrafił cieszyć się przymusowym urlopem, kiedy grzebano w trzewiach jego ukochanego okrętu. I trzeba przyznać, że jego obecność czasem się bardzo przydawała. Tak jak w tej chwili.

– I co chcesz z tym zrobić?! – krzyknął na młodego chłopaka w charakterystycznej czapce z symbolem zębatego koła.

– Jak to co? – zdziwił się technik. – Prześwietlić...

– Drukarkę przestrzenną chcesz prześwietlać, baranie? Czym? Może promieniami twardymi?

– A czym? Nic innego nie przejdzie...

– I co spodziewasz się tam znaleźć? Królową kosmosu malującą złote gwiazdki? To delikatny sprzęt, jak ruszysz substancję aktywną promieniowaniem, zrobi się z niej kisiel i cały ten interes będzie można spokojnie wypieprzyć za burtę! Ty zapłacisz za straty czy twój kierownik zmiany?

Chłopak zawahał się. Aidanowi zrobiło się go trochę żal. Dostał polecenie od jakiegoś przełożonego, który nie pomyślał, że wysyła do pracy dyletanta, a teraz ten tępy dyletant był w kropce.

– Dobra – westchnął kapitan. – Nie masz pojęcia, jak się za to zabrać, prawda? Jeśli chcesz prześwietlać taki powielacz, musisz najpierw wyjąć zasobnik z substancją aktywną.

– Ale kiedy starszy technik powiedział, że tym przyrządem mogę...

– Ten przyrząd mogę ci wepchnąć prosto w dupę. A potem twojemu starszemu technikowi – przerwał mu Aidan. – Drukarki na okręcie nie na darmo umieszcza się w najlepiej ekranowanych pomieszczeniach. To nie jest zwykła maszyna w zakładzie spożywczym, to powielacz przestrzenny pełną gębą. W nim nie robi się byle części w stylu sprężynek do utrzymywania fiuta w pionie. Czego się śmiejesz? Niektórzy potrzebują takich udogodnień. Spytaj tego swojego kierownika, powinien mieć doświadczenie. To, co próbowałeś zepsuć, działa na nieco innych zasadach niż zwykła drukarka. Użycie kosztuje masę energii, ale za to możesz otrzymać części z hartowanej stali, a nawet plastmetale różnych typów. Jednak substancja aktywna jest nie do końca stabilna, szczególnie jeśli się na nią bezpośrednio oddziałuje jakimiś tam promieniami.

– To co mam robić? – Młodziutki technik był coraz bardziej zagubiony.

Aidan bez słowa zwolnił magnetyczne zatraski, przesunął dźwignię i wydobyl kasetę z substancją aktywną.

– Teraz trzeba oczyścić dysze i przewody – mruknął, włączając program autoserwisu. Po kilkunastu sekundach zapraszającym gestem wskazał maszynę. – Teraz ją sobie prześwietlaj

nawet magicznym okiem inkwizytora. Co więcej, możesz ją poddać przesłuchaniu pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia przy pomocy wielkiego śledczego jezuitów. Wytrzyma.

Chłopak rzucił mu szybkie, czujne spojrzenie. Nie przywykł, aby ktoś tak lekko wyrażał się o najwyższych urzędnikach cesarskich, a ten kapitan zdawał się nie czuć respektu przed ludźmi, o których powiadano, że posiadają niesamowite zdolności. Widząc zmieszanie technika, Aidan roześmiał się.

– Bez obawy, żaden inkwizytor nas nie słyszy. A gdyby nawet, to ja mówię, a ty tylko słuchasz.

– Takich rzeczy nawet słuchać niebezpiecznie – wymamrotał chłopak, włączając pośpiesznie skaner.

– To w razie czego powiesz, żeś zatkał uszy, a ja potwierdzę.

Aidan patrzył na lekko przygarbione plecy technika i kręcił w duchu głową z mimowolnym podziwem.

„Ale też potrafią przygiąć ludziom karki” – pomyślał. „Przecież szczeniak na samo wspomnienie o tych funkcjonariuszach mało nie popuścił w spodnie. Nie wiem, czy sztuka rządzenia jest najtrudniejszą ze sztuk, ale że najbrudniejszą, to stuprocentowo pewne”.

Zanosilo się na to, że badanie drukarki potrwa, bo pracownik ledwie sobie radził nawet z mało skomplikowanym interfejsem skanera. Kapitan podszedł do drabinki i wspiął się na wyższy poziom, gdzie pracowała reszta ekipy, badając tablice kontroli sekcji wysokiego napięcia. Aidan nie miał pojęcia, czego szukają, ale pocieszał się, że naukowcy, którzy zlecili te badania, również nie wiedzieli. Po prostu zaszło coś, co wymykało się człowieczemu poznaniu, a wtedy rasa ludzka zawsze popada w panikę i zaczyna się miotać, udając, że wie, o co chodzi. Inna rzecz, że nieznane naprawdę potrafi być groźne.

– Który z was przysłał mi tego baranka? – spytał Aidan, podchodząc do trzech inżynierów, skupionych wokół trójwymiarowego wyświetlacza. Przypominał ekran taktyczny, tyle że zamiast własnych i wrogich jednostek wypełniały go ikony zupełnie kapitanowi nieznane.

– Jakiego baranka? – zmarszczył brwi siwy mężczyzna, odwracając się od holoe ekranu.

– Do badania powielacza przestrzennego.

– Co? – wytrzeszczył oczy inżynier. – Wysłałem tam starszego technika.

– A starszy technik postanowił sobie zrobić godzinę wolnego i delegował tego nieogarniętego biedaka.

– Moment...

Siwy przyłożył dłoń do ucha, uruchamiając komunikator.

– Kogo posłałeś do powielacza? – spytał. – Jak to sam przy nim jesteś? Przyszedł tutaj kapitan Samuels...

Spojrzał na Aidana i uśmiechnął się kwaśno.

– Z takimi właśnie kretykami muszę pracować – powiedział. – Wyobraża pan sobie?

– Wyobrażam – odparł Aidan. – W końcu jestem oficerem Floty Kosmicznej Jego Cesarskiej Wysokości. Uważa pan, że na ogół mam do czynienia z myślicielami?

Inżynier roześmiał się.

– Trafna uwaga. Proszę się nie martwić. Starszy technik Santorio jest może ostatnim leniem i alkoholikiem, ale tę robotę na pewno wykona jak należy. I będzie się starał nie podpaść jeszcze przez całe pół godziny po jej zakończeniu.

Aidan wrócił na dół. Chłopaka już nie było, a przy skanerze krzątał się zażywny gość po pięćdziesiątce. Na widok kapitana poczerwieniał i zaczął coś dukać, ale Samuels go nie

słuchał.

– Zrób, co do ciebie należy, i spieprzaj – warknął. – A następnym razem jak zechcesz się wyręczać najgłupszym uczniem, dostaniesz po mordzie.

Technik jeszcze bardziej poczerwieniał, nadał się i syknął:

– Jestem pracownikiem stacji i podlegam bezpośrednio gubernatorowi! Pan nie ma prawa...

– A może chcesz dostać po mordzie już teraz? – zainteresował się uprzejmie Aidan, podchodząc bliżej. – Myślisz, że gubernator zechce się za tobą wstawić?

Mężczyzna wybełkotał coś jeszcze, ale odwrócił wzrok i zajął się obsługą urządzenia.

Kapitan westchnął ciężko i poszedł w stronę mostka. Żałował, że ten gość jednak się nie postawił, bo chętnie by się trochę poruszał.

Inna rzecz, że na mostku czekała na niego wiadomość, która pozwoliła zapomnieć o leniwym pracowniku.

Martinez siedział rozwalony swobodnie w fotelu dowódcy. Na widok Aidana wstał nieśpiesznie.

– Co jest, Diego? – spytał kapitan. – Nie powinieneś się teraz zabawiać w jakimś przytulnym burdelu?

– Powiniennem, panie kapitanie – odparł z powagą podporucznik. – I nawet się zabawiałem, grzejąc też i dla pana miejsce. Ale dostałem wiadomość. Chyba niezbyt przyjemną.

– Wal.

– Pamięta pan kapitana Ruiza Guillerma Vesana?

– Pewnie, że pamiętam – prychnął Aidan. – Byłem przecież przy jego aresztowaniu. Martinez uśmiechnął się krzywo.

– O ile sobie przypominam, panie szyper, to był pan przy tym, bo nie kto inny jak pan założył mu obrączki, a przedtem przyłapał typa na gorącym uczynku.

Aidan pokiwał głową. Wolałby o tym nie pamiętać. Jeden oficer marynarki cesarskiej skuwający kajdankami drugiego... To nie było wspomnienie, które by pielęgnował.

– Należało mu się. – Wzruszył ramionami.

– Pewnie, że mu się należało – przyświadczył podporucznik. – Handlować nielegalnie wodą na pustynnej planecie? To gorzej niż zbrodnia. Wiem, bo sam się chowałem na suchym świecie. Gdyby go schwytał jakiś oficer z takiego miejsca, rozstrzelałby go bez jakiegoś tam sądu.

– I ja żałuję, że mu nie rozwaliłem łba – mruknął Aidan.

Przez chwilę panowało milczenie. Martinez widział, że kapitan pogrążył się we wspomnieniach, więc nie przeszkadzał. Wreszcie Samuels ocknął się.

– No dobra, ale co jest? Czemu opowiadasz mi o tym kajdaniarzu?

– Właśnie wyszedł z pierdła – oznajmił Diego.

Aidan zmarszczył brwi.

– Jak to wyszedł? Dostał dziesięć lat, a nie minęły jeszcze dwa. Nawet za dobre sprawowanie by go nie wypuścili.

– Ale wypuścili, panie szyper. Podobno składał apelacje, pisał, do kogo tylko się dało, i wreszcie dopiął swego. Tak w każdym razie powiedział Shaderowi jeden klawisz z miejscowego ancla.

– I co z tego... – zaczął Aidan, ale w tej chwili do niego dotarło. – Chcesz powiedzieć, że

Vesano siedział właśnie tutaj?

– Na to wychodzi – przytaknął Martinez. – I właśnie wczoraj go wypuścili.

Aidan patrzył przez chwilę na podporucznika.

– No dobrze, jeśli nawet, co to ma ze mną wspólnego?

– Dowiedział się, że tutaj jesteś – doleciał od strony wjazdu wejściowego głęboki głos Roberta Shadera. – Nie dziw się, że tak szybko, bo stałeś się ostatnio bardziej popularny niż gwiazdy holowizji, a poza tym różnych życzliwych nigdzie nie brakuje. Chce cię wyzwać na pojedynek, tak jak obiecał przy aresztowaniu.

– Przy aresztowaniu obiecywał, że mnie zwyczajnie zajebie, że zacytuje jego słowa.

– Widać się ucywilizował w mamrze – uśmiechnął się Shader – bo teraz opowiada o pojedynku.

Aidan zastanawiał się przez chwilę. Do tej pory nie miał pojęcia, gdzie trzymają Vesana, i w ogóle go to nie obchodziło. Ale tak, przecież stacja kosmiczna Saratoga dysponowała sporym więzieniem. Musiała, w końcu znajdowała się w pobliżu skupiska kolonii graniczących z dominium Republiki, a to oznaczało, że ruch zarówno cywilny, jak i wojskowy był tu mocno natężony. Dlatego też i zakład karny został podzielony na część armijną i drugą, pozostającą w dyspozycji magistratu. Vesano miał szczęście, bo stanął ostatecznie przed sądem cywilnym. Jak tego dokonał jego adwokat, Aidan nie miał pojęcia. A może raczej miał – przecież Ruiz był arystokratycznym krezusem i synem arystokratycznego krezusa. Za nielegalny handel wodą w pustynnych koloniach według paragrafów Kodeksu wojskowego należała się kula w łeb, a nawet wyjazd żywcem przez służbę, jeśli odbywałby się kapitański proces w warunkach bojowych. Kwota, jaką tatuś hrabiątka musiał wywalić na łapówki, była z pewnością olbrzymia, na pewno większa niż roczny dochód dobrze prosperującej kolonii. Lecz – jak powiadało stare przysłowie – dla człowieka wpływowego i zamożnego prawo ma nos z wosku, a tenże człowiek trzyma je za ten nos żelazną ręką.

Nic zatem dziwnego, że Ruiz Guillermo Rodrigo Santiago Ochoya y Gressio Rossario Vesano, potomek hrabiego i zarazem honorowego szambelana dworu, był traktowany inaczej niż zwykły oficer. Lecz przewinienie okazało się na tyle poważne, że nawet ustawiony sąd musiał wymierzyć mu dziesięć lat, tyle że nie ciężkich robót lub obostrzonego rygoru, ale zwykłego mamra. No i od wyroków sądu cywilnego można się było odwoływać w zasadzie w nieskończoność, w tym przypadku zaś dosypywane ustawicznie kwoty zmiękczyłyby nawet delikatne sumienie świętego, a co dopiero urzędników cesarskich.

Aidan bardzo szybko zapomniał o aresztowanym kapitanie, bo spadły na niego niedługo potem spore kłopoty. Te, przez które sam trafił do więzienia, a wyszedł stamtąd ze statusem niewolnika.

– No dobra. – Samuels przyjął już do wiadomości najświeższe nowiny. – Ale jak on chce się ze mną pojedynkować? Przecież został zdegradowany.

– Chodzi właśnie o to, że przywrócono mu również stopień – rzekł Shader. Na jego smagłej twarzy nie gościł w tej chwili zwykły ironiczny uśmiezek, doprowadzający do szału praktycznie wszystkich, którzy nie znali go bliżej, ale malował się zwyczajny niesmak. – Został, jak to się mówi, zrehabilitowany.

– Pieniądze mogą wszystko – mruknął Aidan.

– Tylko rozumu za bardzo nie przysparzają – dorzucił Robert. – Ale ludziom z takim majątkiem jak panowie Vesano rozum jest do niczego niepotrzebny.

– No dobra – powiedział Aidan. – Hrabiątko wyszło i chce się pojedynkować. Czy

hrabiątko wie, że mamy stan wojny i pojedynki są zabronione?

– Hrabiątko wie. – Shader pokiwał głową. – Ale hrabiątko ma forszę i wpływy.

Przypuszczam, że niedługo odwiedzą cię jego sekundanci.

– O niczym innym nie marzę – burknął Aidan. – Sekundanci... Może jeszcze księdza mi podeśle?

– Nie byłbym zdziwiony. Klawisz mi mówił, że jest bardzo pewny siebie. Pewnie sporo ćwiczył pod celą.

* * *

Inkwizytor Sebastian Lerma przeglądał meldunki, które napłynęły w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Musiał nadrobić zaległości, gdyż poprzednie dwa dni spędził na okręcie lecącym z prędkością nadświatlną, na którym w dodatku nie zamontowano radiostacji splątaniowej.

Doskonale rozumiał rozgoryczenie kapitana Samuela, który po powrocie z rozpoznania w Układzie Regora kłął w cały świat. Człowiek podróżujący jednostką o napędzie zakrzywiającym czasoprzestrzeń ma wrażenie, że jest ślepy i głuchy, czuje się, jakby w każdej chwili miał się rozbić o jakąś przeszkodę. Rzecz jasna, łączność kwantowa nie gwarantowała bezpieczeństwa podróży, ale możliwość rozmowy z bazą zawsze stanowiła pewien komfort. A poza tym w przypadku inkwizytora każdy dzień, a nawet każda godzina bez bieżących informacji były czasem nie tylko straconym i zmarnowanym, ale mogły się okazać brzemiennie w skutki.

– Po to wydają miliony na szkolenie naszych umysłów, żeby potem marnować ten wkład – mruknął i ugryzł się w język. Skąd u niego takie myśli? Czyżby zbyt wiele czasu spędził ostatnio w towarzystwie Aidana i jego kompanów?

Zaśmiał się w duchu na tę myśl i wrócił do analiz. Na trójwymiarowym ekranie przesuwaly się dane, które wyćwiczony mózg don Sebastiana natychmiast układał we właściwych miejscach, tworząc obraz całości. Gorzej, że ów obraz zupełnie się Lermie nie podobał.

– Egberto – wywołał osobistego sekretarza. Po chwili na holoeckranie pojawiła się młoda, lecz zmęczona twarz. – Egberto, widziałeś najnowsze raporty?

– Chodzi panu o te, które napłynęły z rejonu sigmy Errani, don Sebastianie? – spytał sekretarz.

– Właśnie o te. Dlaczego od razu mi ich nie podsunąłeś? Przez bite trzy godziny czytałem nic niewarte sprawozdania, przeglądałem meldunki z miejsc, w których największym wydarzeniem okazał się skandal związany z tajemniczą ciążą córki wicegubernatora!

– Kiedy pan zawsze chce wiedzieć wszystko – wymamrotał zaskoczony sekretarz. – Do tej pory nie segregowałem spraw wedle innych priorytetów niż czas wpływania i obszar, z którego nadchodzą... A sigma Errani to przecież strefa wpływów piratów.

Lerma patrzył długo na podwładnego. Egberto kulił się pod wpływem tego spojrzenia. Na doskonałym technicznie przekazie widać było bardzo wyraźnie, jak na czoło nieszczęśnika występują kropelki potu.

– Drogi bracie – rzekł wreszcie inkwizytor głosem tak spokojnym i łagodnym, że sekretarza przeszły dreszcze – widzę, że zaniedbałem cokolwiek twoją edukację. A może to ty po prostu idziesz na łatwiznę, nie próbując zmieniać modus operandi w swojej pracy? Czy uważasz raz przyjęty paradygmat działania za absolutnie niezmienny? I czy doprawdy nie

wiesz, co w ostatnim czasie jest najważniejsze i co zaprzęta uwagę nie tylko służb wywiadowczych i kontrwywiadowczych, ale także, a może nawet przede wszystkim, umysły naukowców? Muszę ci to tłumaczyć? I muszę podkreślać, że dla mnie osobiście zawsze i wszędzie najważniejsze są kwestie związane z wszelakimi odkryciami, a nie informacje o schwyтaniu tu czy tam republikańskiego szpiega? Bo jeśli tak, niezwłocznie udasz się na placówkę w jakichś odległych rejonach imperium.

Odetchnął głęboko, opanowując rozdrażnienie. Egberto był dobrym, posłusznym współpracownikiem, tyle że brakowało mu wyobraźni. Lecz czy to grzech? Zapewne w przypadku poety, malarza czy innego artysty – tak, ale urzędnik ze zbyt wybujałą wyobraźnią mógłby stanowić nie lada zagrożenie. Inna rzecz, że młody człowiek powinien się nauczyć myśleć. Długa i ciernista droga przez kolejne poziomy edukacji w systemie szkolnictwa imperium potrafiła wprowadzić indywidualizm, szczególnie jeśli nie miało się twardego charakteru. A sekretarz inkwizytora stanowił właśnie doskonały produkt tego procesu. Minister edukacji, odpowiedzialny za reformy, które przyniosły takie rezultaty, nie używał zresztą na określenie uczniów innego terminu niż „masa kształceniowa”. Odpowiedni procent miał otrzymać wykształcenie wyższe, odpowiedni pozostać na etapie średnim, a największa liczba młodych ludzi powinna zdobywać konkretne zawody, i to najlepiej w bardzo wąskich specjalizacjach.

Rzeczywiście, w interesie Cesarstwa leżało tworzenie społeczeństwa przypominającego mrowisko o wyraźnej hierarchii, w którym każdy zna swoje miejsce. Wówczas państwo mogło działać jak mechanizm. Tyle że to by była utopia, bo w rzeczywistości dynamika grupowa wyzwalała więcej napięć, niż ktokolwiek mógłby ogarnąć umysłem. Nie da się zaprogramować społeczeństwa, a przynajmniej w pewnym momencie programowanie staje się zawodne.

I kiedy zaczynają się niepożądane fluktuacje, wkracza inkwizytor. Właśnie ostatnie wydarzenia sprawiły, że trzeba było zrewidować poglądy na niektóre sprawy, lecz z pewnością nie na samo funkcjonowanie imperium. Ono powinno pozostać niewzruszone, przynajmniej do czasu, kiedy kolejne reformy okażą się niezbędne, aby uniknąć rozpadu.

– Dobrze, Egberto – powiedział Lerma. – Ponieważ wykazałeś się brakiem refleksji, zgrzeszyłeś wręcz, bo kto rozumu nie używa w sposób należyty, popełnia grzech, wymyślisz sobie adekwatną karę. Ma być dostatecznie dotkliwa, aby mnie zadowolić.

Sekretarz pochylił głowę.

– Dziękuję za upomnienie i możliwość zadośćuczynienia...

Lerma miał ochotę warknąć „daruj sobie”, ale w porę ugryzł się w język. Egberto nie był przecież krnąbrnym oficerem marynarki, jego słowa płynęły z głębi serca, a przynajmniej z przekonania, nie były jednym z objawów złośliwości, do jakich ostatnio inkwizytor przywykł.

Przerwał połączenie i odetchnął. Wreszcie był u siebie – wprawdzie na stacji kosmicznej, a nie w siedzibie zakonu – ale otaczali go absolutnie posłuszni mu ludzie. W chwili, kiedy to sobie uświadomił, miał wrażenie, że owiał go podmuch świeżego, kojącego i pachnącego igliwem powietrza. Miał dość dusznych pomieszczeń i krętych korytarzy okrętów, dość wojskowego żargonu i szorstkich obyczajów marynarzy. Nawet msze, jakie odprawiał na pancerniku, były inne od tych, które mógł celebrować w okazałej kaplicy stacji. To całe wojskowe towarzystwo stawało się mocno religijne, owszem, ale tylko w obliczu realnego i bezpośredniego zagrożenia, kiedy właściwie na jakiegokolwiek obrzędy nie było czasu.

Don Sebastian wcale się nie dziwił, że duża część kapelanów okrętowych wpadała w alkoholizm. Sam miał ochotę parę razy napić się czegoś mocniejszego w czasie podróży i zmagać z siłami Republiki. A przecież miał co robić, na jego barkach spoczywała wielka odpowiedzialność. A te nieszczęsne katabasy musiały siedzieć beczynnienie, ewentualnie spowiadając tych marynarzy, którzy znaleźli dość czasu, aby im zawracać głowę. Takich zaś nie było zazwyczaj zbyt wielu.

Inkwizytor wrócił do przeglądania danych z sigmy Errani. To, co wynikało z wykresów i analiz, mogło oznaczać tylko jedno...

– Egberto – znów wywołał sekretarza.

– Tak, Wasza Ekscelencjo? – Młody duchowny zgłosił się natychmiast. Widać było, że jest pełen obaw i spodziewa się kolejnej połajanki.

– Znajdziesz mi kapitana Samuela, dowódcę „Sirene”, kapitan Amandę Berger, dowodzącą „Greese'em”, oraz kapitana Edgara Guardada, szypra „Fitzcarralda”.

– Tak jest, Ekscelencjo.

– Mają się jak najszybciej zgłosić do mojego biura. Tylko nie pojedynczo! Razem! Nie mam ochoty użerać się z każdym z osobna.

Przerwał połączenie, nie czekając na służbiste „tak jest” sekretarza.

– Tak, stanowczo wolę mieć rozmowę z nimi załatwioną hurtem – mruknął do siebie. – Mam tylko jedno zdrowie. Chociaż Bóg jeden wie, ile tak czy inaczej będzie mnie to kosztowało...

* * *

Aidan z niedowierzaniem patrzył na dwóch ubranych w galowe mundury oficerów. Oba znał z widzenia, ale chyba nie zamienił z nimi nigdy słowa. I nic dziwnego, bo należeli do innego świata – świata palladowych lub irydowych rodowych pierścieni, świata, w którym nikt nie pyta, czy człowieka stać na to czy tamto, lecz każdy po prostu kupuje, co mu akurat wpadnie w oko. Świata pełnego pięknych kobiet, które jeśli nawet nie urodziły się pięknymi, dostały urodę w prezencie, mając na usługach najnowsze zdobycze medycyny i nauki w ogóle.

Kapitan stał przed tymi eleganckimi mężczyznami i czuł się jak zwyczajny łachmaniarz w swoim uniformie, który może by się nawet mógł wydać komuś elegancki, ale ten ktoś musiałby cierpieć na bardzo poważną wadę wzroku. Zresztą kwatery Samuela również daleka była od standardów obowiązujących wśród arystokratycznej części korpusu oficerskiego Floty Kosmicznej Jego Cesarskiej Wysokości.

– *Capitán de Navío* Pedro Rodriguez de la Hoya – przedstawił się starszy stopniem – a mój towarzysz to *Capitán de Fragata* Pablo Sonoro Guillermo de Hernante.

„Kurwa, rasowi jak spaniele gryzące się o kość pod cesarskim stołem” – pomyślał Aidan. „Piotr i Paweł. Razem ich tatusiowie zrobili? Bo wyglądają, jakby zeszli z jednej matrycy”.

Nie cierpiał serdecznie hiszpańskiej tytulatury. Wychował się w kolonii, w której posługiwano się nazewnictwem przyjętym w większości języków używanych na terenach zarówno Cesarstwa, jak i Republiki. Grubo ponad połowa poddanych cesarza nie mówiła zresztą ani po hiszpańsku, ani tym bardziej po portugalsku.

– Kapitan Aidan Samuels – odpowiedział. – Czym mogę panom służyć?

– Nam, rzecz jasna, niczym – oświadczył ten równy mu stopniem. Mówił przez nos i miał minę, jakby mu coś śmierdziało. – Lecz nasz przyjaciel, którego doskonale pan zna, kapitanie, to znaczy *Capitán de Navío* Ruiz Guillermo Rodrigo Santiago Ochoya y Gressio Rosario

Vesano, pragnie zaszczyścić pana, wyzywając go na pojedynek w związku ze sprawą, która jest wam obu doskonale znana.

„Płacą ci za wygadywanie takich pierdół?” – miał ochotę zapytać Aidan, ale zamiast tego odparł:

– To bardzo interesujące, albowiem Ruiz Guillermo i tak dalej Vesano został osądzony i skazany w związku z defraudacją. O ile się orientuję, złodziejom i oszustom nie przysługuje prawo honorowe.

De la Hoya poczerwieniał ze złości, ale Aidan zauważył, że po twarzy tego niższego stopniem przemknął najwyraźniej niechciany grymas przypominający uśmiech. „Nie odbito ich jednak na jednej prasie” – stwierdził Samuels.

– Nie wiem, czy panu wiadomo – rzekł wyniośle Pedro Rodriguez – ale nasz przyjaciel został uwolniony z więzienia i oczyszczony z zarzutów.

– Tak, że go wypuścili, już słyszałem, lecz jakże można oczyścić z zarzutów człowieka, którego przyłapano na gorącym uczynku, co zostało sfilmowane i udokumentowane dźwiękowo?

– Widocznie sąd dopatrzył się jakichś nieprawidłowości albo materiał dowodowy przedstawiał się zbyt mizernie. – De la Hoya zadarł nos jeszcze wyżej.

Aidan uśmiechnął się krzywo.

– To tak, jakbyś pan, drogi kapitanie, został, nie przymierzając, zdjęty z gwałconej właśnie niewiasty, w dodatku przy świadkach, ze sterczącym przyrodzeniem. A potem wystarczyłoby podciągnąć ci gacie, aby orzec, że nic się nie wydarzyło.

– Paralela niezbyt udana – skrzywił się de la Hoya, ale mina jego kolegi świadczyła o czymś wręcz przeciwnym.

Capitán de Navío zgromił wzrokiem kompana, a tamten tylko lekko wzruszył ramionami, a potem odezwał się po raz pierwszy:

– Obawiam się, kapitanie Samuels, że nie wykpi się pan od pojedynku. Wcale się nie dziwię, że ma pan na to ochotę.

Aidan westchnął ciężko.

– Przecież jesteśmy w stanie wojny. Przebywamy na stacji kosmicznej, na której obowiązuje nieustający alarm trzeciego stopnia. Prawo nie zezwala na pojedynkowanie się. A poza tym czy hrabiątku nie przeszkadza różnica urodzenia?

– Zarówno gubernator Saratogi, jak i wiceinkwizytor wyrazili już zgodę na tę walkę – powiedział z wyraźnym zadowoleniem de la Hoya. – Mamy wszelkie niezbędne dokumenty, jeśli zechce je pan zobaczyć, prześlę pakiet na pański osobisty komputer.

– Nie potrzeba – mruknął Samuels. Jak widać, panowie arystokraci pomyśleli o wszystkim. Pozostał mu tylko jeden argument. – A czy panicz Vesano ma świadomość, jaki w tej chwili mam status?

– Nie rozumiem. – De la Hoya potrząsnął głową.

– Od czasu, kiedy go zapakowałem do kicia, sporo się wydarzyło. Sam również wylądowałem za kratkami. Zostałem wypuszczony, ale pozostaję wciąż w randze niewolnika.

Byli przygotowani i na to.

– Ruiz Guillermo zdaje sobie z tego sprawę. Lecz kodeks honorowy nie ogranicza niewolnikowi wojskowemu prawa do pojedynków. Co innego, gdyby miał pan status niewolnika w jakiejś kopalni, gdyby został pan aresztowany za przestępstwa kryminalne lub zbrodnię. Lecz pan dopuścił się czynnego znieważenia urzędnika cesarskiego, a to nie jest

w rozumieniu kodeksu w ogóle przestępstwo, jeśli nie idzie za tym zamiar rabunkowy.

Aidan westchnął ciężko.

– Z tego wynika, że w żaden sposób nie uniknę tego kretyńskiego pojedynku? Gdybym to przewidział, podpieprzyłbym przynajmniej portfel tamtemu gubernatorce na Minerve...

– Obawiam się, że nie uniknie pan – uśmiechnął się de Hernante. – Hrabia Vesano jest bardzo zdeterminowany.

– Potrzebne mi to jak dodatkowa dziura w dupie – burknął Samuels. – Ale skoro pan hrabia tak bardzo chce... niech będzie.

Oficerowie zgodnie skinęli głowami.

– W takim razie pozostaje nam uzgodnić szczegóły pojedynku. Przypominam, że jako wyzwanemu przysługuje panu prawo wyboru broni, choć strona przeciwna może tutaj również negocjować. Pan Vesano proponuje szpady corrina. Rzecz jasna, nasz przyjaciel zdaje sobie sprawę, że nie może pan dysponować tak kosztowną bronią, więc gwarantuje dostarczenie doskonałego, sprawdzonego egzemplarza w dniu i na miejscu pojedynku.

– Muszę się zastanowić – odparł Aidan. – O ile się orientuję w zapisach kodeksu, takie sprawy omawia się podczas spotkania sekundantów.

– Oczywiście. Może pan jednak już teraz wysunąć propozycje. – De la Hoya uśmiechnął się kpiąco. – Przypuszczam, że szpady corrina niezbyt panu odpowiadają, gdyż to broń niezmiernie rzadko stosowana w korpusie oficerskim, zarezerwowana zasadniczo...

– Zarezerwowana zasadniczo dla wysoko urodzonych i najbogatszych – wpadł mu w słowo Aidan. – Wiem, wiem. Byle cham nie dotyka drogocennej rękojeści wykańczanej skórą jaszczurki *Lacertae corrinae*. Może pan sobie darować złośliwości i sarkazm, które miały mnie sprowokować do wyboru właśnie tej broni. Powiedziałem, że się zastanowię, i tak właśnie zamierzam zrobić.

De la Hoya miał minę, jakby właśnie doleciał do niego jakiś przykry zapach. Za to de Hernante zdawał się spoglądać na Samuela z coraz większą sympatią.

– Czy możemy wiedzieć, kogo pan wyznaczy, aby reprezentował pańskie stanowisko? – spytał.

– Porucznika Shadera i podporucznika Martineza.

De Hernante zmarszczył brwi.

– Obaj są członkami pańskiej załogi, o ile się nie mylę?

– Tak jest.

– Przypominam panu, że w przypadku pojedynku dowódcy okrętu przynajmniej jeden z sekundantów musi być zarówno oficerem dowodzącym jednostką, jak i równym mu lub wyższym stopniem. Najlepiej, jeśli obaj sekundanci spełniają te warunki. Nie wiedział pan o tym?

– Zapomniałem – mruknął Aidan. – Nie pojedynkowałem się od długiego czasu. Poza tym nikt nie robił nigdy takich ceregieli. Cóż, skoro tak, na drugiego reprezentanta wyznaczam kapitan Amandę Esterę Berger, dowódcę niszczyciela „Greese”.

De la Hoya dopiero teraz zaprezentował, co znaczy zniesmaczenie arystokraty.

– Kobietę? – wycedził. Aidan nie przypuszczał, że można zadrzeć nos tak wysoko, a jednocześnie widzieć coś więcej niż sufit.

– Kobietę – potwierdził spokojnie. – Ma pan coś przeciwko temu? Jakiś uraz z dzieciństwa?

Widział, że de Hernante znów z trudem tłumi chichot, a de la Hoya pobałdł ze złości, lecz

nie raczył opuścić nosa.

– Kobiety powinny siedzieć w domu – arystokrata cedził pogardliwie słowa. – A ta podobno w dodatku nie jest nawet kobietą, o której można tak w pełni powiedzieć...

Zamilkł na widok wykrzywionej wściekłością twarzy Aidana. Kapitan podszedł do oficera na pół kroku, spojrzał mu prosto w twarz, co nie było trudne, nawet gdy tamten tak mocno zadzierał głowę, bo był od niego sporo wyższy.

– Chcesz dostać po ryju teraz i zaraz, bez zbędnych ceremonii i sekundantów? – wysyczał. – Powiedz jeszcze słowo o kapitan Berger, a wylądujesz w lazarecie. Może stać cię na doskonałe implanty zębów, ale będą to tylko implanty!

Drgnął, kiedy na jego ramieniu spoczęła ręka drugiego z sekundantów.

– Niech się pan uspokoi, kapitanie Samuels – powiedział pojednawczo de Hernante. – Mój znakomity towarzysz na pewno nie chciał powiedzieć nic złego.

Aidan opanował się, odstąpił, ale nadal patrzył drapieżnie na de la Hoyę.

– Wiesz, panie kapitanie de nawio – celowo wymówił to zupełnie bez akcentu, a wręcz wypluł nazwę stopnia z pogardą – za co zostałem swego czasu aresztowany? Dlaczego pobitem samego gubernatora stacji kosmicznej Minerve? Otóż w mojej obecności raczył się wyrazić nieładnie o kapitan Berger. Bardzo proszę o tym pamiętać na przyszłość.

– Pan mi grozi? – De la Hoya już się opanował.

– A według pana brzmiało to może jak niewymuszona uprzejmość? – odpowiedział pytaniem Aidan.

– Obawiam się w takim razie, że... – zaczął arystokrata, ale towarzysz mu przerwał.

– Pedro! – rzucił ostrzegawczo. – Pan Samuels ma prawo do swojego zdania na temat kapitan Amandy Berger, co więcej, skoro to jego przyjaciółka, ma również prawo bronić jej honoru w dowolny dostępny mu sposób.

Spojrzał na Aidana, przymrużył prawe oko, co Samuels odczytał jako prośbę o milczenie. Nie odezwał się więc.

– Obu was przed chwilą poniosło – ciągnął de Hernante. – Ty, de la Hoya, nie powinieneś się wyrażać w ten sposób o kobiecie, a pan kapitan nie powinien może reagować z tak wielką ostrością. Oczywiście, jeśli chcecie, możecie się o to pojedynkować, chociaż nie wiem, czy gubernator wraz z wiceinkwizytorem wydadzą zgodę na drugą walkę w ciągu tak krótkiego czasu.

De la Hoya odetchnął głęboko, wypuścił powietrze, wydymając mocno policzki.

– Dobrze – powiedział zduszonym głosem. – Odłóżmy tę sprawę. Ale, Bóg mi świadkiem, kapitanie Samuels, lepiej dla pana będzie, jeśli nie zechce mi pan nigdy wejść w drogę. Oświadczam to panu uroczyście i przy świadku.

– Dziękuję za to cenne oświadczenie. – Aidan skłonił się drwiąco. – Nie umiem odpowiedzieć równie kwiecicie, niech więc panu wystarczy moje krótkie, za to serdecznie szczere „nawzajem”. A teraz wybaczą panowie, muszę się skontaktować z moimi sekundantami.

Oficerowie bez słowa kiwnęli głowami, po czym skierowali się do drzwi.

– Chwileczkę – zatrzymał ich kapitan. Kiedy się odwrócili, oznajmił: – Dobrze, zgadzam się na warunki Vesana. Szpady corrina. Mój warunek jest tylko jeden. Walka ma się odbyć w stanie nieważkości.

– Przekażemy propozycję hrabiemu – rzekł de Hernante.

Po chwili Aidan został sam. Zaklął i splunął. Natychmiast spod szczeliny obok drzwi

łazienki wyjechał mały automat sprząający. Kapitan miał ochotę kopnąć urządzenie, żeby wyładować złość, ale powstrzymał się. Lepiej zachować agresję na nadchodzącą walkę. Psucie sprzętu wydało mu się zresztą równie bezsensowne, jak i ten cholerny pojedynek.

* * *

Don Sebastian Lerma przechadzał się przed trójką kapitanów, stojących na baczność. Wzrok mieli zgodnie utkwiony w ścianie.

– Pana nie winię, Edgarze – zatrzymał się przed Guardadem – bo nawet nie wiedział pan o tym szaleństwie. Ale pani, Amando? Miałem cię za rozsądniejszą. Nasz drogi Aidan, rzecz jasna, nie przepuściłby okazji, jeśli tylko można narobić bałaganu. Pojedyneków mu się zachciało!

– Mnie?! – Samuels porzucił obojętną maskę, wytrzeszczył oczy na inkwizytora. – Zostałem wyzwany! Co miałem zrobić?

– Odmówić – odparł spokojnie Lerma. – Jest pan cesarskim oficerem, a nie jakimś piratem, który może sobie robić, co mu się podoba.

– Pan by oczywiście odmówił, Ekscelencjo? – spytał Aidan, starając się powstrzymać ton sarkazmu w głosie.

Lerma skrzywił się. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy obecni wiedzą o jego pełnej pojedyneków młodości.

– Nie rozmawiamy teraz o mnie – rzekł. – Ale powinien pan wiedzieć, że mając status niewolnika, nie może pan decydować samodzielnie o takich sprawach!

– Proszę wybaczyć – odparł chłodno Aidan – lecz nie przyszło mi to do głowy. Ale mogę dać oficerskie słowo honoru, że próbowałem zniechęcić sekundantów Vesana do ich misji.

– W to akurat wierzę – odparł Lerma. – Nie jest pan aż taki głupi, żeby bez potrzeby ryzykować życie. Ale trzeba było po prostu skontaktować się ze mną.

– Byłem pewien, że kto jak kto, ale wielki inkwizytor Jego Cesarskiej Mości został poinformowany o tym, co dzieje się pod jego bokiem. Wszak wiceinkwizytor stacji wydał zgodę.

Lerma, który przed chwilą znów podjął marsz, teraz stanął przed Samuelsem i zmrużył oczy. Aidan doskonale znał ten ich wyraz – groźba zmieszana z ledwie tłumioną wściekłością. Tyle że teraz akurat ta wściekłość i groźba nie dotyczyły wyjątkowo samego kapitana.

– Gdybym wiedział, pierwszy bym uciął łeb sprawie – warknął. – I uciąłbym ten łeb, nawet gdyby trzeba było wsadzić hrabiego Vesana do aresztu pod byle pretekstem. Jesteście mi potrzebni, do cholery! Cała trójka, i to w stanie nienaruszonym!

Guardado spojrział zaskoczony na don Sebastiana.

– Coś się stało?

– Stało się, stało. Muszę wysłać was w drogę, w dodatku najszybciej, jak się da.

– Przecież nasze okręty zostały zupełnie wybebeszone – zauważyła Amanda.

Lerma podszedł do biurka, oparł się o nie tyłem i skrzyżował ręce na piersi.

– Właśnie je składają do kupy. Skoro do tej pory nic nie znaleźli, to pewnie już nie znajdą. Ta sprawa jest pilniejsza niż niespełnione ambicje panów profesorów. Co więcej, otrzymacie skanery tachionowe najnowszej generacji. Wasi oficerowie z odpowiednich sekcji powinni się już z nimi zapoznawać.

Kapitanowie wymienili spojrzenia.

– No to sprawa musi być rzeczywiście ważna – zauważyła Amanda. – Słyszałam o tym

sprzęcie, ale przypuszczałam, że dostaniemy go najwcześniej za...

– Dostaniecie go natychmiast – przerwał jej inkwizytor. – Podobnie zresztą jak wszystkie jednostki, które w najbliższym czasie przejdą jakiegokolwiek prace remontowe.

– Z tego wnoszę, iż okręty Republiki zostały już wyposażone w takie urządzenia – zauważył Aidan z kwaśnym uśmiechem. – Bo inaczej czekaliibyśmy pewnie parę lat na takie cuda.

Lerma skrzywił się z niechęcią, ale odpowiedział zupełnie spokojnie:

– To także. Ale podejrzewam, a nawet mam pewność, iż piraci również dysponują czymś podobnym. Nie stać ich, rzecz jasna, aby montować skanery na każdym większym okręcie, ale ich kolonie, stacje i duże jednostki mogą już używać precyzyjnych czytników tachionowych.

– Można za ich pomocą o wiele dokładniej identyfikować okręty, które wychodzą z nadprzestrzeni, prawda? – spytała Amanda.

– Tak – odparł don Sebastian. – Włącznie z sygnaturami. No i na pewnym dystansie określają dokładnie rejon pojawienia się jednostek, a nie tylko informują, że coś się gdzieś tam wydarzyło w pewnym kierunku. Wiele jeszcze trzeba będzie w nich ulepszyć, ale na potrzeby waszej wyprawy powinny wystarczyć z naddatkiem.

– Powie pan wreszcie, o co właściwie w tym chodzi, Ekscelencjo? – spytał Guardado.

– Powiem, kiedy przyjdzie czas. – Lerma obdarzył Samuela ciężkim spojrzeniem. – Na razie nasz drogi Aidan musi odbyć pojedynek. To ma być jutro?

Aidan kiwnął głową.

– Z tego, co wiem, zgodził się pan na warunki Vesana?

Kapitan znów potwierdził.

– Czy pan oszalał?!

– Też mu to mówiłam, ale się uparł – wtrąciła Amanda. – Chciałam iść negocjować zmianę broni, ale mi nie dał. Szpada corrina – prychnęła. – Przecież tym nie da się walczyć!

– Właśnie – podjął Lerma. – Szpada corrina. Ma pan pojęcie, mój drogi Samuelsie, że to broń niezwykle trudna w użyciu dla kogoś, kto nie ma z nią doświadczenia?

– Wiem, Ekscelencjo – odparł Aidan, wruszając lekko ramionami. – Jednak nie chciałem wyjść na tchórza.

– Popatrzcie! Nie chciał wyjść na tchórza! – Inkwizytor wzniosł oczy. – Ale na trupa nie obawia się pan wyjść?

– Pewnie się zagalopowałem – burknął Aidan. – Teraz jest już za późno.

– Tak, z pewnością się pan zagalopował – odparł Lerma i nagle zmarszczył brwi, spojrzał badawczo na dowódcę „Sirene”. – Moment, moment. Zagalopował się nasz kapitan czy nie? Jest pan typem, który w obliczu zagrożenia potrafi zachować zimną, by nie rzec lodowatą krew. Coś mi się... Zaraz... Muszę jedną rzecz sprawdzić.

Obszedł biurko, uruchomił panel małego, osobistego komputera. Aidan wiedział, że inkwizytor rangi Lermy posiada dostęp do każdej informacji, nawet tych najtajniejszych. Dlatego też to urządzenie nie posiadało zakończenia w postaci holoekranu, ale zwyczajny płaski wyświetlacz. Dane były przeznaczone wyłącznie dla oczu dostojnika.

– Kapitan Aidan Samuels, urodzony siódmego czerwca czterysta sześćdziesiątego dziewiątego roku w Gerango, na planecie Rigma, w szpitalu centralnym kolonii Olbania – powiedział po chwili Lerma. – Od jedenastego do piętnastego roku życia zamieszkiwał u krewnych na planecie Sargema. Na planecie Sargema – powtórzył w zamyśleniu, a potem spojrzał uważnie na Aidana. – No tak, powinienem wcześniej się domyślić. Ma pan w ogóle

dostęp do szpady corrina?

Samuels potrząsnął głową.

– Nie. W arsenale stacji również nie ma nawet jednego nędznego egzemplarza.

– I nic dziwnego. Po co trzymać w zbrojowni taką sztukę, o wartości dorównującej porządному działu laserowemu, skoro można w to miejsce zakupić sporo innego sprzętu? A zatem dostanie pan do ręki szpadę dopiero na ubitej ziemi?

– Raczej w ubitym powietrzu – odparł Aidan. – Vesano wyraził zgodę na pojedynek w stanie nieważkości.

Lerma pokiwał głową.

– A jednak nie zgłupiał pan tak dokumentnie, jak sądziłem – rzekł. – Tyle że zetrze się pan z przeciwnikiem, który zna szpadę doskonale. Naprawdę dziwię się, że nie zażądał pan szabel.

– Będzie, co ma być – odparł Aidan. Miał dość tej rozmowy. Sam żałował, że w przyływie ambicji zgodził się na te przekłete rożny, choć w tamtej chwili zdawało mu się, że wykazał się sprytem. Lecz było już doprawdy za późno.

– Dobrze. – Lerma rozparł się wygodniej w fotelu. – W takim razie do sprawy związanej z waszą misją wrócimy od razu po pojedynku. Jeśli Samuels zginie, będę musiał wprowadzić w sprawę kogoś innego, a sami wiecie, że nie cierpię zmieniać planów bez potrzeby. Możecie odejść. To znaczy pan może, Edgarze, i Amanda. Mój ulubieniec zostanie. Mam mu coś jeszcze do przekazania.

Aidan skrzywił się. Domyślał się, co inkwizytor chce mu powiedzieć. Kolejna połajanka... W dodatku w głębi ducha przyznawał dostojnikowi rację. Mógł przecież zwrócić się do niego o interwencję i uniknąć tej głupiej konfrontacji.

Ale przecież wówczas nie byłby sobą.

– Drogi kapitanie – rzekł Lerma, gdy zostali sami – znów się pan wpakował w kłopoty. Nie dalej niż dwie godziny temu miałem niewątpliwą przyjemność rozmawiać z hrabią Silvanem Vesaniem, tatusiem twojego wielbiciela Ruiza.

– I co powiedział tatuś? – spytał kwaśnym tonem Aidan.

– O tym za chwilę. Na razie rzeczywiście chciałbym przekazać ci coś bardziej konkretnego.

* * *

W sali treningowej uczyniło się nieco ciasno. Gdyby zjawili się tylko zainteresowani, to znaczy pojedyńkowicze i ich sekundanci, nie byłoby problemu z miejscem, jednak na walkę przyszedł popatrzeć zarówno gubernator stacji, jak i wiceinkwizytor. Temu ostatniemu towarzyszył osobisty sekretarz oraz siwy mężczyzna, którego ani Aidan, ani jego towarzysze nie znali. Lecz kiedy kapitan przyjrzał się bliżej, zauważył w rysach twarzy starszego pana podobieństwo do swojego przeciwnika. A zatem ojczulek przyszedł zobaczyć, jak też sobie poradzi jego latorośl.

– No to mamy tutaj niezły zlot – mruknął Shader. Stali w kącie przeciwległym do zajmowanego przez arystokratów, przyglądając się wytwornym hidalgom i grandom. – Czekamy jeszcze tylko na lekarza, tak? Kurde, żeby na mój pogrzeb przyszło tylu ludzi, w dodatku wysoko urodzonych...

– Na twój pogrzeb nikt nie przyjdzie – odezwała się Amanda. – Skonasz samotnie w jakimś orbitalnym burdelu, a twojego trupa wykidajło wyrzuci w przestrzeń, żeby uniknąć pytań. Których i tak nikt by nie zadawał.

– To nie byłaby najgorsza śmierć – stwierdził porucznik lekkim tonem. – Bywają bardziej przykre sposoby odejścia z tego świata.

– Możecie sobie darować? – warknął Aidan.

Przed walką wcale nie miał ochoty na żarty. Nawet gdyby był najbardziej wytrawnym szermierzem we flocie, pojedynki mają to do siebie, że wystarczy popełnić jeden błąd, aby przypłacić walkę zdrowiem lub życiem. A przecież do najtęższych rębaczy na pewno nie należał.

– No i czego się ciskasz? – spytała kpiąco Amanda. – Trzeba było nie godzić się na te szpanerskie wykałaczkę. Szablą byś gówniarza łatwiej rozłupał. A tak...

– Przestań – stanął w obronie przyjaciela Shader. – Zrobił, co zrobił. Tylko te szpady są trochę przerażające. Raz w życiu trzymałem taką w rękę i nie miałem bladego pojęcia, co z nią zrobić. Zupełnie jakbym się naćpał i stracił czucie w dłoni. Tak działa ta cholerna broń. Trzeba mieć doświadczenie i nabrać nawyków, żeby się tym posługiwać.

Spojrzał uważnie na Samuela, jakby mu to dopiero teraz przyszło do głowy.

– Chłopie, a ty chociaż wiesz, na co się porywasz?! Przecież to paniątko przebije cię, zanim zdążysz się ruszyć. Tam w rękojeści jest coś...

– Tak, jest – przerwał mu Aidan. – Rękojeść jest owinięta skórą jaszczurki corrina. A ta skóra wydziela pewne substancje działające na układ nerwowy człowieka. Corrina żyje tylko na jednej planecie i tylko jedna tamtejsza kolonia ma prawo odławiać te zwierzęta.

– Nie hoduje się ich? – spytała Amanda.

– Nie rozmnażają się w niewoli – wyjaśnił Samuels. Tłumaczenie przyjaciółom niuansów związanych z wytwarzaniem szpad arystokratów uspokajało go trochę, mógł się skupić na czymś innym niż nadchodząca walka. – A poza tym sam ich cykl rozrodczy jest tak skomplikowany, że nawet nie opłacałoby się inwestować w wylęgarnie. I to tylko po to, by uzyskać nędzne rezultaty. W każdym razie ich skóra jest cenna co najmniej jak pallad, a może i platyna. Nie wiem, nigdy jej nie kupowałem. Zawiera substancje pobudzające zarówno mózg, jak i obwodowy układ nerwowy. Przewodnictwo staje się o wiele szybsze, mięśnie reagują błyskawicznie, trzeba uważać, żeby sobie czegoś nie naderwać. W skórze corriny znajdują się maleńkie igiełki, dzięki czemu neurotoksyna dostaje się do organizmu. W biosferze Sargemy ta substancja zabija praktycznie każde stworzenie, jakie tam ewoluowało, więc jaszczurki nie mają naturalnych wrogów. Ale pojawił się człowiek, dla którego trucizna okazała się łakomym kąskiem. Inna rzecz, że trzeba naprawdę sporo doświadczenia ze skórą corriny, aby jej sprawnie używać. Tu masz świętą rację, Shader.

– Sporo o tym wiesz – zauważyła Amanda. – Zaskakująco dużo. Ale to, że wiesz, nie znaczy, że sobie poradzisz – mówiła coraz wolniej, mrużąc coraz mocniej oczy, aż stały się tylko dwiema szparkami. – Zaraz, zaraz... Czy ty...

Aidan położył palec na ustach, wskazując wzrokiem obóz przeciwnika.

– Masz doświadczenie ze szpadą corrina? – zdziwił się Shader, ścisząc głos do szeptu.

– Z samą szpadą akurat może mało – mruknął Aidan. – Technologia ich produkcji, a przede wszystkim utrzymania jest zbyt droga, dlatego stać na nie tylko bogaczy. Ale spędziłem jakiś czas na Sargemie. Po śmierci ojca opiekował się mną stryj. Rozumiecie, na te jaszczurki polowaliśmy jako dzieciaki, chociaż nie było wolno. W dodatku stryj zajmował się wyprawianiem i konserwowaniem skórek... – Zacisnął zęby i wycedził: – Miał do czynienia z wartościowym towarem, za który płacą góry złota, a klepał biedę, jak wszyscy koloniści, i umarł w nędzy...

– Teraz o tym nie myśl – ostrzegł Shader. – Złe myśli przywołują złą karmę.

Aidan pokiwał głową. Nadleciały wspomnienia. Zielona łąka pośrodku brunatnego pustkowia. Takich plam zieleni dookoła było jeszcze kilka – typowy krajobraz planety nazwanej Sargemą, jednej z nielicznych, które nie wymagały intensywnego terraformowania. Jaszczurki corrina były wyjątkowo głupie, dlatego, że przez co najmniej kilkaset tysięcy lat nie miały naturalnych wrogów. Wystarczyło, by drapieźnik zobaczył pomarańczowo-żółto-niebieskie pasy, aby omijał stworzenie szerokim łukiem. A on z kuzynami łapali te nieruchawe istoty. Wprawdzie zostały nazwane jaszczurkami, ale anatomicznie nie należały do gadów. Nie należały do żadnej ze znanych człowiekowi grup zwierząt, więc zyskały nazwę w związku z zewnętrznym podobieństwem do tych zwinnych stworzeń. Przyjęła się nawet nawiązująca do ziemskiej fauny łacińska nazwa i chociaż wreszcie uczeni wynaleźli mądre określenie dla tego gatunku, to we wszelkich klasyfikacjach występowało określenie *lacerta*.

– Owijaliśmy ich świeżymi skórkami plastikowe pręty i ćwiczyliśmy fechtunek – podjął po chwili Aidan. Mówienie działało kojąco. – Pierwszy mój raz był taki, jak mówisz. Ręka zdrętwiała, miałem wrażenie, że nie dam rady się ruszyć. Ale potem... przy którejś kolejnej próbie... Zupełnie jakby świat zwalniał dookoła, a ty stawałeś się nadczołowiekiem.

Shader zaśmiał się cicho.

– Jak mniemam, nasz paniczek nie ma pojęcia, że działanie skórki corriny to dla ciebie nie pierwszozna?

– Jeśli mu Lerma nic nie powiedział, to na pewno nie.

– A Lerma skąd się dowiedział? – zdziwiła się Amanda. – Przecież nie opowiadałeś o tym wszem wobec. Mówiłeś kiedyś o Sargemie, ale kto by skojarzył to z corrinami...

– Nasz inkwizytor skojarzył – powiedział cicho Aidan. – Pamiętasz, jak sprawdzał coś w kompie? Właśnie. To bezwzględny skurwiel, ale potrafi nieco więcej, niż dodać dwa do dwóch. Sporo więcej.

Shader pokiwał głową.

– Ale bawiłeś się skórkami w dzieciństwie, jako nastolatek, tak? Jesteś pewien, że teraz dasz radę? Nie odwykłeś?

– Odwykłem – odparł Aidan. – Pewnie, że odwykłem. Ale z tym jest jak z pływaniem. Można odwyknąć, ale się nie zapomina. Organizm rozpozna neurotoksynę i wystarczy chwila, aby się z powrotem przystosował.

– Tyle że taka chwila podczas pojedynku może kosztować życie – zauważyła trzeźwo Amanda. – Wiesz, że początek bywa najtrudniejszy.

Samuels skinął głową, chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili drzwi rozsunęły się i wszedł łysy jak kolano mężczyzna w szarym uniformie. Na rękawie miał naszywkę z wężem Eskulapa.

– Skoro pan doktor jest już z nami – oznajmił gubernator – chyba możemy zaczynać. Wobec warunków pojedynku i mnogości przybyłych na sali pozostaną tylko walczący. Sekundantów i resztę gości zapraszam do pomieszczenia dla widzów. Przypominam, że pojedynek odbywał się będzie w stanie nieważkości, zgodnie z życzeniem kapitana Samuela, a walczyć mają panowie na szpady corrina, zgodnie z sugestią kapitana Vesana, na którą wyzwany wyraził zgodę. O ile się orientuję, wyzywający zobowiązał się dostarczyć egzemplarz broni dla kapitana Samuela.

Vesano potwierdził, po czym powiedział coś do de la Hoi. Ten wyjął z ozdobnej skrzyni ustawionej przy wejściu dwie szpady, jedną wręczył Ruizowi, z drugą zbliżył się do

Samuelsa. Jednak ten pokręcił przecząco głową, ku zdziwieniu obecnych. De la Hoya zatrzymał się, zdezorientowany, Aidan zaś odwrócił się i podszedł do niepozornego, podłużnego worka ze sztywnego materiału, spoczywającego w kącie. Otworzył magnetyczne zapięcie i wydobyl szpadę. Spojrzał na trójbarwną okładzinę rękojeści, po czym wdusił ledwie wyczuwalny pod palcem guzek, umiejscowiony tuż pod koszem. Rozległo się ciche bzyknięcie, kiedy substancje odżywcze, do tej pory zasilające jaszczurczą skórę tylko na tyle, by nie wyschła i nie straciła swoich właściwości, zostały wstrzyknięte w jej unikalny krwiobieg. Corrinny miały bowiem zupełnie osobne systemy naczyń dla skóry i dla reszty ciała.

Ta właśnie rękojeść stanowiła o cenie szpady. Zarówno mechanizmy, jak i same płyny odżywcze kosztowały majątek.

Aidan odwrócił się i z satysfakcją zauważył niepokój sekundantów Vesana, a w oczach samego Ruiza wręcz strach.

Samuels uśmiechnął się lekko. Zamierzał wykorzystać każdą możliwą przewagę, a wytrącenie przeciwnika z równowagi to zawsze spora korzyść. Już przedtem zauważył, że nawet w niskiej grawitacji modułu treningowego Vesano nie czuje się zbyt pewnie. Dwa lata spędził przecież w części więziennej, gdzie panowało normalne ciśnienie, odwykł od warunków kosmosu. A może nawet nigdy się do nich nie przyzwyczał, służąc tylko na wielkich okrętach, posiadających własne systemy wytwarzania sztucznego ciśnienia.

* * *

Don Sebastian spoglądał niecierpliwie na zegar, zawieszony w jego gabinecie. Powinien być teraz w części treningowej stacji, przyglądać się pojedynekowi i dopilnować, aby krew nie połała się mocniej, niż to potrzebne. Najchętniej odwołałby tę przekłętą walkę, ale potrzebował Aidana Samuela w najlepszej formie, a znał dumnego kapitana już na tyle dobrze, by wiedzieć, że taka odłożona sprawa będzie go męczyć i odciągać jego uwagę od ważniejszych kwestii.

Ile przyjdzie czekać? Wiedział, że grandowie uwielbiają celebracje wszelkich wydarzeń, nawet takich, które w efekcie mogą im znacznie skrócić życie. Tacy już byli i na ich dumie oraz tradycji opierała się struktura imperium.

Wbrew planom musiał jednak pozostać w gabinecie, gdyż tylko tutaj mógł odbierać wiadomości ściśle tajne specjalnego znaczenia, a w każdej chwili mogło się coś pojawić.

Przyszło mu coś do głowy. Otworzył panel holokranu, zatańczył palcami po klawiaturze, ale po chwili zaklął cicho.

– Egberto! – zawołał.

Zaraz wszedł sekretarz, odrobinę zdziwiony, że inkwizytor woła, zamiast użyć interkomu. Ale to było niewielkie zdumienie. Don Sebastian miał po prostu swoje dziwactwa.

– Słuchaj, Egberto, czy mógłbyś mi znaleźć łącze do sali treningowej fechtunku w warunkach nieważkości? Nie ma stąd bezpośredniego połączenia.

– Oczywiście, Ekscelencjo. – Sekretarz uśmiechnął się radośnie, jak zawsze, kiedy mógł się przydać i przysłużyć dostojnikowi. – Wszystko da się zrobić, jeśli tylko tam są jakieś kamery... Czy mogę? – Wskazał panel Lermy.

Inkwizytor wstał bez słowa, a potem patrzył, jak Egberto zagłębia się w labirynty kanałów informacji. Manipulował dłonią wprost w holokranie. Lerma przyglądał się sekretarzowi z marszem na czole.

– Już – sapnął po chwili Egberto. – Będzie miał pan obraz, Ekscelencjo, lecz bez dźwięku.

Mikrofony pracują na osobnym kanale, ale jeśli pan chce...

– Nie trzeba, chłopcze – powstrzymał go inkwizytor. – Wizja w zupełności mi wystarczy.

Holoekran uczynił się płaski, jako że przekaz z kamer monitoringu nie był trójwymiarowy. Za to obserwator mógł widzieć pomieszczenie z kilku perspektyw.

– Dziękuję, chłopcze – rzekł Lerma. – Bardzo mi pomogłeś. Możesz odejść.

Jednak kiedy Egberto wychodził, don Sebastian zatrzymał go w samych drzwiach.

– Poczekaj. Nie wiedziałem, że masz implanty informatyczne w dłoniach.

– Tylko w prawej, Ekscelencjo.

– Dawno je wszczepiłeś?

– Nie. – Egberto wyraźnie się zaniepokoił. – Kilka miesięcy temu. Nie było wówczas pana, Ekscelencjo, miałem więc trochę wolnego. Czy zrobiłem coś nie tak, jak trzeba?

– Twój przełożony powinien wiedzieć o takich sprawach. Nie pracujesz w biurze zastępcy radcy dworu, ale w kancelarii jednego z najwyższych urzędników państwowych.

Egberto przełknął ślinę.

– Nie wiedziałem, Ekscelencjo...

– Jeśli nie wyczytałeś tego w regulaminach, powinieneś się domyślić – rzekł łagodnie inkwizytor. – Miałem cię za rozsądniejszego. Swoją drogą, dziwi mnie, że stać cię na implanty. Tak się składa, że zupełnie przypadkowo wiem, ile zarabiasz.

– To była wyjątkowa okazja, Ekscelencjo – ożywił się Egberto. – Spotkałem przyjaciela z czasów nowicjatu. No, może nie tyle przyjaciela, ile dobrego znajomego. Okazało się, że przed wieczystymi święceniami porzucił stan duchowny i zajął się handlem implantami neuronowymi. Po dobrej znajomości kosztowało mnie to jedną piątą tego, co musiałbym zapłacić w klinice.

Lerma pokiwał głową.

– Rzeczywiście, muszę powiedzieć, że miałeś szczęście. Kiedy to było?

– Dokładnie trzy miesiące temu, Ekscelencjo.

– W takim razie muszę przyznać, że znakomicie się posługujesz tym udogodnieniem, jak na tak krótki czas.

– To bardzo proste, Ekscelencjo, trzeba tylko przywyknąć do tego, że z dłoni dociera do mózgu obraz Sieci, a jednocześnie widzi się normalnie otoczenie. Kwestia skupienia uwagi.

Lerma znów skinął głową.

– Możesz już iść.

Kiedy drzwi zasunęły się za sekretarzem, patrzył na nie jeszcze przez chwilę, a potem z westchnieniem przeniósł wzrok na ekran.

Tak jak przypuszczał, panowie szlachta jeszcze celebrowali wstęp do pojedynku. Walczącym odczytywano wyjątki z kodeksu, dotyczące potyczki w warunkach nieważkości. To oczywiście nie było konieczne, bo pojedynkowicze powinni znać odpowiednie ustępy, ale skoro Aidan godził się na ten cały rytuał... Zapewne panowie chcieli też zyskać na czasie. Musiało ich cokolwiek zbić z pantałyku, kiedy Samuels wydobył własną szpadę.

Ale kapitan już się zniecierpliwił. Widać było, jak mówi coś ostro, wysuwając po swojemu podbródek. Lerma wiedział doskonale, jak wygląda w tej chwili twarz Aidana, i uważał, że mało poznał równie irytujących ludzi, umiejących wyprowadzić rozmówcę z równowagi jednym słowem, popartym arogancką mimiką i gestykulacją. Chwilami Samuels przypominał inkwizytorowi wyjątkowo bezczelnego gówniarza, takiego, którego dorosły, zdrowy mężczyzna ma ochotę strzelić w ucho za sam wygląd. Ale w przypadku pojedynku była

to dla kapitana okoliczność sprzyjająca. Vesano odpowiedział coś, machając wielkopańsko ręką. Wszyscy poza walczącymi opuścili salę, zasiedli w pomieszczeniu przeznaczonym dla widzów, przypieli się pasami do foteli. Cały moduł wysunął się z łoża umiejscowionego na krawędzi modułu obrotowego do samego centrum stacji, gdzie otoczyło go i uniosło o milimetry nad rynnę transportową pole siłowe. Pole to wyhamowało ruch modułu, pozbawiając go i tak już niewielkiego w tym rejonie stacji sztucznego ciężenia.

Inkwizytor westchnął. Wprowadzanie dużych obiektów w ruch wirowy i utrzymywanie go wciąż było bardziej opłacalne niż montowanie generatorów grawitacyjnych. Dla niego samego świadomość, że znajduje się na wielkiej karuzeli, stanowiła dyskomfort, choć nie odczuwał przecież skutków stosowania tej technologii. Dlatego na ogół starał się o tym nie myśleć. Lecz teraz miał pełną świadomość, co i dlaczego się dzieje.

Kiedy sala treningowa ustabilizowała położenie, nad drzwiami zapaliła się niebieska listwa na znak, że można rozpocząć walkę.

Przeciwnicy skulili się każdy w swoim kącie, szykując się do skoku. Dłonie zacisnęły się na rękojeściach drogocennych szpad, a neurotoksyny popłynęły przez drobne igiełki jaszczurczej skóry wprost do krwiobiegu pojedynekowiczów. Lerma wiedział, co się teraz dzieje z organizmami Aidana i Ruiza, dlatego zwolnił tempo transmisji. Wprawdzie otrzyma obraz opóźniony, ale przynajmniej będzie widział, co robią walczący, zamiast śledzić rozmazane plamy postaci.

Pierwszy odepchnął się Vesano, zaraz po nim Aidan. Dla obserwujących zmagania przez szybę, bez zwolnienia tempa, mogło to wyglądać, jakby razem wykonali ruch. Włókna nerwowe walczących przewodziły impulsy w szaleńczym tempie, zmuszając mięśnie do wzmożonego wysiłku, przyspieszając każdy ruch. Inkwizytor nie cierpiał tej broni. Po każdym treningu nieodmiennie miał wrażenie, że uszkodził sobie co najmniej połowę ścięgien, a włókna mięśniowe zostały nadwerężone w więcej niż stu procentach.

Na ekranie pojedynekowicze zbliżali się do siebie błyskawicznie. Mijając się, skrzyżowali ostrza. Ruiz pchnął mocno, próbując przejść przez gardę przeciwnika, lecz to, co udałoby mu się zapewne w warunkach ciężenia, teraz – nieoparte klasycznym wypadem – spełzło na niczym. Aidan bez trudu odchylił klingę, zacierając wprost w jego gardło, po czym związał ją krótkim, płytkim młynkiem i wyprowadził ripostę. Lerma widział doskonale, że kapitan „Sirene” nie próbował nawet trafić precyzyjnie, ale Vesano szarpnął się w tył, co przy braku ciężenia sprawiło go w powolny ruch wirowy. Niestety, Samuels nie był w stanie tego wykorzystać, gdyż już się oddalili od siebie, przelatując pod przeciwległe ściany sześciennego pomieszczenia. Pojęcia góra – dół straciły znaczenie, pozostały tylko punkty odniesienia w postaci drzwi i okna widzów.

Vesano oparł się o ścianę, wytracając pęd. Zdawało się, że powinien chociaż przez sekundę odpocząć, zorientować się dokładnie w położeniu, ale on z miejsca odbił się potężnie i pomknął ku Aidanowi z wyciągniętą przed siebie szpadą, wyprostowany jak struna. Ten atak zwano Szarżą Rekina. Przy należytej koordynacji i precyzji wykonania był praktycznie niemożliwy do odparcia, dlatego też zaliczano go do technik mistrzowskich, podobnie jak w mieczu Gniewne Uderzenie czy Uderzenie Krzywe. Jednak Ruiz nie zdołał ułożyć się dostatecznie dokładnie, a poza tym Aidan musiał odgadnąć, co się szykuje, bo nawet nie próbował wejść w starcie. Zamiast tego wybił się nieco w bok i zawadził stopą o prostopadłą ścianę, zmieniając trajektorię lotu. Dzięki temu znalazł się pod brzuchem przeciwnika. Lerma skrzywił się. Ostrze Samuela mogło teraz bez trudu przebić brzuch młodego hrabiego.

Kapitan wykonał nawet taki ruch, jakby chciał zakończyć ostatecznie walkę, ale zrezygnował i zamiast zaatakować ostrzem, obrócił broń i rąbnął Vesana głowicą szpady.

Ruiz zwinął się, zmienił kierunek lotu i po chwili uderzył plecami w ścianę tuż przy łączącym trzy płaszczyzny kącie. Z trudem łapał oddech, patrząc wytrzeszczonymi oczami na przeciwnika. Tymczasem Aidan spokojnie dopłynął do ściany z oknem, wylądował w takim miejscu, że znalazł się po płytkiej przekątnej w stosunku do Vesana. Czekał niewzruszony, aż tamten stanie się znów zdolny do walki.

Lerma wyłączył spowolnienie i zaklął, bo w czasie realnym pojedynków znów się zaczął. Postacie śmignęły ku sobie, wykonując błyskawiczne pchnięcia i odbicia. Gdyby transmisja była dźwiękowa, z pewnością rozległby się metaliczny grzechot.

Przeciwnicy znów się rozdzielili, ale za młodym hrabią ciągnął się teraz sznur rubinowych paciorków. Vesano dotarł do ściany z drzwiami, tę z oknem miał po lewej stronie. Chwycił się listwy nadproża i przyciągnął, żeby obejrzeć ranę. Wypuszczona szpada poleciała za nim, odbiła się i leniwie poszybowała w przeciwną stronę. Po chwili do sali treningowej wpłynął lekarz. Obejrzał ranę, a potem pokręcił głową. Było po walce. Medyk natryśnął opatrunek na szerokie rozcięcie na przedramieniu Ruiza, a potem dał znak, żeby przywrócić ciężenie. Walec z salą treningową ruszył.

Inkwizytor przewinął nagranie, puścił je w zwolnionym tempie.

Vesano zaatakował z nienacką, w chwili, kiedy Aidan zwolnił uchwyt palców na rękojeści, aby poprawić broń. Lecz hrabia nie zdołał zaskoczyć doświadczonego żołnierza. Samuels z pewnością nie był bardzo biegłym szermierzem, to inkwizytor widział w pewnej sztywności nadgarstka, w nie do końca swobodnej sylwetce. Jednak doświadczenie w realnej walce wręcz, w szaleńczej rąbaninie podczas bezwzględnych abordaży okazało się bezcenne.

Ruiz zamierzał dosięgnąć Aidana zwodem z drugiej postawy, która w stanie nieważkości wyglądała nieco inaczej niż przy walce w warunkach grawitacji, kiedy szermierz staje z klingą na wysokości oczu, skierowaną sztychem w stronę przeciwnika. Tutaj leciał przez pomieszczenie ze szpadą nieco ponad głową, a resztą ciała pozostającą pod kątem około trzydziestu stopni w stosunku do ramienia. Nieco to przypominało Szarżę Rekina, ale prędkość lotu była mniejsza, a sama pozycja stanowiła przygotowanie do wykonania zwodu lub nawet kilku zwodów, które kończyć się powinny sztychem w gardło, pierś lub krocze, w zależności od pozycji przeciwnika.

Aidan z pewnością zdawał sobie sprawę, że wdając się w zawłóci takiego fechtunku, zbyt wiele nie zdziała. W dodatku, wbrew przewidywaniom, Ruiz radził sobie w nieważkości naprawdę nieźle. Zupełnie jakby w więzieniu miał możliwość trenować, co było przecież wykluczone. Zatem kapitan „Sirene” nie wdawał się więcej w finezyjną wymianę ciosów. Postanowił przyjąć przeciwnika przy ścianie, przesunął się tylko nieco bardziej w stronę kąta.

Przez twarz Vesana przeleciał grymas przypominający triumfalny uśmiech. Uznał, że ma już wroga podanego na talerzu. Ale w ostatniej chwili, gdy czubek szpady hrabiego znajdował się może pół metra od wysuniętej broni Samuela, ten nagle skoczył. Nie wiązał klingi z ostrzem przeciwnika, ale strącił broń Vesana lewym przedramieniem, płynnym ruchem przechwycił kosz gardy tamtego i ciał mocno.

Takich ciosów nie zadawało się szpadą corrina. Przy mięśniach reagujących z taką szybkością, tak napiętych na skutek działania neurotoksyny, zbyt łatwo było o ciężką kontuzję, kiedy wyprowadzało się podobny cios. Szpady miały wprawdzie dwie krawędzie tnące, ale nie po to, by używać przy nich technik szablowych, ale by móc z przyłożenia zadać ranę ciętą

– na pewno nie morderczą, ale zawsze osłabiającą przeciwnika.

Lecz Aidan najwyraźniej wiedział, co robi. Tu z kolei przydało się bez wątpienia doświadczenie z pobytu na Sargemie i zabaw z rówieśnikami.

Uderzył niezbyt potężnie, ale na tyle mocno, by rozciąć rękaw stroju szermierczego i poważnie naruszyć naczynia krwionośne oraz mięśnie odpowiedzialne za zginanie palców, znajdujące się za nadgarstkiem. A potem zadał jeszcze jeden cios, nieco wyżej. Inkwizytor, posiadający elementarne wykształcenie medyczne, przypuszczał, że uszkodzeniu uległ zginacz nadgarstka długi, gdyż Vesano podczas interwencji lekarza pokazywał, że nie może operować dłonią. Z takimi kontuzjami powinien sobie poradzić nawet dość prosty medmat, ale rehabilitacja potrwa przynajmniej dwa tygodnie.

– Samuels – mruknął pod nosem Lerma – na ogół cię zwyczajnie nie trawię, skurczybyku, ale czasem zasługujesz na podziw.

Odetchnął z ulgą. Skoro młody Vesano żył i wyszedł z pojedynku bez większego szwanku, istniała szansa, że jego ojciec nie będzie zanadto szalał.

A na razie czekała go jeszcze na pewno trudna rozmowa z kapitanami. To, czy spodoba im się nowa misja, nie obchodziło go. Gorzej, że będą mieli z pewnością miliony pytań. Jak zwykle. O wiele łatwiej rozmawiało się z tępymi trepami, wykonującymi bez szemrania rozkazy. Tyle że takie tępe trepy absolutnie nie nadawały się do realizacji zadań, jakie postawiono przed inkwizytorem.

Ślady na szkle

Aidan otworzył oczy i potrząsnął głową. Nie cierpiał skoków przez portale. Wprawdzie sama podróż trwała ułamki sekund, ale procedura przygotowania jednostek ciągnęła się jak smród za wojskiem. Poza tym Samuels inaczej odczuwał taką podróż, kiedy „Sirene” znajdowała się na pokładzie lotniskowca, krążownika czy pancernika, a inaczej, gdy niewielki niszczyciel sam podlegał oddziaływaniu niewyobrażalnych dla człowieka sił. To, że dowództwo zdecydowało się wysłać cztery niewielkie jednostki przez potężny portal, a władze cywilne wyraziły na to zgodę, wskazywało jednoznacznie, że wyprawa jest traktowana arcyważnie. W dodatku po tamtej stronie miała ich czekać jeszcze pewna niespodzianka.

Aidan nie cierpiał niespodzianek. Ostatnia zakończyła się pojedynkiem, a przedostatnia najpierw potężną łomotaniną w Układzie Regora, a potem misją, podczas której stracili świetny okręt i znakomitego dowódcę.

Lecz teraz nawet o tym nie myślał. Skupiał się na tym, żeby zachować przytomność, bo w tej chwili całym sobą nie pragnął niczego tak bardzo, jak zasnąć. Powstrzymywały go przed tym trzy rzeczy: po pierwsze, świadomość, że mógłby się już nie obudzić, po drugie, migoczące wściekle światła, a po trzecie, upiorny głos syreny alarmowej.

– Proszę aktywować indywidualny pakiet medyczny – odezwał się aksamitny głos komputera pokładowego. – Kapitanie Samuels. Proszę aktywować indywidualny pakiet medyczny. Jeśli pan tego sam nie zrobi, za piętnaście sekund rozpocznie się procedura zdalnej aktywacji.

Dlaczego o tym nie pamiętał? Przecież to było bardziej niż oczywiste, na dodatek na wszystkich szkoleniach wpajano nawyk włączania pakietu. A jednak po tym skoku zawodziło go wszystko, nie tylko ciało, lecz i umysł. Z jakiego powodu? Do tej pory nic podobnego się nie zdarzyło. Nie pierwszy raz korzystał z portalu, wprawdzie z reguły na pokładach wielkich jednostek. Ich masa wraz z pracą generatorów grawitacyjnych łagodziły nieco skutki przejścia, ale przecież trzy albo cztery razy wyrzucano go na fregacie czy niszczycielu. Jeszcze nie ocknął się w tak potwornie złym stanie.

Sięgnął prawą ręką do lewego przedramienia, wcisnął szeroki, czerwony guzik na pudełku przymocowanym nad nadgarstkiem. Bardziej poczuł, niż usłyszał mruczenie urządzenia, po chwili całą rękę objął chłód, kiedy miniaturowy medmat aplikował witaminy, środki pobudzające i jakieś jeszcze tajemnicze substancje, mające postawić dowódcę okrętu na nogi.

Po chwili poczuł się lepiej, uniósł głowę i rozejrzał się po mostku. Podchwycił zatroskane spojrzenie oficera łączności.

– Spokojnie, Norman, już jest dobrze. A ty się nie szczerz, Martinez – ofuknął nawigatora. – Gdyby mi się coś stało, z palcem do własnego tyłka nie traficie, szczury lądowe! Jak nie zmażesz tego uśmiešku z pyska, trafisz do ancla, a twoje miejsce na pierwszej wachcie zajmie Sonia Bataria. Przynajmniej będę miał pozytywne wrażenia estetyczne, patrząc na jej śliczną buzię zamiast na twój wredny ryj!

– Ale pana wzięło, szyper – powiedział Diego, zupełnie nie przejmując się rozdrażnieniem kapitana. – Kapitan Berger mówiła mi, że ta szpada wysysa z człowieka siły, ale żeby aż tak?

W tym momencie Aidan zdał sobie nagle sprawę, skąd wzięła się słabość. Jad corriny robił swoje. Od pojedynku nie minęły nawet cztery dni, a rekonwalescencja powinna trwać tydzień. Ciekawe, że na Sargemie ani on, ani jego koledzy nie odczuwali aż tak mocno skutków przyjmowania neurotoksyny ze świeżych skór jaszczurek. Stryj mówił coś o diecie i składzie powietrza, ale sam nie był pewien, dlaczego użytkownicy szpad corrina poza planetą ulegali długotrwałemu zatruciu. Być może substancje odżywcze w rękojeści zostały tak zbilansowane, aby maksymalnie wzmocnić efekt kosztem zdrowia szermierza. Tak, mogło o to chodzić, bo nie pamiętał, aby świeże skóry aż tak mocno przyspieszały reakcje. Zdawało mu się, że ożywienie było nieco mniejsze. Niewiele, ale zawsze. No i nie zrywali sobie młodych mięśni, o co przy tej drogocennej broni było bardzo łatwo.

– A skąd Amanda ma takie informacje? – mruknął pod nosem. – I dlaczego je przekazuje mojemu podwładnemu bez mojej wiedzy?

Martinez wyszczerzył zęby jeszcze bardziej. Samuels doskonale wiedział, że jego przyjaciółka traktowała młodego nawigatora jak maskotkę, a Diegowi odpowiadała rola ulubionego kotka. Widocznie nie zaznał w życiu dość matczynej miłości. Nie, nie tylko widocznie. Na pewno! Większość świadomego dzieciństwa i wczesną młodość spędził wśród piratów.

Piraci!

Ta nazwa sprawiła, że Aidan poczuł przyływ adrenaliny. Przecież zostali wyrzuceni w pobliżu ich kolonii! A precyzja działania portali wyglądała rozmaicie. W normalnych warunkach nawet kilkadziesiąt jednostek astronomicznych zupełnej próżni nie robiło różnicy, błąd można było łatwo skorygować, ale w pobliżu terytorium wroga należało zachowywać najdalej posuniętą ostrożność.

– Raporty z sekcji! – warknął kapitan, włączając ogólny interkom okrętu.

– Maszynownia w gotowości – zameldował Naalnish.

– Uzbrojenie gotowe – odezwał się Shader.

– Skanery i nasłuch w gotowości – zaraportował bosman Mario Costa.

– Kondensatory i siłowniki osłon gotowe – rozległ się lekko senny głos bosmana Armina van den Broeka.

– Ekipy naprawcze w pełni sprawne – zgłosił się Rodrigo Callahan.

– Lazaret gotów – mat Henricksen wydawał się cokolwiek naburmuszony.

Aidan pomyślał, że musi wreszcie znaleźć innego felczera. Ronald był o wiele lepszym mechanikiem niż łapiduchem, i kapitan wolałby go mieć wyłącznie w sekcji naprawczej, żeby nie musiał dzielić obowiązków. Samuels miał się nawet tym zająć, korzystając z pobytu niszczyciela w doku remontowym, ale pośpiech ostatnich dni nie sprzyjał podobnym przedsięwzięciom.

– Mostek gotów – oznajmił Farlan.

– Pełna gotowość i...

Nie dokończył, bo przerwał mu okrzyk Martineza:

– Kurwa mać, piracka sonda alarmowa!

– Shader, zestrzel to gówno! – rozkazał Aidan.

– Za późno – mruknął Diego. – Zaraza już znikła w nadprzestrzeni.

Aidan zagryzł wargi. Ostatnią rzeczą, której sobie życzył, było natknięcie się na pirackie siły w tym rejonie.

– Albo rozszerzyli sferę ostrzegawczą, albo podeszliśmy za blisko – zauważył Farlan.

– Dzięki za światłe spostrzeżenie, chorąży – burknął Aidan. – Bez ciebie w życiu bym na to nie wpadł.

Farlan poczerwieniał, ale zmilczał. Kiedy dowódca znajdował się w stanie tak wielkiego rozdrażnienia, lepiej było nie dolewać oliwy do ognia. Łącznościowiec nie miał ochoty na służbę poza kolejnością.

– Wyznaczyłeś już dokładnie naszą pozycję? – spytał kapitan Martineza.

– Zgodnie z przewidywaniami wyskoczyliśmy w normalną przestrzeń o sto trzydzieści jednostek astronomicznych od bazy pirackiej Forgotta.

– To znaczy, że bandyci złupili gdzieś parę groszy i zainwestowali w bardziej rozbudowany system ostrzegania – powiedział Farlan. – Nasz wywiad powinien chyba coś o tym wiedzieć.

– „Powinien” jest tutaj kluczowym słowem, chorąży – warknął Aidan. – Wywiad powinien wiedzieć wiele rzeczy, o których nie wie, albo może nie raczy informować innych. Oficerowie tej instytucji traktują każdą tajemnicę jak dobro najwyższe, cholera. Chowają wiadomości pod korcem i trzymają, aż się zestarzeją i stracą wartość. Są jak stara ciotka ciułająca każdego reala tylko po to, żeby się dowiedzieć, iż nastąpiła właśnie wymiana waluty i denominacja. Dlatego właśnie musieliśmy się wpięprzyć na tę sondę.

– Zlokalizowałem cztery obiekty – odezwał się głos Shadera. – Wszystko duże sondy. Ściągnąć je?

Aidan spojrział pytająco na Farlana.

– Skanuj nas – powiedział chorąży. – Zleciały się z całej okolicy. Nie meldowałem, bo tam i tak niebawem się o nas dowiedzą dzięki tej, która umknęła, a te nie zostały wyposażone w napęd nadprzestrzenny.

– A ściągaj je, Robert. – Aidan machnął ręką. – Teraz to już faktycznie bez znaczenia, ale przestrzelacie przy okazji mały i średni kaliber.

– Robi się – rzucił Shader i zameldował: – Po sprawie. W promieniu dwóch jednostek astronomicznych jest czysto.

– Farlan, łącz mnie z dowódcami pozostałych okrętów – polecił Samuels. – Rozmowa na mój osobisty komunikator.

– Po to nas pchali przez portal, żeby tachiony nie zdradziły wyprawy – burczał tymczasem Martinez. – Kurwa, co za syf.

– Zamknij się, Diego – rozkazał Aidan. – Później sobie ponarzekasz.

Oczywiście sternik-nawigator miał rację. Transport przez portal miał im zapewnić przybycie do układu błyskawicznie, ale przede wszystkim incognito. Tymczasem cały trud i nakłady finansowe zostały zniweczone przez zwykłą sondę.

Po chwili na holoeckranie pojawiły się twarze trzech kapitanów. Amanda właśnie poprawiała niesforny kosmyk włosów, Guardado podniósł wzrok znad taktycznego wyświetlacza, a Santiago Moreno wyglądał, jakby od dawna czekał na to połączenie. Przypominał Aidanowi swojego dzielnego brata, Gaspara, który zginął w Układzie Regora podczas próby ustalenia, czym jest tajemnicza, rozrastająca się struktura i otaczające ją pole. Tyle że Santiago był nieco starszy i chyba jeszcze bardziej porywczy.

– Zdajecie sobie sprawę, państwo kapitanowie, że lada chwila piraci otrzymają wiadomość o naszym przybyciu.

– Gdybyśmy nawet nie wiedzieli od razu, to popis Shadera dałby nam do myślenia – powiedziała z przekąsem Amanda. – Wiem, że mężczyźni lubią groźne zabawki, ale nigdy

wcześniej nie spotkałam faceta, który aż tak bardzo lubiłby sobie postrzelać.

– Pewnie dlatego jest najlepszy – odparował Samuels. – Kapitan Berger, proszę sobie darować złościwości, nie mamy na to czasu.

– Nie chrzań, Aidan. – Wydęła wargi. – Jesteśmy wszyscy dowódcami niszczycieli. Nigdy nie mamy dostatecznie dużo czasu, zawsze musimy działać w szaleńczym tempie.

Samuels uśmiechnął się. Oczywiście miała rację, ale rozbawiła go mina Guardada, kiedy padło ostatnie zdanie. Ten powinien dowodzić pancernikiem albo ciężkim krążownikiem, bo nie znosił pośpiechu. Miało to swoje dobre strony, gdyż nie podpalał się i nawet w największej gorączce bitewnej podchodził do wszystkiego z rozwagą. Chwilami irytowało to Aidana, ale musiał obiektywnie przyznać, że w takim narwanym towarzystwie bardzo przydaje się filozof.

– Pani kapitan chyba zapomina, że rozmawia z oficerem dowodzącym naszą małą formacją. W dawnej flocie morskiej albo w marynarce Republiki nosiłbym tytuł komodora i miał władzę prawie równą admirałowi.

– Na szczęście nie służyliśmy w dawnej flocie morskiej ani w siłach Republiki. Zresztą u nich teraz to też jest już stopień jak każdy inny. Chociaż słyszałam, że czasem używają go jeszcze w dawnym znaczeniu, jeśli formacją dowodzi ktoś niższy stopniem. I jeszcze większe szczęście, że nasi nie mianowali cię kontradmirałem, bobyś się teraz puszył jak kogut.

Do uszu Aidana doleciał stłumiony śmiech. Kapitan spojrzał groźnie na Farlana, ale ten patrzył w sufit z niewinną miną. Z kolei Martinez z pełnym skupieniem wpisywał coś w swój terminal. A jednak któryś z nich zachichotał. Mógł im zakazywać podsłuchiwania, ale przynajmniej strzępki rozmowy do nich docierały. Szczególnie że Amanda miała dość silny głos.

Chciał już jej coś odpowiedzieć, kiedy do rozmowy wtrącił się Guardado.

– Pragnę przypomnieć, dowódcu, że znaleźliśmy się w sytuacji mało komfortowej. – Jak zwykle wyrażał się precyzyjnie, cedził słowa bez pośpiechu. – Kiedy piraci dowiedzą się o naszej przyjacielskiej wizycie, z pewnością zapragną nas powitać. I będą to bez wątpienia gorące pozdrowienia, choć zapewne bez należytej serdeczności. W każdym razie na tort z napisem „Zapraszamy drogich gości” bym nie liczył.

– Właśnie – włączył się Santiago Moreno. – Pieprzycie strasznie. Trzeba podjąć jakąś...

– Rozproszyć się na przestrzeni jednej dziesiątej jednostki astronomicznej w szyk rombu – przerwał mu nagle Aidan. – Kapitan Moreno zajmie pozycję z tyłu i skupi się na nasłuchu tachionowym z głębi przestrzeni. Amanda naprzód, my z Edgarem zabezpieczymy boki, ja idę z prawej. Kąt formacji orientowany na „Saragossę”, odchylenie minus trzydzieści stopni względem ekliptyki sigmy Errani.

– Tak jest – odpowiedzieli prawie jednocześnie Amanda i Guardado.

– Co to miało być? – spytał osłupiały Moreno.

– To, jak je uprzejmie nazwałeś, pieprzenie – odpowiedziała kobieta – bardzo pomaga naszemu bossowi przy podejmowaniu decyzji. Niby chrzani i się przekomarza, ale jego mózg zaszuwa jak ścigacz na dopalaczu.

– Jednak normalnie wolę pracować w ciszy – dodał Aidan. – Ale przy kapitan Berger to praktycznie niemożliwe. A teraz proszę wykonać rozkazy.

– Tak, komodorze. – Amanda uśmiechnęła się krzywo.

Samuels tylko machnął ręką, a potem wyciszył głos, nie przerywając łączności wizualnej z pozostałymi kapitanami. Zwrócił się do Martineza:

– Wysłałem koordynaty na twój panel.
– Mam, panie szyper – odparł Diego. – Rozpoczęcie manewru za pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, teraz!

Silniki pomocnicze pchnęły okręt w prawo, na czterdzieści pięć sekund włączył się główny napęd relatywistyczny, a potem „Sirene” wyhamowała. Aidan włączył fonię.

– Meldować.

– Na pozycji – powiedział Guardado.

– Na pozycji – zawtórował mu Moreno.

– Na pozycji – zakończyła Amanda.

– Zrzucić kotwice, łajby w dryf – podsumował Aidan. – Skanery na maksymalną moc.

– No dobra – sapnął Moreno po chwili. – Mogę się dowiedzieć, o co w tym chodzi?

Dlaczego czekamy tutaj, zamiast zmienić miejsce? Przecież tylko patrzeć, jak pojawią się piraci. Nie dysponujemy pancernikiem, ani nawet krążownikiem, który by ich może nastraszył.

– Chyba że przytargaliby jakiś zdobyczny pancernik – mruknęła Amanda. – Też dysponują ciężkim sprzętem. Dobrze, że odległość jest duża i monitora raczej nie będą tachać. Co jak co, ale monitory miewają naprawdę niezłe.

– Fakt – zgodził się Santiago. – Widziałem kiedyś, jak taki piracki zeus zdmuchnął całkiem pokaźny krążownik.

– Kanonierki też robią całkiem przyzwoite – zauważył Guardado i roześmiał się. – Niezły paradoks, że sami budują tylko najpotężniejsze i najmniejsze jednostki wojenne.

– To wcale nie jest takie dziwne – powiedziała Amanda. – Monitory nie potrzebują praktycznie obsługi technicznej. Są koszmarnie wielkie i koszmarnie powolne, ale konstrukcyjnie proste jak mózg prałata na odwyku. A z kolei kanonierki można prawie młotkiem wyklepać. Mnie bardziej zdumiewa to, że nawet jeśli tłuką się właśnie między sobą, nigdy nie zaprzestają wymiany ani handlu okrętami. To chyba coś jak instynkt samozachowawczy.

Aidan pokiwał głową. Kobieta z pewnością miała rację, ale przecież każdy z nich to wiedział. Po co zrobiła im wykład? Nerwy? To możliwe. Z akcji na akcję Amanda wydawała się coraz bardziej wypalona psychicznie.

– Ty jesteś tutaj inżynierem, więc wiesz najlepiej – rzucił. – A teraz może odpowiem na pytanie kapitana Morena, bo rozmowa jakoś zesłała na manowce. Co zresztą w tym towarzystwie jest raczej normą niż wyjątkiem. Otóż, drogi Santiago, mamy na kogoś czekać w tym rejonie.

– Na kogo? To znów jakaś tajemnica? – spytał Moreno. Coraz bardziej przypominał Aidanowi swojego brata. Gdyby jeszcze kłął jak tamten, wydawałby się wręcz klonem.

– No tak. – Aidan pokiwał głową. – Zapomniałem, że tylko pan nie został wprowadzony przez Jego Ekscelencję don Sebastiana w założenia tej misji.

– Jego Ekscelencja nie raczył nawet osobiście powiadomić mnie, że biorę w niej udział – rzekł cierpko Santiago. – Rozmawiałem tylko z jego sekretarzem.

– Sam don Egberto cię zaszczycił? – Amanda uśmiechnęła się krzywo. – Toż to jak rozmowa z samym Stwórcą. Nie daj Boże, żeby ten pajac został kiedyś inkwizytorem, albo chociażby nawet zwykłym śledczym.

– Nie zostanie – mruknął Aidan.

– Skąd wiesz? – spytała zaczepnie. – Przecież to, że ktoś jest zadufanym w sobie kretyńcem, nie stanowi przeszkody do osiągnięcia najwyższych stanowisk. Wręcz przeciwnie.

– Egberto może sobie być durniem – odpowiedział spokojnie Samuels – ale don Sebastian na pewno głupcem nie jest. Nie dopuści tego bażanta wyżej niż do godności jakiegoś tam prałata, może infulata. A na pewno nie wprowadzi sekretarzyny w strukturę wykonawczą inkwizycji.

– Optymista – prychnęła Amanda.

Zapanowało milczenie. Aidan rozejrzał się po mostku. Farlan i Martinez pracowali przy swoich stanowiskach. Pozostałe miejsca, przeznaczone dla szefów działu osłon i nasłuchu, były obsadzone podczas podróży nadświetlnych, związanych ze skomplikowanymi manewrami, oraz w czasie wyjątkowo zaciętych bitew. Ponieważ tym razem wykonywali skok przez portal, nie zachodziła potrzeba uzupełniania stanowisk. Panele lśniły zielonkawą poświatą, sygnalizując, że odpowiednie sekcje pracują we własnych modułach.

– Dobrze. – Samuels poruszył delikatnie prawą ręką. Mimo stanu nieważkości czuł w bicepsie taki ból, jakby przed chwilą podniósł ogromny ciężar. Trudy walki dawały znać o sobie. Nie chciał nawet myśleć, jak by się czuł, gdyby pojedynek potrwał dłużej. – Okręty w gotowości bojowej, alarm trzeciego stopnia. Obsadzić zapasowe mostki podstawową załogą, wezwać na stanowiska bojowe uzupełnienia mostków głównych. Maszynownie w pełnej gotowości, diabli wiedzą, czy nie będziemy musieli prowadzić synchronicznych manewrów w nadprzestrzeni. Koniec połączenia. Muszę zameldować o naszej pozycji i sytuacji dowódcy sztabu.

– Znaczący Lermie – rzucił Moreno prowokacyjnym tonem. – Jesteśmy ponoć teraz jego psami gończymi. A może raczej pieskami Jego Ekszelencji wielkiego inkwizytora. Mamy podsikać teren, na który chce rozciągnąć wpływy. To taki...

– Tak, Lermie – potwierdził Aidan spokojnie, ale stanowczo, przerywając tyradę Santiaga. „Będą z tobą jeszcze problemy” – pomyślał. „Obyś miał tak bojowego ducha jak niewyparzoną gębę”.

Określenie „pieski wielkiego inkwizytora” zabolowało go bardziej niż cierń wbity prosto w serce. Nie zasłużył sobie na to ani on, ani dowódcy „Fitzcarralda” i „Greese’a”.

– Chorąży Farlan – warknął – proszę uruchomić nadajnik kwantowy. Tekst depeszy zaraz dostaniesz na panel.

To była jedna z niespodzianek, jakie przygotowano na potrzeby tej misji. Niszczyciel dowódcy otrzymał radiostację splątaniową, umożliwiającą natychmiastową łączność z bazą na stacji klasztornej dominikanów, która z kolei mogła poinformować don Sebastiana przez oficjalne łącza. Wprawdzie nadajnik był modelem najprostszym z możliwych, przekazywał tylko komunikaty pisemne oraz w bardzo ograniczonym zakresie dźwięk, ale powierzenie go kapitanowi powszechnie w dowództwie nie lubianemu świadczyło o wadze wyprawy.

– Ściągnąć szefów sekcji nasłuchu oraz osłon na stanowiska bojowe – rozkazał Aidan. – Pierwszy oficer do mnie – rzucił do interkomu. – Zastępujesz mnie na kwadrans.

Spojrzał na Diega, który patrzył pytająco.

– Muszę rozprostować kości – wyjaśnił.

Wypiął się z pasów, poszybował w stronę wyjścia. Zatrzymał się przy drzwiach i czekał, aż wezwany zjawi się na mostku. Po kilkunastu sekundach pancerne skrzydło odjechało w bok, do pomieszczenia wpłynął pierwszy oficer. Aidan skrzywił się w duchu, zachował jednak kamienną twarz. Naprawdę trudno mu było znieść widok Ruiza na pokładzie własnej jednostki.

– Za chwilę wracam – rzucił sucho. – Proszę zająć zapasowe stanowisko dowodzenia.

Każdemu innemu oficerowi zaproponowałby własne miejsce, ale w tym przypadku nie był w stanie się przemóc. Patrzył długo w twarz podwładnego, aż tamten wreszcie wykrztusił:

– Tak jest... panie... kapitanie.

Słowa ledwo przechodziły mu przez gardło, dławione nienawiścią.

* * *

– Do ciężkiej cholery! Co wy tam macie za burdel?! – Don Sebastian Lerma patrzył na hologram szefa Służby Wywiadu Wojskowego. Gdyby wzrok mógł zabijać, oficer zostałby już starty na proszek. – Dlaczego nie otrzymaliśmy najnowszych danych?!

– Nie rozumiem. – Generał Lorrano potrząsnął głową. – Jakich danych?

– Na temat sond pirackich. A konkretnie o tym, że zostały rozmieszczone w większej odległości od ich gawry, niż dotąd bywało, w dodatku na trasie przewidywanego wyjścia po skoku okrętów naszej misji!

Szef wywiadu wytrzeszczył oczy.

– Proszę wybaczyć, Wasza Ekscelencjo – rzekł spokojnie – ale przekazaliśmy odpowiednie informacje.

– Kiedy?

– Proszę zaczekać, zaraz sprawdzę. – Hologram pochylił się, jego przedramiona do połowy znikły, kiedy generał sięgnął do panelu znajdującego się poza zasięgiem kamery. Łączność nadprzestrzenna miała swoje ograniczenia. – Dokładnie trzy dni temu. Wtedy poszedł raport w tej sprawie do kancelarii Jego Cesarskiej Wysokości i do pańskiej kancelarii również.

– Dlaczego go więc nie dostałem?

Oficer wzruszył ramionami.

– Nie wiem, Wasza Ekscelencjo. Mam tutaj potwierdzenie przyjęcia raportu z sygnaturą pańskiego sekretariatu. Przykro mi, ale nie mogę odpowiadać za bałagan w pańskim gospodarstwie.

Lerma zacisnął szczęki, nie odezwał się. Musiał znieść ten despekt w milczeniu. Jeśli rzeczywiście wina leżała po stronie kancelarii wielkiego inkwizytora, tym gorzej. Bo zaniedbania w służbach wywiadu i kontrwywiadu były wręcz przysłowiowe, nie budziły większej czujności.

– Dziękuję panu, generale Lorrano – powiedział po chwili don Sebastian. – Czy może mi pan przysłać ten raport z pominięciem drogi służbowej? Prosto na biurko.

– Oczywiście, Ekscelencjo. Z przyjemnością.

Oficer powinien w duchu triumfować, wygrywając starcie z dostojnikiem, jednak Lerma odniósł wrażenie, że jest on bardziej zatroskany niż usatysfakcjonowany.

– Chce pan mi jeszcze coś powiedzieć, generale?

Lorrano przez chwilę milczał. Jego ręce wróciły do hologramu, a na panelu inkwizytora zajaśniała ikona przychodzącej wiadomości.

– Wasza Ekscelencjo... – generał zawiesił głos – jest jeszcze coś. Dane z ostatniego skanowania tachionowego. Czy otrzymał pan ten materiał?

– Dotyczy obszaru sigmy Errani?

– Tak.

– Nie otrzymałem. Kiedy zostały wysłane?

– Dziś o siódmej rano czasu uniwersalnego.

Lerma spojrzął na zegar. Była osiemnasta czasu lokalnego stacji, to znaczy, że raport powinien dotrzeć dwie godziny temu.

– Jeszcze nie – odpowiedział. – Być może mój sekretarz jeszcze analizuje korespondencję. Trochę tego jest.

– W takim razie proszę go popędzić. To dość istotne, zostało opatrzone odpowiednią sygnaturą pilności. Przesłać panu plik bezpośrednio?

– Oczywiście. Dziękuję. Coś jeszcze?

Generał patrzył przez chwilę na inkwizytora, mrużąc lekko oczy, a potem potrząsnął głową.

– Nie, Ekscelencjo. Wydaje mi się, że sam pan już wyciągnął odpowiednie wnioski i wie, co robić.

Lerma odetchnął głęboko.

– Zgadza się, wiem. Jeszcze raz dziękuję, generale.

Kiedy hologram zniknął, don Sebastian jeszcze przez chwilę siedział ze wzrokiem utkwionym w ścianę. A potem sięgnął pod biurko, wyjął zestaw komunikacyjno-operacyjny, podobny do wojskowego bazkomu, lecz o mniejszych możliwościach, i założył na ucho. Skrzywił się lekko, kiedy igły urządzenia wbiły się w małżowinę i skórę za nią, łącząc mózg bezpośrednio z systemem komunikacyjnym. Dzięki temu mógł ominąć łącza przydzielone mu na Saratodze biura.

– Diakonie Lopez – wywołał dowódcę gwardii, który towarzyszył mu w każdej podróży. Na stacjach kosmicznych lub planetach przydzielano oficerowi do dyspozycji pięciu żołnierzy. Na okrętach wojennych, jako inżynier i świetny mechanik, wchodził najczęściej w skład zespołów naprawczych albo w ogóle się nie okrętował, jako że tam inkwizytor właściwie nie potrzebował szczególnej ochrony. – Weź dwóch ludzi i zamelduj się u mnie. Wejdziecie przez sekretariat. Po drodze zabierzcie Egberta. Nie musicie być delikatni.

– Tak jest! Będziemy za pół minuty.

Lerma mógłby przysiąc, że słyszy uśmiech w głosie na ogół poważnego, a nawet ponurego diakona. Dla nikogo nie było tajemnicą, że nie cierpieli się z sekretarzem.

– Macie być za trzy. Muszę jeszcze coś załatwić.

Połączył się z kapitanatem portu wojennego stacji.

– Słucham, Wasza Ekscelencjo – powiedział kontradmirał. – Czym mogę służyć?

– Czy pancernik „Vincent” cumuje jeszcze u was?

– Przed godziną opuścił dok i kieruje się w stronę otwartej przestrzeni, żeby sprawdzić napęd nadprzestrzenny, a potem leci na koncentrację, zarządzoną przez admirała Gonzagę.

Lerma miał ochotę zakląć, ale się powstrzymał. Ostatnio stanowczo zbyt często dawał słowny upust emocjom.

– Proszę go zatrzymać i przygotować dla mnie wahadłowiec! Za trzydzieści do czterdziestu pięciu minut wejdę na pokład.

– Tak jest.

– I proszę jeszcze skomunikować się z obsługą tego portalu, którym ostatnio wysłaliśmy niszczyciele. Niech gromadzą energię! Wszystkie generatory na pełną moc! Koszty nie grają roli – uprzedził ewentualne wątpliwości kontradmirała. – Biorę to na siebie.

Dowódca portu o nic nie pytał. Wiedział, że usłyszy albo suchą odprawę, albo kłamstwo. Żadna z tych rzeczy go nie interesowała.

Dokładnie po trzech minutach drzwi się otworzyły. Lopez jako jeden z niewielu ludzi miał możliwość wchodzenia do kwater prywatnych i gabinetów inkwizytora bez trzykrotnego

potwierdzenia tożsamości i zgody dostojnika.

Przestraszony Egberto patrzył na przełożonego wielkimi oczami. Na ich dnie czaił się strach. Lerma przyglądał mu się uważnie, zupełnie nie mrugając. Ze znanych sekretarzowi ludzi tylko on potrafił tak robić dłużej niż kilkadziesiąt sekund. A spojrzenie dostojnika kojarzyło się w tych chwilach ze wzrokiem węża hipnotyzującego ofiarę.

– Wiesz, że rozmawiałem z szefem Służby Wywiadu Wojskowego – powiedział inkwizytor.

– Sam z nim pana łączyłem – odparł drżącym głosem Egberto. – Ale to była kodowana transmisja. Podejrzewa pan, że chciałbym podsłuchiwać? Moja ciekawość jest wielka, ale nie aż tak, abym się ośmielił...

Sekretarz urwał i uczynił niepewny ruch ręką, wskazując na Lopeza i żołnierzy.

– Podejrzewam cię o znacznie gorsze rzeczy, synu – rzekł łagodnie inkwizytor.

Patrzył Egbertowi prosto w oczy, a potem opuścił wzrok na jego prawą rękę.

– Diakonie – powiedział – proszę odciąć przedramię sekretarza.

Lopez spojrział zdziwiony, ale zwykł wykonywać rozkazy Lermy bez dyskusji. Skinął na żołnierzy. Ci ociągali się przez sekundę lub dwie, zupełnie zaskoczeni, a don Sebastianowi przeleciało przez głowę, że wzorem innych inkwizytorów powinien pomyśleć o większej stałej eskorcie podczas pobytu poza kwaterą główną. Czyli przez większość czasu...

Egberto też zamarł, równie zaskoczony jak wojskowi, ale otrząsnął się wcześniej od nich i skoczył w prawo, w stronę drugich drzwi, prowadzących do pomieszczeń gospodarczych. Zdołał jednak uczynić może dwa kroki, kiedy dopadł go diakon. Najprościej byłoby rąbnąć uciekiniera w tył głowy, ale Lopez nie chciał ryzykować, że go zabije albo pozbawi przytomności na dłuższy czas. Gdyby don Sebastian zamierzał zlikwidować gada, nie wzywałby do niego całej warty, wystarczyłby sam Lopez z igłowym pistoletem.

Dlatego chwilę trwało, zanim szarpiący się i wierzgający sekretarz został obezwładniony. Poszło szybciej, kiedy żołnierze przyłączyli się do akcji.

Diakon spojrział pytająco na Lermę, a ten kiwnął głową.

– Trzymajcie go – mruknął Lopez do żołnierzy. – Tylko mocno. Prawą rękę puścić.

Wyjął z pochwy nóż plazmowy. Egberto, przerażony do granic możliwości, chciał skorzystać z tego, że ramię zostało uwolnione, i zaczął nim wymachiwać, próbując trafić prześladowcę pięścią w twarz. Ale na Lopezie te usiłowania nie uczyniły najmniejszego wrażenia. Odczekał, aż ręka sekretarza znajdzie się w odpowiedniej pozycji, a potem błyskawicznie uderzył trzonkiem noża w łokieć. Całe ramię Egberta przeszył prąd, opadło bezwładnie.

– Mocno trzymać! – warknął diakon.

Żołnierze zacieśnili chwyt. Lopez włączył ostrze. Półprzezroczysta, prawie bezbarwna plazma przepłynęła między wysuniętymi na pałaku elektrodami a siłownikiem. W tej chwili narzędzie wyglądało nie jak nóż, ale raczej staromodna piła, tyle że z nietypowym, widmowym ostrzem.

Diakon uderzył sekretarza w twarz otwartą dłonią, na tyle mocno, aby go oszołomić, ale nie uczynić mu krzywdy. Od razu szarpnął rękę do siebie i wprawnie ciął od góry, oddzielając przedramię tuż przed łokciem.

Egberto wrzasnął bardziej ze strachu niż bólu, bo temperatura plazmy spaliła wszystkie nerwy i zakończenia nerwowe, zasklepiając też żyły. Po gabinecie rozszedł się swąd przypalonego mięsa.

Sekretarz zwisał bezwładnie w ramionach żołnierzy.

– Lopez, przypnij go do fotela i daj mu zastrzyk pobudzający – polecił Lerma.

Po chwili nieprzytomny Egberto znalazł się w fotelu pod ścianą, zaopatrzonym w pasy, na wypadek gdyby na stacji zabrakło ciężenia albo cały moduł miał zostać awaryjnie wystrzelony w przestrzeń. Teraz te pasy przydały się, aby skrępować więźnia. Dodatkowo Lopez owinał ramiona Egebarta razem z oparciem wzmocnioną taśmą, lewą rękę tą samą taśmą przymocował do podłokietnika.

Syknął iniektor, po kilkunastu sekundach powieki sekretarza najpierw drgnęły, a potem zatrzepotały.

– To wszystko, diakonie – oświadczył Lerma. – Weź odcięte przedramię i zanieś do sekcji transportu. Wyślesz je osobną nadprzestrzenną sondą dyplomatyczną do naszego laboratorium kryminalistycznego. Mają zbadać to na wszystkie strony. Chociaż ja już wiem, co mogą znaleźć...

– Zamrozić azotem? – zapytał Lopez.

– Zwykła chłodnia. – Don Sebastian pokręcił głową. – Ciekły azot mógłby coś zniszczyć.

– Niezwłocznie to załatwię, Wasza Ekscelencjo.

– Kiedy skończysz, zamelduj się w mojej prywatnej kwaterze spakowany i gotów do drogi.

Lopez schylił się i podniósł odciętą rękę. Przyjrzał się jej uważnie, lecz nic szczególnego nie dostrzegł. Cóż, don Sebastian na pewno wiedział, co robi.

– A wy słuchajcie uważnie. – Inkwizytor spojrział na żołnierzy. – Wzięliście udział w aresztowaniu groźnego szpiega. Nie muszę wam chyba mówić, że o tym, co tu zaszło, nie wolno informować nikogo, nawet waszego dowódcy?

– Tak jest! – padła prawie jednoczesna odpowiedź.

– Nie zamierzam was straszyć i pozbawiać spokoju – ciągnął Lerma – ale jeśli dojdzie do mnie, że któryś z was otworzył usta, a dojdzie z całą pewnością, czeka was los znacznie gorszy niż w przypadku tego zdrajcy. Zrozumieliście?

Tym razem „tak jest” wybrzmiało o wiele ciszej. Żołnierze nawet bez tego ostrzeżenia nie zamierzali puszczać pary z gęby. Inkwizytorzy byli znani ze swoich szczególnych uzdolnień, a ich mściwość stała się wręcz legendarna, ten zaś, przed którym stali, był w dodatku człowiekiem, którego obawiali się nawet inni inkwizytorzy.

– Znakomicie. – Lerma skinął dłonią. – Możecie odejść.

* * *

– Rozpieprz go, Shader! – krzyknął Aidan, oznaczając karmazynowym, pulsującym kółkiem cel. – Natychmiast!

Patrzył z niepokojem na zbliżającą się jednostkę wroga. To była kanonierka bardzo starej, wręcz archaicznej konstrukcji, typu Seriza. W marynarce Cesarstwa te jednostki wyszły z użycia ponad trzydzieści lat wcześniej. Teoretycznie nie powinna stanowić poważnego zagrożenia dla stosunkowo nowoczesnego niszczyciela. Teoretycznie, bo w zagęszczeniu atakujących jednostek każda mogła się okazać groźna, a ta w dodatku...

– Robert! Zaraz w nas pierdolnie! – tym razem dowódcę sekcji artylerii popędził Martinez.

Cały okręt drżał od wyładowań salw artyleryjskich i wytężonej pracy generatorów. Aidan patrzył na zbliżającą się kanonierkę. Pod jej ikoną migotał czas pozostały do zderzenia.

„Cholerny samobójca – zaklął w duchu Samuels – co za szaleństwo!”

– Już – usłyszał prosto w głowie. Od razu na początku starcia założył zniechęcony bąkom. Coraz bardziej doceniał zalety tego niewygodnego ustrojstwa i odkrywał nowe

możliwości, jakie kryły się w niepozornym urządzeniu.

Rzeczywiście, ikona kanonierki zamigotała i zgasła. Samuels odetchnął z ulgą.

– Ten skurwiel zapierdalał jak ścigacz! – zauważył nieregulaminowo Farlan. – Taki dziadek!

– Piraci potrafią podrasować silniki – rzucił krótko Martinez. – Wiem coś o tym. – A potem dodał zgodnie z regulaminem: – Kapitanie, okręt w szyku.

Kiedy tylko zaroilo się wokół nich od jednostek wroga, Aidan zarządził formację podwójnych dwójek. Rzadko ją stosowano w przypadku okrętów większych od korbety, lecz w Samuelsie wciąż drzemał dawny pilot myśliwca. A w tej sytuacji okazało się to zbawienne. Podzielił formację na dwie części, jego skrzydłowym był Moreno, Amanda i Guardado działali razem. Jednocześnie artyleria niszczycieli stosowała osłonę całościową, dbając o zabezpieczenie każdego okrętu w szyku. Problem stanowiło tylko to, że w tak ciasnych związkach średnich jednostek praktycznie niemożliwe było stosowanie uników. Aidan odwykł też trochę od takich bliskich zwarć. W przypadku bitew z Republiką w grę wchodziły odległości znacząco większe, stosowano formacje obronno-ofensywne zapewniające jak najmniejsze straty. Chodziło o to, by przeciwnika pokonać, unikając zniszczeń. Przeprowadzano błyskawiczne manewry, ale jako część działań taktycznych, rzadko bywał to wstęp do zupełnie chaotycznej łomotaniny. Z piratami walka wyglądała jak bójka w knajpie. Ekspresowa wymiana ciosów, ciągła zmiana przeciwników przed oczami.

„Sirene” zadrżała, światła na mostku przygasły, na chwilę rozjarzyło się oświetlenie awaryjne, ale zaraz wszystko wróciło do normy.

– Bezpośrednie trafienie – zameldował beznamiętnym głosem Armin van den Broek. – Osłony wytrzymały, jedynie sprawność w sektorze drugim spadła do siedemdziesięciu pięciu procent.

– Norman, co w nas pieprznięło? – spytał Aidan.

– Niszczyciel typu Nehren, działo główne rentgenowskie.

– Kapitanie, krążownik typu Hercules uzbraja działo mikrofalowe.

– Kurwa, chcą nas zamienić w potrawkę? – nie wytrzymał Martinez.

– Zamknij się! – warknął Aidan. – Sekcja naprawcza!

– Słucham – zgłosił się Callahan.

– Raportuj!

– Na razie nic wielkiego, kapitanie. Wywaliło parę bezpieczników, mamy rozszczelnienie w części magazynowej, chłopcy już latają. Czy Henricksen ma się udać do lazaretu?

– Nie trzeba, same lekkie rany, dadzą sobie radę podręczne medmaty. Róbcie swoje.

Farlan, łącz z Morenem!

Okręt znów zadrżał pod wpływem trafienia, ale tym razem uderzenie było o wiele słabsze.

– ...urwy nędzy! – rozległ się głos kapitana „Saragossy”. – Ruszcie dupy! Tak, komodorze? – zwrócił się do Aidana, naśladując Amandę. Nie zabrzmiało to jednak w jego ustach tak szyderczo, a wręcz przeciwnie.

– Radzicie sobie?

– Moja załoga to wprawdzie banda idiotów, ale dajemy radę – padła odpowiedź. – Jestem z nich dzisiaj nawet wyjątkowo zadowolony. Chociaż podkreślam, że to tylko pierdoleni durnie.

Znikła gdzieś nerwowość, jaką Santiago okazywał podczas ostatniej rozmowy. Widocznie należał do tych dowódców, którzy podczas akcji bojowej stają się nad wyraz spokojni,

zupełnie jakby ich ogniste serca zamieniały się w granit. I najwyraźniej prezentował też typ szefa, który potrafi wyzywać podwładnych od najgorszych, ale oddałby za nich życie.

„Lerma zna się na ludziach” – pomyślał Aidan. „To kręta i skurwysyn, ale na ludziach się zna jak mało kto. Może właśnie dlatego się na nich zna, że jest takim gnojem”.

– Wpieprzyliśmy się w sam środek gówna, to już pan wie – powiedział. – Przewaga piratów jest na tyle wielka, że w pewnym momencie nie damy rady odeprzeć ataków.

– Co pan proponuje? – spytał Moreno.

– Musimy się ewakuować.

– A to niespodzianka! – sarknął Santiago. – Problem tylko w tym, że jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron, gdyby ktoś nie zauważył. Nie bardzo to sobie wyobrażam.

– Dlatego z panem rozmawiam. Zrobimy diabelski młyn.

– Nie rozumiem... Moment. – Moreno odwrócił głowę w bok i wrzasnął: – Ronaldo, sterujesz tam czy konia, kurwa, walisz?! Nie widzisz, kutasie jeden, co się dzieje?

Przepraszam, kapitanie – wrócił do rozmowy. – Czasem trzeba zdyscyplinować załogę...

– Wiem, wiem – przerwał mu Aidan. Przeleciało mu przez głowę, że Santiago nie różni się niczym od brata, przynajmniej podczas walki. Prezentował ten sam luz i tę samą ordynarność.

– Nie mam czasu na takie tłumaczenia. Jest pan dość młodym oficerem, może pan nie znać tej techniki walki, bo należy do przeszłości. Próżno jej szukać we współczesnych podręcznikach. Na moją komendę okręty zbliżą się i ustawią w szyku pionowym, tworząc kwadrat. Ruszamy do przodu tak, jakbyśmy toczyli się kołem...

– Już do mnie dociera – wpadł mu w słowo Moreno. – Wtedy będziemy mogli stosować też uniki.

– Brawo. – Samuels był naprawdę pełen podziwu dla kapitana. Od razu złapał ideę manewru, którego już nie uczono w Akademii Kosmicznej, a który stosowano bardzo rzadko. Wymagał wielkiego doświadczenia, a przy odrobinie nieuwagi łatwo było o uszkodzenie lub zestrzelenie okrętu w formacji. – Zaraz podam ogólny komunikat... – Zamilkł na chwilę i skrzywił się, kiedy niszczyciel zadrżał po raz kolejny. – Bez odbioru. Stan osłon? – spytał.

– Wytrzymają jeszcze kilka takich trafień, ale w przedziale mieszkalnym mamy kolejny wyciek powietrza.

– Rodrigo – Aidan wywołał Callahana – macie jeszcze minutę na naprawy, potem przypiąć się, gdzie który może, robimy zaraz diabelski młyn.

– Rozumiem – odparł podporucznik. – Tak jest, za minutę kończymy.

– Dawaj kapitanów, Farlan! – rozkazał Samuels. – Na bazkom, nie mam czasu gapić się w hologramy.

Po chwili zgłosiły się wszystkie jednostki. Przed oczami Aidana pojawiły się przezroczyste, widmowe twarze rozmówców, nie zakłócając mu percepcji. Kiedy uczył się używać tego sprzętu, miał wrażenie, że wszystko pływa, nie umiał trafić palcami w panel. Ale gdy nabrał wprawy, zaczął doceniać możliwości, jakie dawało bezpośrednie połączenie mózgu z siecią informatyczną. Co nie zmieniało faktu, że nie cierpiał bojowego zestawu operacyjno-komunikacyjnego i nieodmiennie miał wrażenie, że to coś wżera mu się w duszę.

– Za czterdzieści pięć sekund przechodzimy w ciasny szyk romboidalny pionowy względem ekliptyki sigmy Errani, a za minutę rozpoczynamy diabelski młyn. Jakies uwagi?

Odpowiedziało mu milczenie, nawet Amanda nie zdobyła się na zwyczajową złośliwość. A to oznaczało, że sytuacja jest naprawdę poważna.

– W takim razie wykonać. – Trącił na holoeckranie ikonę oznaczoną „7bis”. – Schemat

siedem z moją modyfikacją. Macie to już w komputerach. Kierunek ataku siedem-pięć-zero, kąt minus zero-pięć.

Twarze znikły, a kapitan odetchnął głęboko.

– Farlan, ogłoś alarm manewrowy dla załogi. Costa, jakie wyniki skanowania przestrzeni?

– Na skanerach bliskiego i średniego zasięgu pusto. Ale na tachionowym mam pięć niezidentyfikowanych jednostek, kurs zbliżeniowy. Odległość pół jednostki astronomicznej.

– Tego jeszcze brakowało, kurwa – doleciał głos z boku.

Aidan spojrział w tamtą stronę. Na zapasowym stanowisku wciąż siedział Ruiz Vesano. Kapitan zupełnie o nim zapomniał. Kiedy wrócił w pośpiechu na mostek, nie miał głowy odsyłać hrabiego do kajuty.

– Brakowało czy nie, musimy pracować z tym, co jest – rzucił opryskliwie. – Proszę nie przeszkadzać! Shader, jesteś gotów? Ogień ciągły w manewrach unikowych, schemat siódmy ze zmianami. Ten, który razem opracowaliśmy.

– Zrozumiałem – odpowiedział szef artylerii.

– Do rozpoczęcia manewrowania dwadzieścia sekund – poinformował Farlan. – Odliczanie automatyczne.

Rozległ się głos komputera, podającego upływające sekundy. Aidan patrzył na ekran taktyczny. Udało im się wyeliminować dwie małe jednostki, w tym kanonierkę typu Bechter i zmodyfikowany, uzbrojony holownik typu Tortuga, oraz uszkodzić korwetę typu Nazir.

„Dziwnie jakoś tak likwidować jednostki cesarskie” – pomyślał Samuels, patrząc na gasnącą ikonę holownika. Korweta należała niegdyś do Republiki, więc strzelanie do tego okrętu nie wydawało się niepokojące. Dawno nie walczył z piratami, zdążył się odzwyczaić od tego, że używali sprzętu pochodzącego ze stoczni obu stron wielkiego konfliktu. Tutaj miał wokół rojące się w przestrzeni cztery niszczyciele, sześć korwet, sześć fregat, dziewięć kanonierek, sześć uzbrojonych holowników i ten przeklęty krążownik, który powinien trafić na złom, ale spisywał się nadspodziewanie dobrze, przeganiając ich z kąta w kąt zmasowanymi salwami.

– Cztery... trzy... dwa... jeden... zero – skończył komputer.

– Geronimo! – zawołał Martinez, a „Sirene” wywinęła kozła, wyrывая w lewo i w górę zarazem.

Na holoekranie taktycznym oznaczone teraz jadowitą żółcią niszczyciele jednocześnie zaczęły zmieniać pozycje. W wirtualnej przestrzeni przekazu manewr wydawał się dość powolny, ale w istocie rzeczy okręty rwały pełną osiągalną w tych warunkach mocą relatywistycznych napędów. Wrogie jednostki, do tej pory rozdzielone na osiem grup, otaczających sferycznie podzielone na dwójki obiekty, zaczęły się również przemieszczać. Aidan liczył na to, że diabelski młyn zaskoczy przeciwnika, pozwoli przebić się na zewnątrz i przejść do prędkości relatywistycznych, a nawet użyć napędów nadprzestrzennych, jeśli sytuacja nie ulegnie zmianie. Czekał, aż zaczną się dzikie harce manewrów unikowych, zastanawiał się, skąd taka liczba piratów w tym właśnie miejscu i w tak krótkim czasie. Zupełnie jakby byli przygotowani na przybycie wyprawy.

Wyglądało to, jakby ktoś ich zwyczajnie wystawił.

I nie tylko ich.

* * *

Zszokowany Egberto gapił się na kikut prawej ręki. Nie próbował się uwolnić z pasów

i zrywać taśmy, tym bardziej że zniechęcał go do podejmowania działań widok pistoletu igłowego w dłoni inkwizytora. To także było dla niego szokiem. Nie przypuszczał, że don Sebastian w ogóle posiada jakąś broń. W końcu duchowny na tak wysokim stanowisku powinien dawać przykład łagodności. Przynajmniej w sytuacji, gdy nie bierze udziału w działaniach wojennych.

– Odpowiesz teraz na moje pytania – oświadczył Lerma. – I oczekuję odpowiedzi prawdziwych. Jeśli dojdę do wniosku, że kłamiesz, użyję bardziej drastycznych metod. Nie, nie będę cię bił. Wystarczy ten środek. – Pokazał sekretarzowi iniektor, w którego dozowniku przelewała się srebrzysta substancja. – Wiesz, co to jest?

Egberto potrząsnął przecząco głową.

– Nazwa katalogowa Służby Wywiadu Wojskowego to XJ Siedemdziesiąt. Ale termin stosowany przez nasze służby brzmi Verindol, co stanowi akronim określenia *Veritas in dolore*. Łacinę przecież znasz równie dobrze, jak hiszpański, angielski i wspólny. Wiesz, co to znaczy, prawda?

– Prawda w bólu – wyszeptał sekretarz.

– Nie inaczej. Ten środek sprawi, że twoje ciało zacznie odbierać każdy, najłżejszy nawet dotyk jako silny bodziec bólowy. Nawet to, że siedzisz, będzie cię przyprawiało o nieprawdopodobne cierpienia. A jeśli klepnę cię w ramię, doznasz bólu wprost niewyobrażalnego. Wybór należy do ciebie.

– Ale... – Egberto zająknął się – co mam powiedzieć? Ja nic nie zrobiłem...

Znów spojrzał na kikut, z oczu pociekły mu łzy.

– Mój drogi bracie – rzekł don Sebastian – obaj dobrze wiemy, że szpiegowałeś.

– Mogę przysiąc na honor, na zdrowie mojej matki, na co tylko pan zechce, Ekscelencjo, że nie splamiłem się pracą dla Republiki!

– Możesz przysiąc na honor, którego nie masz, na zdrowie matki, której wiele życia nie zostało, i na co tylko zechcę? Ale ja nie potrzebuję twoich przysiąg, chłopcze. Przecież doskonale wiem, że nie szpiegowałeś dla Republiki.

Egberto przełknął ślinę. Patrzył teraz przełożonemu prosto w oczy, choć wiele go to kosztowało.

– A czy przysięgniesz równie chętnie, że nie szpiegowałeś dla...

– Piratów? – dokończył skwapliwie sekretarz. – Oczywiście, że przysięgnę!

– Masz mnie za głupca? – prychnął don Sebastian. – Piraci nie muszą inwigilować wielkiego inkwizytora. Dla nich wszelkie nasze rozgrywki są tylko o tyle ważne, o ile ich dotyczą, a potrzebne do przetrwania informacje mogą o wiele taniej i mniej ryzykownie pozyskać wprost od urzędników cesarskich i personelu służb wywiadowczych. To wprawdzie bandyci, ale nie głupcy. Ale ja potrafię dodać dwa do dwóch. Meldunek kapitana Samuela na temat dziwnego rozszerzenia obszaru działania sond pirackich, umieszczenie całej ich grupy na trasie przelotu misji i to, że zatrzymałeś odpowiedni raport w tej sprawie, pograżyły cię ostatecznie. Zanim oddam ci głos, musisz też wiedzieć, że nie zamierzam darować ci życia.

– Trybunał inkwizycji oceni... – zaczął Egberto, ale nie dane mu było dokończyć.

– Nie będzie żadnego trybunału, ani inkwizycji, ani cesarskiego, ani rozprawy przed sądem cywilnym i nikt nie będzie się zastanawiał, czy twoja praca dla Frakcji Ojca Gabriela nosiła znamiona zdrady, czy była tylko wyrazem reakcjonistycznych przekonań. Zastanawiasz się zapewne, dlaczego kazałem odciąć ci rękę jeszcze za życia. Wyjaśnię, żebyś nie żywił przekonania, iż to z zemsty lub okrucieństwa. Obawiam się, że w tych implantach umieszczono

zasobniki z trucizną, reagujące na impuls mentalny. Gdybyś zaczął wyjawiać niewygodne dla Frakcji informacje, skonałbyś w ciągu kilku sekund, a twoje nerwy i mózg uległyby rozkładowi. Zapewne zakodowano tam jakieś kluczowe słowa, powiązane ze specyficznymi reakcjami chemicznymi organizmu, odczytywanymi jako panika, które wyzwoliłyby toksyny. Nieważne, czy ja bym je wypowiedział, czybyś o nich tylko pomyślał podczas przesłuchania.

– Skąd pan to wie, don Sebastianie?

– Uważasz, że wyłącznie Frakcja Ojca Gabriela umieszcza swoich agentów, gdzie tylko może, i pozyskuje takich współpracowników jak ty? Ale muszę przyznać, że przez długi czas cię nie podejrzewałem. Nawet te różne małe zaniedbania, niby wynikające ze zmęczenia, nie wzbudziły mojej nieufności. Ale implanty... To był błąd. Nie otrzymałeś ich od znajomego za jedną piątą ceny. To nagroda za wyczerpaną pracę. Spełniono twoje marzenie, synu. Lecz spełniając je, złożono na twoich wargach judaszowy pocałunek. Nie podejrzewam ludzi z Frakcji o głupotę. Po prostu przestałeś być potrzebny, zbyt gęsto zaczęło się wokół ciebie robić, twoje zaniedbania mogły mnie naprowadzić na trop. Ale dzięki implantom przynajmniej jeszcze przez jakiś czas mogli mnie inwigilować jeszcze dokładniej. Na taki cel warto ponieść nawet ogromne nakłady.

Zamilkł, spojrzął na pistolet igłowy, a potem znów w twarz sekretarza.

– Rozgadałem się, ale uznałem, że powinieneś wiedzieć, że niewiele wskórasz, kłamiąc i wypierając się. A teraz przejdźmy do pytań. Od kiedy pracujesz dla Frakcji Ojca Gabriela?

Egberto mocno zacisnął usta, dając do zrozumienia, że nie zamierza zeznawać.

– Jak chcesz, młody człowieku – powiedział Lerma. – Gdybym miał więcej czasu, popracowalibyśmy nad twoją krnąbrną naturą. Ale muszę się śpieszyć, bo obawiam się, że przez twoje przeniwierstwo posłałem na śmierć cztery wartościowe załogi. O samych okrętach już nie wspomnę.

Podszedł do sekretarza, który z przerażeniem wpatrywał się w iniektor. Inkwizytor przyłożył go do szyi więźnia i nacisnął dźwignię. Sprężony obojętny gaz wypchnął narkotyk z dozownika.

– Za minutę, najwyżej dwie zacnie działać w pełni – poinformował Egberta don Sebastian. – Mógłbym ci oczywiście dać jakieś serum rozwiązujące język, ale wówczas bywa trudno oddzielić fakty od imaginacji przesłuchiwanego. Ból równie skutecznie zmusza do mówienia, a przy tym człowiek wyjawia samą prawdę.

Egberto jęknął.

– Już zaczynają dokuczać ci plecy, pośladki i miejsca, w których przebiegają pasy – powiedział inkwizytor. – Ale to dopiero niewinna przygrywka. Za kilkadziesiąt sekund poczujesz, co znaczy prawdziwe cierpienie. Problem z tym bólem jest taki, że trudno go umiejscowić. Nie będzie cię bolał brzuch czy głowa, ale wszystko, dosłownie wszystko. Nawet te organy, o których na co dzień nie pamiętasz, a może nawet nie wiesz, że je posiadasz. To jest najgorsze. Nie samo cierpienie, ale jego koszmarne nieuchronność, a przy tym nieokreśloność i brak możliwości przeciwdziałania. Sam zresztą się przekonasz już niedługo.

– Powiem! Wszystko powiem!

– Wiem, że powiesz – odparł łagodnym tonem Lerma.

– No powiem! – zawył sekretarz. – Tylko cofnij to!

Don Sebastian pokręcił ze smutkiem głową.

– To niemożliwe. Nie istnieje antidotum na ten środek. A jeśli nawet istnieje, ja go nie posiadam. Musisz przejść tę drogę krzyżową, którą sam sobie przygotowałeś. Pociesz się

tylko, że na końcu czeka śmierć i wyzwolenie od bólu. Im szybciej się porozumiemy, tym wcześniej przestaniesz cierpieć. Jesteś gotów na szczerze wyznanie?

Odpowiedziało mu potworne wycie. Egberto skręcił się na fotelu w paroksyzmie bólu, ale ruch spowodował, że pasy werżnęły się w ciało, a plecy, pośladki i uda przesunęły się odrobinę, wywołując jeszcze straszniejszą falę męczarni.

Przesłuchiwany znieruchomiał, starając się jak najbardziej ograniczyć cierpienie. Siedział sztywno wyprostowany, tylko po policzkach ściekały mu łzy zmieszane z potem. Nawet to bolało...

– Jesteś gotów – stwierdził Lerma. – A zatem odpowiedz wreszcie na pierwsze pytanie. Kiedy zostałeś zwerbowany przez Frakcję Ojca Gabriela?

* * *

Przebijanie się szło mozolnie i potwornie wolno. Gdyby Aidan miał być zupełnie uczciwy, musiałby stwierdzić, że nie szło praktycznie wcale. Okręty piratów obskakiwały ich niczym stado rozżłoszczonych szerszeni. Krążownik wciąż starał się trafić manewrujące niszczyciele, na szczęście musiał to być naprawdę zużyty egzemplarz, gdyż od początku starcia przynajmniej połowa jego artylerii przestała działać. Jednak to, co zostało, i tak było bardziej niż wystarczające, żeby stanowić śmiertelne zagrożenie.

– Pięć niezidentyfikowanych jednostek średniej wielkości wciąż zbliża się z kierunku siedem-siedem-trzy – poinformował bosman Mario Costa. – Jeśli włączą się do walki...

– Stan osłon? – przerwał mu kapitan.

– Obszary jeden, osiem i pięć na poziomie czterdziestu pięciu procent, pozostałe od sześćdziesięciu pięciu do siedemdziesięciu ośmiu.

– Jeszcze trochę wytrzymamy – mruknął Aidan.

Rzucano nimi na wszystkie strony podczas manewrów unikowych. Martinez trwał w pochyleniu, skupiony bez reszty nad swoimi panelami nawigacyjnymi. Już minutę wcześniej meldował, że ruchy okrętów uległy drobnej desynchronizacji. Aidan doskonale zdawał sobie sprawę, że będzie się ona powiększać. Z jednej strony utrudniało to sprawne celowanie przeciwnikowi, gdyby udało mu się odczytać schemat, ale z drugiej przy zbieżnych amplitudach ruchów mogło doprowadzić do kolizji w formacji.

– Dziwnie strzelają – powiedział z napięciem Farlan.

– Co masz na myśli? – spytał Aidan.

– Później dokładnie zamelduję. Po analizie materiału. Ale mam wrażenie, jakby znali schemat unikowy, przynajmniej częściowo. Znaczy ten podstawowy.

– Nie pora teraz o tym myśleć – odparł Aidan.

– Niezidentyfikowane okręty są w odległości sześćdziesięciu pięciu sekund świetlnych – zameldował Costa. – Zbliżają się z prędkością siedemdziesięciu procent c. Tak jak ustaliłem przedtem, to jednostki konstrukcji republikańskiej: dwa niszczyciele typu Nehren, dwie korwety typu Nazir i fregata typu Victoria.

– Musimy coś zrobić – rzekł van den Broek. – Niezłe środki rzucili przeciw nam ci bandyci. Jeśli te krypy włączą się do walki, ogień stanie się zbyt gęsty, żeby pomogły uniki.

Aidan kiwnął głową, a potem rozkazał:

– Farlan, wszyscy kapitanowie przez bazkom!

Bolała go już szyja i całe plecy od ustawicznych szarpnięć. Był pewien, że marynarze z nowego zaciągu właśnie rzygają w cały świat. Służba na niszczycielu to nie była opowieść

o spokojnym życiu farmera na dalekiej kolonii. Musiał urlopować kilkunastu członków załogi, a z uzupełnień dostał kompletną świeżyznę, prawie samych niedoświadczonych szczeniaków.

Kiedy pojawiły się widmowe twarze pozostałych dowódców, oznajmił:

– Dwadzieścia sekund po zakończeniu rozmowy jednoczesny zwrot na siedem-siedem-trzy. Moreno, bez dyskusji! Później się dowiesz wszystkiego, czego trzeba – zgasił Santiaga, otwierającego już usta, aby zaprotestować.

– Myślisz, że tam jest nasz kontakt? – spytała Amanda.

– Mam nadzieję, tylko tyle. Jeśli nie, spieprzamy w nadprzestrzeń. Przypominam, dwadzieścia sekund od zakończenia transmisji zaczynamy, manewr sterowany według danych komputera „Sirene”. Bez odbioru!

– Ochujaleś? – wrzasnął ze swojego miejsca Vesano. – Pchasz się w największy tłok? I na spotkanie następnych?!

Aidan zapomniał odłączyć swojego świeżo upieczonego pierwszego oficera od dostępu do informacji. Panele na stanowisku zapasowym działały w najlepsze.

– Zamknij mordę, panie hrabio! – warknął. – To okręt wojenny, a nie salon w pałacu tatusia!

– Piętnaście do manewru – zameldował Martinez. Nie włączał tym razem automatycznego odliczania.

– Jako pierwszy oficer...

– Milcz, Vesano! – ryknął niespodziewanie bosman van den Broek. – Szyper wie, co robi!

„Następny” – jęknął w duchu Aidan. „Jakby nie wystarczyło, że Diego mnie tak nazywa”. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać. Otworzył już usta, żeby zdyscyplinować załogę mostka, ale nie pozwolił mu na to Costa.

– Właśnie, Vesano! Nie wpieprzaj się w nie swoje sprawy!

Takie słowa w ustach bosmanów sprawiły, że młody hrabia osłupiał. W głowie już mu się kłębiły myśli o zemście. Nie miał pojęcia, że tych dwóch było niegdyś oficerami, a gdyby ich awanse szły zwykłym tokiem, byłiby równi stopniem pierwszemu oficerowi. Inna rzecz, że degradacja u obu wyzwoliła żywiołową niechęć względem korpusu oficerskiego. Wyjątek robili tylko dla Aidana i jego kadry dowódczej. Zresztą obaj pełnili w swoich sekcjach funkcje przewidziane regulaminem dla co najmniej podporuczników.

– Pięć – oznajmił Martinez – cztery, trzy, dwa, jeden... Teraz!

Okrętem szarpnęło, kiedy obrócił się o sto dwadzieścia pięć stopni, wchodząc na nowy kurs. W diabelskim młynie znajdował się właśnie w drodze na szczyt, więc zgodnie z zasadami reszta formacji musiała dociągnąć do niego, aby znów tworzyć regularny szyk. Samuels patrzył na wyświetlacz taktyczny, na którym ikony niszczycieli przesuwali się koszmarnie powoli. Szarpnięcie manewrowe, a zaraz potem wstrząs.

– Osłony przyjęły pocisk kinetyczny – zameldował Costa. – Odłamki poszły na zewnętrzny pancerz, poszycie jest lekko uszkodzone.

– Aidan, muszę oszczędzać główne działo rentgenowskie – odezwał się nagle ze swojego królestwa Shader. – Generator został uszkodzony i zaczyna się przegrzewać.

– Zrozumiałem – odpowiedział kapitan. – Zbliżamy się teraz na bezpośrednią odległość do wroga, włącz emiterzy mikrofalowe. Kapitanie Guardado – połączył się z „Fitzcarraldem” – proszę użyć broni hybrydowej.

– Tak jest!

To nie była komfortowa sytuacja. Działo rentgenowskie stanowiło w ogromnej mierze

o sile uderzeniowej niszczyciela. Jako jedyne w parku artyleryjskim dorównywało mocą armatom laserowym krążownikom, a nawet pancernikom starego typu. Inna rzecz, że wielkie jednostki dysponowały co najmniej dwoma takimi działami w każdej sekcji bojowej. Natomiast zastosowanie mikrofal na stosunkowo niewielkim dystansie powinno odnieść pewien skutek. Zasadniczo ta broń służyła do obezwładniania załóg przed abordażem, jeśli oczywiście nadarzyła się okazja, ale stosowano ją także podczas akcji bojowych właśnie na niewielkich dystansach. A te po niespodziewanym manewrze niszczycieli zrobiły się naprawdę małe, gdyż doskakujące do formacji i ścigające ją okręty nagle znalazły się tuż przed ich dziobami. Charakterystyczne sylwetki okrętów typu Maza, kojarzące się ze średniowiecznym buzdyganem, nagle urosły w ekranach przeciwnika, zupełnie jakby zamierzały taranować. Okręty piratów zaczęły odpadać od powoli obracającej się w pionie formacji, od manewrujących gwałtownie niszczycieli. Zaburzyli przez to ciasny układ i otworzyli okno w szczelnej dotychczas blokadzie.

Tego efektu Samuels nie przewidział. Przez ostatnie lata miał do czynienia niemalże wyłącznie z jednostkami Republiki, z doskonale wyszkolonym przeciwnikiem, ostrzelanym i doświadczonym. Nie spodziewał się, że piraci wpadną w panikę.

„Skoro sami stosują technikę taranowania, jak z tym holownikiem, mogą się spodziewać podobnego działania” – pomyślał. „Trzeba to wykorzystać, zanim się opamiętają”.

– Farlan, dawaj dowódców!

Nie musiał już dodawać, że połączenie ma iść na bazkom.

– Za dwanaście sekund koniec młyna i manewrowania, bez zmiany formacji cała naprzód!

Ostrzał wszystkimi środkami!

Rozłączył się.

– Shader – wywołał sekcję bojową – salwy ze wszystkiego, później się będziemy martwić o działo.

Nie czekał na potwierdzenie rozkazu.

– Martinez, zasuwaj!

– Tak jest.

– Naalnish – połączył się z maszynownią – wyciśnij ze swoich gratów wszystko, co masz na relatywistycznych!

Po dwóch sekundach „Sirene” skoczyła naprzód, wbijając Aidana w fotel. Szczelina w formacji wroga nie zaczęła się jeszcze zamykać. Mieli szansę wyrwać się z matni.

– A te pięć okrętów? – jęknął Ruiz ze swojego miejsca. – Zaraz wezmą nas w kleszcze.

– Nie twoja rzecz! – odparł Aidan. – Poradzimy sobie.

Pełne niedowierzania sapnięcie pierwszego oficera sprawiło mu przyjemność.

„Pomęcz się chociaż przez chwilę, skurwysynu” – pomyślał. „Może strach doda ci skrzydeł”.

Przez całe życie młody hrabia służył na jednostkach, które nazywano „flotyllą pewniaków”. Oznaczało to, że wysyłano go tylko w takie miejsca, w których niebezpieczeństwo było minimalne, za to szansa zwycięstwa ogromna. Po raz pierwszy znalazł się w potyczce, w której mógł stracić życie w dowolnej chwili. Potyczce, bo Samuels wahałby się nazwać to starcie regularną bitwą, nawet biorąc pod uwagę udział krążownika. Wiedział jednak doskonale, że czy określi tę łomotaninę mianem starcia, potyczki, czy regularnej bitwy, ryzyko śmierci się nie zmniejszy. Zginąć można nawet w pozornie bezpiecznej przestrzeni, wystarczy mieć pecha albo nie zachować czujności.

Niszczyciel mknął do przodu z przyspieszeniem ośmiuset g, a generatory amortyzacji grawitacyjnej pracowały na pełnych obrotach. Oczywiście mogliby lecieć jeszcze szybciej, ale nie zamierzali osiągać prędkości nadświatlnych, a poza tym w razie konieczności manewrowania powyżej prędkości siedemdziesięciu pięciu procent c amortyzatory mogłyby przestać działać jak należy.

– Zadana prędkość przelotowa osiągnięta – zameldował Diego. – Dziesięć procent światła.

Aidan skinął głową. Przy tej prędkości można było zauważyć przesunięcie widm gwiazd nawet gołym okiem, ale komputer tak czy inaczej powiadamiał o efekcie dopplerowskim w małym okienku, umieszczonym w prawym dolnym rogu płaskiego wyświetlacza taktycznego. Ta informacja była kapitanowi do niczego niepotrzebna, zresztą nie miał czasu prowadzić obserwacji odległych obiektów. A jednak dane przyciągały jego wzrok. Zniecierpliwiony, zgasił okienko.

„Po jaką nagłą cholerę programują takie rzeczy?” – pomyślał, zirytowany.

A jednak wiedział doskonale, po co. Na podstawie porównania wskazań urządzeń okrętu z obliczeniami zmian w widmie ciał niebieskich można było stwierdzić, czy wokół jednostki dzieje się coś podejrzanego, czy nie występują fluktuacje czasoprzestrzeni, anomalie grawitacyjne, groźne dla załogi albo nawet integralności konstrukcji.

Tyle że w tym rejonie nie było nic poza okrętami wroga. Zresztą jeśli coś by się działo, komputer ogłosiłby alarm. Był jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Ludzie, którzy pozwalali sobie wszczepiać najnowsze wynalazki biotechnologiczne – nowoczesne implanty łączące ich mózg z siecią informatyczną w najbardziej bezpośredni dostępny sposób – potrafili ogarnąć i przetworzyć o wiele więcej danych w porównaniu z takimi jak on – sceptycznymi wobec tego typu rozwiązań, przekonanymi, że zbytne uzależnienie od podobnych ingerencji w pewnym momencie może zawieść. Bazkom stanowił tutaj pewien kompromis, choć nawet tego rozwiązania Aidan nie cierpiał i zakładał komunikator tylko podczas poważniejszych starć lub przewidując naprawdę spore kłopoty.

– Działo się przegrzewa! – odezwał się Shader. – Musi odpocząć!

Aidan błyskawicznie ocenił sytuację. W zasadzie wyrwali się już poza szyki wroga, który właśnie zawracał, żeby podjąć pościg. Było to o tyle utrudnione, że ciasno ugrupowane jednostki musiały bardzo ostrożnie manewrować, aby nie wpadać na siebie, a te podążające za nimi albo redukować prędkość, albo wykonywać karkołomne manewry wymijania. Tutaj też widać było, że piraci ustępują regularnej flocie. Chociaż, w ocenie Samuela, i tak zbierali się wyjątkowo sprawnie. Najwidoczniej w bazie Forgotta mieli chwalebny zwyczaj chociaż od czasu do czasu ćwiczyć walkę w większych grupach. Zazwyczaj jednak atakowali w formacjach po trzy, cztery okręty i w takiej liczbie bywali zabójczy, jeśli dopadli samotnego przeciwnika.

– Cała naprzód! – zarządził Aidan. – Do prędkości zero siedemnaście c, potem utrzymać prędkość i przygotować się do zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni. Farlan, nadaj nasz kod rozpoznawczy!

– Co ty wyprawiasz, durniu! – Ruiz nie wytrzymał, prawie zawył, widząc na swoim wyświetlaczu, jak zaciskają się kleszcze między ścigającymi ich piratami a świeżymi jednostkami, podążającymi od dziobu. – Zabijesz nas wszystkich! Rozpieprzą nas!

Kapitan nie zwrócił na niego uwagi.

– Norman, nadaj do kapitanów komunikat o treści: „Powiadomić załogi”.

– Tak jest – odpowiedział oficer łączności. – Tylko tyle?

– Tylko. A teraz pora, bym sam przemówił do ludzi.

Włączył interkom ogólny okrętu.

– Czas najwyższy, aby wszyscy dowiedzieli się, jakie zadania nam przydzielono i co nas czeka w najbliższej przyszłości – powiedział.

Do spotkania z obcą formacją mieli jeszcze dziewięćdziesiąt sekund, to było aż nadto, aby przekazać komunikat.

Kontredans

Don Sebastian zwolnił zatrzaski pasów. Z wprawą wpłynął do rękawa służy wahadłowca, przycumowanego wprost do pancernego luku desantowego wielkiego okrętu. Był sam, diakon pozostał na stacji kosmicznej, aby wykonać powierzone mu ważne zadanie. Lerma wolałby wprawdzie mieć wypróbowanego człowieka przy sobie, zważywszy na to, dokąd się udawał, ale nikomu innemu nie mógł zaufać. Lopez był nieco zdziwiony. Nie, o wiele więcej niż nieco. Był bardzo zdziwiony, czego najlepszy dowód stanowiło to, że w ogóle wyraził wątpliwości.

– Myślałem, że go pan sam zabije albo mnie każe dokończyć sprawę – rzekł, patrząc na Egberta, który oddychał ciężko i jęczał ochryple. Przez ostatnie trzydzieści minut krzyczał wniebogłosy, dręczony niewyobrażalnym bólem.

Każdego innego człowieka wielki inkwizytor wysłałby do diabła. W normalnych okolicznościach nawet dowódcę gwardii potraktowałby jak natręta. Ale teraz rzecz wydawała się zbyt poważna.

– On też był przekonany, że umrze – odparł. – Istniała nawet spora szansa, że nie przeżyje podania Verindolu. Ale działanie już przechodzi.

– Jeśli Wasza Ekscelencja sobie życzy, mogę sam się z nim rozprawić.

– Nie, diakonie. – Dostojnik pokręcił głową. – Ma pozostać przy życiu, za wszelką cenę. Jako żywy dowód.

– Mamy przecież tę obciętą rękę... Czy to...

– Ręka nie mówi – przerwał mu inkwizytor. – A mnie się przyda żywy świadek, jeśli Frakcja Ojca Gabriela zechce jeszcze bardziej nam zaszkodzić.

– Frakcja Ojca Gabriela – mruknął Lopez. – Myślałem, że zakończyli działalność, jak Vis Universi albo Słudzy Bożego Zamysłu.

– Bo przez ostatnie kilkadziesiąt lat pozostawali w ukryciu, rzeczywiście zawiesili aktywność. Dali o sobie zapomnieć. Lecz takie organizacje nie umierają nigdy. Mogą przejść w stan spoczynku, wręcz hibernacji, mogą zmienić nazwę, ale nie giną. Frakcja Ojca Gabriela wywodzi się wprost z Opus Dei, powstałego jeszcze w epoce przedkosmicznej... Ale tego tłumaczyć nie muszę, znasz historię Kościoła.

– Lecz Opus Dei kładło nacisk na ewangelizację i propagowanie dobrego życia. A Frakcja Ojca Gabriela...

– A Frakcja Ojca Gabriela miała i ma obecnie inne cele, zgadza się. Przez wieki organizacja przeszła kilka, jeśli nie kilkanaście metamorfoz. Stała się tym, czym jest, ale to nie znaczy, że należy odmawiać jej ciągłości. Podobnie jak inkwizycji, która także podlegała wielu reformom.

– Czy naprawdę są aż tak groźni, że musimy zachowywać tak kłopotliwy dowód? – Lopez wskazał pogardliwym gestem wychodzącego z szoku sekretarza.

– Mogą być – odparł don Sebastian. – Nie wolno lekceważyć ich samych i wpływów, jakie mają na cesarskim dworze. Nie wiemy nawet dokładnie, ilu spośród doradców Jego Wysokości i ilu członków Rady Cesarskiej jest zwolennikami skrajnego kreacjonizmu w rozumieniu gabrielistów. Do tej pory nie było okazji, aby się ujawnili. Dopiero teraz...

Mówiąc, zdał sobie sprawę, że tłumaczenie podwładnemu tego wszystkiego pomaga mu

ogarnąć umysłem informacje i dostrzec coraz większą złożoność spraw. Zamilkł na chwilę, a potem podjął:

– Dopiero teraz mogą zacząć wracać na arenę polityczną. To znaczy wracać wyraźnie, bo gdzieś tam zawsze byli, zawsze bruździli i przeszkadzali.

Lopez przyglądał się więźniowi. Lerma wiedział doskonale, jakie uczucia diakon żywi względem sekretarza, ale to, co zobaczył w jego wzroku, było niepokojące.

– Żeby tylko nie przyszło ci do głowy zorganizować Egbertowi małego wypadku – ostrzegł. – Odpowiadasz za niego głową. Bo jeśli coś zamierzasz, przekażę go do zwykłego aresztu.

– Nigdy w życiu nie zrobiłbym nic wbrew woli Waszej Ekscelencji – zapewnił diakon.

– Wiem, Lopez, ale wolałem ci o tym przypomnieć. Twoja niechęć do Egberta...

– A czyż nie miałem racji, Ekscelencjo? – Diakon odważył się wpaść w słowo przełożonemu.

– Miałeś – przyznał z pełną powagą Lerma. – Jednak gdyby człowiek wiedział, co jest przed nim i gdzie czyha zdrada, nie ruszyłby się za próg domu, a zapewne i jaskini, gdyż bez podejmowania ryzyka nadal byśmy w niej siedzieli. Przez lata w służbie Jego Cesarskiej Wysokości i zarządzania ludźmi widywałem najróżniejsze animozje. Wasza wzajemna niechęć nie różniła się od innych tego rodzaju tarć, jakich bywałem świadkiem. A teraz przypilnujesz naszego przyjaciela aż do chwili, kiedy przejmie go Służba Więzienna Inkwizycji. Polecisz razem z nim, ani na chwilę nie spuszczać go z oka. Dopiero kiedy znajdzie się w ekranowanej celi, pod strażą gwardzistów, możesz go opuścić. Dlatego chciałem, abyś był już spakowany i gotów w każdej chwili do podróży.

– Tak jest, Wasza Ekscelencjo.

– Wiem, że będzie to dla ciebie trudne, ale dopóki nie przejmą go zaufani ludzie w naszej stacji klasztornej Rojanno, naprawdę nie wolno ci się od niego oddalać. Gubernator Saratogi już wie, że ma wam przydzielić na najbliższe godziny dwuosobową celę ze wszystkimi wygodami. Oczywiście nasz przyjaciel pozostanie przez ten czas skrępowany. Zacewnikujesz go, podłączysz do podciśnieniowego zestawu, żeby nie musiał wstawać, aby udać się za potrzebą.

– Odżywianie zewnętrzne? – upewnił się jeszcze Lopez.

– Oczywiście. Wraz ze środkami usypiającymi. Ma żyć, ale jakość jego życia jest mi obojętna. Najlepiej byłoby go zahibernować, ale to zbyt ryzykowne, zanim ręka się wstępnie nie zagoi.

– Tu nawet nie ma komory hibernacyjnej – zauważył diakon. – Ale po przybyciu do Rojanno mogę go kazać podleczyć i schłodzić.

– Najchętniej bym go schłodził w próżni kosmicznej – mruknął Lerma. A potem dodał głośniej: – Zdaję się w tym na twój osąd. Ma żyć, to najważniejsze, i ma czekać na mój powrót. Kiedy stanę przed obliczem Jego Cesarskiej Wysokości, muszę posiadać mocne argumenty przeciw tym, którzy zaczynają pod nami ryc tunele zdrady.

Na tym skończyli. Lopez był wprawdzie bezwzględny zabójcą, który swoim ofiarom mógł się wydawać tępym osiłkiem, bezmyślnym narzędziem w ręku potężnego inkwizytora, ale w istocie rzeczy odznaczał się wybitną inteligencją, choć na pewno mocno spaczoną takim, a nie innym rodzajem służby. Dla don Sebastiana naprawdę najważniejsze było, aby pomocnik trwał przy więźniu i chronił jego życie za wszelką cenę, a diakon wydawał się do tego najlepszym człowiekiem.

Lerma zdołał podczas przesłuchania wydobyć od Egberta także informację, w jaki sposób komunikował się z mocodawcami, pomijając kanały zarówno oficjalne, jak i nieoficjalne. W przypadku wykorzystania jednych czy drugich pozostawiłby ślady, łatwe do znalezienia. Lecz agenci Frakcji Ojca Gabriela nie byli amatorami. Lerma domyślał się, że jego sekretarz musiał korzystać z niezawodnego i niemożliwego do wykrycia narzędzia komunikacji. Domyślał się także, że był to jakiś rodzaj nadajnika kwantowego. Ale prostota rozwiązania zaskoczyła nawet jego. Egberto dostał końcówkę komunikatora splecionego, którą mógł trzymać gdziekolwiek pod warunkiem, że miała dostęp do źródła energii. W pokoju sekretarza znalazł we wskazanym miejscu nieduże, plastikowe pudełko, zawierające nadajnik. Najprostszy z możliwych, którym można było wysyłać informacje tylko w jedną stronę, korzystając wyłącznie z alfabetu Morse'a. Egberto musiał się natrudzić, żeby zakodować wszystko, ale z jego punktu widzenia opłacało się – w końcu otrzymał implanty warte majątek i był dodatkowo sownie wynagradzany. Jego konto w rajku podatkowym kolonii Salania posiadało całkiem pokaźną liczbę zer. A ostatnio zadanie miał ułatwione, gdyż dzięki implantom mógł przekazywać informacje w błyskawicznym tempie, wystarczyło je załadować do podręcznej pamięci i zamienić automatycznie na starożytny, lecz wciąż stosowany w wyjątkowych sytuacjach kod.

„Czy powinniśmy lepiej wynagradzać kadrę?” – zastanawiał się inkwizytor. „Lecz przecież nie mogą narzekać na brak pieniędzy. Nie, człowiek zawsze będzie chciał więcej i więcej, tym bardziej w sytuacji, kiedy nie pracuje dla idei, lecz na pierwszym miejscu stawia majątek. Sam przecież wykorzystuję tę właściwość natury ludzkiej, kiedy tylko mogę”.

Inkwizytor czekał, aż ciśnienie w śluzie się wyrówna – na okręcie panowała atmosfera o ciśnieniu wahającym się wokół tysiąca hektopaskali, w jednostce transportowej było o przeszło sto jednostek niższe. Kiedy zapaliło się zielone światło, pancerne drzwi szczerknęły kilka razy, wysunęły się na zewnątrz i odjechały w bok. Na jednostkach cywilnych takie wejścia wsuwały się w głąb wielkiego statku, aby przypadkiem nie zawadzić czekających w wahadłowcu pasażerów, albo w ogóle znikwały w specjalnej komorze w burcie. Na okrętach przeciwnie, i miało to swoje uzasadnienie – przy abordażu dość łatwo by było wepchnąć taką przeszkodę do środka albo skorzystać z pustej przestrzeni obok niej, aby przebić się przez pancierz. O wiele trudniej przecież „zassać” wejście, a wepchnięcie było w zasadzie niemożliwe, z uwagi na odpowiednio dobrane skosy konstrukcji.

Takie oczywiste myśli przebiegały przez głowę inkwizytorowi, kiedy czekał, aż przejście zostanie całkowicie otwarte. Z przyjemnością oderwał się na chwilę od przykrych wspomnień ostatnich godzin.

Pierwszą osobą, którą zobaczył, był Sułtan, to znaczy dowódca pancernika Guido Gutierrez, ostatnio awansowany na kontradmirała. Na widok inkwizytora zasalutowował i odsunął się, aby zrobić mu przejście. Don Sebastian wszedł na próg. Musiał zrobić dwa duże kroki, żeby znaleźć się po drugiej stronie. Pancierz „Vincenta” bez dwóch zdań robił wrażenie nie tylko od zewnątrz, ale nawet w przekroju.

Rozległ się dźwięk świstawki, a pierwszy oficer zawołał:

– Jego Ekscelencja wielki inkwizytor na pokładzie!

Piętnastu marynarzy w galowych mundurach oddało honory dostojnikowi. Przyjął postawę na baczność, przez chwilę żałując, że założył zwykły kombinezon imitujący garnitur zamiast habitu inkwizytora. Stojąc przed szeregiem marynarzy, uniósł dłoń w geście pozdrowienia, a potem zrobił w prawo zwrot i odezwał się do Sułtana:

– Dziękuję za pozwolenie wejścia na okręt, panie kontradmirał.

– To honor przyjmować tak dostojnego gościa – odparł Sułtan.

– To honor gościć na tak znakomitej jednostce – zrewanżował się Lerma.

Ceremoniał nie wymagał wygłoszenia dwóch ostatnich zdań, ale było w dobrym tonie powiedzieć coś podobnego podczas powitania. Inkwizytor uczynił lekki ruch głową, a dowódca okrętu z miejsca pojął, w czym rzecz.

– Po ceremonii – powiedział do pierwszego oficera. – Eskorta honorowa, odmaszerować.

Pierwszy oficer wydał rozkaz bosmanmatowi. Znów rozległ się dźwięk świstawki, a potem komendy. Marynarze ustawili się dwójkami, podoficer stanął na czele i odmaszerowali. Don Sebastian został tylko z kapitanem i pierwszym oficerem, który widząc wzrok zwierzchnika, powiedział:

– Proszę wybaczyć, Ekscelencjo, ale muszę się oddalić. Obowiązki wzywają.

– Oczywiście – odparł łaskawie Lerma.

– Panie admirał? – pierwszy zwrócił się do dowódcy.

– Idź, Maurice, nie rób przedstawienia – burknął Sułtan.

Podczas trwania ceremonii właz pozostawał otwarty, dopiero teraz zamknął się z cichym sykiem, rozległy się szczęknięcia zapadających rygli.

– Co się stało, Ekscelencjo? – dowódca okrętu od razu przystąpił do rzeczy. – Wie pan, że jeśli się spóźnię, będę miał kłopoty? Admirał Gonzaga każde takie zdarzenie odbiera jak osobistą zniewagę.

– Admirał Gonzaga będzie się musiał obejść bez tego pancernika – odparował Lerma. – Masz coś pilniejszego do roboty, niż wlec się w eskorcie jego admirałskiej mości.

Sułtan skrzywił się, ale zaraz ukrył grymas niechęci.

– Wiem, że liczyłeś na odpoczynek, kontradmirał – powiedział don Sebastian – ale musisz poczekać na urlop. Okręt postaw natychmiast w stan gotowości i lecimy w kierunku najbliższego portalu skokowego. Koordynaty mają tam już wgrane, a gdy tylko zmagazynują dostatecznie dużo energii, udamy się tam, gdzie nas pilnie potrzebują. A raczej mam nadzieję, że jeszcze będą potrzebować...

Guido zmrużył oczy.

– Lecimy ratować tyłek naszemu drogiemu Samuelsowi?

Inkwizytor drgnął.

– Skąd panu to przyszło do głowy?

– Logiczne rozumowanie nie jest mi obce. Niedawno odleciał zespół niszczycieli pod dowództwem Aidana. Tego, że mają skakać przez portal, dowiedziałem się od Santiaga Morena, brata świętej pamięci Gaspara. Całkiem miły gość, ale po alkoholu robi się gadatliwy...

Inkwizytor zanotował w pamięci tę uwagę, a Sułtan ciągnął dalej:

– Skoro to taka ważna misja, że dla czterech pcheł wielkości niszczycieli użyto portalu, i na tyle tajna, by udawać, iż wysyła się je na rutynowy patrol, bez wsparcia choćby kieszonkowego pancernika albo nawet dwóch czy trzech fregat, musieli otrzymać łączność nadprzestrzenną. W dodatku trzy z czterech okrętów grupy miało się przez najbliższe tygodnie nie ruszać z doków. Coś się tam nieprzewidzianego zdarzyło, prawda?

– Podziwiam pańską przenikliwość – mruknął z mimowolnym uznaniem Lerma. – Zgadza się. Nie polecili na rutynowy patrol. To akurat faktycznie nietrudno odgadnąć. Ale rzeczywiście wpadli w kłopoty. Dłaczego, to na razie nieistotne. Proszę tak się nie uśmiechać.

Tym razem to nie wina charakteru naszego przyjaciela, kapitana Samuela. Ale zadanie, które im powierzyłem, jest bardzo ważne. Chciałem to zrobić bez rozgłosu, a poza tym... Gdybyśmy wysłali tam ciężkie jednostki, to druga strona też by miała do tego prawo... Zrobiłoby się cokolwiek gęsto.

Sułtan patrzył na dostojnika zdeorientowany.

– O czym pan mówi? Jaka druga strona?

Lerma westchnął ciężko.

– Cóż, drogi kontradmirał – rzekł po chwili milczenia. – I tak musi się pan o tym dowiedzieć.

* * *

– Miło pana widzieć, kapitanie – powiedział Aidan do holograficznego obrazu dowódcy niszczyciela „Hornblower”.

– Z wzajemnością – odparł James Bernhardt. – Ale chyba nie pora na wymianę uprzejmości... Nie w tej sytuacji. Ustalmy tylko, który z nas przejmuje dowodzenie nad całą grupą.

– Ma pan świeższy umysł – odparł Samuels. – Mniej wyłomotany manewrami unikowymi.

– W porządku. A zatem do wszystkich – Bernhardt podniósł odruchowo głos, chociaż dowódcy jednostek słyszeli go doskonale, podobnie jak całą rozmowę, toczącą się na kanale ogólnym. – Mamy przed sobą osiemnaście jednostek wroga, reszta dopiero dociągnie. Grupie niszczycieli udało się do tej pory zniszczyć trzy okręty i uszkodzić siedem – podsumował. – Musimy ich rozbić, żeby to było jasne, i to jak najszybciej, zanim się połączą z maruderami. Niepokoi mnie ten krążownik. Wprawdzie najwyraźniej coś mu szwankuje w napędzie, ale zbliża się z prędkością trzy procent światła, poza tym ma wciąż jeszcze czynne co najmniej cztery potężne działa, więc nie można go lekceważyć. Proponuję przyjąć ich w klasycznym ciasnym szyku półsferycznym. Nie powinno być z tym trudności, bo tę formację i my, i wy tworzymy prawie identycznie. Niszczyciele „Sirene” i „Greese”: góra prawo – lewo, „Fitzcarraldo” i „Saragossa”: dół prawo – lewo. Mój „Hornblower” oraz korwety „Anakonda” i „Saxon” zajmują pozycje z przodu, niszczyciel „William Wallace” środek góra, fregata „Josey” środek dół. Jak naprawy? To pytanie do niszczycieli imperium, oczywiście.

– Damy radę – odparł Aidan. – Zespoły pracują pełną parą. Proszę się o nas nie martwić, kapitanie. Czy raczej komodorze w tej chwili. – Uśmiechnął się.

– Można nazywać mnie wedle starożytnej modły komodore, unikniemy dzięki temu pomyłek, kapitanując sobie zawzięcie – zaśmiał się dowódca grupy bojowej Republiki. – W takim razie ruszamy na moją komendę w luźnym ugrupowaniu. Szyk formujemy w ciągu pierwszych piętnastu sekund, stała łączność głosowa sterników wszystkich jednostek. Proszę ustawić okręty na pozycjach wyjściowych.

Aidan pomyślał, że słusznie zrobił, ustępując dowództwa Bernhardtowi. Sam wydałby identyczne rozkazy, tylko pewnie nie pomyślałby, żeby wszystko tak dokładnie skonkretyzować. Musieli przecież pamiętać, że komputery okrętów Republiki i Cesarstwa nie mogły się swobodnie łączyć, szczególnie podczas trwania alarmu bojowego, byli więc skazani na bezpośrednie komunikowanie się nawigatorów. Inna niedogodność polegała na tym, że wykluczone też były manewry unikowe w formacji. Przeciwne strony nie mogły przecież dzielić się informacjami tego typu, a w ciasnym szyku amplitudy unikowe mogły się zająć... Na szczęście dziewięć nowoczesnych okrętów posiadało na tyle dużą siłę ognia,

żeby stawić czoła nawet znaczącej przewadze... Taką miał przynajmniej nadzieję. Uciekać nie mogli, nie mieli dokąd, jedynie w nadprzestrzeń i każdy w swoją stronę, ale wtedy cała misja zostałaby zaprzepaszczona. A poza tym rozkazy wielkiego inkwizytora były zupełnie jasne – razem z okrętami Republiki zbadać obiekt, który pojawił się w pobliżu sigmy Errani. Ewentualne starcia z piratami musiały być wpisane w ryzyko wyprawy. Tyle że nie mieli się na nich natknąć od razu i w takiej sile.

Zresztą w razie potrzeby na ucieczkę mieli zawsze czas. Aidan nie potrafił się zmusić do myślenia o piratach jako równorzędnym przeciwniku. Wciąż miał wrażenie, że to nie bitwa, ale potyczka i wystarczy jeden mocniejszy cios, żeby przeciwnik pierzchnął w popłochu. Jak na razie to się nie sprawdzało, ale też i zadali bandytom naprawdę dotkliwe straty. Podobnie myślał na pewno James i cała reszta dowódców. Duma i honor floty wojennej przeciwko jakimś rzezimieszkom.

Należało jednak pamiętać, że przynajmniej część tych rzezimieszków służyła kiedyś na okrętach Cesarstwa i Republiki oraz o tym, że z wypraw przeciwko piratom grupy bojowe często wracały zdziesiątkowane, w opłakanym stanie. Ale tutaj raczej nie mieli do czynienia z elitą. Chyba że wróg ukrywał jakieś niespodzianki.

W tej chwili przeciwnicy zawiśli w przestrzeni naprzeciwko siebie. Na ekranach taktycznych widać było zarówno główne zgrupowanie, jak i dociągające jednostki, w tym największą ikonę, oznaczającą krążownik. Aidan wybrał ekranowane połączenie do Bernhardta.

– Trzeba uważać na tego herculesa – powiedział. – Znasz opowieść o lisie, który udawał kulawego zająca?

– Znam – odparł Bernhardt. Przeszli na ty podczas sławetnej popijawy na pokładzie „Greese’a”. Oczywiście w sytuacji, kiedy słuchali ich także członkowie załóg, woleli używać form oficjalnych. – Też o tym myślałem. Masz jakiś pomysł?

– Mam. Zamiast w tej chwili podejmować walkę, odskoczmy jeszcze kawałek na podświetlonej, powiedzmy na siedemdziesięciu procentach c. Jeśli hercules jest uszkodzony, będziemy go mieli z głowy, ale jeśli zamierzają nas zniszczyć czy zmusić do poddania, kulawy zając będzie musiał zrzucić maskę.

Widział, że James zagryza wargi i mruży oczy.

– W sumie... Zbyt nam się nie śpieszy, skoro już nas i tak zauważyli. Dobrze, że to wy pierwsi wyszliście ze skoku – zaśmiał się. – Oczywiście z mojego punktu widzenia, bo przyjęliście pierwsze uderzenie. Jak proponujesz przeprowadzić ten manewr? Zwykły pozorowany odwrót?

– Coś w tym rodzaju. Odczekamy jeszcze jakieś dziesięć minut, zanim pójdziemy do natarcia rozwinięci w szyku, a zaraz potem z miejsca robimy odwrót. No chyba że piraci wcześniej podejmą jakąś aktywność. Ale im chyba zupełnie przestało zależeć na czasie. Nasz nasłuch stwierdził ogromną aktywność na ich łączach. Z pewnością zamierzają ściągnąć tutaj posiłki.

– Zgoda – kiwnął głową tymczasowy komodor. – Myślę, że to dobre rozwiązanie. Zaraz wydam dyspozycje reszcie formacji. Akcję rozpoczynamy za siedem minut. Wiesz, o co chodzi, więc przekaż sam swojej załodze, co trzeba.

Rozłączył się, przeszedł na ogólne łącze. Aidan ściszył w bazkocie głos, żeby słyszeć Jamesa tylko w tle. Musiał chociaż chwilę odsapnąć.

– Farlan, słyszałeś? – To było pytanie retoryczne, ale musiał je zadać.

- Tak, panie kapitanie.
- Poinformuj szefów sekcji, co się szykuje.
- Tak jest.

Aidan odchylił się na oparcie. Wprawdzie na okręcie panował stan nieważkości, jak zawsze podczas alarmu, ale musiał rozprostować plecy. Od dłuższego czasu pochylał się do przodu i kręgosłup dawał znać o sobie.

– Kapitanie Samuels – rozległ się nagle głos z boku. Aidan znów zapomniał, że na mostku wciąż przebywa narzucony mu pierwszy oficer.

– Słucham, pierwszy? – rzucił, niezadowolony, że tamten przerwał mu odpoczynek.

– Patrzyłem na to wszystko z boku – głos Ruiza byłby koszmarnie arogancki nawet bez tego irytującego arystokratycznego akcentu. – Dlaczego, widząc nadlatującą nierozpoznaną formację, nie skierowali ku niej chociaż części sił? Przecież to naturalne. Na pewno coś knują razem z tymi z Republiki, a pan i ci idioci z innych niszczycieli udajecie, że umiecie grać w kosmiczne szachy.

Aidan policzył do dziesięciu, żeby nie wybuchnąć.

– Posłuchaj no, Vesano – powiedział, nie mogąc do końca zapanować nad złością. – Ile razy walczyłeś z piratami? Takimi jak ci, a nie jakimiś zbuntowanymi dzieciakami, uciekinierami z kolonii? Nawet nie odpowiadaj. Przecież nie wysyłano cię na niebezpieczne misje. Milcz, szczeniaku, mówię! I słuchaj, bo zadam sobie trud, żeby ci to i owo wytłumaczyć.

Odetchnął głęboko, po czym podjął:

– To są piraci, nie regularna flota. Gdyby wypadła na nas flotylla Republiki w takiej przewadze, spieprzilibyśmy stąd szybciej, niż zdążyłbyś powiedzieć „o kurwa”. Ale mamy do czynienia z ludźmi, którzy zazwyczaj walczą, posiadając miażdżącą przewagę nad przeciwnikiem. Dla nich regularna flota to dopust boży. Dlatego próbowali najpierw nas zgnieść za wszelką cenę, żeby potem całymi siłami rzucić się na okręty Republiki. Dociera już do ciebie?

– Dociera – prychnął młody hrabia. – Nie wiem tylko, czy zwąchiwanie się z naszymi wrogami nie zaprowadzi pana w końcu do więzienia. Zresztą tam, gdzie pana miejsce... kapitanie. – To „kapitanie” za każdym razem wypowiadał tak, że Aidan miał ochotę wypiąć się z pasów, podlecieć i dać mu po mordzie.

– Panie szyper, może dać mu w ryj? – spytał Martinez głosem pełnym nadziei, jakby czytając w myślach dowódcy.

Aidana, rzecz jasna, korciło przez chwilę, żeby zezwolić nawigatorowi na działanie, ale opanował się natychmiast.

– Podporuczniku, przypominam ci, że Ruiz Guillermo Rodrigo Santiago Ochoya y Gressio Rosario Vesano jest na tym okręcie pierwszym oficerem i jako taki ma być traktowany z należyty szacunkiem.

– Tak jest – burknął Diego i wrócił do odczytywania danych ze swojego panelu. Ale Aidan usłyszał jeszcze, jak nawigator mamrocze: – Pierwszy oficer, kurwa jego mać...

– Mam nadzieję, że został pan należycie poinformowany, panie pierwszy – powiedział Aidan.

– Tak jest.

Aidan spojrzął na Vesana, przełamując niechęć, żeby w ogóle objąć swoim polem widzenia tego gnojka.

– Tak jest... – wycedził.

Ruiz patrzył na niego przez chwilę, a w jego oczach w końcu pojawił się błysk zrozumienia.

– Tak jest – powtórzył.

– Tak jest... – Aidan znów zawiesił głos.

– Tak jest, sir – wydusił wreszcie hrabia.

– Posłuchaj no, pierwszy. „Sir” możesz sobie mówić do swojego gubernera, który ci podcierał tyłek. Do mnie masz się zwracać „kapitanie” albo „señor”.

– Ale cała załoga... – zaprotestował Ruiz.

– Cała załoga może do mnie mówić „sir”, bo przy aktualnym statusie prawnym nawet obecny tytuł mi nie przysługuje. Poza tym wolę republikańską nomenklaturę. Ale dla ciebie, pierwszy, jestem señor. I jeśli nie chcesz reszty rejsu spędzić w anclu, radzę o tym pamiętać. A zatem spróbujmy. Tak jest?

– Tak jest... señor... – wycedził Vesano przez zaciśnięte zęby, żałując, że się w ogóle odezwał.

Aidan westchnął ciężko i znów złożył głowę na oparciu, jednocześnie wysuwając biodra do przodu, aby oprzeć je na pasach i docisnąć mocniej ciało do poduszek siedziska. To dawało złudzenie, że rozsiadł się wygodnie. Nieważkość miała swoje zalety i wady, ale jednym z największych minusów było właśnie to, że przy nawet niewielkiej grawitacji odpoczynek stawał się automatycznie odpoczynkiem, kiedy duże mięśnie pleców i ud otrzymywały informację, że organizm właśnie się wypoziomował. To miało ogromne znaczenie dla normalnego funkcjonowania. Spojrzał na zegar. Jeszcze cztery i pół minuty do rozpoczęcia działań.

Kiedy don Sebastian oznajmił mu, że hrabiątko trojga imion i nieokreślonej liczby nazwisk – bo podobno Ochoya y Gressio Rossario Vesano nie wyczerpywały listy – ma zostać zaokrętowane na pokład jako pierwszy oficer, najpierw osłupiał, a potem zaklął w języku przodków. Lerma skrzywił się.

– Wyjątkowo paskudne słowa – zauważył. – Wie pan chociaż, co znaczą, kapitanie?

– Nie muszę – prychnął Aidan, nie zważając na niezadowolenie inkwizytora. – Wystarczy mi świadomość, że półtora tysiąca lat temu można było za takie przekleństwo zginąć.

– Zgadza się. – Lerma pokiwał głową. – Dlatego bardzo proszę, aby nigdy więcej nie powtarzał pan przy mnie tych słów. W pełni rozumiem pańskie wzburzenie, ale Ruiz Guillermo Rodrigo i tak dalej, i tym podobne zostanie pańskim pierwszym oficerem.

– Do tej pory nie miałem pierwszego i sobie radziłem.

– Na stanowisku oficera łączności pierwszej wachty ma pan chorążego, który oficerem nie jest. Funkcje oficerskie szefów sekcji skanerów i nasłuchu oraz osłon pełnią bosmani, choć powinni co najmniej podporucznicy. Wydają polecenia ludziom starszym stopniem.

– Obaj byli porucznikami, zanim ich zdegradowano – wtrącił Aidan.

– Ale już nie są! – Don Sebastian zmarszczył brwi, posłał kapitanowi ostrzegawcze spojrzenie. – Dowodzi pan jedną z najbardziej egzotycznych załóg w całej flocie. Nawet pańska przyjaciółka Amanda nie ma u siebie takiego bałaganu.

– I van den Broek, i Costa zapracowali sobie na szacunek całej załogi. To znakomici fachowcy i absolutnie lojalni marynarze.

Inkwizytor pokręcił głową.

– Nie zamierzam się spierać, kapitanie. Są lojalni, ale tylko względem pana, Shaderera,

Naalnisha czy Callahana. Resztę oficerów floty uważają za śmiertelnych wrogów. Sam jest pan zresztą kajdaniarzem o statusie niewolnika, więc przypuszczam, że inni kajdaniarze traktują pana jak swego. I nie ma sensu rzucać mi takich zabójczych spojrzeń, to nie robi na mnie wrażenia. Ale żeby nie powiększać pańskiej niechęci – by nie rzecz nienawiści – względem mojej osoby, śpieszę powiadomić, że nie jest moim pomysłem przydzielenie don Ruiza na „Sirene”. To prośba samego senatora, ojca pańskiego ulubionego hrabiątka, a także szambelana dworu. A na osłodę powiem jeszcze, że wsparł ją swoim majestatem sam cesarz.

Aidan na chwilę zaniemówił. Od kiedy to monarcha zajmował się sprawami jakiegoś niszczyciela, skoro armada liczyła ich tysiące?

– Kpi pan sobie, don Sebastianie? – spytał.

– Niestety, nie. – Lerma westchnął ciężko. – Czeka pana jeszcze rozmowa z senatorem. Tak, drogi kapitanie, hrabia Silvano Eduardo Vesano, któremu upokorzyłeś i poraniłeś syneczka, chce z tobą rozmawiać.

– O czym niby? – wykrztusił Aidan.

– Nie wiem. – Inkwizytor wzruszył ramionami. – To już na szczęście nie moja sprawa.

– Kapitanie! – głos Diega wyrwał Aidana z zamyślenia. – Zaczynamy za trzydzieści sekund.

– Alarm czwartego stopnia! – rozkazał Samuels. – Wszyscy na stanowiska!

* * *

Don Sebastian patrzył na zbliżający się portal skokowy. Przebywał w kopule obserwacyjnej, którą podczas rejsów we własnych bezpiecznych systemach, gdzie nie groził atak wroga, wysuwano spod płyt pancerza w części mieszkalnej. Ze względów ekonomicznych panowała tutaj niska sztuczna grawitacja, a można ją było nawet wyłączyć. Ale inkwizytor nie lubił stanu nieważkości. Dość go już zaznał, podróżując w niszczycielu Amandy Berger. Z wielką ulgą przesiadł się potem na pancernik, na którym nie żałowano energii do generatorów grawitacyjnych. Na średnich jednostkach sztuczne ciążenie zapewniano tylko podczas spokojnych podróży, wprawiając całą konstrukcję w ruch wirowy. Wyłączone były z tego jednak mostki główny i zapasowy, a także sekcje napędu. Zresztą rzadko się zdarzało, żeby okręty klasy niszczyciela wysyłano na spokojne misje.

Ta miała być właśnie taka, przynajmniej na początku, bo zanim piraci zdołaliby stwierdzić obecność obcych jednostek na dalekich obrzeżach obszaru swojej kolonii, powinny minąć przynajmniej dwie doby. Gdyby nie zdrada sekretarza, wszystko by teraz przebiegało zgodnie z planem, a on miałby czas lecieć na stację klasztorną Rojanno, zając się porządkowaniem spraw na swoim podwórku, które wymagało już gruntownego posprzątania. Trudno, nieuczciwi zakonni urzędnicy, łapówkarze i zwyczajni malwersanci będą musieli zaczekać. Poza tym nie weźmie osobiście udziału w posiedzeniu Rady Cesarskiej, a przedtem episkopatu. I – rzecz jasna – nie odwiedzi pałacu Jego Cesarskiej Mości ani na starej Ziemi, ani tego krążącego po orbicie między Wenus a Ziemią. Stęsknił się już za widokiem Słońca, kolebki ludzkości, za jego niepowtarzalnym ciepłem i kojącym blaskiem.

Był na dziesiątkach planet i setkach kolonii orbitalnych, krążących wokół najróżniejszych gwiazd, niejednokrotnie niesłychanie urodziwych. Oddychał naturalnym powietrzem Camparii, jednego z niewielu światów nadających się do zamieszkania bez poważnych procesów terraformowania. Powietrzem pachnącym bardzo szczególnie za sprawą domieszek nieszkodliwych związków aromatycznych. Do końca życia zapamięta tę woń róży, skażoną

niecio odległym skojarzeniem z posmakiem benzyny. Miał okazję poznać powietrze Rigusa, który został zamieniony w kwitnącą planetę po stu pięćdziesięciu latach wyętej pracy pokoleń kolonistów, wymierających tam jak muchy, a jednocześnie za sprawą inżynierii genetycznej mnożących się jak króliki. To powietrze było takie, jak trzeba – w sam raz wilgotne, o znakomicie zbalansowanej zawartości gazów, optymalnej temperaturze. Z przyjemnością nabierał go w płuca, podziwiając doskonałość mieszaniny.

Były też światy cuchnące, rozwijające się dopiero, pączkujące, na których rozpoczynano ciężką pracę, rozpisaną na dziesiątki, a nawet setki lat. Były kolonie nastawione tylko na rabunkowe wydobywanie surowców, gdzie nikt nie troszczył się o stworzenie pracownikom chociażby namiastki prawdziwego życia. Tam trafiali ochotnicy chcący się szybko dorobić jakichś przyzwoitych pieniędzy oraz więźniowie skazani za ciężkie przestępstwa.

Lecz nigdzie gwiazda główna układu nie świeciła tak jak Słońce, nawet jeśli była żółtym karłem o typie widmowym G2 V. Podczas jednej z takich podróży do Lermi z całą mocą dotarła stara prawda, że identyczność nie jest w żaden sposób skorelowana z tożsamością. To przypominało stary spór teologiczny o homoousię i homoiousię. Dylemat, czy Syn Boży jest współistotny Ojcu, czy tylko podobny, to znaczy posiadający tę samą naturę, lecz odrębny. Wyznanie wiary było w tym względzie jasne, ale spór miał się tlić już zawsze i zapewne tak pozostanie, dopóki istnieć będzie filozofia. Zwolenników poglądu o podobieństwie osób boskich od czasu soboru nicejskiego uważano za heretyków. Dawniej za głoszenie takich poglądów groziły surowe kary. Inna sprawa, że wcześniej, bo w połowie trzeciego wieku po Chrystusie, to właśnie termin *homousios* został potępiony.

W czasach późniejszych nie miało to wszystko już większego znaczenia. Ludzie wierzyli w Boga, w całą Trójcę Świętą, nie rozumiejąc zupełnie, na czym polega współistotność. A Kościół niechętnie o tym sporze przypominał, gdyż podważał fundamentalne prawdy wiary.

Ale właśnie patrząc na jedną z odległych gwiazd klasy Słońca, grzejąc się w jej promieniach, inkwizytor zrozumiał dogłębnie naturę tamtego sporu, który jemu samemu nie wydawał się zanadto istotny. Teoretycznie zarówno Słońce, jak i żółty karzeł w odległej gromadzie powstały w tym samym czasie, ich los był podobny, w ten sam sposób przebiegały w nich procesy, emitowały ten sam rodzaj promieniowania. W tym sensie były współistotne, mimo dzielących je odległości. Ale dla don Sebastiana to były inne ciała niebieskie. Gdyby ktoś go przeniósł spod gwiazdy Układu Słonecznego pod identyczną gdzie indziej i ocknąłby się w tym samym otoczeniu, od razu rozpoznałby, że to nie takie samo światło i ciepło. Był tego pewien.

Oczywiście w mechanice kwantowej istnienie par cząsteczek zmieniających stan w tym samym momencie lepiej obrazowało ideę współistnienia, ale nie było to tak plastyczne jak odniesienie do wielkiego obiektu... A nawet poniekąd do samego Boga, bo przecież w przeszłości każda religia zaczynała od deifikacji sił natury właśnie ze Słońcem na czele.

A teraz zbliżał się do czegoś, co również mogło się kojarzyć z boską mocą. Portal skokowy...

Tytaniczna konstrukcja, umieszczona w pustce kosmicznej, ponad tysiąc jednostek astronomicznych od najbliższego układu planetarnego. Przypominała rzeczywiście wielkie wrota, ale nie takie, jakie można spotkać w starożytnych budowlach, lecz raczej służę okrętu. Służę powiększoną do niebotycznych rozmiarów. Nie był to, rzecz jasna, pełny okrąg lub elipsa. Portal składał się z szesnastu identycznych części, połączonych jedynie za pomocą stabilizowanych trzysta razy na sekundę pól magnetycznych. Skupione zostały wokół

wspólnego środka. Pojedynczy moduł miał kształt przypominający w rzucie pionowym wydłużony trójkąt równoramienny o ściętym wklęsłym szczycie, przy czym podstawą zwrócony był na zewnątrz. Wyglądało to z pewnej odległości, jakby w niewidzialną kulę zostały wbite promieniście solidne kliny, między którymi pozostawiono niewielkie odległości. Tak naprawdę dystans między modułami wynosił cztery tysiące osiemdziesiąt metrów w każdym miejscu długości ich krawędzi. Inkwizytor zainteresował się kiedyś, skąd te dodatkowe osiemdziesiąt metrów, i otrzymał odpowiedź, jakiej się zresztą spodziewał. Była to tolerancja pozostawiona na wypadek przemieszczenia się masywnych części. Takie wydarzenie nie powinno mieć miejsca, nie pozwalały na to nawet prawa fizyki, gdyż konstrukcja pozostawała uwięziona w wytwarzanym podczas pracy polu magnetycznym, jednak twórcy uznali, że wszechświat nie zna terminu „nigdy”, związanego z ludzkim oglądem rzeczywistości.

Moduły nie mogły absolutnie znajdować się bliżej siebie niż te cztery kilometry, ale też nie powinny oddalać się bardziej niż na cztery tysiące sto metrów. Owe sto metrów to również była odległość graniczna, po której przekroczeniu oddziaływanie między częściami struktury uległoby znacznemu zaburzeniu, co mogłoby doprowadzić do uszkodzenia, a nawet zniszczenia całego portalu.

Inkwizytor miał przed sobą konstrukcję w pełnej okazałości. Ruchem ręki polecił komputerowi obserwatorium zamienić jedno z okien w ekran ukazujący zbliżenie pojedynczego modułu. Dopiero z bliska widać było, że nie jest to lita konstrukcja. Przeciwnie – była ażurowa, jakby została zbudowana z wypolerowanych rur, a raczej utkana ze światła. Zresztą jedno i drugie było prawdą. W pełni naładowany portal świecił nadmiarem mocy, której kondensatory nie były w stanie przyjąć. Rozładowany natomiast, zaraz po wysłaniu ładunku o lata świetlne, gasł i zamieniał się w coś przypominającego modne w dziewiętnastym wieku konstrukcje. Jedną z nich, wieża Eiffla, została zresztą pieczołowicie zachowana i znajdowała się w zbiorach Muzeum Ziemi. Oczywiście była dobre sto razy mniejsza niż każdy z modułów, ale przypominała je do złudzenia, szczególnie w środkowej części.

– Don Sebastianie – rozległ się kobiecy głos – melduje się kapitan Sarah Renin z sekcji maszynowej. Konradmirał Gutierrez kazał przeprosić za zakłócanie panu spokoju, ale za czterdzieści pięć minut dotrzemy do strefy przejścia.

– Dziękuję za informację. Czy jest możliwość, żebym pozostał w obserwatorium, czy muszę się udać do kajuty lub na mostek?

– Chwileczkę – odpowiedział głos.

Don Sebastian rozparł się wygodniej w fotelu, założył ręce pod głowę i chłonął niesamowity widok. Po chwili głośnik, ukryty gdzieś w podłodze, ożył. Tym razem odezwał się sam Sułtan:

– Wasza Ekscelencjo, może pan odbyć podróż w obserwatorium, jednak z przyczyn bezpieczeństwa musimy i tak schować kopułę. Nie wiadomo, co zastaniemy po tamtej stronie. Pozostaną panu tylko ekrany. Widok ten sam, tyle że nie bezpośredni.

Lerma kiwnął głową.

– Niech będzie. Zostanę tutaj.

Nie chciało mu się ruszać. Najchętniej zapadłby w sen, ale podczas skoku wszyscy na pokładzie musieli czuwać. Tak stanowił regulamin i nie był to paragraf wyssany z palca, mający na celu tylko dyscyplinowanie załogi. Istniało prawdopodobieństwo, że jeśli skok wykona człowiek w stanie snu, może się ocknąć jako szaleniec, albo nawet niepełnosprawny, z poważnymi uszkodzeniami mózgu. Lerma wiedział doskonale, że coś takiego zdarzyło się

w przeszłości kilka razy – marynarze pogrążeni we śnie rzeczywiście doznawali rozległych obrażeń centralnego ośrodka nerwowego, chociaż nie dotyczyło to wszystkich śpiących, ale niewielkiego odsetka.

Badania wykazały, że skok, aby ujawniły się niepożądane skutki, musi się zgrać w czasie z fazą REM snu. Dokładnie nie wyjaśniono jeszcze przyczyn takiego zjawiska, ale don Sebastian za najbardziej prawdopodobną uznawał hipotezę, że właśnie w tej fazie fale mózgowie interferowały z częstotliwościami wytwarzanymi albo przez portal, albo nawet przez zniekształconą czasoprzestrzeń.

Lerma doskonale wiedział, co go czeka podczas skoku. Skrajnie nieprzyjemne doznania, uczucie jakby rozdarcia, rozdzielenia się umysłu od ciała... A może nawet duszy od śmiertelnej powłoki? I to poczucie, że każdy atom organizmu jest samodzielnym podróżnikiem, że wcale nie wiadomo, czy wszystkie w komplecie zechcą się połączyć w to samo jestestwo, które tworzyły do tej pory...

* * *

– Pierwszy oficer, przekazuję panu mostek – powiedział Aidan.

– Tak jest – odparł Vesano. – Przejmuję mostek.

Przy konsolach nawigacyjnych i przy stanowisku łączności dyżurowali już oficerowie trzeciej wachty. Ten podział na wachty podczas intensywnych działań bojowych był zresztą dość dowolny. To znaczy – oczywiście – na okręcie obowiązywał ścisły grafik służb i przestrzegano go podczas spokojnych lotów patrolowych albo eskortowych. Jednak gdy robiło się gorąco, kapitan i podstawowa obsługa nie schodzili ze stanowisk. Aidan najbardziej lubił mieć na mostku skład pierwszej wachty, a szczególnie matematycznego geniusza Martineza, który potrafił dokonywać obliczeń w tempie porównywalnym do komputera, oczywiście z nieco większym marginesem błędu, ale przy podejmowaniu błyskawicznych decyzji stanowiło to atut trudny do przecenienia.

Oczywiście na mostku zawsze musiał pozostawać kapitan, zastępca dowódcy okrętu lub oficer upoważniony przez pierwszego po Bogu. W tej chwili najwyższy stopniem po Samuelsie był Ruiz, więc automatycznie, zgodnie z regulaminem, to on przejmował obowiązki. Właściwie był równy stopniem Aidanowi, ale nie miał prawa samodzielnie dowodzić okrętem. Sytuacja była niezręczna dla nich obu. A może raczej byłaby, gdyby Samuels nie miał uczuć zastępcy naprawdę w głębokim poważaniu. To on był tutaj dowódcą i nawet gdyby wrzepiono mu samego Gonzagę na pokład, wielki admirał nie miałby nic do gadania. Wprawdzie kapitan mógłby wyznaczyć na ZDO któregoś z oficerów, lecz tutaj żądanie Lermę było jasne. A wyklócanie się z inkwizytorem o takie sprawy nie bawiło nawet Aidana. Nie mówiąc o tym, że mogło nieść ze sobą naprawdę nieprzyjemne konsekwencje.

– Jego obecność nie jest konieczna – zaprotestował Vesano, widząc wpływającego na mostek dowódcę trzeciej wachty, Eloya Zamorę. – Zastępca dowódcy okrętu już tutaj jest. Moje kompetencje...

– Pańskie kompetencje, pierwszy, są takie, że możesz sobie posiedzieć i pogapić się w ekran. Zamora odbył więcej rejsów, niż twoja rodzina zakupiła patentów oficerskich, a to znaczy, że jest bardzo, ale to bardzo doświadczony. – Z satysfakcją patrzył na czerwieniejące oblicze Ruiza. – A zatem proszę pełnić swoją funkcję ZDO w spokoju, pozwalając, aby w istotnych sprawach decydował pan Zamora.

Eloy rzucił pytające spojrzenie kapitanowi, a ten tylko lekko wzruszył ramionami.

– Kapitanie Zamora... – Oficer był tylko stopień młodszy od Aidana, więc ten odpowiednio go tytułował, chociaż zawsze uważał, że republikańska tytułatura jest lepsza, a w niej Eloy miałby rangę komandora porucznika. – W razie gdyby się coś wydarzyło, proszę mnie natychmiast powiadomić. Jeśli nic się nie będzie działo, wrócę na stanowisko za cztery godziny.

Skierował się do wyjścia. Dogonił go głos Vesana:

– Wiesz, Samuels, że wspólna akcja z okrętami Republiki to zwyczajna zdrada? Co innego rozmowy, a co innego chodzenie w formacjach bojowych. Zgnijesz w pierdłu!

Aidan spojrzął na hrabiego. W pierwszej chwili zamierzał ostro odpowiedzieć, ale widząc wykrzywione nienawistnym grymasem oblicze Ruiza, uśmiechnął się tylko. Gdyby na mostku przebywał Martinez, pewnie by się znów zaoferował, że policzy zęby panu hrabiemu. Ale działająca niczym naoliwiony mechanizm, zdyscyplinowana przez Zamorę trzecia wachta...

– Panie kapitanie – rozległ się niespodziewanie głos podporucznika Santinao, oficera łączności – czy pozwoli pan łaskawie, że porachuję kości panu pierwszemu oficerowi? A w każdym razie oszacuję stan jego uzębienia?

Aidan spojrzął na łącznościowca, który budową ciała przypominał raczej niedźwiedzia niż przeciętnego czy nawet rosnącego człowieka. Gestem powstrzymał Zamorę, który zbierał się do usadzenia podwładnego.

– Dziękuję za propozycję, podporuczniku. Oczywiście udam, że tego nie słyszałem...

– Ale system słyszał! – zapienił się Vesano. – Wszystko jest nagrywane i zamierzam to wykorzystać! Zgnijesz w...

– Zamknij się, pierwszy – warknął Aidan. A potem zwrócił się do łącznościowca: – Może teraz nie usłyszałem, ale nie wykluczam, że słuch mi się kiedyś poprawi i skorzystam z propozycji. Jednak musisz wziąć pod uwagę fakt, mój drogi, że wcześniej akces do wybicia zębów naszemu pierwszemu oficerowi zgłosił Diego Martinez.

– Wiem, że nie jestem jedyny – mruknął Pedro Santinao.

– W takim razie powinniście zrobić zapisy i ustalić kolejność. Oczywiście należałoby najpierw poczekać, aż panu kapitanowi rączka całkowicie wydobrzeje. – Znow się uśmiechnął, widząc, jak Vesano zaciska zęby na wspomnienie pojedynku. – Z tego wszystkiego wnioskuję, że mój pierwszy oficer dał się już we znaki załodze? Nie, podporuczniku, proszę nie odpowiadać. Jestem sobie to w stanie wyobrazić. A teraz proszę wybaczyć, muszę trochę odsapnąć.

Kiwnął głową Zamorze i wypłynął z mostka. Niech hrabiątko przez najbliższy czas dławi się własną złością. Naprawdę musiał wreszcie odpocząć, a najlepiej przespać się.

Piraci na jakiś czas przestali być problemem. Po zniszczeniu krążownika stracili serce do walki i umknęli z pola boju, niektóre jednostki skorzystały nawet z napędu nadprzestrzennego, żeby się wyrwać pościgowi.

Pozorowany odwrót zdał egzamin. Tym bardziej że Bernhardt wydał dodatkowo dyspozycje, aby niszczyciele cesarskie zachowywały się tak, jakby nie umiały zgrać manewrów z republikańskimi. To jeszcze bardziej rozzuchwialiło piratów. I tym większe było ich zdumienie, kiedy rozpadająca się w ucieczce formacja nagle zawróciła i w pełnym porządku runęła na rozciągnięte w pogoni jednostki. Bandyci dysponowali najróżniejszym sprzętem, pochodzącym z różnych okresów ewolucji flot kosmicznych i najróżniejszych klas, naturalne więc było, że okręty miały niespójne charakterystyki. A pościg nawet bez tego zawsze ma to do siebie, że siły się rozciągają.

Po zwrocie półsferyczna formacja sił połączonych od razu wysłała do diabła dwa wrogie niszczyciele i fregatę. Zaskoczenie i przewaga ognia wytworzyły miażdżącą dominację.

Wtedy do walki bezpośredniej włączył się krążownik. Rzeczywiście jego kulejący lot okazał się podstępem. Kiedy przyszło do konkretnych działań, przyspieszył do pięćdziesięciu procent prędkości światła, szybko znalazł się w strefie działań, strzelając ze wszystkiego, czym dysponował. Jednostki piratów kryły się za nim, najwyraźniej zamierzając się przegrupować i zorganizować do kontrnatarcia.

W tym momencie przysłała pora na podjęcie działania przez niszczyciele Amandy i Guardada. Wystrzeliły do przodu, łukami biorąc herculesa w kleszcze. Wtedy „Sirene” przesunęła się na szczyt półsfery, a „Saragossa” na sam dół.

Kiedy „Greese” i „Fitzcarraldo” znalazły się na wyznaczonych pozycjach, okręty szyku głównego przeniosły cały ogień na wielką jednostkę. To był klasyczny manewr. Piraci na pewno go znali, a przynajmniej znała go spora część ich dowódców. Nie mieli jednak możliwości zapobiec temu, co się działo.

Krążownik był twardy. Aidan zgadzał się z opiniami doświadczonych kapitanów, że zniszczenie tej klasy okrętu bywało trudniejsze niż nawet pokonanie pancernika, jeśli tylko dysponował dobrze wyszkoloną, zdeterminowaną załogą. Jednak zmasowany ogień i poprzednie awarie, ograniczające siłę ognia, zrobiły swoje. Osłony siłowe i pancierz zewnętrzny również zostały już nadwerżone w dotychczasowych zmaganiach.

Hercules wypluwał z siebie pociski kinetyczne, rakiety jądrowe, strzelał z potężnych dział laserowych. Średnie jednostki rozluźniły formację, rozproszyły się i przeszły do manewrów unikowych, teraz rzeczywiście dwa pozostałe w szyku okręty Cesarstwa musiały odejść od osi półsfery. Zatem podczas gdy Amanda z Edgarem prażyli z boków, Moreno z Aidanem pomknęli, aby ująć krążownik kleszczowym atakiem w płaszczyźnie wertykalnej. Osłony siłowe jęczały pod ciosami broniących herculesa mniejszych jednostek, ale ponieważ sekcja naprawcza skupiła się podczas krótkiej przerwy w walce przede wszystkim na nich, sprawowały się bardzo przyzwoicie.

– Rozszczelnienie trzech kajut modułu mieszkalnego dwa – zameldował Rodrigo po kolejnym wstrząsie.

– Ktoś był w środku? – Podczas alarmu bojowego nikt nie powinien przebywać w części mieszkalnej, ale ludzie miewali różne pomysły.

– Raczej nie, czujniki nie meldują substancji właściwych dla organizmu ludzkiego.

– Dobra, to siedźcie na tyłkach i nie ryzykujcie napraw podczas uników. Melduj, jeśli stanie się coś poważniejszego.

– Tak jest!

Lecz nic poważniejszego już się nie stało, bo właśnie w trzech punktach krążownika wykwitły odblaski wybuchów, widać było wydobywające się w próżnię powietrze. W dodatku „Fitzcarraldo” podszedł na tyle blisko, żeby uruchomić działo hybrydowe, służące zasadniczo do zadań inżynierskich, ale posiadające ogromną moc niszczycielską na bliskich dystansach. Był w nie wyposażony jako jedyny spośród niszczycieli cesarskich, gdyż wypełniał również zadania jednostki ratunkowej. Kiedyś już Guardado proponował użycie go podczas bitwy w Układzie Regora, ale Samuels odmówił, ponieważ nie chciał łamać konwencji. Lecz teraz walczyli z piratami, więc porozumienia wojenne nie obowiązywały. Zresztą piraci sami z upodobaniem używali tej niszczycielskiej broni. Dlatego kapitan „Fitzcarralda” nawet nie zwracał się o pozwolenie do dowódcy. Po prostu wypalił,

zamieniając co najmniej dwa górne pokłady krążownika w krwawą kaszę.

Edgar ryzykował, i to bardzo, bo przeciwnik mógłby mu odpowiedzieć pięknym za nadobne, gdyby rejon podejścia niszczyciela znajdował się w polu rażenia podobnej broni. I znajdował się w istocie rzeczy, gdyż komputer zaznaczył jadowicie pistacjowym kolorem salwę z hybrydy, znajdującą się tuż poniżej baterii głównej górnej lewej wieży artyleryjskiej. Z umiejscowienia sądząc, broń została dodana do okrętu, nie stanowiła jego standardowego wyposażenia. To oznaczało, że hercules był konstrukcją starszego typu, czyli z punktu widzenia floty cesarskiej stanowił raczej egzemplarz muzealny niż bojowy. A jednak działał i nadal był groźny. Tyle że trafił na godnego przeciwnika. Edgar nie czekał po swojej salwie, lecz wykonał odejście manewrem nazywanym „węzem”, podczas którego okręt poruszał się wzdłuż linii przypominającej mocno wyciągniętą sinusoidę. „Fitzcarraldo” odskoczył trzydzieści stopni w górę, obierając przy tym azymut czterdzieści stopni w kierunku wroga, a dopiero potem zawracając o sto trzydzieści stopni w stronę własnej formacji. Salwa z działa hybrydowego krążownika, wycinająca trzystopniowy stożek w przestrzeni, chybiła o kilkaset metrów. Poleciała w kosmos, rozpraszając się bardziej z każdym ułamkiem sekundy, by po chwili stać się tylko nieszkodliwą chmurą cząsteczek.

To był cios rozstrzygający. Hercules, z ogromną wyrwą, obejmującą co najmniej dziesięć procent okrętu, musiał wycofać się z walki. Małe i średnie jednostki nie podejmowały już działań zaczepnych. O ile przedtem potężny okręt stanowił dla nich tarczę, o tyle teraz wyroiły się, aby służyć mu pomocą. Całe ugrupowanie zawróciło, prowadząc już tylko ogień zaporowy.

– Powrót do zgrupowania, punkt orientacyjny: fregata „Josey” – rozkazał Bernhardt.

Aidan miał ochotę oddać jeszcze parę salw do umykającego wroga, polecieć naprzód chociaż przez kilkanaście sekund, ale zawrócił od razu, kiedy rozkaz dotarł. A dotarł natychmiast, gdyż odległości między wysuniętymi niszczycielami a podstawą sfery wynosiły nie więcej niż czterysta pięćdziesiąt kilometrów. Skoro sam przekazał dowodzenie kapitanowi Republiki, musiał swoim ludziom dawać przykład posłuszeństwa.

* * *

Cząsteczki wyroiły się gęstą chmurą. W tej przestrzeni nie natrafiały na opór, przestało je ścisnąć wielkie ciśnienie, przestało bombardować twarde promieniowanie dochodzące od bilionów ciał kosmicznych.

Cząsteczki zaczęły się rozprężyć, rozciągać, zwiększając odległości między sobą nawzajem i między jądrami atomów a chmurami ich satelitów. Lecz siły oddziałujące między nimi zatrzymały proces rozszerzania się. Na jakiś czas...

Bo potem osłabły, a przestrzenie znów zaczęły się rozszerzać. Lecz ponownie chwyciły materię we władanie... Nie chciały się poddać. Gdyby cząsteczki umiały myśleć, wcale nie chciałyby poddawać się tym miażdżącym oddziaływaniom, szukałyby drogi wyjścia i wyzwolenia się z bezlitosnego uścisku.

Gdyby posiadały z kolei zmysły, mogłyby zauważyć, że wzrost sił scalających brał się stąd, iż w ślad za nimi pojawiały się nowe cząstki, promieniując oddziaływaniem rodzimej przestrzeni i powstrzymując rozluźnianie się ciasnych wiązań. Aż nadszedł moment, kiedy pojawiło się tyle materii, iż dalsze rozprężanie praktycznie nie mogło przebiegać.

Cząstki przestały się rozszerzać, przesuwały się tylko na zewnątrz struktury pod wpływem napierających kolejnych wyrzutów materii. A tam, w miejscu erupcji, stawało się coraz

ciaśniej, panowało coraz większe ciśnienie. Lecz napór ojczyściej przestrzeni był jeszcze mocniejszy, więc proces trwał, wprawdzie wolniejszy niż na początku, ale niepowstrzymany...

Gdzieś na zewnątrz rozszerzał się sukcesywnie pęcherz, w którym cząsteczki zostały zamknięte. Gdyby nie on, zapewne rozleciałyby się na wszystkie strony. A może nie? Może po prostu tworzyłyby tę samą strukturę, lecz rozszerzającą się o wiele szybciej?

To pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Zresztą natura w makroskali nie zna słowa „może”. Albo coś się dzieje, albo nie.

Ale też i nie było nikogo, kto by potrafił jakiegokolwiek pytanie zadać.

Przynajmniej na razie...

* * *

Aidan mógł wreszcie odpocząć. Czekala go jeszcze rozmowa z resztą dowódców grupy, ale to mogło zaczekać.

Dotarł do kajuty, podpłynął do łóżka, przypiął się pasami i zapatrzył w sufit. Żałował, że nie można ogłosić całkowitego odboju alarmu i wprawić niszczyciela w ruch obrotowy, żeby uzyskać chociaż namiastkę grawitacji. O wiele przyjemniej byłoby odpoczywać.

Sen nie nadchodził. Nadlatywały za to wspomnienia, a szczególnie natrętne było to dotyczące rozmowy z senatorem Vesanem. Idąc na spotkanie, był pewien, że stary hrabia urządzi mu przedstawienie godne wielkiego granda, potomka starożytnego rodu.

Tym bardziej że został przyjęty bardzo chłodno. Kamerdyner i – sądząc z postury – zarazem ochroniarz kazał czekać Aidanowi w pokoju dla petentów, przypominającym bardziej skromny przedpokój niż cokolwiek innego. Senator znalazł czas dopiero po kwadransie.

– Proszę za mną – w ustach pokojowca to brzmiało raczej jak rozkaz niż prośba. – Jego miłość już czeka.

„Jego miłość”. Aidan aż się skręcił w duchu. Tytułomania wśród szlachty była wręcz przysłowiowa. I zapewne tak właśnie jakiś tam podrzędny kapitan powinien się zwracać do tego wielkiego pana. Ciekawe, czy...

– Do hrabiego należy się zwracać per „panie hrabio”, „wasza miłość”, „jaśnie oświecony” lub „panie senatorze” – pouczył kamerdyner.

– A zwykle „señor” nie wystarczy? – postanowił podrażnić fagasa Aidan.

Trafił w czuły punkt, bo pokojowiec-ochroniarz spojrział z wyższością wprawdzie, ale też ze złością.

– „Señor”, oficerku, możesz sobie mówić do jakiegoś hidalga – warknął. – Będiesz rozmawiał z grandem, jednym z najważniejszych dostojników w otoczeniu cesarza!

– Jasne, jasne – powiedział Aidan pojednawczo. Nie miał ochoty na prawdziwą awanturę z tym osiłkiem, szczególnie że czuł koszmarny ból w rękach.

Gdyby nie to, może nawet chętnie by się poruszał. Chociaż, z drugiej strony, nie wyobrażał sobie, żeby taki wykwalifikowany ochroniarz, będący zarazem gorylem, jak i zwykłym służącym, pozwolił sobie na karczemną bijatykę. W kwaterach jaśnie oświeconego, jego miłości, pana hrabiego czy też szanownego senatora wszystko wydawało się niesłychanie dystygowane i wyprane z emocji. Ten hrabiowski sługus także natychmiast się opanował, złość zastąpiła służbowa obojętność.

Jak to mówią? Noblesse oblige. Można wysyłać na śmierć tysiące ludzi, można mordować przeciwników politycznych, pić krew wrogów, ale zawsze i wszędzie należy być godnym

przedstawicielem rodu.

Ruiz „Wielu Nazwisk” Vesano jakoś się jednak w tę rodową wstrzeźliwość nie wpisywał. Aidan doskonale pamiętał, jak pienił się podczas aresztowania, jak wygrażał i szarpał się najpierw z żołnierzami piechoty morskiej, a potem żandarmami. Zachowywał się raczej jak podrzędny rzeźmieszek niż potomek grandów.

Lecz ojciec był podobno zupełnie inny. Pełen dystansu, a nawet pogardy dla świata. Tak go przedstawiali wszyscy, którzy mieli z senatorem styczność. Dlatego Aidan z taką niechęcią zdążył na audiencję. Wolałby mieć przed sobą wściekłego buraka z zapyziałej kolonii, dzierżącego rusznicę laserową i mającego pretensje o zapłodnienie ukochanej córki, niż słyszeć, jak wielki pan cedzi słowa, dając do zrozumienia, jak bardzo musi się przełamywać, marnując czas na takiego robaka jak Samuels.

– To te drzwi – rzucił krótko goryl, kiedy przeszli przez kilka pomieszczeń.

Nawet na stacji kosmicznej, w której z natury rzeczy istniał pewien deficyt przestrzeni, członek Rady Cesarskiej musiał posiadać kwatery godne swojej funkcji. To była chwila, w której Aidan nieco cieplej pomyślał o Lermie. Inkwizytor zadowolony był o wiele skromniejszymi warunkami. Lecz zaraz kapitan przypomniał sobie odpychający styl bycia don Sebastiana i dalekie echo sympatii oddaliło się o lata świetlne.

Aidan dotknął świecącego na zielono przycisku przy drzwiach. Po sekundzie błysnęło oko kamery, a zaraz potem rozległ się głos:

– Zapraszam, kapitanie Samuels.

Płaszczyzna drzwi wsunęła się w ścianę, Aidan przekroczył wysoki próg i znalazł się w przestronnym gabinecie. Obejrzał się. Wysoki próg? Tak. W pierwszej chwili nie zwrócił na to uwagi, podniósł wyżej stopy kierowany wieloletnim nawykiem. Takie progi stosowano na okrętach i w tych częściach stacji, które zostały oddzielone od reszty z przyczyn bezpieczeństwa. A zatem znajdował się w pomieszczeniu, które pełniło zarówno funkcję gabinetu, jak i kapsuły bezpieczeństwa.

– Zauważył pan – powiedział hrabia.

– Co zauważyłem? – Aidan udał głupiego.

– Że znajduje się pan w małym module ratunkowym.

Aidan miał ochotę wzruszyć ramionami, ale nawet jego nieposkromiona natura musiała się chociaż trochę ugiąć w obliczu wysokiego funkcjonariusza państwowego.

– Trudno tego nie dostrzec, señ... wasza miłość – w ostatniej chwili przypomniał sobie wskazówki fagasa.

Hrabia wstał zza pokaźnego biurka. Nie był to, wbrew początkowym oczekiwaniom kapitana, antyczny drewniany i niesłychanie kosztowny mebel, ale zwykła konstrukcja z modplastu. Ekskluzywna, to oczywiście, ale gustownie sporządzona, bez ostentacji i podkreślania pozycji użytkownika.

– Witam, kapitanie Samuels. – Dostojnik podszedł bliżej, wyciągnął rękę.

Aidan przez chwilę gapił się zaskoczony na dłoń senatora, a potem drgnął i ją uściskał. Ręka don Silvana była ciepła, sucha i mocna. Nawet odrobinę szorstka – widocznie hrabia nie stronił od ćwiczeń fizycznych i fechtunku. Wskazywała na to zresztą jego postawa, widoczne pod obcisłym, eleganckim kombinezonem niewielkie, ale wyraźnie zarysowane mięśnie.

– Na początku naszej rozmowy chciałbym panu podziękować – oznajmił nagle starszy Vesano.

Aidan znów poczuł się nieswojo.

– Nie rozumiem, panie senatorze.

– Za to, że nie zabił pan mojego głupiego syna – wyjaśnił hrabia. – Przecież wiem, że mógł go pan wykończyć praktycznie w każdym momencie.

Na pobrużdżonej twarzy dostojnika pojawił się wyraz smutku i przykrości.

– Ja wiem, że mój potomek to idiota – powiedział. – Idiota, a w dodatku zwykły złodziej. Wyciągnięcie go z tej kabały i wydobywanie z więzienia kosztowało mnie majątek, jak pan się na pewno domyśla, a do tego musiałem wykorzystać znajomości, których w innych okolicznościach nigdy bym nie wykorzystał. Oczywiście nie powtórzę tych słów gdziekolwiek indziej, ale w świetle tego, o co chcę pana prosić, muszę być całkowicie szczery.

– Słucham, se... wasza miłość.

– Kapitanie, może pan się do mnie zwracać „señor”. Te wszystkie ekscelencje, wasze miłości, dostojności, jasne wielmożności są dobre na salonach. Powiem więcej, nawet mi schlebia, że wrywa się panu wobec mnie zwrot, który stosuje pan w kontaktach ze swoimi dowódcami.

Aidan spojrział na hrabiego spod zmrużonych powiek. Wielki pan bawi się nim czy jest szczery? Niektórzy grandowie podobno bardzo lubili takie gierki – podpuścić rozmówcę, uspić jego czujność, a potem nagle uderzyć. Ale Vesano wydawał się najzupełniej naturalny.

– Dziękuję, señor – powiedział kapitan. – Nie jestem przyzwyczajony do tych dworskich obyczajów. Przywykłem wprawdzie do nazywania inkwizytora Ekscelencją, ale...

– Tak, coś mi o tym wiadomo – roześmiał się hrabia. – Don Sebastian wspominał, że chyba już wolał, aby mówił mu pan po imieniu, niż go tytułował, bo w pańskich ustach i tak brzmi to jak obelga.

– Nie przepadamy za sobą z wielkim inkwizytorem. – Aidan wzruszył lekko ramionami.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Vesano pokiwał głową. – I wiem też, że we flocie panują inne obyczaje niż na salonach. Szczególnie na małych i średnich jednostkach. Bo na pancernikach czy lotniskowcach służy zbyt wielu dobrze urodzonych bałwanów, aby nie uległy zakażeniu czymś, co nazywam arystokrackością w odróżnieniu od arystokracji.

– Gorzej, jeśli tacy dowodzą – mruknął Samuels, bardziej do siebie niż na użytek rozmówcy, ale hrabia usłyszał.

– Na to nic się nie poradzi. W naszym systemie wciąż można kupić patent oficerski, choć kosztuje to coraz drożej. Poza tym pajace zdarzają się wszędzie. Nie myśl, że flota Republiki jest pod tym względem czysta.

– Gdyby była, przegrywalibyśmy ogromną większość bitew – zauważył trzeźwo Aidan. – Wiem, że i tam różnie bywa, liczą się koneksje i znajomości.

– Opowiedział panu o tym zapewne kapitan Bernhardt? – Hrabia uśmiechnął się krzywo. – Podczas słynnej libacji alkoholowej na pokładzie niszczyciela „Greese”?

Aidan zagryzł wargi. Niepotrzebnie naprowadził dostojnika na tę myśl.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, panie kapitanie – ciągnął senator – ile energii i poświęcenia włożył wiceadmirał Romero, żeby was uratować przed sądem wojennym. Zapewne zdaje pan sobie sprawę, że nasz drogi Gonzaga miał zamiar wysłać was wszystkich do karnych kolonii na dożywocie za zdradę stanu. Dopiero kiedy Romero postawił na szali swój autorytet i zagroził podaniem się do dymisji, a przy tym wsparł go wielki inkwizytor, komisja dyscyplinarna skapitulowała.

– Wiedziałem, że była o to wojna, ale nie miałem pojęcia, że aż taka – powiedział Aidan.

– To teraz pan już wie. Flota nie może sobie pozwolić na utratę takiego oficera jak

Romero. To znakomity dowódca.

– I wspaniały facet – chlapnął Samuels, zanim zdążył się ugryźć w język.

– I wspaniały, jak to pan określił, facet – zgodził się Vesano. – A zdanie wielkiego inkwizytora także miało tutaj ogromne znaczenie. Przy czym, nie oszukujmy się, o ile Rodrigo Romero bronił was jako ceniący podwładnych dowódca i przede wszystkim dobry człowiek, to don Sebastian uczynił to z czystego wyrachowania. Lecz wysunął przynajmniej argument nie do przebicia – zarówno pan, jak i kapitan Berger oraz kapitan Guardado jesteście mu niezbędni, zatem zbrukany, przynajmniej zdaniem admirała Gonzagi, honor marynarki musiał ustąpić przed dobrem państwa.

Aidan przyglądał się grandowi nieco zdetonowany i zdumiony. Naprawdę spodziewał się dumnego, wyniosłego szlachcica, uważającego całą resztę ludzi za mierzwę u swych stóp, a przyszło mu rozmawiać z całkiem zwyczajnym mężczyzną. No, może nie tak do końca zwyczajnym, bo dało się w nim dostrzec dostojeństwo, ale na pewno nie pasował zupełnie do powszechnego wyobrażenia o wysokim urzędniku cesarskim. Lecz, z drugiej strony, mógł sobie też wyobrazić tego człowieka w sytuacji, kiedy okazuje rozmówcy wyższość i zachowuje się jak archetyp szlachcica. Po prostu był na tyle mądry, aby wiedzieć, jak należy rozmawiać z ludźmi.

– Przejdźmy jednak do rzeczy – hrabia Vesano porzucił lekki ton pogawędki. – Chodzi, jak się pan zapewne domyślił, o mojego syna.

Aidan tylko kiwnął głową. To nie wymagało komentarza ani odpowiedzi.

– Bardzo pana dziwi, kapitanie, że chcę, aby służył na pańskim okręcie?

– Nie będę ukrywał, że zastanawiałem się nad tym, señor, i nie do końca rozumiem pański zamysł. To ma być kara dla niego czy dla mnie?

Senator roześmiał się.

– Być może dla was obu. Nie zapomniałem, że to właśnie pan aresztował Ruiza, i jako ojciec mam o to żal. Ale też posiadam na tyle jeszcze sprawny umysł, żeby pamiętać, za co ten kretyń został skazany. Nielegalny handel wodą w warunkach pustynnych od najdawniejszych czasów uważano za wyjątkowo niehonorowe przestępstwo. Właściwie gdyby kazał pan na miejscu rozstrzelać mojego syna, nikt formalnie nie mógłby mieć pretensji...

– I zapewniam, że każdego innego marynarza lub żołnierza kazałbym zastrzelić bez sądu – powiedział Aidan, patrząc rozmówcy prosto w oczy. – Uratowało go to, że jest synem wielkiego granda, a ja nie mam w sobie nic z szaleńca. Wbrew temu, co się o mnie opowiada – dodał po chwili.

– Bał się pan? – spytał hrabia z drwiącym półuśmiechem. – Nieustraszony kapitan Samuels bał się zadrzeć z wszechwładnym senatorem? O, to coś nowego. Jakaś rysa na pańskim charakterze, mój drogi.

Ten uśmieszek i lekceważący ton sprawiły, że Aidan zacisnął szczęki i poczerwieniał. W tej chwili stary hrabia mocno przypominał aroganckiego, nieskończenie bezczelnego Ruiza, pewnego siebie i swojej pozycji.

– Bał się pan o własny cenny tyłek? – ciągnął dalej Vesano. – A jednak nawet w duszy kogoś takiego jak pan, żywego pomnika odwagi, jest miejsce na mały, płaski strach... Co tam strach zresztą. Straszek zaledwie. To jak dziecięcy lęk przed ciemnym pokojem, w którym umarła babcia. Jak obawa przed czymś nieznanym i przez to groźnym...

Tego było dla Aidana za wiele.

– Posłuchaj, stary człowieku – wysyczał, nie panując już nad sobą. – Zaprosiłeś mnie tutaj,

żeby wpierv okazać łaskawość, a potem zgnoić?! Nie dam ci satysfakcji... señor... Masz pretensje, że aresztowałem twojego smyka? Że mu pociąłem arystokratyczną łapeńkę w pojedynku, który z założenia miał być nierówny? Otóż dowiedz się, że nie kazałem załatwić gnoja w trybie wojennym nie ze względu na moje bezpieczeństwo! Ale tam była także kapitan Berger, był dowódca kutra torpedowego, byli zwykli marynarze z patrolu. I nie tylko ja bym odpowiedział za śmierć oszusta! Uznałem, że jego nędzne życie nie jest warte, aby tylu ludzi padło ofiarą zemsty jaśnie pana hrabiego! Rozumiesz?!

W tej chwili zobaczył przemianę na obliczu granda. Znikł wyraz pogardy i wyższości, pojawiła się ta sama twarz, co na początku rozmowy.

– To właśnie chciałem usłyszeć, kapitanie – powiedział Vesano. – To właśnie spodziewałem się usłyszeć. A jeśli chodzi o pojedynek... Jak myślisz, czy don Sebastian nie przekazał mi informacji, żeś się chował na Sargemie? I że jesteś oswojony z właściwościami skóry jaszczurki corrina?

Aidan milczał, zaskoczony kolejną przemianą. Już rozumiał, że dał się podejść jak dziecko, i wcale mu się to nie podobało.

– Powiedz mi, panie Samuels – ciągnął hrabia – gdzie, twoim zdaniem, inkwizytor zdobył szpadę, której używałeś do ćwiczeń i w pojedynku?

Nad irytacją Aidana wzięło górę zaskoczenie.

– To była jego szpada... – powiedział niepewnie.

– Mylisz się. Don Sebastian oczywiście posiada w swoich zbiorach piękne sztuki broni, ale przecież nie wozi ich ze sobą. Jako duchownemu nawet mu to nie przystoi. Tak, mój drogi, otrzymałeś moją osobistą szpadę. Zraniłeś syna bronią ojca. Tym bardziej jestem wdzięczny, żeś go mocniej nie poharatał.

– Nie jestem rzeźnikiem – mruknął Aidan, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– I bardzo dobrze. A teraz, skoro się już na mnie nawydzierałeś i naobrażałeś starego, zasłużonego dla Cesarstwa senatora, pozwól, że przedstawię ci moją prośbę. I wytłumaczę, dlaczego tak bardzo mi zależy na tym, aby Ruiz wszedł w skład twojej załogi. Jak wiesz, po odbyciu kary, nawet biorąc pod uwagę to, że uległa kasacji, nie może objąć własnej jednostki, zanim nie odsłuży co najmniej roku na niższym stanowisku.

– Może go pan przecież umieścić na dowolnym pancerniku. Odpęka tam przepisany prawem czas i dostanie własną łajbę. To przecież...

Zamilkł, widząc zaciśnięte w gniewną kreskę wargi granda.

– Kapitanie – rzekł po chwili Vesano głuchym głosem – myślałem, że już się pan zorientował, iż nie ma do czynienia z zadufanym w sobie paniątkiem. To, że wyciągnąłem szczeniaka z więzienia, że skorumpowałem w tym celu, kogo należało, a kogo było trzeba, zastraszyłem, nie oznacza jeszcze, że odpuściłem gówniarzowi wstyd, jaki przyniósł całej rodzinie. W tej chwili udało ci się obrazić mnie naprawdę.

Aidan patrzył przez chwilę na rozsierzonego granda. Tak musieli wyglądać jego przodkowie, gdy szykowali się do bitew, odbijając Hiszpanię z rąk arabskich. Gniew i duma.

– Przepraszam, señor – powiedział, a raczej mu się to wyrwało. – Mam niewyparzoną gębę. Proszę o wybaczenie, rzeczywiście oceniłem pana niesprawiedliwie.

Vesano przyglądał mu się uważnie, a potem jego oblicze rozjaśnił przekorny, prawie chłopiący uśmiech.

– No, no – powiedział. – Szczerze przeprosiny z ust niepokornego Aidana Samuelsa. Niewymuszone przeprosiny... Muszę powiedzieć, że warto było się rozgniewać i ścierpieć

zniewagę, aby to usłyszeć.

Aidan pokręcił głową z niedowierzaniem. Ten arystokrata wymykał się jego pojmowaniu klasy rządzącej. Zawsze miał do czynienia z wyniosłymi bałwanami, którzy cały świat uważali za nic. Ten wydawał się inny. Wielka szkoda, że syn nie poszedł w ślady ojca.

– No dobrze. – Hrabia odetchnął głęboko. – Przejdźmy może jednak do rzeczy, bo jakoś nie możemy dotrzeć do celu tej rozmowy. Zaczynam rozumieć, co miał na myśli don Sebastian, ostrzegając mnie, że masz wrodzony dar rozpraszenia i rozdrażniania przeciwnika, chłopcze.

– Przejdźmy do rzeczy – zgodził się Aidan.

– Ale najpierw może jednak usiądziesz. – Hrabia wskazał stojące w kącie gabinetu fotele ze skóry i mały stolik. – To, o co chcę cię prosić, jest sprawą absolutnie nieformalną. A poza tym wydaje mi się, że nie tylko mnie już zaschło w gardle.

Odwrócił się do biurka, położył rękę na płycie. Po chwili wszedł kamerdyner-bodyguard.

– Przynieś nam dobrej kawy i coś mocniejszego. Kapitanie, czego by się pan napił? Whiskey, rum, koniak, wino?

– Whiskey nasza, imperialna? – spytał Aidan, krzywiąc się. Usiadł i stwierdził, że fotel nie jest pokryty skórą, ale produktem syntetycznym. Jak widać, senator był konsekwentny, nie przesadzając z przepychem w swoim otoczeniu.

– Ależ skąd! – oburzył się hrabia. – To marka, jaką uraczył pana kapitan Bernhardt podczas sławetnej popijawy, ale chyba nawet lepsza. Dwudziestopięcioletni Rage of Gods, tyle że nie z dębowych beczek, ale dojrzewający w tykwach z drzewa rampolis.

– W takim razie poproszę whiskey.

– Słyszałeś, Jorge – powiedział Vesano. – Przynieś całą butelkę i jeszcze jakieś delikatne przekąski. Nie należy psuć smaku takiego trunku zbyt wyrazistym jedzeniem.

Aidan z zadowoleniem obserwował, jak wydłuża się i bez tego mocno już końska twarz umięśnionego fagasa, a potężna szczeka wysuwa się groźnie do przodu.

Właśnie zyskał nowego wroga. Ale ten nie mógł zbyt wiele.

* * *

– Pusto, Wasza Ekscelencjo – powiedział Sułtan.

– Pusto? – Lerma zmarszczył brwi. – Przed chwilą dostałem raport, że dwie jednostki astronomiczne przed nami są ślady walki. Jakies szczątki, jakiś wrak...

– Zgadza się – potwierdził kontradmirał. – Ale nic poza tym. Ani śladu grupy Samuela, ani piratów.

Lerma odetchnął z ulgą.

– Zatem musieli odlecieć. Ciekawe tylko, czy spotkali się z okrętami Republiki.

– Wśród szczątków nie ma nic, co by można zidentyfikować jako pozostałości jednostek wroga. To znaczy są jakieś fragmenty republikańskiego kutra raketowego, ale przecież nie wysłali tutaj takiego małego okrętu, więc musi być piracki. Widzę też sygnatury krążownika typu Hercules. Wyszły z linii dobre dziesięć lat temu, używa się ich bardzo rzadko, głównie do osłony mniej ważnych kolonii albo jako pośledniejsze eskortowce. No i mają je także piraci. Poza tym wszystkie sygnatury są tak stare, że musiały zostać nadane okrętom przed wielu laty.

– To chyba dobrze – zauważył pierwszy oficer.

– Chyba tak. – Inkwizytor pokiwał głową. – Pytanie tylko, gdzie się podziali.

– Zawsze możemy nawiązać łączność nadprzestrzenną – zasugerował Sułtan. – Skoro „Sirene” została wyposażona w radiostację splątaniową...

Don Sebastian zacisnął zęby i odpowiedział po chwili:

– Wolałbym, aby w Bazie Głównej Floty Kosmicznej Jego Cesarskiej Mości nikt nie wiedział, że musimy poszukiwać grupy zadaniowej taką drogą...

Mówił coraz wolniej, widząc błysk w zmrużonych oczach Sułtana. Znał ten ich wyraz. Szczwany lis domyślał się czegoś.

– Rozumiem, że zaczęły się jakieś gierki w łonie Świętej Matki Kościoła – powiedział kontradmirał. – Ale czy na pewno nie kazał pan, Ekscelencjo, połączyć radiostacji Aidana z centralą inkwizycji?

– Słucham? – Lerma zmarszczył brwi. – O czym mowa?

– Proszę nie udawać niewiniątka – prychnął Sułtan. – Przecież macie własną centralę splątaniową, niezależną od wojskowej, a nawet cesarskiej. Proszę tak na mnie nie patrzeć, bo to od dawna nie jest tajemnica.

– Widać mam swoje powody, aby w tej chwili nie korzystać z takiej łączności – burknął inkwizytor.

– Zapewne. – Sułtan nie zamierzał łatwo rezygnować. – Pytanie tylko jakie.

– Chce pan o tym dyskutować na mostku, admirale? – Lerma uśmiechnął się krzywo. – Przy swoich oficerach? Proszę bardzo. Tylko że po powrocie wszyscy będą musieli przejść gruntowną resocjalizację...

Teraz wargi Gutiereza zacisnęły się mocno. Doskonale wiedział, na co stać inkwizycję ogólnie i don Sebastiana w szczególności. Resocjalizacja oznaczała w tym przypadku zesłanie wszystkich do karnych kolonii, położonych na najbardziej nieprzyjaznych globach, o których na co dzień mało kto pamiętał i o które nikt nie dbał. Zapomniane praktycznie światy. Wracało się stamtąd rzadko, a nawet jeśli, to niekoniecznie w pełni władz umysłowych.

– Proszę o wybaczenie – powiedział Sułtan, z trudem pokonując sztywność szczęk. – Rzeczywiście, chyba się trochę zapędziłem.

Najgorsze, że to była prawda. Absolutnie i pod żadnym pozorem nie powinien omawiać przy oficerach spraw dotyczących racji stanu i ryzykować zdrady tajemnic państwowych.

Lerma skinął łaskawie dłonią, a przez głowę kontradmirała przeleciała myśl, którą trudno by nazwać godną prawdziwego chrześcijanina. Nie myśl nawet, ale obraz – wielki inkwizytor leżący w kałuży krwi i błagający o litość, wpatrzony w lufę standardowego pistoletu abordażowego. Grzybujący najpierw, a potem rozsypujący się na drobiny pocisk zamieniłby ten wspaniały, sprawny mózg w krwawy strzęp. Ta fragmentacja pocisku zapobiegała uszkodzeniom poszycia kadłuba podczas zajmowania nawet małych, nieopancerzonych jednostek, ale w ludzkim ciele powodowała koszmarnie rany. Była zresztą zakazana co najmniej pięcioma konwencjami, ale akurat na to żadna ze stron konfliktu nie zwracała uwagi. Ważniejsze wszak przejąć jak najmniej uszkodzoną jednostkę, niż przejmować się zdrowiem i życiem marynarzy wroga.

– Wystarczy tych krwistych fantazji, admirale – rzekł Lerma, a Sułtan poczuł dreszcz przerażenia pełznący wzdłuż pleców. – Pomarzyć pan może, ale nawet marzenia muszą mieć jakąś w miarę racjonalną podstawę.

Gutierrez jeszcze mocniej zacisnął zęby. O zdolnościach inkwizytorów krążyły liczne plotki, a niektóre przypominały po prostu legendy, ale kontradmirał po raz kolejny przekonał się, że potrafią oni czytać w myślach. A przynajmniej ten tutaj. I nieważne było, czy ta zdolność wynika z jego wewnętrznego potencjału, z nadzwyczajnej wrażliwości umysłu, czy też jest skutkiem wybitnej spostrzegawczości, umiejętności analizy danych, a przede wszystkim

światłej znajomości ludzkiej psychiki. Magia czy nauka... Na pewnym poziomie to nie miało po prostu znaczenia.

Kiedyś rozmawiał o tym z Samuelem i Amandą, ale dla nich fakt, iż don Sebastian potrafił czytać w człowieku jak w otwartej księdze, zdawał się niewiele znaczyć. Zazdrościł im, bo jemu to niesłychanie przeszkadzało. Może niefrasobliwość kapitanów wynikała z tego, że w zasadzie mieli niewiele do stracenia. On posiadał status niewolnika, funkcję kapitana okrętu sprawował tylko dzięki wstawiennictwu potężnego dostojnika. Ona – po koszmarnym napromieniowaniu jej okrętu – miała w środku więcej sztucznych tkanek niż umierający od eksperymentów laboratoryjny szczur. Takim ludziom zazwyczaj na niczym specjalnie nie zależy. Lecz jemu zależało. Otwierała się przed nim obiecująca kariera. Nie był typem straceńca, jak ci wariaci na małych i średnich okrętach. Nigdy zresztą nie służył na takich łupinach. Miał w życiu szczęście i nie zamierzał go marnować. Dla tych dwojga dowodzenie okrętem klasy niszczyciela stanowiło szczyt możliwości, on już poszedł wyżej, a zamierzał skończyć za parę lat w Sztabie Generalnym Floty Kosmicznej Jego Cesarskiej Wysokości.

– Nie wiem, o czym pan mówi, Ekscelencjo – wydusił wreszcie po kilku sekundach. Zabrzmiało to fałszywie, a milczenie było zbyt długie, przez co stało się niezręczne.

– Doskonale pan wie – odparł Lerma. – Ale to już nieważne. Najważniejsze, że dotarło do pana, iż nie można przede mną niczego ukryć. Dosłownie niczego. Nie rozumiem tylko, dlaczego pan o tym wciąż zapomina.

Sułtan nie odpowiedział. Lepiej milczeć w takiej sytuacji. Wszelkie obłudne protesty lub tłumaczenia tylko pogorszyłyby sprawę, a w dodatku świadkami rozmowy byli jego podwładni.

– Pusto, powiedział pan... – Lerma wrócił do początku rozmowy.

– Tak – potwierdził Sułtan, zadowolony, że skończyli tę przepychankę.

– W takim razie proszę przeczesywać przestrzeń w poszukiwaniu naszej ekspedycji.

– Użycie aktywnych skanerów zostanie na pewno wykryte przez piratów – zaproponował Sułtan. – Co jak co, ale bazy nasłuchowe mają bardzo sprawne, najlepsze z możliwych, a przynajmniej z tych, jakie są w stanie zdobyć.

– Admirale, czyżby obawiał się pan walki? – Lerma uśmiechnął się krzywo.

Sułtan poczerwieniał, a potem odparł z wymuszonym spokojem:

– Chodzi mi o bezpieczeństwo Waszej Ekscelencji. Bardzo bym nie chciał narażać wielkiego inkwizytora...

– Proszę nie błaznować – uciął ostro don Sebastian.

– Nie błaznuję – odpowiedział ponurym tonem kontradmirał. – Nie żarty mi w głowie.

Wyobraża pan sobie, Ekscelencjo, co bym usłyszał od admirała Gonzagi i wielkiego szambelana, gdyby się dowiedzieli, iż wystawiam pana na niebezpieczeństwo?

– Ani Gonzaga, ani Sareza nie dowiedzą się, że zostałem na nie świadomie wystawiony. To po pierwsze. A po drugie, przestań już pieprzyć, drogi Sułtanie, i zajmij się tym, co potrafisz najlepiej. Weź się za dowodzenie.

„Dowodzenie pod rozkazami wielkiego inkwizytora” – pomyślał Gutierrez, odwracając wzrok, żeby Lerma nie dostrzegł wyrazu jego oczu. „To jak wizyta w burdelu pod czułą opieką żony...”

Poczuł na sobie świdrujące spojrzenie dostojnika. Popatrzył na niego. Lerma zmrużył oczy, wyglądało na to, że chce coś powiedzieć, jednak zmilczał. Sułtan miał nieodparte wrażenie, że komentarz don Sebastiana dotyczyłby jego ostatniej myśli. Lecz pewności co do tego nie miał,

a to było chyba jeszcze gorsze niż wysłuchanie kolejnej uszczypliwości. Ten cholerny dominikanin potrafił działać na nerwy jak nikt inny.

– Zaraz wydam odpowiednie rozkazy – powiedział kontradmirał.

Rozejrzał się po przestronnym mostku, który w towarzystwie dostojnika wydał się nagle dziwnie ciasny. Nie wiedział tylko, czy chodziło o jego nazbyt wybujałą osobowość, czy o rozległe ego inkwizytora. Po zastanowieniu uznał, że oba czynniki są tu równie istotne.

Pancerny obłok

– Panie mój i władco, Jego Ekscelencja Rudolf Coregia prosi o wysłuchanie jego sprawy. Urzędnik, odziany w kapiący od złota strój, skłonił się nisko przed cesarzem. Żałował, że to nie posłuchanie zdalne, bo w przypadku transmisji hologramu władcy nie zachodziła potrzeba zatrudniania ochrony. To by oszczędziło wiele zachodu pracownikom Departamentu Bezpieczeństwa, a także czasu potrzebnego na obowiązkowe gruntowne przeszukiwanie i przebadanie petenta.

– Szambelanie – odpowiedział cesarz – poproś arcybiskupa, niech wreszcie wejdzie i zajmie miejsce... – Władca rozejrzał się po pomieszczeniu. – Nie ma tutaj żadnego fotela oprócz mojego tronu?

– Zaraz każę jakiś dostarczyć – rzekł szybko urzędnik.

Cesarz zmarszczył groźnie brwi, ale po chwili już się rozchmurzył.

– Nie trzeba, niech sobie postoi nasz miły gość. Może to sprawi, że nie będzie gadał tyle co zwykle.

– Kiedy, miłościwy panie, gwardziści wciąż jeszcze go sprawdzają, zgodnie z procedurami...

– Bez przesady! – zirytował się monarcha. – Kto jak kto, ale Coregia chyba nie przemycił trucizny w zębie i wyrzucił rakiety w tyłku, żeby mnie załatwić jak nie jednym, to drugim końcem, co? Niech mu już dadzą spokój, chcę mieć to wreszcie za sobą.

Szambelan zniknął za drzwiami w mgnieniu oka, a po chwili wszedł arcybiskup. Na widok cesarza, zasiadającego na bogato rzeźbionym, lecz zarazem gustownie wykonanym z retuliańskiego hebanu tronie, skłonił się krótko, lecz z szacunkiem i rozejrzał w poszukiwaniu jakiegoś siedziska dla siebie. Kiedy żadnego nie dostrzegł, przez jego twarz przeleciał przykry grymas. Zaraz się jednak opanował.

– Przepraszam, że zakłócam spokój Waszej Cesarskiej Mości – rzekł. – Jednak sprawa, z którą przychodzę, jest bardzo pilna i ważna. A przynajmniej taka wydaje się w moich niegodnych oczach. Zdaję sobie sprawę, rzecz jasna, iż monarcha całego naszego imperium ma ważniejsze sprawy na głowie niż wysłuchiwanie jakiegoś tam biskupa...

– Przestań pajacować, Ekscelencjo – uciął cesarz. – Czasu nie mam w nadmiarze, i owszem, tym bardziej szkoda mi go na wysłuchiwanie tych wszystkich ceremonialnych bzdur. Nie jesteśmy na posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego, tylko w moich prywatnych apartamentach. Wyłuszczaaj, co to za niecierpiąca zwłoki sprawa.

Arcybiskup milczał przez dłuższą chwilę.

– Trudno mi mówić takie rzeczy o mym bracie z zakonu dominikanów – zaczął – lecz jest coś, co nie powinno pozostawać poza wiedzą cesarza. – Znów zamilkł i podjął dopiero, kiedy Maksymilian wykonał niecierpliwy gest. – Na pewno nie wiecie, najjaśniejszy panie, że kazał on torturować własnego sekretarza. Podobno torturował go nawet osobiście. Nakazał też uciąć mu rękę. Włos się jeżył na samą myśl.

Cesarz patrzył na dostojnika.

– Wielki inkwizytor najwyraźniej miał swoje powody – rzekł po chwili. – Chcesz mi powiedzieć, arcybiskupie, że uczynił to dla zabawy? To by było naprawdę przerażające.

– Obawiam się, iż rzeczywistość jest jeszcze gorsza, Wasza Cesarska Mość. Istnieją dwie możliwości, obie jak najgorzej świadczące o don Sebastianie, co muszę zauważyć z prawdziwym żalem.

Cesarz słuchał z kamienną miną. Jeśli arcybiskup Rudolf miał coś przeciwko swojemu odpowiednikowi w pionie inkwizycji, z pewnością zauważał to bez najmniejszego żalu, a wypowiadał z ogromną, choć maskowaną satysfakcją.

– Mów, Ekscelencjo – zachęcił dostojnika monarcha. – Jakież to są możliwości?

– Pierwsza jest taka, że kierowała nim niechęć do własnego sekretarza. A może nie tyle jego osobista niechęć, co zaufanego człowieka, dowódcy gwardii inkwizytora. Jeśli uległ podszeptom tego człowieka, to znaczyłoby, iż stracił własne rozeznanie, a trudno sobie wyobrazić coś gorszego u osoby na takim stanowisku.

– Rzeczywiście – zgodził się cesarz. – A jaka jest ta druga możliwość?

Arcybiskup przełknął ślinę, zanim odpowiedział.

– Zdrada – rzekł wreszcie bardzo cicho.

– Słucham? – spytał z niedowierzaniem Maksymilian.

– Zdrada – powtórzył głośniejszym hierarcha. – Egberto Contador, sekretarz wielkiego inkwizytora, był wiernym sługą Waszej Cesarskiej Mości...

– Jak rozumiem, to był twój człowiek, umieszczony przy Lermie – podsumował trzeźwo Maksymilian.

– Nie mój. Nigdy bym się nie ośmielił działać w ten sposób. Ale przyjaźnię się z generałem jezuitów, Sergiem Sarusem. To on w zatroskaniu wyjawiał mi pewne tajemnice.

– A zatem mamy już trzecią stronę – przerwał dostojnikowi cesarz. – Frakcję Ojca Gabriela, bo przecież to Saruso stoi obecnie na jej czele, prawda? Nie patrz na mnie, arcybiskupie, jakbyś zobaczył gadającego psa. Cesarz także posiada swoje źródła informacji. Jak rozumiem, gabrieliści stali się twoimi sprzymierzeńcami. To bardzo interesujące. Ale mów, mów...

– Och, doprawdy, niewiele mnie z nimi łączy poza znajomością z Sergiem – zaprotestował arcybiskup. – Lecz w obliczu tego tajemniczego zagrożenia, które się pojawiło w kosmosie, powinniśmy się jednoczyć.

– Tak powiadasz, Ekscelencjo? – Cesarz zadumał się na chwilę. – Lecz z tego, co mi wiadomo, Frakcja Ojca Gabriela jest przeciwna jakimkolwiek ingerencjom w to, co się dzieje w przestrzeni. Przecież to skrajni kreacjoniści, dla nich wszystko, co się dzieje w naturze, jest zgodne z boskim zamysłem, a gdyby im pozwolić, cofnęliby genetykę i cybernetykę o kilkaset lat. A genetykę cybernetyczną w ogóle zlikwidowali.

Arcybiskup pokiwał głową.

– Muszę powiedzieć, że ich rozumowanie w tym względzie nie zgadza się z moimi poglądami, lecz trzeba im przyznać, że mają znakomity wywiad i najlepsze informacje.

– A zatem postanowiłeś się z nimi sprzymierzyć przeciwko Lermie – mruknął cesarz. – Robi się interesująco.

– Ależ skąd! – zapewnił gorliwie arcybiskup. – Wcale nie przeciwko inkwizytorowi! Ale, jak uczy Pismo Święte, należy oddzielać zgniłe owoce od zdrowych.

– No dobrze – powiedział cesarz. – Ale czego ode mnie oczekujesz, ty i twoi... powiedzmy, sprzymierzeńcy.

– Zezwolenia na prowadzenie odpowiednich dochodzeń, najjaśniejszy panie. Nie wolno nam działać w takich kwestiach bez zezwolenia cesarza.

– Zdajesz sobie sprawę, Ekscelencjo, że muszę zasięgnąć w tym względzie opinii Rady Cesarskiej.

– Nie musicie, Wasza Cesarska Mość – odparł Coregia.

Cesarz lekko poczerwieniał, pochylił się do przodu. W tej chwili arcybiskup, stojący u stóp podwyższenia, wydawał się dziwnie mały, ale Maksymilian wiedział, że to tylko pozór. Dostojnik był potężnym człowiekiem, w istocie rzeczy jednym z najbardziej wpływowych w całym Cesarstwie. Z kimś takim należało się liczyć zawsze i wszędzie, niezależnie od okoliczności i stanowiska, nawet jeśli się było władcą całego imperium. Dlatego cesarz wypuścił powietrze i powstrzymał ostre słowa.

– Znam prawo, Ekscelencjo – powiedział głosem, w którym drżał skrywany gniew. – Mogę nie wiedzieć, jaka dokładnie kara grozi za kradzież tytanowego świdra w kopalni na Marsie czy Tytanie, ale uregulowania zasadnicze mam w pamięci.

– Wybaczcie, najjaśniejszy panie. – Arcybiskup skłonił głowę. – Nie chciałem podawać w wątpliwość waszych kompetencji, które są absolutnie niepodważalne. Po prostu jest pewna zasada, która pozwala w podobnych przypadkach uniknąć zwoływania Rady, nawet jeśli rzecz dotyczy tak wysokiego urzędnika, jak don Sebastian Lerma. Tak naprawdę, aby podjąć przeciwko niemu działania, powinniśmy nawet powołać specjalną komisję Zgromadzenia Ogólnego. A na to, chyba się zgodzicie, Wasza Cesarska Mość, nie możemy sobie pozwolić. To by wykluczało dyskretne działanie...

– Wielka Rada i tajemnica – zaśmiał się krótko Maksymilian. – Toż to sprzeczność nad sprzecznościami i tylko sprzeczność. Co masz na myśli?

Arcybiskup wziął głęboki oddech. Widać było, że dla niego też nie jest to łatwa rozmowa.

– Wystarczy – wymamrotał – abyście, najjaśniejszy panie, tajnym edyktem uznali don Sebastiana za oskarżonego o zdradę stanu.

Twarz cesarza znów lekko poczerwieniała, znowu musiał powstrzymać wybuch gniewu.

– Słowem, mam go wyjąć spod prawa? – wysyczał, nie mogąc do końca się pohamować. – Bez dowodów?

– Są pewne przesłanki do poważnych podejrzeń. Wiecie, Wasza Cesarska Mość, gdzie wielki inkwizytor teraz przebywa?

– Nie wiem, zapewne gdzieś się udał w swoich sprawach. Audiencję ma wyznaczoną dopiero za dwa tygodnie.

– Otóż samowolnie rozdysponował majątkiem floty imperium i zabrał pancernik „Vincent”. Ja bym to nazwał nawet uprowadzeniem, bo kapitan liniowca miał zgoła inne zadanie, niż lecieć nie wiadomo dokąd na jedno skinienie Lermy. Nawet inkwizytor nie powinien w ten sposób nadużywać władzy.

W oczach arcybiskupa zapłonęły zimne iskry nienawiści. Cesarz przyglądał mu się przez długą chwilę, czekając, aż dostojnik się opanuje. W tym stanie mógłby powiedzieć zbyt wiele w obecności majestatu, a Maksymilian nie miał najmniejszej ochoty udawać, że czegoś nie dosłyszał, aby nie narażać autorytetu władcy.

– Najpierw oprawił nieszczęsnego sekretarza, a potem odleciał – dokończył wreszcie duchowny.

– Dokąd?

– Za wyprawą tych niszczycieli, które zostały wysłane w rejon kolonii piratów przy sigmie Errani. Tych samych, które za waszym przyzwoleniem miały się tam spotkać z ekspedycją Republiki, choć wyrażałem stanowczy sprzeciw na posiedzeniu Rady. Uważacie, najjaśniejszy

panie, że to nie jest podejrzane?

– Nie wiem. – Cesarz zmrużył oczy. – Zawsze miałem nieograniczone zaufanie do inkwizytora Lermi...

– Nieograniczone zaufanie stwarza pole do najzupełniej nieograniczonych nadużyć.

– Kiedy to się stało?

– Aresztował i torturował sekretarza dwa dni temu. Dokładnie trzydzieści siedem godzin. Najjaśniejszy panie, nie chodzi o to, aby don Sebastiana niszczyć. Jeśli się okaże, że podejrzenia względem niego są bezpodstawne, pierwszy poproszę go o przebaczenie. Sprawa jest zbyt poważna, aby ją lekceważyć.

– Muszę się zastanowić. – Na twarzy monarchy pojawiła się rozterka.

Arcybiskup uśmiechnął się lekko pod nosem. Myślał, że Maksymilian Szesnasty przyjmie to wszystko o wiele gorzej, że zirytuje się, słysząc oskarżenia kierowane przeciwko osobie stanowiącej jeden z filarów państwa. Ale, jak widać, kropla drąży skałę, a słowo rozum. Całe lata podszeptywania Jego Cesarskiej Mości negatywnych opinii o Lermie, bardzo zintensyfikowanego w ostatnich miesiącach, zrobiły jednak swoje. Nawet jego kochanki wyrażały takie poglądy, choć w sposób bardzo zawoalowany i bez ostentacji. W decydującym momencie okazało się, że grunt został należycie przygotowany.

No i szczęście, że rządził w tej chwili Maksymilian, szesnasty tego imienia. Jego świętej pamięci ojciec nigdy by nie wydał takiego edyktu jedynie na podstawie mocno teoretycznych przesłanek.

* * *

– No to mamy przesrane – stwierdził Aidan. – Cholera, gdyby płacili mi pół reala za każdym razem, kiedy to mówię, dorobiłbym się już własnej farmy, i to nie w zasranej odległej kolonii, ale nawet na Marsie.

Nikt nie skomentował jego słów. Wszyscy obecni na mostku myśleli mniej więcej to samo. Okazało się bowiem, że głównego działa rentgenowskiego nie da się naprawić w warunkach polowych. Doborowa ekipa Callahana okazała się bezradna.

– Nie ma na pokładzie takiej drukarki, która byłaby w stanie odtworzyć uszkodzone części, kapitanie.

– Nic nie dasz rady zrobić? Nawet twoje słynne złote rączki i diamentowe palce nie pomogą?

– Wiesz, stary – rzekł poufale Rodrigo – że sporo rzeczy działa na naszym dzielnym okręcie tylko na klej, nanonici, a nawet dosłownie sznurek. Porządny drut to już bywa rarytas. Lecz tym razem się nie uda. Działo główne to cholerna konstrukcja. Nie żeby była jakoś szczególnie skomplikowana, ale jest jednak dość trudna w serwisowaniu. Idzie nawet o dostęp do ważniejszych podzespołów. Same osłony lamp plazmowych zdejmowaliśmy prawie dwanaście godzin, tyle oprzyrządowania trzeba przy okazji rozebrać, a przy tym uważać, żeby czegoś nie uszkodzić dodatkowo. Normalnie zajmują się tym wyspecjalizowane roboty i nanoboty. W dodatku ta cholerna armata nie powinna się w ogóle psuć. Oczywiście jeśli podzespoły należycie działają.

– A tu się przegrzewały – mruknął Aidan.

– To nawet nie tak. O tym przegrzewaniu się Shader powiedział tylko umownie. Wiesz, jak to cholerstwo działa?

– Coś mi tam kiedyś Robert próbował tłumaczyć przy kielichu, ale posłałem go do diabła.

Co mnie to obchodzi? Wiem, jakie są skutki ostrzału tym głównym, i to mi wystarczy. Niszczyciel nie dysponuje laserem o większej mocy. Została nam właściwie tylko broń średnia.

– I wyrzutnie kinetyczne – uzupełnił szef zespołu naprawczego. – Niewiele ustępują rentgenowi przy dobrym trafieniu.

– Doskonale wiesz, że ustępują jednak celnością, a możliwość ich użycia ogranicza ilość amunicji.

Callahan tylko machnął ręką. Nie miał co odpowiedzieć. Okręt nie był oczywiście bezbronny, ale to główna broń stanowiła o jego sile, szczególnie podczas takiej ekspedycji, kiedy nie mogli liczyć na wsparcie wielkich jednostek. Promień lasera rentgenowskiego był w stanie wnikać w materię o wiele głębiej niż dział o innych widmach. Zresztą samo określenie „laser rentgenowski” także nie oddawało do końca rzeczywistości, było uproszczeniem. Działał w nieco szerszym zakresie niż zwykłe wyrzutnie promieniowania elektromagnetycznego, służące do celów naukowych i używane w przemyśle.

– Co się tak właściwie stało? – spytał po chwili Aidan.

– Ogniwa zasilające uległy stopieniu. Nie sam laser się przegrzał, bo to w zasadzie niemożliwe, ale oprzyrządowanie. Lampy plazmowe trzasnęły, puściły zabezpieczenia i nastąpił wyciek, cholerna spirala chłodnicy praktycznie przestała istnieć, a obie centryfugi wpadły w wibracje i rozleciały się na wszystkie strony, rozpieprzając osłony. Gdyby dział nie było używane tak intensywnie podczas tej bitwy, to coś tam byśmy pewnie połatali na ślinę. Ale tak... Pod pokrywą wygląda, jakby wpadł tam jebnięty technik z wielką spawarką mieczową. Jedna masa się zrobiła, nawet pierdolony starożytny szkocki haggis nie jest tak przemielony i popieprzony jak ten sprzęt. Tylko tyle, że śmierdzi spaloną techniką, a nie baranim łojem i flakami. W zasadzie najprościej byłoby wymienić całe działło, bo remont jak nic okaże się droższy niż nówka sztuka. W dodatku główne zasilanie sekcji artylerii też nieźle oberwało od fluktuacji napięcia, więc pozostałe działa mniejszej mocy będą się ładować dłużej niż normalnie.

Aidan miał do powiedzenia tylko jedno:

– Kurwa mać.

Callahan musiał się z nim zgodzić. Dorzucił tylko od siebie jakieś baskijskie przekleństwo, którego znaczenia Samuels nie rozumiał, ale które brzmiało wyjątkowo paskudnie.

– Mamy przesrane jak cholera. – Nie mógł się powstrzymać, żeby znów tego nie powiedzieć.

– Panie szyper, chce pan zarobić na premię? – spytał Martinez. – Znaczy, że tak powtarza o tym przesraniu.

Aidan spojrzał na niego ciężkim wzrokiem, lecz Diego się tym specjalnie nie przejął. Jak zazwyczaj zresztą.

– Ty się módl, żeby nam nie przyszło znów walczyć z tymi bandziorami – mruknął kapitan. – Wszyscy się módlcie. Bo jak się zorientują, że straciliśmy parę przednich zębów, to właśnie na nas skupią ogień.

– Przydałby się okręt remontowy – mruknął Farlan.

– Jasne – prychnął Aidan. – Już widzę, jak wysyłają cenną łajbę za paroma takimi krypami jak nasze. A poza tym... Rodrigo twierdzi, że naprawy można dokonać tylko w dużej stoczni, remontowiec też wiele by nie pomógł.

W tej chwili na mostek wpłynął Shader.

– No, już wiesz wszystko – sapnął. – Z porządnego niszczyciela staliśmy się co najwyżej zasraną fregatą artyleryjską.

– Jaki mamy zapas pocisków kinetycznych? Wystarczający? – zapytał Aidan.

– Odbiło ci? – prychnął Robert, nie zważając na obecność łącznościowca i bosmanów z nasłuchu i osłon. – Wystarczający to może być zapas na krążowniku. My nie mamy miejsca na tyle tego syfu. Zawsze jest go za mało, jeśli już przyjdzie cholerstwa używać!

Aidan skrzywił się. Oczywiście wiedział, jak wygląda sytuacja w magazynach, ale miał nadzieję, że Shader wleje w jego serce chociaż odrobinę otuchy. Jak mógł zapomnieć, że oficer uzbrojenia jest ostatnią osobą, która z radością niosłaby pocieszenie i ukojenie bliźnim? Teraz też wydawał się mieć ponurą satysfakcję z tego, co się stało.

– Ostrzegałem, żeby oszczędzać tę pierdoloną armatkę – powiedział.

– Ostrzegałeś, poruczniku – odparł lodowatym tonem Aidan. – Ale sam widziałeś, co się działo. Muszę ci tłumaczyć, dlaczego postawiliśmy wszystko na jedną kartę?

– Dobra, nie wściekaj się – mruknął Shader. – Będziemy się martwić, jak nam przypieką dupsko. Na razie spieprzyli tak daleko, że nawet nasz nietoperz Mario nie może ich namierzyć. – Wskazał ruchem brody Costę, nudzącego się na swoim stanowisku. Zapewne najchętniej wróciłby do swojego królestwa położonego z tyłu okrętu, w tronie. Jednak alarm czwartego stopnia nie został odwołany, więc tkwił przy konsoli na mostku. Podobnie sytuacja miała się z Arminem van den Broekiem, który po raz tysięczny sprawdzał stan osłon, żeby nie zacząć wyc z nudów.

Aidan w zasadzie mógł ich odesłać, nie byli mu teraz do niczego potrzebni, ale uznał, że skoro on się męczy z tą całą porąbaną sytuacją, to niech jego podwładni też nieco dotkliwiej niż zwykle poczują opór materii. To nie miało oczywiście najmniejszego sensu, dlatego tym mocniej się upierał, żeby byli pod ręką.

Krażyli na obrzeżach Obłoku Oorta układu sigmy Errani. Nie pozostawali w jednym rejonie nawet na kilka godzin, przemieszczali się, parę razy korzystając także z napędów nadprzestrzennych. Mogli sobie na to pozwolić, bo tym razem zapasy antimaterii zostały uzupełnione jak należy, zarówno na okrętach Cesarstwa, jak i Republiki. Aidan śmiał się, że kwatermistrze musieli płakać rzewnymi łzami, nie mogąc urwać nic na boczku, zdefraudować nawet atomu cennej substancji.

– Po naszej stronie gapił im się na łapska rękodajny wielkiego inkwizytora – powiedział Bernhardtowi, kiedy rozmawiali na prywatnym kanale, ustalając dalsze ruchy w zmienionej sytuacji. – Nawet tak bezczelny typ jak major Veresco nie odważyłby się czegoś zachachmęcić, bo don Sebastian urwałby mu jaja i wsadził w dziurki od nosa.

Bernhardt pokiwał tylko głową.

– U nas było podobnie. Uzupełniania zapasów pilnował osobiście Najwyższy Komisarz Senatu Republiki. Kwatermistrz gryzł paluchy ze złości, a ja miałem naprawdę świetną zabawę, patrząc, jak go skręca.

Aidan westchnął ciężko. Jak widać, los zwykłego kapitana był bardzo podobny po obu stronach barykady. Stwierdził to już podczas poprzedniego bliskiego spotkania z okrętami wroga, a teraz się tylko utwierdził w tym przekonaniu.

Spojrzał na zegar. Do następnego manewru wejścia w nadprzestrzeń pozostało dziesięć minut.

– Norman, zaraz po wyjściu z nadświetlnej połączenie ze wszystkimi dowódcami.

– Naszymi czy Republiki też? – uściślił Farlan.

– Posłuchaj, chłopcze, jeśli jeszcze nie zauważyłeś, to działamy razem z nimi. Miało być inaczej, ale wyszło, jak wyszło, tworzymy jedną grupę bojową, bo inaczej nie przetrwamy. Zatem aż do odwołania, kiedy proszę o połączenie ze wszystkimi, mam na myśli wszystkich. Dotarło?

– Tak jest, panie kapitanie.

Aidan usadowił się wygodniej, czekając na alarm przed manewrem. Mógł chwilę pomyśleć, bo całość zadania spoczywała teraz na Martinezie, a jego nie musiał pilnować. Przynajmniej w tych chwilach, kiedy chłopak siedział przy swoich konsolach, otoczony wyświetlaczami.

* * *

Stacja klasztorna Rojanno zbliżała się powoli. Lopez z najwyższym trudem bronił się przed snem, przecierał co chwila oczy. Od kiedy don Sebastian powierzył mu pieczę nad więźniem, nie zmrużył oka. Dobrze, że inkwizytor załatwił im transport przez miniportal, bo inaczej podróż trwałaby nie kilkadziesiąt godzin, ale dobre dwa tygodnie.

Diakon kilka razy miał okazję podróżować przez małe portale, służące do transportu szczególnie ważnych ładunków, które powinny być dostarczone praktycznie natychmiast. Budowano je w obszarze wewnętrznym imperium, gdzie mnogość kolonii oraz zamieszkałych globów była o wiele większa niż w dalekiej przestrzeni.

Taki miniportal stanowił kompromis między wielkimi konstrukcjami a zwykłym napędem nadświetlnym. Przerzucenie statków trwało błyskawicznie, choć odległości były stosunkowo nieduże w porównaniu z wielkimi portalami, ale dzięki temu dawało się uniknąć niepożądanych zjawisk towarzyszących skokom przez pełnowymiarowe konstrukcje, które to zjawiska mogłyby stanowić spore zagrożenie w zamieszkanym obszarze. Potężne promieniowanie generowane podczas skoku musiało znaleźć gdzieś ujście, a jego neutralizacja była bardzo kosztowna, nie wspominając już o tym, że również mocno problematyczna. A poza tym w miejscu wyjścia przerzucanego obiektu tworzyła się dość poważna anomalia grawitacyjna, utrzymująca się nawet dwa tygodnie. W pustych obszarach można ją było pominąć i w razie czego ominąć, ale nie tam, gdzie przebiegały szlaki kosmiczne i znajdowały się cenne obiekty. W przypadku miniportalu zarówno promieniowanie, jak i zawirowania grawitacji osiągały niewielkie wartości. Tyle że nie można było przerzucić jednostki większej niż duży holownik, ewentualnie kuter. A poza tym koszt naładowania małego portalu był zaledwie pięćdziesiąt procent niższy niż w przypadku normalnej struktury, przez którą przechodziły nawet kilka tysięcy razy masywniejsze ładunki.

Lopez spojrział na spoczywającego w fotelu Egberta. Były sekretarz inkwizytora pozostawał pod wpływem mocnych środków wprowadzających organizm w stan pokrewny katatonii. Diakon potrząsnął głową, pokonując senność.

– Komputer, koktajl odżywczy i zastrzyk wzmacniający.

– Nie powinien pan już przyjmować Vigoritu – powiedział komputer. – To szósta dawka.

– Koktajl odżywczy i zastrzyk wzmacniający. – Diakon niecierpliwym ruchem dotknął ikony wyciszającej głos mózgu jednostki. Nie cierpiał tych dyskusujących z człowiekiem maszyn. W tym jednym zgadzał się z kreacjonistami, nawet z ich najbardziej skrajnym odłamem, reprezentowanym przez Frakcję Ojca Gabriela – zbytnia autonomia komputerów w końcu doprowadzi ludzkość jeśli nie do zagłady, to do poważnego kryzysu. Miał tylko nadzieję, że zacznie się on wcześniej w bardziej nastawionej na nowinki techniczne Republice

niż w Cesarstwie.

Po krótkiej chwili z podajnika przy fotelu wyjechała niewielka tuba z pastą, butelka z wodą i mały iniektor.

Lopez zębami rozerwał pakiet, po czym wycisnął pastę na język i popił wodą z bezpiecznej butelki. Podajnik zassał się na chwilę na jego dolnej wardze. Diakon odetchnął głęboko, czując, jak odżywcze substancje spływają do żołądka. Za chwilę rozejdą się po całym ciele, dając energię. Ale psychicznego zmęczenia nie zwalczą. Potrzebował pobudzić mózg bezpośrednio, a jak do tej pory nikt nie wymyślił lepszego środka niż Vigorit. Co prawda specyfik był też silnie szkodliwy dla wątroby i miał pewne efekty uboczne, a przede wszystkim uzależniał, ale zdarzały się sytuacje, w których – wbrew naukom Kościoła i przykazaniom – należało poświęcić własne zdrowie dla wyższych celów.

– Za ile zacumujemy? – spytał, włączając na powrót głos kompa.

– Cztery minuty – rozległ się modulowany głos. Lopez mógłby przysiąc, że dosłyszał w nim urazę. Oczywiście wiedział, że to niemożliwe, jednak nie był w stanie traktować tych przemądrzałych, gadających maszyn jak zwykłych automatów. Personifikowanie ich było sprzeczne z logiką, ale nie umiał się przed tym ustrzec.

Czuł, jak w jego ciało wlewa się nowa energia, jak mózg zaczyna sprawniej funkcjonować. Czuł też sztuczność tego pobudzenia. Na szczęście zaraz znajdzie się w kwaterze głównej Świętej Inkwizycji, przekaże braciom więźnia i będzie mógł wreszcie odpocząć. Ciekawe, co porabiał w tej chwili don Sebastian? Dostojnik również źle znosił podróże przez portale skokowe. Czy również musi wzmacniać organizm odżywkami i pobudzaczami? Nie, na pewno nie kazałby sobie zaaplikować Vigoritu. Jego ostry umysł nie mógł być poddawany działaniu takich trucizn, jeśli miał zachować swoje walory.

Lopez przyknął oczy. Błogosławiona ciemność... Chwila odpoczynku. Nie obawiał się, że zaśnie – na pewno nie po takiej dawce paskudnego specyfiku.

A jednak zapadł na chwilę w jakieś senne odrętwienie, bo do rzeczywistości przywołał go dopiero głos komputera:

– Podejście automatyczne zakończone. Kontrola lotów stacji przejęła ścigacz.

Lopez poczuł lekkie szarpnięcie, a potem zapadł się głębiej w fotel, kiedy zadziałała sztuczna grawitacja. Rojanno... Uśmiechnął się. Poczuł się, jakby wrócił do rodzinnego domu. Zresztą nigdy nie miał własnego, więc kwatera główna stanowiła najlepszą namiastkę. Rodziców nie pamiętał, od zawsze zajmowali się nim duchowni opiekunowie.

Popatrzył na Egberta, zastanawiając się, czy podać mu coś na otrzeźwienie, czy lepiej skorzystać z wózka.

– No to sobie posiedzisz, panie sekretarzu – mruknął z satysfakcją.

– Diakonie Lopez – rozległ się ostry głos, w którym wezwany bez trudu rozpoznał ojca Guadalberta Calderona – jesteśmy gotowi przejąć ładunek.

– Cieszę się, że pana słyszę, ojciec Guadalberto.

Podszedł do drzwi, zaczął wprowadzać szyfr. Kiedy nacisnął ostatnią cyfrę, usłyszał w głośniku coś, co sprawiło, że nie dotknął klawisza zatwierdzenia.

– Przejdź tu, bo cię od razu zobaczy...

Ojciec Guadalberto zapomniał wyłączyć komunikator. Kto miał przejść, gdzie i po co? A przede wszystkim, dlaczego Lopez nie miał tego kogoś zobaczyć? Mimo dawki środka pobudzającego umysł działał z pewnym trudem. Diakon już się zdążył rozluźnić, konieczność wzięcia się w garść sprawiła mu prawie fizyczny ból.

- Dlaczego nie otwierasz, diakonie? – zapytał Calderon.
- Coś mi się tutaj zacina – skłamał. – Zupełnie jakby komenda wykonawcza nie działała. Po drugiej stronie zapanowało milczenie, a on rzucił się do kokpitu.
- Komp, sterowanie ręczne! – rozkazał.
- Odmawiam – odpowiedział mózg.
- Kod siedemdziesiąt łamane przez osiem! Sterowanie ręczne.
- Kod nieaktywny...
- Autoryzacja na hasło Callinitas-jeden-siedem-trzy-pięć. Sterowanie ręczne!
- Autoryzacja zawieszona...

Lopez poczuł zimno pełną od stóp do krzyża. Kod mógł dezaktywować tylko któryś z inkwizytorów. Ale zawieszenie autoryzacji zarządzanej przez samego don Sebastiana musiało zostać przeprowadzone na jeszcze wyższym szczeblu. Najwyższym...

Lopez rozejrzał się po kokpicie. Pozostało mu tylko ręcznie odciąć komputer, ale wtedy byłby zdany podczas manewrów w zatłoczonej przestrzeni jedynie na ludzkie zmysły i ludzki refleks, a to mogło się okazać niewystarczające mimo pobudzenia Vigoritem. Nie miał jednak wyjścia. Zerwał plombę, chwycił za dźwignię...

W tej chwili od strony śluzy rozległ się huk wybuchu, a ułamek sekundy później dźwięk o potwornym natężeniu wdarł się w uszy diakona, przebił prosto do mózgu i tam eksplodował, prowadząc na niego ciemność. Dłoń, zaciśnięta na dźwigni odcinania zasilania komputera pokładowego, szarpnęła się jeszcze, ciało Lopeza osunęło się na podłogę, ściągając drażkę ku dołowi.

– Awaria zasilania – oznajmił komputer, po czym zgasł. Zerwanie tego zabezpieczenia nie pozwalało mózgowi na uruchomienie baterii zapasowych.

Ale nie miało to już najmniejszego znaczenia, nie mogło niczego zmienić. Misja Lopeza dobiegła końca.

* * *

– Do czujników dotarła fala protonów – zameldował Costa. – Duży obiekt skanuje przestrzeń około czterech godzin świetlnych od nas. Musiał się pojawić, kiedy lecieliśmy z podświetlną, a potem przebywaliśmy w metaprzestrzeni.

„Przekłęte efekty relatywistyczne” – pomyślał ze złością Aidan. „Dlaczego musimy się męczyć tylko z tego powodu, że naszym władcom nie opłaca się i nie chce wyposażyć okrętów w sprzęt kwantowy i porządne skanery? Dlaczego aż tak się tego boją? I to obie strony konfliktu...”

Wiedział od kapitana Bernhardta, że także Flocie Republiki daleko do pozyskania na szerszą skalę urządzeń służących zarówno do komunikacji nadprzestrzennej, jak i natychmiastowej identyfikacji obiektów w kosmosie. Tym bardziej że sam, przebywając na stacji kosmicznej Minerve, zapoznał się z najnowszymi wiadomościami naukowymi i z zaskoczeniem stwierdził, iż uczeni zaczęli już prowadzić badania nad wykorzystaniem energii strun, a nawet koncepcji superstrun zarówno w komunikacji, jak i do opracowania nowych rodzajów napędów. Niewiele wprawdzie z tego był w stanie zrozumieć, jeśli chodziło o konkretne założenia, związane z teorią pola, ale artykuły brzmiały optymistycznie, by nie rzec – entuzjastycznie. Może technika podróży w wszechświecie nie zmieni się diametralnie za jego życia, ale istniała nadzieja, że nowinki wpłyną pozytywnie na funkcjonowanie całej tej skamieniałej struktury, jaką była Marynarka Wojenna. Bo nowe

technologie spowodują, że stare staną się tańsze. No tak, ale czy cesarz i Zgromadzenie Ogólne, zwane potocznie Wielką Radą, pozwolą na ich upowszechnienie? W uszach wciąż dźwięczały mu słowa wypowiedziane przez Lermę o utrzymaniu za twarz kolonistów dzięki brakowi dostępu do środków szybkiej komunikacji...

Potrząsnął głową. Nie czas teraz na refleksje.

– Identyfikacja? – zapytał, wiedząc z góry, jaka będzie odpowiedź.

– Na to musimy jeszcze chwilę poczekać. O ile obiekt nie ukrył sygnatury.

Aidan zamyślił się, a potem ustanowił łącze dźwiękowe z kapitanami własnych niszczycieli i Bernhardtem.

– Mamy towarzystwo – powiedział. – To już wiecie. Jakiś duży okręt, zapewne pancernik, pojawił się w odległości dwudziestu dziewięciu jednostek astronomicznych. Przegapiliśmy tachiony, bo byliśmy zawinięci w parabąble czasoprzestrzeni. Chyba że nie hamował z prędkości nadświetlnych, ale został przerzucony przez portal.

– Albo nasz taurus, albo republikański helicon, sądząc z mocy skanerów – wzruszył ramionami Guardado. – Może też nie być to pancernik, tylko ciężki krążownik.

– Dlatego kody identyfikacyjne musimy nadać i my, i wy, kapitanie Bernhardt.

– Zgadzam się. Nie jesteśmy przecież w stanie określić kierunku, z jakiego okręt przybył. Przynajmniej mamy pewność, że to nie jednostka piratów.

Aidan pokiwał głową. Tak, to musiał być okręt liniowy Cesarstwa lub Republiki. I zapewne przybył skokiem, bo cztery godziny wcześniej nie wchodzili akurat w nadprzestrzeń, z czego właśnie zdał sobie sprawę. To, że włączył skanery dalekiego zasięgu w przestrzeni piratów, świadczyć mogło albo o głupocie, albo skrajnej determinacji.

Na szczęście bandyci nie mieli dostępu do niesłychanie drogiej technologii portali skokowych. Zresztą gdyby nawet ją znali, nie mogliby z przyczyn technicznych oraz finansowych pozwolić sobie na budowę potężnych struktur. Na miniportale również nie było ich stać, ale te nie miały dla nich nawet większej wartości. I tak mnóstwo ich środków musiało pochłaniać zdobywanie antymaterii do zwykłego napędu nadprzestrzennego. O ile dla Cesarstwa i Republiki była to rzecz bardzo kosztowna, o tyle piraci musieli płacić jeszcze więcej. Podobno mieli dwie wytwórnie antymaterii, jednak nie były one w stanie pokryć zapotrzebowania, a poza tym wśród niespokojnej braci pirackiej wciąż wybuchały konflikty, prowadzili między sobą małe wojny, zawiązywali tymczasowe sojusze, tworzyli koterie. Nikt nie wiedział dokładnie, ile pirackich kolonii znajduje się w przestrzeni, nikt nie był tego w stanie nawet porządnie oszacować. Tym bardziej że jedne upadały, a inne się tworzyły, czy to na ich zrębach, czy w nowych miejscach, najczęściej na starych, wyeksploatowanych globach lub opuszczonych stacjach kosmicznych, gdzie Cesarstwu i Republice nie opłacało się już ani inwestować w naprawy, ani utylizować zużytej infrastruktury.

Istniały też jednak stałe ich bazy, takie jak Forgotta, silnie bronione, a przede wszystkim położone w rejonach dla Cesarstwa i Republiki raczej mało atrakcyjnych. Pech chciał, że kolejna tajemnicza anomalia znajdowała się właśnie niedaleko sigmy Errani.

– Kapitanie Bernhardt – powiedział Aidan – w tej chwili nie mamy pojęcia, do której ze stron należy ta jednostka. Musimy zagrać w otwarte karty.

Bernhardt pokiwał głową. Sytuacja stała się rzeczywiście co najmniej niezręczna.

– Proponuję, aby do konferencji dołączyć wszystkich dowódców moich okrętów – powiedział. – Unikniemy podejrzeń o jakieś konszachty. Wie pan przecież, kapitanie Samuels, że nasze poprzednie współdziałanie czyni z nas podejrzanych dla kontrwywiadów obu stron.

– Oczywiście – zgodził się Aidan. – Pozostawiam takie sprawy do pańskiej oceny i decyzji.

– Cholera jasna – odezwała się Amanda. – Będziecie sobie bez przerwy kapitanować? Gdybym nie pamiętała, jak się skuliście u mnie na pokładzie i śpiewaliście razem pieśni, które trudno nazwać propaństwowymi, a nawet powiem więcej, ocierające się w warunkach wojennych o zdradę stanu, nic bym nie mówiła. Ale jesteście obaj ulepieni z tej samej gliny, nie wiem tylko, któremu Pan Bóg więcej dosypał do tworzywa cholernego pieprzu. Guardado też był wtedy niezły, bo wypił więcej niż wy obaj razem wzięci, ale on chyba nawet w delirium zachowywałby się mniej więcej godnie i wstrzemięźliwie.

– Prywatnie jesteśmy po imieniu – mruknął Aidan.

– Właśnie – przyświadczył Bernhardt. – Ale to jest sytuacja oficjalna...

– Przestańcie pieprzyć – poparł kobietę Guardado. – Przecież to bez sensu. A skoro już o spożywaniu mowa, Amando, to chciałbym ci przypomnieć, jak sama...

– Zamknij się! – ryknęła pani kapitan. – Kobiecie nie wypada wypominać takich spraw!

– Jezu słodki – westchnął Aidan. – Widzi pan, kapitanie Bernhardt, z kim mi przychodzi pracować? Mamy niedaleko niezidentyfikowany jeszcze okręt. Mamy do wykonania misję, i to chyba dość ważną, skoro nakazano nam współdziałanie. Mamy tę zagadkową strukturę do obejrzenia, a oni zachowują się, jakby siedzieli w knajpie przy piwku.

Bernhardt roześmiał się.

– Ale Amanda ma sporo racji. Te oficjalne bzdury są zupełnie niepotrzebne. Proponuję wrócić do sedna sprawy. Pozwól, Aidanie, że ustanowię połączenie konferencyjne dla wszystkich jednostek. Obiecuję, że moi podwładni będą trzymać gęby na kłódkę.

A przynajmniej taką mam nadzieję.

– Ja też – mruknął Samuels. – A przynajmniej niech wysłuchają mojego oświadczenia, zanim zaczną pyszczyć. Byłbym wdzięczny.

– Wątpisz w moje zdolności przywódcze i autorytet? – spytał nieco zaczepnie Bernhardt.

– Miałem okazję poznać dowódców „Saxona” i „Anakondy”. – Aidan wzruszył ramionami.

– Jakoś nie widzę kolosalnej różnicy między tymi twoimi wariatami a moimi.

– No wiesz! – oburzyła się Amanda, ale Samuels uciszył ją niecierpliwym gestem.

– Dość! James ustanawia łącze i jedziemy!

Podróżowali w luźnym szyku, żeby uniknąć niebezpiecznych sytuacji podczas lotów z podświetlną i w nadprzestrzeni. Okręty były od siebie oddalone o dziesiąte części jednostki astronomicznej, więc teraz zbliżyły się, aby opóźnienie transmisji było jak najmniejsze. Nawet sekundowa sumaryczna zwłoka w prowadzeniu rozmowy bywała irytująca, bo ktoś o dużym refleksie zaczynał wypowiedź, której by nie zaczął, gdyby miał rozmówcę w pobliżu.

A kapitanowie niszczyli zasadniczo posiadali znakomity refleks.

– Dobra. To najpierw ja – powiedział kapitan „Sirene”, kiedy wszystko było gotowe. – Mamy mały problem. A może nawet nie taki mały, biorąc pod uwagę gabaryty liniowców. Jak wiecie, jeden z nich się pojawił w odległości czterech godzin. Musimy opracować plan działania, ale najpierw małe wyjaśnienie. Kiedy wpadliśmy w tarapaty, przed waszym przybyciem, wysłałem kanałem kwantowym informację mojemu bezpośredniemu mocodawcy. Przypuszczam, że mógł on wysłać nam w sukurs dużą jednostkę.

– No to musi być całkiem duży miś ten mocodawca – mruknął ktoś. Aidan sprawdził aktywność łącza i stwierdził, że to Antonio Sarkissian, dowódca korpety „Saxon”. – Mały miś wysłałby co najwyżej ścigacz albo kuter torpedowy.

Aidan westchnął, a Bernhardt warknął na podwładnego:

– Przymknij się, Tony, i słuchaj. Mały miś czy duży, nie twoja sprawa. Pewnie taki sam duży jak nasz komisarz. On też mógłby wysłać pancernik, a nawet całą flotyllę okrętów. Swoją drogą, jak słyszę, zamontowali ci w końcu na pokładzie radiostację splątaniową, Samuels.

– Taaa – odparł Aidan. – Najprostszą z możliwych. Dobrze, że nie nadajnik działający tylko morse’em. I na pewno wymontują to cudo, kiedy tylko wrócimy. A co – zainteresował się – wam nie dali nic do komunikacji?

– Dali, dali. – James zaśmiał się krótko. – I to chyba nowocześniejszą niż wasza. Tyle że zdążyła się już ze cztery razy zepsuć. Mój szef ekipy naprawczej, zamiast pilnować przeglądu okrętu, siedzi nad tym głównem i klnie tak, że nawet mnie uszy więdną. Jak na razie zdołaliśmy wysłać tylko jeden komunikat. Że dotarliśmy. Za to w drugą stronę działa znakomicie. Otrzymałem już chyba piętnaście dyrektyw, wskazówek i rozkazów zapasowych.

– Komodorze – rzekł ostrzegawczo Olivier Archer dowodzący fregatą „Josey” – zwracam panu uwagę, że chyba zdradza pan zbyt wiele szczegółów wrogowi.

Bernhardt przez chwilę milczał, a Samuels był pewien, że James liczy do dziesięciu i z powrotem. Kiedy się odezwał, głos miał już opanowany, choć pobrzmiwał w nim lód.

– Słuchaj no, Archer. Jeśli nie zauważyłeś, jedziemy z tym wrogiem na jednym wózku. Nasi dowódcy powierzyli nam identyczne zadania i wbrew własnym przekonaniom, a nawet wbrew opinii wielu wpływowych ludzi w rządach, kazali współdziałać. Jeśli zaczniemy się gryźć i podejrzewać o wszystko, możemy równie dobrze zawinąć się i wracać.

– Główne działo mam rozpieprzone – oznajmił Aidan.

Archer zaczął coś mówić, ale zamilkł, a Bernhardt spytał:

– Co takiego?

– Mam rozgrzebaną artylerię rentgenowską. Wam nie działa jak trzeba łączność, a ja w razie walki jestem jak bez gaci wśród kaktusów. Kapitanie Archer, wie pan, dlaczego to powiedziałem, prawda?

Dowódca „Joseya” milczał przez dłuższą chwilę.

– Przepraszam – mruknął. – Proszę zrozumieć, to wieloletnie nawyki.

– Nie ma sprawy. Działamy razem, musimy być ze sobą szczerzy. Inaczej skończy się to w najlepszym przypadku na niczym. W każdym razie, biorąc pod uwagę to, że nie meldowaliście o trudnościach, ten liniowiec kawałek dalej musi należeć do floty cesarskiej.

– Masz pojęcie, jaki to okręt?

– Mogę się tylko domyślać. Razem z nami przebywały na stacji pancernik „Vincent” i ciężki krążownik „Selena”. Oczywiście mógł też dostać rozkaz przemieszczenia inny okręt z zupełnie innego obszaru imperium, przecież przy skoku to żaden problem, ale stawiam raczej na któryś z tych dwóch. Przypuszczam, że to będzie „Vincent”.

– Dlaczego pan tak myśli? – spytał Archer.

– Bo don Sebastian Lerma, wielki inkwizytor i właśnie mój bezpośredni mocodawca, i ten duży miś, jest wprawdzie ostatnim skurwysynem, ale za to skurwysynem niesłychanie pragmatycznym. Jeśli miał pod ręką jednostkę, której dowódca zna mnie doskonale, a poza tym był świadkiem naszego karygodnego bratania się z waszym dowódcą, to powinien skierować tu właśnie jego.

– Odważny pan jest, kapitanie Samuels, określając tak ostrymi słowami potężnego dostojnika – zauważył Nicolas del Potro, kapitan niszczyciela „William Wallace”. – Nie obawia się pan, że ktoś może mu donieść? Zemsta takiego człowieka...

– Don Sebastian doskonale wie, co o nim sędzę i mówię – wpadł mu w słowo Aidan. – Jak już powiedziałem, to skrajny pragmatyk. Może kiedyś zechce się na mnie za to odegrać, może nawet mnie zniszczyć, ale dopiero wtedy, kiedy przestanę mu być potrzebny. A poza tym nie widzę w gronie podległych mi kapitanów nikogo, kto by mu chciał przekazać moje bieżące opinie. Chyba że pan zamierza przejść na naszą stronę i taką informacją chciałby się wkupić w łaski Świętej Inkwizycji.

– No wie pan! – w głosie del Potra brzmiało oburzenie. – Sugeruje pan, że mógłbym zdradzić?! To niegodne oficera!

Aidan zamierzał już coś ostro i złośliwie odpowiedzieć, ale zobaczył, jak na ekranie wyświetla się napis:

Uwaga! On nie ma za grosz poczucia humoru!

W pierwszej chwili myślał, że wiadomość przesłał mu Bernhardt, ale została przypisana do Rodericka Browna, dowodzącego „Anakondą”. Zaraz potwierdził ją także dowódca grupy Republiki, tyle że głośno.

– Nick, jeśli nie wyczuwasz ironii, to się nie odzywaj i nie wrzeszcz. Aidan, mów dalej. Jeśli to wasz okręt, sytuacja staje się dość kłopotliwa. Bo w zasadzie powinienem wezwać także jakiś nasz liniowiec, jeśli zgodnie z porozumieniem ma tutaj panować względna równowaga sił.

– No właśnie – sapnął Aidan. – Ale nie jesteś w stanie, bo komunikator szlag wam trafił...

– Co proponujesz?

– A co mogę zaproponować? Jeśli to „Vincent”, mamy gwarancję, że jego dowódca nie głupiego nie zrobi i nie podejmie decyzji o neutralizacji waszych okrętów. Nawiążę łączność z bazą i poproszę o skomunikowanie z tą jednostką. Może tak być? Potem się naradzimy ponownie.

– A skąd mamy wiedzieć, że nie szykuje pan podstęp? – spytał zaczepnie del Potro.

– Bo gdybym coś knuł, durniu jeden, tobym się z wami teraz nie naradzał, bo i po co? Już by szedł sygnał ze sztabu do pancernika, żeby tu posuwał w podskokach, bo jest prosta robótka do wykonania.

– Skąd mamy wiedzieć, że pański oficer łączności właśnie tego nie zrobił, podczas gdy pan nam mydlił oczy?

– Ja pierdolę, Nicolasio Gravesie del Potro! – ryknął Bernhardt. – Albo się natychmiast zamkniesz, albo po powrocie złożę na ciebie taki raport, że nawet wujaszek w Senacie ci nie pomoże! Gdyby kapitan Samuels chciał nas załatwić, nie powiadamiałby nas o tym, o czym powiadomił.

– Ktoś tu niedawno sugerował, że lepiej panuje nad ludźmi niż ja – mruknął Aidan cicho, ale Bernhardt go usłyszał.

– Zawsze się taki znajdzie w towarzystwie – powiedział zimno. – Powinieneś o tym wiedzieć.

– Wiem, wiem – rzucił pojednawczo Aidan. – Sam mam takiego w załodze, dogadałby się z szanownym del Potrem. Tym bardziej, że to syn wielkiego granda.

– Komodorze – zaczął uroczyście kapitan „Wallace’a” – składam oficjalny protest i żądam zaprotokołowania...

– Pocałuj mnie w dupę. Tylko namiętnie i z języczkiem – powiedział Bernhardt. – Przepraszam, Samuels, ten kretyn nie będzie nam już przeszkadzał. Potem przekażę mu nasze ustalenia. Jeśli będzie mi się chciało.

Rzeczywiście, z podzielonego na sektory holokranu zniknęła twarz del Potra.

– W takim razie do rzeczy. Zgadźcie się, żebym nawiązał kontakt w sprawie tego liniowca?

– Nie widzę przeszkód – jako pierwszy odezwał się Brown. Po chwili dołączyli do niego pozostali dowódcy Republiki.

– W takim razie rozłączamy się, kiedy tylko czegoś się dowiem, powiadomię was.

Aidan dał znak Farlanowi, który natychmiast obrócił fotel w stronę zamontowanej z tyłu jego stanowiska radiostacji splątaniowej.

Lecz nie dane mu było wykonać rozkazu, bo nagle rozległ się pełen napięcia głos Costy:

– Panie kapitanie, obce jednostki na jeden-jeden-trzy plus zero-dwa! Impulsy tachionowe po wynurzeniu się z nadprzestrzeni! Odległość siedemnaście i pół jednostki astronomicznej.

– Identyfikacja?

– Negatywna. Sygnatury rozmazane. Według interpretacji komputera trzydzieści osiem jednostek średnich, niszczyciele, fregaty i korwety, czterdzieści małych, dwa krążowniki i... – zawiesił na chwilę głos. – Na pewno pancernik!

– Ożeż kur... – Aidan stłumił przekleństwo. – Costa, jesteś pewien?!

– Na sto procent. Wyjątkowo mocny odczyt, nawet jak na impuls tachionowy. Teraz wszystko się urwało oczywiście i mamy brak odczytów, bo zanim dotrze tu światło... Tam jest jeszcze jedna wielka jednostka, ale trudno ją zidentyfikować. Wygląda teoretycznie na monitor. Ale to cholerstwo jest strasznie powolne! Żeby mieć pewność, musielibyśmy czekać...

– Piraci – ocenił Aidan, nie słuchając już dalej wywodów bosmana. – Tylko do nich może należeć taka cholerna zbieranina. Nas nie mogli namierzyć, bo zmienialiśmy za często pozycje, ale złapali falę tachionów po wynurzeniu się liniowca imperium.

„O ile to rzeczywiście pancernik cesarski – pomyślał – a nie jakaś sztuczka piratów”.

– Farlan, zostaw to gównu! Nie czas na pogaduchy z bazą! Łącz mnie ze wszystkimi dowódcami! Alarm czwartego stopnia! Maszynownia w gotowości, artyleria w gotowości, załoga na stanowiska! Przygotować się do przejścia w nadprzestrzeń! Pierwszy oficer, na mostek!

5

Grom

Obrzucił wzrokiem zakrwawionych strażników. Jeden miał skręcony kark i zgniecioną skroń, drugi dławił się jeszcze własną krwią z podciętego gardła, trzeci leżał z wybałuszonymi oczami i pianą na ustach, ostatni rzucał się w drgawkach, trafiony pociskiem z własnej broni.

Ludzie z eskorty nie docenili go. Zapewne gdyby przydzielono mu straż składającą się z ludzi inkwizycji, nic by nie mógł uczynić. Żołnierze dominikanów zbyt dobrze znali metody działania własnej instytucji, aby dać się podejść. Przede wszystkim nie uwolniliby ze sztywnych oków jego nóg, aby ułatwić sobie zadanie. Trzeba by bowiem wlec więźnia, zamiast go prowadzić. Poza tym skuliby mu ręce podwójnymi kajdankami na plecach – w nadgarstkach i w łokciach. To uniemożliwiałoby jakiegokolwiek działanie.

A przede wszystkim obszukaliby go gruntownie przed wyprowadzeniem z celi. Zajrzeliby nawet do odbytu, w buty, w usta i we włosy. I słusznie by postąpili. Bo siedząc w ciasnej klitce, zdołał wyjąć uniwersalny wytrych, ukryty w podeszwie prawego buta, i włożyć go nie w odbyt wprawdzie, ale wbić w szary materiał spodni. W ustach również skrywał niespodziankę.

Na jego szczęście jako strażników przydzielono mu ludzi na co dzień służących w gwardii arcybiskupa Coregii. To byli rośli, zdrowi żołnierze, z pewnością doskonale wyszkoleni i stanowiący elitę. Może dlatego zlekceważyli krępego, lecz niezbyt wysokiego Lopeza, który w dodatku miał pęknięte bębunki i był cały zakrwawiony? Nie mogli się spodziewać, że człowiek, który zaledwie dwie godziny wcześniej został obezwładniony i brutalnie potraktowany, wykrzesze z siebie dość sił, by im zagrozić.

Zanim założyli mu kajdanki, sprawdzili ręce, zaglądając nawet między palce. Ale gdy przesunął dłonie na plecy, wytrych znalazł się w jego zasięgu. Na szczęście zatrzasnęli mu pojedyncze obrączki magnetyczne, z tradycyjnym mechanicznym zamkiem. Zgodnie zresztą ze zdrowym rozsądkiem. Cyfrowe zapięcia bywały zawodne i podatne na atak informatyczny, a przecież przebywali na terenie bazy inkwizycji, czyli w otoczeniu z założenia dla nich nieprzyjaznym.

Eskortowali go w szyku ubezpieczonym – jeden wysunięty do przodu, drugi trzy kroki za konwojem, jeden z prawej nieco z tyłu, drugi z lewej. Mieli go dostarczyć do pałacu arcybiskupa na stacji orbitalnej Regina, wahadłowiec już czekał. Egberta już tam widocznie przetransportowali, nawet go pewnie nie wyprowadzali ze śpiączki.

Szczęknęcie zamka kajdanek nie uszło uwagi gwardzistów. Ci z boków od razu chwycili go pod ramiona, lecz więzień okazał się nieuchwytny jak dym. Zdawało się, że ma kości z gumy i jest pozbawiony stawów. Strażnik z lewej został porażony trucizną z przegryzionej kapsułki, wyłuskanej ze skrytki pod górną ósemką. Padł z charkotem. Lopezowi zrobiło się na moment słabo, ale jeszcze w celi zażył antidotum, więc natychmiast odzyskał pełnię sił. W dodatku to, że się zachwiał, uratowało mu życie, bo kula minęła jego pierś o włos. A on już sięgnął do głowy, wyrwał ukrytą na potylicy garotę, nie bacząc na ból i kępki wydzieranych włosów. Zatańczył w piruecie, zarzucił cieniutki drucik na szyję temu z przodu i wykorzystując energię uzyskaną w błyskawicznym ruchu, przebiegł po ścianie, oparty o bark ofiary, szarpnął,

jednocześnie wyprowadzając kopnięcie na głowę konwojenta, który szedł po jego prawej. Chrupnęła kość, szyja nieszczęśnika wygięła się pod dziwnym kątem. Lopez nie słyszał tego przez uszkodzone uszy, ale wiedział, że za jego plecami pierwszy gwardzista krztusi się krwią. Ostatni strażnik wycelował w niego broń, ale pod nogi poleciał mu ten ze skrzyconym karkiem, wytrącając go na ułamek sekundy z równowagi.

To diakonowi wystarczyło w zupełności, aby znaleźć się przy mężczyźnie i odebrać mu broń. Strzał nastąpił natychmiast, a tamten poleciał w tył.

Ten z podciętym gardłem rzucał się w przedśmiertnych drgawkach.

Lopez popatrzył na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu. Zabił ich bez przyjemności, tak jak zabijał wszystkich, których wskazywał mu don Sebastian. Nawet Egberta zgładziłby, nie czując najmniejszej satysfakcji z samego faktu zabijania, a wyłącznie z powodu pozbycia się wroga.

Teraz musiał tylko dotrzeć do węzła komunikacyjnego.

Ruszył korytarzem, spodziewając się, że w każdej chwili zza załomu ściany wyskoczy patrol, zaalarmowany tym, co się stało przed kilkunastoma sekundami. Na szczęście od celu dzieliło go zaledwie dwieście, może dwieście dwadzieścia metrów. Za piętnaście skręci w prawo, potem około czterdziestu prosto, znów w prawo, najdłuższy prosty odcinek, prawie osiemdziesiąt metrów, w lewo i w prawo, aż wreszcie stanie przed drzwiami węzła.

„Żeby tylko nie zmienili kodu” – przeleciało mu przez głowę, kiedy pędził przed siebie. Gdy był w połowie drogi, żółte lampy imitujące słoneczne światło zaczęły migotać, a potem zmieniły barwę na czerwoną. Nie słyszał tego, ale wiedział, że powietrze przeszywa przykry, pulsujący sygnał alarmu. Z pewnością komunikat głosowy podawał również informację o konieczności zatrzymania go za wszelką cenę. Zanim zdąży ostrzec don Sebastiana o tym, co się tutaj dzieje. Jeśli odważyli się aresztować przybocznego gwardzistę Jego Ekscelencji, a tym bardziej jeśli uczynili to na terenie stacji klasztornej jego własnego zakonu, musieli mieć poparcie władz najwyższych... Samego cesarza, a może nawet całej Wielkiej Rady. Sami kurialiści nie odważyliby się na takie działanie. Zresztą nie zostaliby wpuszczeni na teren stacji bez odpowiednich pełnomocnictw.

Zakręt w lewo...

Naprzeciw Lopeza wyskoczyło dwóch uzbrojonych wartowników w szaro-białych mundurach inkwizycji.

– Z drogi! – krzyknął diakon, zwalnając. Wiedział, że krzyknął, lecz sam siebie nie usłyszał, poczuł tylko wibracje w krtani. – Z drogi! – powtórzył.

Żołnierze spojrzeli na siebie, a potem zgodnie skierowali w stronę Lopeza lufy karabinów. Widział, że nastawy siły ognia mieli na pozycji oznaczającej obezwładnienie przeciwnika, nie zabicie, i poczuł szarpnięcie żalu, że będzie musiał zrobić im to, co zrobić musiał.

Przyśpieszył, padł na ziemię i przetoczył się. Ładunki z karabinów uderzyły w podłogę tuż za nim, a on już podciął nogi obu przeciwnikom jednocześnie. Popełnili kardynalny błąd, stając obok siebie, a nie idąc w klasycznym szyku dwójkowym. Kiedy padli, skoczył na równe nogi. Jednego od razu kopnął w szczękę, łamiąc ją i odsyłając nieszczęśnika w ciemność, drugi otrzymał potężny cios młotkowy w kark i runął na szorstką wykładzinę. Poruszył jeszcze ręką, a wtedy spadł drugi cios, tym razem zadany piętą.

Lecz diakon nie zadał go z całą siłą. Miał nadzieję, że obaj przeżyją, że ten z połamaną zuchwą nie udusi się krwią... Odbiegł, lecz po krótkim namyśle wrócił. Przecież to bracia... Błyskawicznym ruchem przetoczył nieprzytomnego na bok. Włożył mu palce w usta, pociągnął

za język. Popłynęła struga krwi wraz z kilkoma zębami.

Skoczył przed siebie, po chwili stanął przed pancernymi drzwiami. Za nimi znajdowała się radiostacja, niewielka w porównaniu z centralą cesarską, ale obejmująca wszystkie odbiorniki znajdujące się w dyspozycji inkwizytorów. O każdorazowym nagłym użyciu radiostacji splątaniowej trzeba było informować Ministerstwo Łączności Galaktycznej, co wiązało się z późniejszą kontrolą, a na konwencjonalną komunikację uzyskać uprzednio zgodę, ale teraz nie zamierzał się tym przejmować.

Błyskawicznie wstukał kod, klepnął w przycisk wykonawczy. Przez pół sekundy trwał w napięciu, ale odetchnął z ulgą, kiedy światelko zapłonęło na zielono i ciężkie skrzydło zniknęło w ścianie.

Wpadł do środka...

A tam... Czekali już na niego. Sześciu gwardzistów – trzech z inkwizycji oraz trzech kurialnych. Lopez nawet się nie zatrzymał, nie miał wyboru, więc runął na nich z impetem. Ale nawet dla niego to było zbyt wiele. Zmęczony, potłuczony, nie miał szans przeciwko przygotowanym na atak elitarnym wojakom. Dwóch chwyciło go za ręce, trzeci uderzył z całej siły w żołądek. Lopez zobaczył nad ich ramionami siedzącego przy konsoli starego dominikanina. To ojciec Randolfo...

– Musisz ostrzec Lermę! – wydusił z siebie. – Musisz go ostrzec... Śpiewem syren! Rozumiesz? Śpiewem syren... Musisz...

Ostatnie słowo uwięzło mu w ustach, gdy otrzymał drugi cios.

Zobaczył, jak Randolfo uśmiecha się krzywo i kręci głową. Coś powiedział, ale Lopez nie potrafił odczytać słów z ruchu warg. Był tylko pewien, że to jakieś szyderstwo. Tak, nie przepadali za sobą. Ale to nie powinno mieć znaczenia, jeśli sprawa szła o dobro Świętej Inkwizycji.

Kiedyś don Sebastian powiedział jednak, że nie wszyscy inkwizytorzy i ich pomocnicy wyznają tę żelazną zasadę. Najwidoczniej Randolfo do nich należał.

Lopez szarpnął się jeszcze w beznadziejnej próbie uwolnienia się i dokonania niemożliwego, ale znów zgiął się wpół, kiedy potwornie mocny cios zmasakrował mu wątrobę. Potem poczuł zimną lufę na potylicy. W ostatnim błysku świadomości odebrał wibrację broni, kiedy trzymający ją gwardzista wypalił.

* * *

Cząsteczki zapulsowały w jednostajnym, jednorodnym rytmie. W coraz większym ścisku przechodziły w kolejne stadia budowy materii. Zespolone, ukryte w ich wnętrzu siły ścisły je niemiłosiernie, aby po chwili puścić i pozwolić na rozprężanie się. Lecz energia dopływająca z ich własnej rzeczywistości zaczęła coraz mocniej przesączać się w nowy obszar, wzmacniając jądrowo-elektromagnetyczny kokon, spowijając materię niewidzialnym kirem przyjaznego im uniwersum.

Chociaż... W tej rzeczywistości, w której zagościły, ich oddziaływania zdawały się mocniejsze niż te z dalszego otoczenia. Takie sygnały płynęły w każdym razie z powierzchni kokonu. Na nieświadomym poziomie surowej materii informacja powodowała tylko drobne zmiany w strukturach atomów. Na tyle drobne, aby nie doprowadzić do zwyrodnienia materii, ale na tyle znaczące, by siły działające w ich wnętrzu nie doprowadziły do destrukcji. Natomiast strzępy tej samej informacji trafiające głębiej, przechodzące dalej powodowały, że napór stawał się większy.

Obca dla materii przestrzeń składała się w makroskali z trzech elementów, z których jeden współgrał do pewnego stopnia z budową intruzów, ale dwa pozostałe układały się w zupełnie innej konfiguracji, a przede wszystkim były o wiele słabiej powiązane od tych, które ukształtowały pulsujące cząsteczki. Również na poziomach wymiarów subatomowych występowały pewne rozbieżności. Przestrzeń n-wymiarowa potrafiła jednak niwelować nawet spore fluktuacje i zatrzeć poważne różnice.

Oczywiście do czasu...

* * *

– Wiadomość na splątaniowym! – krzyknął Farlan. – Odczytać?

– Ważna?

– Chyba nie do nas, w dodatku trochę dziwna. Adresatem jest don Sebastian Lerma.

Nadana z Rojanno. Bezpośrednio z węzła stacji klasztornej.

Aidan na chwilę znieruchomiał, ale zaraz kolejny wstrząs kadłuba przypomniał mu, że znajduje się w środku bitwy.

– Nie teraz! Zapisz i pomóż w nasłuchu! Mario już ledwie ciągnie!

– Tak jest! – Farlan przełączył cztery z pięciu konsoli, przekazując je do dyspozycji bosmana. On sam także nie miał co robić na stanowisku łączności w tym całym piekle. W każdym razie nie teraz, kiedy każdy z kapitanów znał swoje miejsce i zadanie. Musieli się podzielić na dwie grupy, bo w panującym chaosie i ścisłości różnice w procedurach okrętów imperium i Republiki mogły doprowadzić do kolizji. Niszczyciele cesarskie utworzyły szyk romboidalny z wysuniętym na czoło „Fitzcarraldem”, który jako jedyny dysponował działem hybrydowym, mogącym razić przeciwnika w bezpośredniej odległości. Ale też pirackie okręty odskakiwały przed nim jak pchły od chwili, kiedy zamienił w kulę ognia nieostrożną korwetę i kuter raketowy.

Z kolei Bernhardt ustawił swoich w deltoid, w którym niszczyciele zajmowały pozycje na szczycie i w ogonie, korwety ustawiły się na końcach osi symetrii, a fregata wyznaczała środek. Oczywiście w obu przypadkach tak to wyglądało z rzutu od góry. Bo w przekroju poprzecznym okręty znajdowały się na różnych poziomach względem wspólnej płaszczyzny, aby nie przeszkadzać sobie nawzajem.

– Czy nie powinniśmy spieprzać w podskokach? – odezwał się ze swojego stanowiska bezrobotny Vesano. – Przecież możemy stracić okręty.

Aidan zamierzał dać mu ostrą odprawę, ale zdał sobie sprawę, że pytanie wcale nie jest takie głupie, nawet jeśli zabrzmiało prowokacyjnie.

– Nie możemy – odparł trzęsącym się głosem, bo właśnie wykonali serię manewrów unikowych.

– Jak to nie możemy?

– To przez obecność Republikanów! – odparł Aidan. – Teraz nie czas, później wyjaśnię!

– Nie trzeba, już chyba rozumiem.

Cały mostek zadygotał.

– Trafienie kumulacyjnym pociskiem kinetycznym! – zameldował van den Broek. – Tarcza zatrzymała główny ładunek, ale rdzeń sypnął po pancerzu zewnętrznym.

– Uszkodzenia?

– Nic poważnego.

Aidan połączył się z Shaderem.

– Chyba jeszcze się nie zorientowali, że nie strzelamy z głównego. Trzymam taką pozycję, żeby wyglądało, jakby pole ostrzału zasłaniały inne jednostki.

– I dobrze – pochwalił Robert. – Jednak zorientują się prędzej czy później.

– Właśnie. Przygotuj wyrzutnie kinetyczne. Nie żałuj amunicji, pluj ile wlezie. Zrobimy później uzupełnienia na „Vincencie”.

– Tak jest.

Aidan przerwał połączenie, spojrzął na wyświetlacz taktyczny. Jednostki piratów uwijały się wokół nich jak wściekłe osy. „Vincent” prowadził pojedynek artyleryjski z krążownikami, pancernikiem i cholernym monitorem. Samuels nie miał pojęcia, jakim cudem ta powolna maszyna znalazła się w strefie walki. Wyglądało to, jakby ktoś uprzedził piratów co najmniej parę godzin wcześniej, że z metaprzestrzeni wyłoni się pancernik i w jakimś mniej więcej rejonie. A i to potwór musiał przebywać stosunkowo blisko. To mógł być, rzecz jasna, zbieg okoliczności, ale kapitan nie wierzył w takie przypadki.

– Samuels – odezwał się Ruiz. Na widok zmarszczonych brwi dowódcy poprawił się natychmiast: – Panie kapitanie.

– Czego znowu chcesz?

– Może przydzieliliby mi pan jakieś zadanie? Skoro już tu siedzę...

Aidan spojrzął na niego uważnie, ale twarz arystokraty rozmywała się w wibracjach.

– A co potrafisz? – spytał złośliwie.

– Jak to co? Kurwa, wszystko! – warknął Vesano. – Byłem dowódcą...

– Byłeś dowódcą na okręciku, który nigdy nie uczestniczył w prawdziwej walce.

Urażony Ruiz zamilkł. W tej chwili Samuels przypomniał sobie tę część rozmowy z ojcem tego dupka, którą prowadzili przy doskonałych trunkach.

– Dobra – powiedział. – Przejmiesz na razie łączność, a Farlan zajmie się tylko pomocą nasłuchowi.

– A nie mógłbym...

– Bez dyskusji! – warknął Aidan. – Bitwa jest, jeśli nie zauważyłeś!

Kotłowanina stawała się coraz bardziej chaotyczna. Piraci nie tworzyli konkretnych większych formacji, nie przeprowadzali ataków w szykach. Aidan nie miał jeszcze do czynienia z taką przewagą bandytów, brał udział w wyprawach przeciwko nim, ale wówczas siły były albo wyrównane, albo przewagę miały okręty imperium. Piraci na pewno byli waleczni i szaleńczo odważni, ale sami musieli mieć dużą przewagę, aby zwyciężać.

Lecz po kilkunastu minutach zmagania Samuels zaczął dochodzić do wniosku, że ten bajzel w szeregach wroga może okazać się całkiem niezłym sposobem walki. Braki w wyszkoleniu i zgraniu banicy nadrabiali entuzjazmem i niestandardowymi rozwiązaniami. Aidan po raz pierwszy zobaczył holownik, któremu zamontowano ewidentnie napęd ścigacza, a który miał za zadanie tylko i wyłącznie plątać się po przestrzeni, powiększając chaos, bo zamontowane na nim lasery nie przecięłyby chyba nawet kadłuba cywilnego wahadłowca.

Kłuł tymi swoimi szpileczkami, wywołując tylko irytację w kapitanach imperium i Republiki. Aidanowi nagle przyszło coś do głowy.

– Costa – powiedział – niech któryś z was obserwuje stale tego pieska.

– Myśli pan, że coś kombinuje? – spytał bosman.

– Nie wiem, ale sam widzisz, że sens takiego latania jest teoretycznie żaden. Lepiej uważać...

Spojrzął na holoeokran z prawej, na którym widział pojedynek „Vincenta” z ciężkimi

jednostkami piratów. Krążowniki zajęły pozycje: jeden piętnaście stopni nad imperialnym smokiem, drugi dwadzieścia pod nim. Naprzeciwko ustawił się pancernik. Jednostki były starszych typów – krążowniki typu Rocket zrabowane z jakiegoś złomowiska w Cesarstwie, ale jeszcze całkiem żwawe, natomiast pancernik typu Locaria mógłby służyć do polowania na dinozaury, a nie na nowoczesnego taurusa. Monitor z kolei był naprawdę groźny. Konstrukcja zeusa, opracowana przez samych piratów, okazała się lepsza nawet od podobnych jednostek cesarskich i republikańskich. Inna rzecz, że obie potęgi traktowały te nieruchawe okręty jako broń typowo defensywną, lokalizowano je przy ważnych obiektach w głębi systemów. Wiadomo było, że nie ruszą się nigdzie dalej. Ale zeusy miały na pewno lepszy napęd, aczkolwiek lata świetlne dzieliły je od możliwości wielkich jednostek czy mobilnych okrętów mniejszych klas.

– Musimy coś zrobić, do cholery! – Na wyświetlaczu taktycznym w rogu pojawiła się miniatura twarzy Amandy. – Zeżrą nas w końcu, nie widzisz?

– Widzę, widzę. Ale nie wiem, co zrobić. Normalnie byśmy prysnęli, ale tak...

– Ale tak nie możemy – wpadła mu w słowo. – Mamy się dać rozwalić? Zrób coś, nasz drogi komodorze!

– Dobra. Trzeba wreszcie konkretnie wypytać Sułtana, co zamierza. To on tutaj najbardziej się spręży.

– A my to nie? – kobieta prychnęła jak rozżłoszczona kotka. – Szlag jasny, mamy przeciwko sobie dobre pięćdziesiąt jednostek!

– Nie jęcz. Łączę się z „Vincentem”. – Spojrzał na Ruiza. – Słyszałeś?

– Już jest połączenie.

Twarz Sułtana była jak zwykle spokojna, ale zaciśnięte wargi świadczyły o irytacji.

– Czego chcesz, Samuels? – warknął. – Jeśli umknęło to twojej uwagi, mam tutaj kurewsko dużo roboty!

– Przysłał cię Lerma, tak? – spytał Aidan.

– A co to ma teraz do rzeczy?

– Pewnie nic. Tylko z jakiegoś powodu dostałem na moją splątaniówkę informację właśnie dla niego. W dodatku nadana została nie z Saratogi przez centralę, ale prosto z Rojanno. Wiesz dlaczego? Przecież...

Sułtan podniósł rękę na znak, żeby Aidan zamilkł.

– Jak chcesz, możesz sam pogadać z don Sebastianem. Jest teraz na mostku flagowym.

– Jest z tobą?! – zdumiał się Aidan. Musiało się zdarzyć coś niespodziewanego. Przecież Lerma wybierał się do Układu Słonecznego, a nie na jakieś zadupie.

– Jest i słyszy nas. Przełączyć cię?

– Nie ma czasu! – Aidana przez chwilę kusiło, żeby zamienić dwa słowa z inkwizytorem, ale kolejne szarpnięcie „Sirene” przypomniało mu znowu, gdzie jest i co się dzieje dookoła. – Słuchaj, dasz radę tym hipopotamom?

– Chyba cię całkiem pojebało, Samuels! – warknął Sułtan. – To stare krypy, ale ja jestem sam! Nie mam nawet jednej eskadry myśliwców do osłony, bo swoje straciłem prawie w komplecie, a uzupełnienie czekało dopiero na Saloss. Mogę odstrzelić jednego czy dwóch, ale reszta mnie dopadnie. Ten pierdolony monitor daje nam popalić, aż...

– Uwaga! – ryknął nagle Farlan. – Holownik!

Aidan zawiesił połączenie, spojrział na ekran, na którym oznaczony czerwienią mały okręt pędził z prędkością prawie dziewięciu dziesiątych c na „Vincenta”. Skorzystał z okazji, że

osłona pancernika w rejonie lądowisk znikła na chwilę, i postanowił się przebić.

– Shader! – wrzasnął Samuels. – Zrób coś! To kamikadze!

Widział na głównym ekranie taktycznym, jak pękaty holownik manewruje, zręcznie unikając aktywnych środków ochrony wielkiego okrętu. Aidan wiedział, że zniszczyć kolosa nie zdoła, nawet gdyby cały był jedną wielką głowicą jądrową, ale uszkodzić mógł go poważnie.

Był coraz bliżej... Nieuchronnie. Aidan zdawał sobie sprawę, że to, co dla niego trwa sekundy, dla załogi samobójcy rozciąga się w minuty. Przy prędkościach podświetlnych efekt relatywistyczny stawał się bardzo wyraźny.

– Kurwa mać, ale mu zamontowali silniki – szepnął z mimowolnym podziwem Martinez.

Samuels zacisnął zęby. Każda jednostka wyposażona w generatory mogłaby tak przyśpieszyć, ale nawet najlepsze amortyzatory grawitacyjne nie byłyby w stanie zniwelować przeciążenia. Uświadomił sobie, że ludzie w podrasowanym holowniku są już martwi, przyśpieszenie musiało przekroczyć pięć tysięcy g, a maszynę prowadzi komputer kwantowy, jedyne urządzenie logiczne, które mogło przetrwać.

– Spokojnie – mruknął Shader.

„Spokojnie?!” – chciał wykrzyknąć Aidan, ale zmilczał. Wrzaski nic by tu nie pomogły.

Za późno... Za późno! Pieprzony samobójca zbliżał się w szaleńczym tempie do pancernika, znalazł się już w martwej strefie ostrzału obrony...

I wtedy nagle eksplodował. Kula ognia rozbłysła i zgasła, a po kilku sekundach siłowa tarcza pancernika zamigotała, podejmując pracę na nowo. Do Samuela dopiero teraz dotarło, że tuż przed wybuchem zobaczył wygenerowaną przez komputer nitkę lasera rubinowego. Biegła od „Sirene”.

– Shader, ty skubańcu! – ryknął radośnie. – Wiedziałaś, że on to zrobi!

– Nie wiedziałem. Ale podejrzewałem. A poza tym Farlan mi przekazał, że kazałeś go szczególnie obserwować.

– Dobra – odetchnął Aidan. – Sułtan, jesteś? – wznowił połączenie z dowódcą pancernika.

– Jestem – mruknął Gutierrez. – Podziękuj Shaderowi, gdyby nie on, mielibyśmy tutaj niezły pasztet.

– Sam mu przy okazji podziękujesz – rzekł Aidan. – Najbardziej lubi gin, jeśli zdążyłeś zapomnieć. Cholera ciężka, nie damy rady, przecież nas zamęczą!

– Cóż za odkrycie – odparł zjadliwym tonem Sułtan. – Trzeba będzie się mimo wszystko wycofać, nie uważasz?

Aidan pokręcił głową. Był w sytuacji patowej. Gdyby nie okręty Republiki, nie wahałby się ani chwili. Z kolei tamci też już dawno by zniknęli, gdyby nie było tu jednostek imperium. Kapitanowie mogli sobie nawet zaufać i dogadać się w sprawie odwrotu, lecz ich dowódcy by tego nie zaakceptowali. Przecież wrogowi wierzyć nie wolno. Zgodzi się taki, żeby wracać do swoich, i robi odskok, a druga strona to wykorzysta, aby zająć zwolniony teren i wykonać misję.

Takie rozumowanie nie miało większego sensu w sytuacji śmiertelnego zagrożenia, ale przecież gdyby wyżsi dowódcy rozumowali logicznie, armie przestałyby być potrzebne jeszcze w głębokiej starożytności. Konflikty brały się głównie z niezrozumienia i braku umiejętności logicznego myślenia, a nie z mądrości.

– Słuchaj, Sułtan – powiedział Aidan. – Chyba mam pewien pomysł. Nie muszę ci tłumaczyć, co znaczy pojęcie ucieczki do przodu... Wydaje mi się, że mamy tutaj do czynienia

z głównymi siłami piratów. Chcą nas zniszczyć z dala od swojego królestwa, i to najwyraźniej za wszelką cenę.

– Chcesz przenieść środek ciężkości działań? – domyślił się z miejsca kontradmirał.

– Właśnie. Uczynić z ich siły słabość.

– Mów.

Lecz zanim Aidan wyłuszczył swój plan, do rozmowy wtrącił się trzeci głos.

– Witam, kapitanie.

– Uszanowanie, Wasza Ekscelencjo.

– Tysiąc razy prosiłem, żebyś się tak do mnie nie zwracał. W twoich ustach to brzmi, jakbyś splotował flegmą! – napomniął go Lerma.

– W takim razie witam, don Sebastianie. Chciałby pan coś dodać?

– Chciałbym wreszcie otrzymać tę wiadomość, która do pana dotarła z Rojanno.

– Co się w ogóle dzieje? – spytał Aidan.

– Nie czas teraz na wyjaśnienia. Zresztą sam jeszcze dokładnie nie wiem. Niedokładnie też.

Głos Lermy był najzupełniej naturalny i spokojny, lecz Aidan znał go na tyle długo, by wyczuć ukrytą gdzieś głęboko zadrę.

– Norman, prześlij odkodowaną wiadomość do Jego Ekscelencji – rozkazał. – A teraz przejdźmy do rzeczy, drogi kontradmirał.

* * *

Egberto z trudem rozchylił powieki. W źrenice uderzyło go ostre światło.

– Nie powinno tak być – wymamrotał. – Nie powinno.

– Jak nie powinno być? – ostry głos zakłuł w uszy, sprawiając przykrość.

Egberto drgnął, chciał przetrzeć dłonią twarz, ale dłoni nie było... Przez chwilę opanowało go wrażenie, że wcale nie posiada ciała, jednak dojmujący ból w nieistniejącym przedramieniu przywołał wspomnienia. Wspomnienia jeszcze bardziej przykre niż ten tnący uszy głos.

– Nie jestem na sądzie? – spytał. Nie poznawał własnego głosu, tak był zachrypnięty.

W gardle paliło, jakby ktoś wlał mu tam mocnego kwasu.

– Jeśli idzie ci o Sąd Boży, synu, to jeszcze nie.

– Ale don Sebastian mówił, że umrę... I przecież umarłem z bólu...

Wzdrygnął się na wspomnienie cierpienia. Nigdy przedtem nie doznał takiej tortury. Nigdy przedtem nie doznał żadnej tortury przecież... Ale nawet ostry atak wyrostka, który przeżył na początku nauki w seminarium, był zaledwie odległym echem echa najmniejszego z bólowych bodźców, jakich dostarczył mu inkwizytor. Tamten ból wydawał się zaledwie ukąszeniem komara. Ba, nawet odcięcie ręki nie przysporzyło choćby porównywalnego cierpienia. Zszokowany, doprawdy niewiele wtedy czuł. Teraz chyba najbardziej doskwierała mu ta brakująca kończyzna. Brakująca...

„Słodki Jezu, w co ja się wplątałem?!”

– Nawet don Sebastian może się czasem mylić – powiedział głos. Egberto wciąż nie mógł zogniskować spojrzenia, otoczenie wydawało się spowite w mlecznej mgłę. Tego, kto do niego przemawiał, w ogóle nie widział. Tylko ten ostry głos, tnący nerwy jak ostrze plazmowego noża... – Lecz Jego Ekscelencja wielki inkwizytor na pewno się nie omylił – ciągnął. – Nie zamierzał cię zgładzić, a tylko dodatkowo nastraszyć i zmotywować. A może

raczej przekonać, że śmierć będzie wybawieniem, niby utęskniona kochanka. Sprawiał, że to nie żyć pragnąłeś, lecz umrzeć, czy tak?

– Tak – wychrypiał Egberto.

– Lecz zdołaliśmy cię uratować, wyrwać z rąk oprawców. Jesteś bezpieczny, byłeś sekretarzu inkwizytora don Sebastiana Lermy. Jesteś bezpieczny, bracie Egbercie Juanie Contador.

– A kim ty jesteś... panie? – wykrztusił Egberto.

– Nikim ważnym – odpowiedział głos. Sekretarz zamrugał, próbując choć trochę rozproszyć mgłę, lecz nadal nic nie widział. – Chociaż, w sumie, komu jak komu, ale tobie moje miano powinno coś powiedzieć. Jestem Romano Santino...

– Wielki śledczy zakonu jezuitów i szef kontrwywiadu kościelnego Jego Cesarskiej Wysokości – wyszeptał Egberto. Z pewnością pobladłby na dźwięk tego nazwiska, lecz i bez tego prawie nie miał krwi w twarzy. – Ojciec Romano Pedro Suarez Santino...

– Jak widzisz, trafiłeś w dobre ręce... Poczekaj, synu, zdejmę ci to wreszcie.

Egberto zobaczył przez mgłę ciemny, rozmazany kształt ludzkiej postaci, a zaraz potem poczuł, że ktoś dotyka jego głowy. Po chwili w źrenice uderzyło jeszcze ostrzejsze niż na początku światło, zmuszając go do zamknięcia powiek. Przez ułamek sekundy jednak mógł się przekonać, że widzi prawie normalnie, i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez cały czas miał założone okulary.

– To było konieczne, żebyś nie oślepl – wyjaśnił jezuita. – Oczywiście mogliśmy cię wybudzać w ciemnościach, ale procedura koniec końców byłaby i tak podobna. Dostałeś bardzo mocne środki, podobne do tych, jakich używało się do hibernacji w czasach przed wynalezieniem portali skokowych i napędu nadświatelnego. Teraz jeszcze się je stosuje w nadzwyczajnych przypadkach, kiedy trzeba kogoś wprowadzić w stan katatonii. Ale to wiesz równie dobrze jak ja.

Egberto uchylił ostrożnie powieki i odetchnął z ulgą. Widział wyraźnie. W tej chwili pomyślał, że czasem człowiekowi doprawdy niewiele potrzeba do szczęścia. To, że stracił rękę, wydawało się przed momentem niczym w porównaniu z groźbą utraty wzroku. A przecież i ślepotą byłaby mniej istotna, gdyby szło o życie. Zdał sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy. Nie chciał umierać. Wprawdzie kiedy czuł straszliwy ból, modlił się o szybki koniec, o przerwanie tego opętanego korowodu cierpienia. Lecz teraz wiedział, że to była tylko obrona, że pragnął żyć całym sobą.

Przed nim stał pulchny mężczyzna średniego wzrostu, ubrany w skromny, lecz elegancki czarny uniform. Gdyby nie purpurowe wyłogi przy kołnierzu, mógłby go wziąć za zwykłego urzędnika. Wysoko postawionego, ale należącego co najwyżej do korpusu diakonalnego. Miał nalaną, miejscami czerwoną twarz, a na ustach błąkał mu się łagodny uśmiech. Czy to możliwe, żeby ostry głos należał właśnie do niego? Tembr kojarzył się raczej z jakimś kostycznym, wysokim starszym dostojnikiem o surowych rysach.

– Dziękuję, ojciec Romano...

– Nie ma za co, synu. – Tak, to był jego głos. A kiedy Egberto przyjrzał się uważnie obliczu wybawcy, stwierdził, że paradoksalnie pasuje on do niego. A konkretnie do oczu, zimnych, taksujących i kłujących uważnym, mało życzliwym spojrzeniem. Nie – nie mało życzliwym. Obojętnym. Serdeczne, łagodne rysy mogły zmylić mniej spostrzegawczego rozmówcę, jednak Egberto w służbie inkwizycji nauczył się oceniać ludzi głębiej niż tylko po pozorach i pierwszym wrażeniu.

A poza tym ten głos. On też miał znaczenie. Wielki śledczy z pewnością mógłby go bardziej modulować, uczynić łagodniejszym, cieplejszym. Mógł nawet skorzystać z prostych implantów lub modyfikacji genetycznych, a jeśli nie życzył sobie tego rodzaju ingerencji, istniały odpowiednie środki chemiczne. Jeśli pozostawił sobie ten drący jak tarka skrzek, uczynił to zapewne dlatego, aby szokować rozmówców, a przynajmniej ich nieco dezorientować. Egberto pomyślał, że don Sebastian nie uciekał się do takich sztuczek. Przed nim ludzie odczuwali obawę nie ze względu na wygląd czy inne cechy fizyczne, ale tę charyzmę, która zdawała się wypływać z niego i ogarniać całe otoczenie. Niewielu było takich, którzy potrafili się oprzeć temu bardzo specyficznemu urokowi. Samuels, może Gutierrez i – oczywiście – ludzie pokroju Romana Santina, sami potrafiący wywrzeć przemożny wpływ na innych.

– Czy mogę o coś zapytać? – Egberto odchrząknął. Odzyskiwał zdolność normalnego mówienia, choć jeszcze czuł okropne drapanie w gardle.

– Wyrwaliśmy cię z rąk inkwizycji, bo jesteś nam potrzebny. – Wielki śledczy cofnął się o krok, usiadł na krześle z wysokim oparciem. Egberto znał to krzesło... Znajdowali się w gabinecie don Sebastiana. A to oznaczało, że główna siedziba inkwizytora została oddana do dyspozycji jego przeciwników. Coś się musiało wydarzyć w czasie, kiedy był nieprzytomny. Tymczasem jezuita mówił dalej: – Nie przypuszczasz chyba, że twoi mocodawcy z Frakcji Ojca Gabriela postanowili ratować jakiegoś tam agenta? Nawet jeśli oddał im wielkie przysługi.

– Z jakiej Frakcji? – Egberto wytrzeszczył oczy na śledczego. – Nie wiem zupełnie, dlaczego don Sebastian tak mnie potraktował. – Ruchem brody wskazał obciętą rękę. – Widocznie ktoś podał mu o mnie fałszywe informacje...

– Przestań – warknął Santino. – Ja sam należę do gabrielistów. Nie musisz przede mną udawać.

– Nie mam pojęcia, o czym Wasza Eksceleńcja mówi. – Egberto poczuł pot występujący mu na czoło.

– Nie mam czasu ani ochoty na gierki.

Santino podszedł do sekretarza, odwinął rękaw i potarł rękę kilkanaście centymetrów powyżej nadgarstka. Po kilku sekundach skóra w tym miejscu pociemniała i ukazał się półholograficzny tatuaż – węże splecione w cierniowej koronie i wiszący nad nimi miecz. Po chwili ostrze powoli spłynęło w dół, wbijając się w węże, które wyprostowały się i oplótły klingę. Potem obraz znieruchomiał.

– Ojcie Santino, naprawdę jest pan członkiem Frakcji? – wyszeptał Egberto.

– Tajnym członkiem – uściślił wielki śledczy. – Doskonale wiesz, że tak samo jak wielki inkwizytor, także wielki śledczy nie może należeć do jakiejkolwiek organizacji poza własnym zakonem. Nie patrz tak na mnie. Życie nie jest tak proste, jak się zdaje młodym ludziom. Ty już poznałeś bure i przykre barwy szarości, słodko-gorzki smak zdrady, wiesz, co znaczy relatywizm moralny. Wiedz, synu, że na kimś trzeba się oprzeć. Powiedz, dlaczego podjąłeś współpracę z gabrielistami?

– Nie podejmowałem z nimi współpracy – mruknął Egberto. – Jakoś to samo wyszło...

– Wiem, jak to jest – zaśmiał się wielki śledczy. – Zawsze samo wychodzi. To jest najlepsza metoda działania agentury. Osaczamy figuranta powoli, wciągamy go w naszą grę. A kiedy orientuje się w końcu, że wpadł po same uszy, jest już za późno. Budzi się po drugiej stronie barykady bez możliwości powrotu.

Egberto zacisnął zęby. Tak, rzeczywiście przekonał się, jak to działa. Gdyby jeszcze rok

temu ktoś mu powiedział, że będzie przekazywał tajne informacje, działając na szkodę własnego protektora, zaśmiałyby mu się w twarz i kazał zacząć tworzyć fabuły fantastyczne. A przecież robił to i nawet nie zauważył, kiedy dał się wciągnąć w tę grę. I faktycznie, miał w pewnym momencie wrażenie, jakby obudził się w nowej rzeczywistości. Na dodatek całkiem mu to odpowiadało. Dreszcz emocji, pieniądze na tajnym koncie, kosztujące fortunę implanty... Przekłete implanty, jak się okazało, wszczepione mu tylko po to, żeby go wycisnąć do samego końca...

– Chciałbym jeszcze o coś zapytać, o ten prezent. – Spojrzał na kikut, ale i tym razem śledczy nie pozwolił mu sformułować kwestii do końca.

– Nie, nie zamontowaliśmy w implantach żadnych niespodzianek, śmiertelnego oprogramowania, trucizny ani podobnych rzeczy. Lerma kazał ci obciąć kończynę zupełnie niepotrzebnie. Ale uczciwie muszę powiedzieć, że doskonale go rozumiem.

Egberta przebiegł dreszcz. Ten człowiek był chyba tak samo przerażający jak don Sebastian. Również zdawał się czytać w myślach. Ciekawe, czy...

– Zastanawiasz się pewnie, czy mówię prawdę – ciągnął ojciec Santino, wprawiając sekretarza w jeszcze większy popłoch. – Mógłbym przecież skłamać. Pytanie tylko, po co, skoro i tak trafiłeś pod naszą opiekę. Ach tak, mógłbym kłamać, żeby cię lepiej usposobić. Lecz i tu pojawia się pytanie, w jakim celu, skoro i tak jesteś w mojej mocy? Krótko mówiąc, w istocie rzeczy jakakolwiek odpowiedź na twoje pytanie jest nieistotna z mojego punktu widzenia. A z twojego? Pewnie jest, aczkolwiek choćbym zapewniał cię solennie, że nie przygotowaliśmy letalnych zabezpieczeń, i tak nie będziesz pewien. Lecz nie ma to po prostu najmniejszego znaczenia.

– Mógłbyś, wasza dostojność, przysiąc na Biblię lub krzyż – mruknął Egbert.

– Nie przeciągaj struny – rzekł ostrzegawczo wielki śledczy. – Zresztą poświęciłem już nazbyt wiele czasu na tę jałową konwersację. Mamy do omówienia o wiele ważniejsze sprawy niż twoje wątpliwości. Wiesz już, kim jestem i kogo reprezentuję. To, że poinformowałem cię o mojej przynależności do Frakcji Ojca Gabriela, świadczy o wielkim zaufaniu, jakim cię obdarzam.

– Naprawdę nikt się tego nie domyśla? – wyraził wątpliwość Egbert. Czuł się już nieco lepiej, myśli bardziej swobodnie przepływały przez głowę. Przestał odczuwać zabobonny lęk przed jezuitą, domysłność i inteligencja wysokiego urzędnika nie wydawały się niczym niezwykłym. Żelazna logika i nic więcej. Przecież łatwo odgadnąć, o czym może myśleć osaczony i oszołomiony więzień. Tak, więzień, bo przecież wciąż nim był i właśnie zaczął sobie z tego doskonale zdawać sprawę. Na dodatek więźniem pozostanie na zawsze, nawet jeśli go kiedyś wypuszczą, poświęcą środki na zabieg odbudowania organicznej ręki, czy też wyposażą go w kosztowną wielofunkcyjną protezę, wciąż będzie się znajdował w klatce. Zbyt wiele wiedział, aby pozwolono mu swobodnie żyć. To nie było najgorsze, bo taki był los każdego zakonnika – reguła zawsze ogranicza swobody, podobnie jak służba czy to w inkwizycji, czy w innych służbach informacyjnych. Lecz on nie wiedział nawet, jaki będzie jego status w najbliższej przyszłości.

– Domyśły nie mają tu nic do rzeczy – odparł jezuita. – A teraz pozwól, synu, że to ja będę zadawał pytania tobie, a nie na odwrót.

Patrzył przez dłuższą chwilę na Egberta, taksując go wzrokiem od stóp do głów.

– Pierwsza kwestia jest następująca: kiedy – według ciebie oczywiście – wielki inkwizytor don Sebastian Lerma zaczął agenturalną współpracę i koordynację działań

z komisarzami ludowymi Republiki?

– Słucham?! – Egberto wytrzeszczył oczy.

– Czegoś nie zrozumiałeś? Mam powtórzyć?

– Wszystko zrozumiałem, Wasza Ekscelencjo. Ale przecież obaj doskonale wiemy, że don Sebastian nigdy nie podjął tego typu tajnych działań!

Wielki śledczy uśmiechnął się krzywo.

– Obaj to wiemy? Ja na pewno nie. A przypuszczam, że po naszej miłej konwersacji ty również będziesz przekonany o zdradzie tego człowieka... Twoje zeznania mogą się okazać kluczowe, kiedy przyjdzie nam stanąć z nim twarzą w twarz. A zatem ponawiam pytanie, choć sformułuję je nieco inaczej. Kiedy don Sebastian zaczął agenturalną pracę na rzecz Republiki?

* * *

– Do abordażu! – rozkazał Aidan. – Lorenzo, przełączam się na twoją kamerę!

– Tak jest! – odpowiedział natychmiast sierżant i roześmiał się radośnie. Nadchodziła walka, bezpośrednie starcie z wrogiem. A to było coś, co doświadczony komandos lubił najbardziej.

Opancerzony wahadłowiec bojowy z grupą abordażową przybił do ściany stacji dwie minuty wcześniej. A może właściwiej byłoby powiedzieć, że przywarł, a nie przybił. Kołnierz cumujący nie zassał się bowiem na którymś z luków, silnie chronionych przez stanowiska strzeleckie i zabezpieczonych ładunkami wybuchowymi. Piraci okazali się sprytniejsi i bardziej przewidujący, niż kapitanowie cesarscy mogli się spodziewać. Poczynili naprawdę imponujące przygotowania, aby nie oddać bazy w obce ręce. Gdyby podczas abordażu kierunkowe ładunki przy lukach odpaliły, zniszczyłyby tylko kapsułę napastników, nie zagrażając integralności struktury Forgotty. Zniszczeniu uległyby oczywiście również przedziały ładunkowe, ale grodzie natychmiast odcięłyby je od reszty stacji.

Dobrze, że Martinez uprzedził o takiej ewentualności. Chłopak wychował się w końcu wśród piratów, poznał ich sztuczki. Costa, wiedząc, czego szukać, bez większego trudu zlokalizował rozkład ładunków. Dzięki temu określono najbliższą bezpieczną lokalizację dla ochotników sierżanta.

– A ty, nawigatorze, nie chcesz ruszyć dupy i powalczyć ze swoimi dawnymi kumplami? – rzucił pogardliwie ze stanowiska pierwszego oficera Vesano.

– Pierdol się – odwarknął Diego. – Sam się zgłoś.

– Nie mogę, mam jeszcze niesprawną rękę.

Aidan spojrzał spod zmrużonych powiek na hrabiego.

– Ale może pan jednak, panie pierwszy, zechce poprowadzić drugą grupę abordażową – wysyczał. – Rączka boli? Jakże mi szkoda. Ale wie pan, dowódca grupy nie musi przecież walczyć. Może wysyłać naprzód innych. Niech pana nie zwiedzie postawa naszego sierżanta, który zasuwa zawsze na czele oddziału.

Ruiz nie odpowiedział, pochylił się nad konsolą.

– Diego – Aidan spojrzał teraz na Martineza – kiedy to wszystko się skończy i wrócimy do domu, możesz dać po mordzie pierwszemu oficerowi. Ale dopiero po wszystkim – podkreślił.

– Kiedy już nie będzie twoim formalnym przełożonym.

– Tak jest! – krzyknął radośnie nawigator.

– Tylko go zanadto nie uszkodź, bo jest jeszcze paru członków załogi, którzy chcieliby uczynić to samo.

– To jest... – zaczął Vesano, ale Aidan nie pozwolił mu dokończyć:

– Morda w kubek, pierwszy! Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż twoje histerie!

Dotknął bazkomu, uruchamiając bezpośrednie połączenie z panelem hełmu sierżanta. Potrząsnął głową, kiedy prosto w jego mózgu wykwitł obraz przedstawiający wnętrze wahadłowca, a konkretnie właz desantowy. Nigdy jeszcze nie używał tej opcji uniwersalnego komunikatora w warunkach bojowych. Na ćwiczeniach wyglądało to nieco inaczej. Teraz miał wrażenie, że przeniósł się do grupy abordażowej i to on nią dowodzi.

Wrażenie przyszło, kiedy Lorenzo Bosquito się poruszył. Aidan poczuł się wówczas jak widz i nieproszony gość. Odetchnął. To bardziej mu pasowało.

– Do dzieła – mruknął sierżant, kiedy nad lukiem zapaliło się zielone światło. – Chłopaki, tylko bez szaleństw, po drugiej stronie już na nas czekają!

Rzeczywiście czujnik w rogu wyświetlacza hełmu pokazywał rój czerwonych kropek, oznaczających przeciwnika.

– Rodrigo, granaty hukowe i gaz! – zarządził Lorenzo.

Kłapa włazu opadła, a marynarz posłusznie cisnął przez nią zaostrzone już granaty. Huk rozdarłby pewnie bębniarki zarówno atakującym, jak i obrońcom, gdyby nie to, że mieli na głowach hełmy. Ale sam podmuch powietrza był wystarczająco potężny, aby dwóch mniej doświadczonych marynarzy zasłoniło się odruchowo rękami.

– Ciężenie siedem dziesiątych g! – poinformował grupę Norman.

– Wiem przecież – warknął Bosquito. – Wiem, odkąd się przyssaliśmy. Mamy przecież, kurwa, sprzęt pomiarowy. Mów mi o rzeczach, o których nie wiem!

Z tymi słowami skoczył szczupakiem do wnętrza stacji, przetoczył się przez ramię. Natychmiast wyrósł przed nim potężny pirat. Przez szybę hermetycznego hełmu widać było jego wyszczerzone zęby i pianę w kącikach ust. Chciał strzelić do Lorenza, ale ten płazem krótkiej szabli wytrącił przeciwnikowi pistolet. Tamten z miejsca sięgnął po ostrze, wyciągnął klingę od dołu w górę z pochwy, w klasycznym ataku. Lecz trafił na starego wyjadacza. Bosquito odchylił się tylko lekko, przepuszczając tasak o centymetry przed piersią, a potem sam zadał cios. Pirat zdołał sparować potężne uderzenie, ale nie był w stanie uciec przed kulą. Sierżant był oburęczny, o czym Aidan doskonale wiedział, a w dodatku zwykł posługiwać się lewą ręką, kiedy operował bronią laserową lub miotającą. Sam kapitan cierpiał na astygmatyzm prawego oka i o wiele lepiej szło mu precyzyjne strzelanie właśnie z lewej ręki, podobnie jak sierżantowi. Samuels wiedział też doskonale, jak oburęczność przydaje się w takiej walce, i także umiał jako tako walczyć lewą, chociaż Lorenzowi nie byłby w stanie raczej dorównać.

Pirat rozkrzyżował ręce, trafiony pociskiem, który na jego kamizelce kuloodpornej rozprysnął się w szarą mgiełkę. Poza amunicją abordażową stosowano czasem również lasery małej mocy, jednak tradycyjne pistolety i karabiny okazywały się najbardziej skuteczne. A w ogóle najchętniej używano broni białej, która nie stanowiła zagrożenia dla integralności kadłuba zajmowanej jednostki. Nikt przez setki lat nie wymyślił lepszych metod. Dlatego akcje abordażowe wciąż mocno przypominały te, które opisywano w starych książkach o wojnach na morzu. Owszem, w rozwiniętej technologicznie marynarce morskiej epoki przedkosmicznej większą rolę przy bezpośrednim atakowaniu okrętów odgrywała broń palna, a potem też plazmowa i laserowa, ale w warunkach planetarnych penetracja kadłuba nie groziła natychmiastową dehermetyzacją i śmiercią zarówno atakującym, jak i atakowanym. Dlatego podczas walk w obiektach kosmicznych powrócono do najdawniejszych metod.

Korytarz, do którego się zassali, rozpuszczając pancerną ścianę stacji palnikiem infradźwiękowym, prowadził do pomieszczeń gospodarczych, rozmieszczonych po obu stronach tego modułu. Centrum dowodzenia oddalone było o dobre dwieście metrów w linii prostej, ale patrząc na schemat stacji, uzyskany od sekcji skanerów, sierżant tylko zaklął. Czekało go przedzieranie się przez przekłety labirynt!

– Jak inni? – spytał Bosquito kapitana.

– Grupy z „Greese’a” i z „Anakondy” również wchodzą. Za chwilę przegryzą się też chłopcy z „Wallace’a”. Ale to wy jesteście najbliżej centrum. Zasuwasj!

Za sierżantem tłoczyli się już następni, strzelając do obrońców i siekąc ich szablami. Piraci byli uzbrojeni rozmaicie – w pistolety, karabiny, jeden z nich, potężny jak goryl, targał nawet wielką rusznicę laserową, z którą tak naprawdę nie miał co zrobić, bo strzał w tym miejscu nie byłby najrozsądniejszym rozwiązaniem. Chociaż kto wiedział, co czai się w umyśle takiego bandziora?

„Załatw go!” – już miał rozkazać Aidan, ale powstrzymał się. To Lorenzo prowadził akcję, do niego należała ocena sytuacji. Dawanie rad powinno mieć głęboki sens, a nie opierać się jedynie na opinii kogoś, kto względnie bezpiecznie siedział na okręcie, śledząc akcję.

Względnie bezpiecznie, bo w każdej chwili mogły się pojawić jednostki piratów. Aidan wiedział już, że manewr jego pomysłu się powiódł, ale miał również świadomość, że w chwili wynurzenia się obu flotylli przy pirackiej stacji fala tachionów zaalarmowała okręty wroga, że nastąpił niespodziewany desant. Samuels klął w tym momencie na czym świat stoi te cząsteczki, pozbawione masy, poruszające się z prędkościami nieosiągalnymi teoretycznie dla żadnych produktów materii wszechświata, a w dodatku przenikające wszystko. Miały jedno ograniczenie – nie były w stanie poruszać się z prędkością mniejszą niż prędkość światła. Wielu uczonych wciąż jeszcze wątpiło w ogóle w istnienie tych drobin. Niektórzy uważali, że stanowią one szczególną postać znanych od dawna cząstek elementarnych, tyle że pochodzących z równoległego wszechświata, w którym obowiązują inne prawa fizyki. Etiologia ich powstania była dla Aidana nieistotna. Najważniejsze, że wiadomo było, iż jeśli tylko piraci dysponują detektorami tachionowymi, wiedzą już o podstępie. Z kolei patrząc na ich wyposażenie, Samuels nie wątpił, że posiadają odpowiedni sprzęt, jeśli nie na wszystkich wielkich i średnich okrętach, to przynajmniej na niektórych. A to wystarczyło.

Spojrzał na wyświetlacz, lecz na razie panował spokój. Wraz z pozostałymi jednostkami krążył wokół stacji, prowadząc dość niemrawą walkę z obroną piratów. Oczywiście wydawała się niemrawa w porównaniu z piekłem, z którego wyszli niedawno, bo wyjęci spod prawa ostrzeliwali się w istocie rzeczy, z czego tylko mogli. Nie mieli jednak należytego wsparcia jednostek kosmicznych. Wszystkie, które pozostały na straży Forgotty, grupy bojowe Cesarstwa i Republiki wyeliminowały w ciągu trzech pierwszych minut. Lekkich uszkodzeń doznały przy tym „Fitzcarraldo” i „Josey”. Natomiast grupa Bernhardta zmniejszyła się o jeden okręt jeszcze podczas zmagania na obrzeżach układu sigmy Errani. „Saxon” został trafiony bezpośrednim strzałem przez działo główne monitora. To nie powinno się zdarzyć. I nie zdarzyłoby się, gdyby dowódca „Williama Wallace’a” zachował się jak należy, trzymając szyk. Ale postanowił urządzić sobie mały samowolny rajd w celu zniszczenia uszkodzonej już i praktycznie bezbronnej kanonierki, rwąc sieć powiązań okrętów w formacji deltoidu i ich obrony. Być może potężne działo i tak by się przebiło przez nadwerężone już pola siłowe, neutralizacja mogłaby zawieść w pewnym stopniu, ale przynajmniej część salwy przejąłby na końcówki osłon „Wallace”, a wówczas nieszczęsny „Saxon” uległby uszkodzeniu, nawet

ciężkiemu, a nie rozpadł się na kawałki niczym kreda ciśnięta o granitową ścianę.

Aidan wyobrażał sobie, co miał do powiedzenia kapitanowi del Potrowi jego komodor, i cieszył się, że nie mają stałego wspólnego łącza, bo nie chciałby tego nawet słuchać.

Pomysł Aidana był bardzo prosty, choć wymagał od dowódców okrętów zgrania i doświadczenia. No i sporego hartu ducha od Sułtana, który miał zostać zupełnie sam.

– Muszą być przekonani, że osłaniasz nasz odwrót – powiedział Aidan, kiedy ustalali szczegóły. – A najlepiej, że sam nie możesz przejść do nadświatlnej...

– Bo nie mogę! – warknął Sułtan. – Mam uszkodzony generator główny napędu metaprzestrzennego.

– O cholera! – syknął Samuels. – W takim razie z planu nici, zostajemy z tobą.

– Tak, tak, i zginiecie ze mną! – sarknął kontradmirał. – To chyba bez sensu, co? Ja tutaj jeszcze powalczę, a jak się zorientują, co jest grane, chyba dadzą mi spokój. Kiedy tylko znikniecie, zacznę manewrować z prędkościami podświatlnymi, będę się od nich odrywał. A potem powinni mieć większe zmartwienia niż niesprawny pancernik. Wtedy zespół naprawczy weźmie się wreszcie do roboty.

Aidan pokiwał głową. Sułtan miał rację. Pozostanie w tym chaosie groziło zagładą wszystkim.

– Kapitanie Bernhardt – wywołał komodora flotyli Republiki. Pojawiła się przed nim czerwona z wściekłości twarz Jamesa. – Przystępujemy do realizacji naszego planu. Trajektorie wyznaczone? Proszę pamiętać, że wy lecicie i pojawiaacie się na miejscu nad płaszczyzną ekliptyki, a my pod.

Dzięki takiemu rozwiązaniu nie musieli ustalać między sobą trajektorii lotu nadprzestrzennego obu grup.

– Jasne – powiedział dowódca „Hornblowera”. – Mam tylko nadzieję, że ten kretyń del Potro nie skreśli w inną stronę, niż trzeba...

Aidan nie odpowiedział, nie było czasu wymieniać poglądów na temat kapitana niszczyciela „William Wallace”.

Po dziesięciu sekundach od tej rozmowy formacje imperium i Republiki nagle oderwały się od przeciwnika, zawracając w głęboką przestrzeń, każda w nieco innym kierunku – flotylla Aidana w stronę najbliższego portalu Cesarstwa, a okręty Bernhardta ku podobnemu urządzeniu należącemu do Republikanów.

Piraci byli tym manewrem zupełnie zaskoczeni, nie spodziewali się, że flotyle średnich jednostek mogą zostawić na ich pastwę wielki, cenny okręt, a jednocześnie musieli uznać, że formacje umykają na własne terytorium. Nie mogli ruszyć w pogoń, bo po chwili jednostki znikły w pęcherzach metaprzestrzeni. Pościg za nimi byłby wyprawą zupełnie na oślep.

Na mostkach większości okrętów banitów rozległy się triumfalne okrzyki. To także była okoliczność, na którą liczyli kapitanowie – wspaniały pancernik stanowił łakomy kąsek dla wiecznie spragnionych nowego sprzętu piratów. Po rejteradzie obu flotyli mogli podjąć próbę przejęcia. Dlatego monitor, pozostały krążownik i stary pancernik ograniczyły ogień, licząc na zdobycie potężnej jednostki bez zbytniego jej uszkodzenia. A może nawet w drodze negocjacji...

Tymczasem okręty obu flotyli zaledwie przez sześć sekund leciały obranym początkowo kursem, po czym wykonały zwrot o sto dziesięć stopni w przypadku grupy Aidana i o sto osiemnaście w przypadku jednostek Republiki i pomknęły w stronę stacji Forgotta.

A teraz w korytarzu zewnętrznym pirackiej stacji wrzała walka. Sierżant Bosquito srożył

się, rąbiąc szablą i strzelając. Jak zresztą wszyscy jego ludzie. Większość kul chybiała w panującym chaosie, rozbijając się na pył w zetknięciu ze ścianami i lekkimi pancerzami, co sprawiło, że już po kilkunastu sekundach w tej części korytarza uczyniło się nieco szaro. Gdyby nie filtry powietrza zamontowane w hełmach, ludzie zaczęliby się dusić. To też była część taktyki, gdyż unoszący się pył utrudniał obserwację rejonu walki z kamer wewnątrz. Rzecz jasna, można by je również oślepić impulsem elektromagnetycznym, lecz Aidan nie chciał niszczyć infrastruktury Forgotty, a nawet precyzyjnie kierowany impuls mógłby doprowadzić do problemów z funkcjonowaniem systemów energetycznych i podtrzymywania życia. Wolał to załatwić inaczej.

– Edgarze, przywal im z hybrydowego – powiedział do kapitana „Fitzcarralda”. – Jak twoje uszkodzenia?

– Wytrzymamy. Na razie ekipy remontowe nie mogą działać. Sam wiesz, manewry unikowe. W co mam strzelić? Może w centrum dowodzenia?

– Gdzieś obok – powiedział zdecydowanie Aidan. – Chcemy ich na razie nastraszyć i przemówić banitom do rozumu. A poza tym pamiętaj, że tam są nasi ludzie z grup abordażowych. Bierz to pod uwagę przy celowaniu.

– Tak jest.

Miotający się niszczyciel podleciał bliżej do stacji i znieruchomiał na trzy sekundy. Tylko pozornie znieruchomiał, bo wciąż leciał przed siebie z prędkością jednej setnej c. Zaprzestał po prostu manewrów unikowych. W następnej sekundzie jeden z zewnętrznych modułów stacji zamienił się w stertę pociętego złomu. W przestrzeni ukazał się siwy obłok uciekającej atmosfery, który zaraz rozwiął się i znikł bez śladu. Podobnie zresztą jak generatory tarcz w tym miejscu.

Piraci odpowiedzieliby z pewnością bardziej zmasowanym ogniem, gdyby już w tej chwili nie wypluwali z dział i wyrzutni wszystkiego, co mogli.

– Shader – Aidan wywołał szefa artylerii – dwa konwencjonalne kinetyczne w to samo miejsce.

– Na rozprysk? – spytał Robert.

– Na rozprysk – zgodził się kapitan. Shader zrozumiał jego zamysł. Wprawdzie większe zniszczenia spowodowałyby pociski kumulacyjne albo zwyczajne ciężkie walce uderzające w już uszkodzoną część, ale głowice rozpryskowe wyglądały o wiele bardziej widowiskowo, a Samuelowi chodziło przede wszystkim o działanie psychologiczne.

– Doskonały pomysł – odezwał się głos Bernhardta, na wyświetlaczu ukazała się jednocześnie jego twarz. – Zrobię to samo z drugiej strony, dokładnie naprzeciwko.

– Masz działo hybrydowe?

– „Wallace” ma...

– Znakomicie. Do dzieła.

Twarc komodora flotylii Republiki znikła, Aidan zwrócił się do Farlana.

– Jak tylko James zrobi swoje, łącz mnie z dowódcą obrony stacji. Na ich kanale bojowym.

– Nie znam ich częstotliwości bojowej, jest kodowana...

– To znajdź ją, do cholery! Czym się zajmujesz przez ostatni kwadrans? Mam cię uczyć, na czym polegają obowiązki oficera łączności?!

– Przepraszam, sir. – Norman zaczerwienił się lekko, trochę ze złości, a trochę ze wstydu.

– Pomagałem bosmanowi...

– Nie zauważyłeś, że już nie ma wokół nas kilkadziesiątu wściekłych kryp?! Wracaj do swoich obowiązków! Patrz, James już się bierze do roboty!

– James – dobiegł z boku drwiący głos Vesana. – Niedługo zaczniesz mu mówić Jimmy...

– Zamknij pysk! – warknął Aidan. – Zajmij się czymś pożytecznym! Na przykład przeglądem stanu okrętu!

Podczas trwania tego dialogu „Wallace” wraz z „Anakondą” zrobiły swoje. Prawie dokładnie naprzeciwko zniszczonego przez Aidana modułu wyparował drugi, identycznych rozmiarów. Dzięki takiej symetrii działań Forgotcie pozostała możliwość zachowania w miarę stabilnych obrotów.

– Co z tym połączeniem? – syknął kapitan. – Masz tę ich częstotliwość bojową? Znalazłeś?

– Jeszcze parę sekund...

Aidan znów przełączył się na widok z hełmu sierżanta. Walka przeniosła się w głąb korytarzy, ale grupa abordażowa napotykała coraz silniejszy opór. Piraci ochłonęli z pierwszego zaskoczenia, przegrupowali się, a teraz próbowali wyprzeć napastnika.

– Zostało mi siedemnastu ludzi – zameldował sierżant, widząc kontrolkę informującą o bezpośrednim połączeniu z dowódcą. – Mam dwóch zabitych i ośmiu rannych, niezdolnych do walki. Nie przebijemy się.

– Jasne – powiedział spokojnie Aidan. – Zajmijcie po prostu pozycje i nie pozwólcie się stamtąd wysiudać. Zaraz wysyłam drugą grupę. Gdybyś stwierdził, że robi się zbyt gorąco, wracaj do wahadłowca.

– Tak jest. Na pozycjach spokojnie wytrzymamy! – odparł rześko sierżant. A potem zwrócił się do podwładnych: – No, parszywe szczury lądowe! Szukać osłon i napieprzać w skurwysynów, czym kto ma! Już można walić nawet z tego, Saran, uruchom ten pieprzony vulcan! Byle walić w tamtą stronę, w głąb!

Potrząsnął przed sobą zdobyczną rusznicą. Przedtem trzymał ją poza polem widzenia, więc Aidan dopiero teraz mógł się zorientować, że dowódca sił inwazyjnych odebrał broń tamtemu osiłkowi w rejonie wtargnięcia. Przez moment zadumał się nad smutnym losem, jaki musiał spotkać pirata.

– Druga grupa gotowa? – spytał, łącząc się z mostkiem zapasowym.

– Gotowa – odparł Eloy Zamora. – Już są w wahadłowcu. Przełączam pana, sir.

– Pani bosman – powiedział Aidan – start za piętnaście sekund.

– Tak jest! – odpowiedziała bosman Agnes Collins, dowodząca drugim rzutem abordażu. Jej zespół na pewno nie był tak doborowy jak ten sierżanta, ale wszyscy marynarze umieli się bić, a do grup ekspedycyjnych zgłaszali się zasadniczo tylko ci, którzy robili to lepiej od innych i mieli podwyższony próg potrzeby ryzyka. Jak sama pani bosman zresztą.

– Diego, przerwij manewry unikowe na sygnał z wahadłowca. Norman, co z tym połączeniem, do cholery?!

– Wygasili albo blokują wszystkie własne częstotliwości... – zaczął tłumaczyć chorąży.

– Domyślam się! Dlatego masz znaleźć bojową! Tej nie mogą zablokować w stu procentach!

– Jeszcze chwila, panie kapitanie.

– Ugryzę cię, Farlan. Przysięgam, że jak tylko będę mógł odpiąć się od fotela, ugryzę cię w pieprzone ucho, a potem kopnę cię w chudy tyłek! Patałachu cholerny, postaraj się!

Wściekał się, ale wiedział, że postawił przed Normanem bardzo trudne zadanie. Wszystkie stacje kosmiczne blokowały w razie zagrożenia częstotliwości radiowe, na których normalnie

pracowały, żeby uniknąć włamania do systemów informatycznych. Walka za pomocą wirusów bywała nie mniej skuteczna niż zbrojny atak. Pozostawała tylko częstotliwość bojowa właściwa i zapasowa, szczelnie ekranowane, niemożliwe do namierzenia. Oczywiście niemożliwe było to tylko teoretycznie, bo w praktyce dobry oficer łączności potrafił do nich wtargnąć, choć zaraz go z reguły wykrywano i izolowano. Ale Aidan nie zamierzał dobierać się do samych systemów łączności przeciwnika. Chciał tylko nadać krótki komunikat.

– Mam to! – krzyknął triumfalnie Norman. – Ale zaraz mnie wyrzucą albo zablokują!

– Nadaj ten tekst! – Aidan przesłał mu na pulpit przygotowany wcześniej komunikat. – Zobaczmy, co zrobią.

Zastanawiał się przez chwilę nad czymś nieuchwytnym, co nie dawało mu spokoju. O czymś zapomniał, i nie mógł sobie uświadomić, o czym, a było to coś ważnego.

– Nadałem – oznajmił Farlan po chwili. – Mam potwierdzenie, że dotarło. Panie kapitanie... – zawiesił głos, widząc, że Aidan ma zamyśloną twarz. Nie chciał mu przeszkadzać.

– Mów, Norman, mów – mruknął Samuels.

– Czy chce się pan zapoznać z tą wiadomością, która przyszła do Jego Ekscelencji na radiostację kwantową?

– No jasne! – zawołał Aidan z ulgą. Właśnie o tym miał pamiętać! – Chorąży, jesteś prawdziwym skarbem!

– Przed chwilą jeszcze wyzywał mnie pan od patałachów – burknął Farlan.

– Jedno przecież nie wyklucza drugiego – odparł pogodnie Aidan. – Jesteś świetnym patałachem. Teraz lepiej?

Farlan spojrzał na dowódcę chmurnie spod zmarszczonych brwi. Ale nie wytrzymał długo z tym marsem na czole.

– Obawiam się, że to jeszcze gorsze niż zwykły patałach – roześmiał się. – Ale niech będzie. Ma pan tę wiadomość na pulpicie – powiedział po chwili.

Aidan spojrzał na krótką depezę i potrząsnął głową. Nic z tego nie rozumiał. A raczej rozumiał doskonale treść, ale nie miał pojęcia, po co ktoś to w ogóle nadawał.

– Co tam jest? – zainteresował się Vesano. Od chwili, kiedy Farlan wrócił do swoich obowiązków, nudził się, mając jedynie możliwość obserwacji wydarzeń.

– Nie twoja rzecz – burknął kapitan. – To są zabawy dorosłych panów, a poza tym stanowią tajemnice państwowe, do których kryminaliści nie mają dostępu.

– Samuels! – syknął hrabia i zaraz się poprawił: – Kapitanie Samuels... Przysięgam, że odpowie pan za te obelgi!

– Jasne, jasne – wymruczał Aidan, wpatrując się w dziwną wiadomość.

Te trzy zdania wyglądały zarazem niewinnie, jak i intrygująco. Lecz nie miał czasu na rozważania, bo Farlan odezwał się napiętym głosem:

– Mamy wiadomość od dowódcy obrony Forgotty, sir! Prośba o osobistą rozmowę.

– Dawaj go, Norman!

Zerknął na zegar. Od wyjścia z bąbli metaprzestrzennych i rozpoczęcia walki minęło dwadzieścia minut, w każdej chwili mogły zacząć się pojawiać pirackie jednostki, zaalarmowane falą tachionów. Grupom bojowym podróz tutaj zajęła właśnie tyle z prędkością siedmiuset procent c. Okręty bandytów zapewne posiadały różne osiągi, ale najlepsze z nich powinny mieć parametry porównywalne z jednostkami imperium i Republiki.

Błysk tajemnicy

Egberto był zupełnie skołowany. Po przesłuchaniu przez wielkiego śledczego Santina był pewien, że chcą go użyć tylko i wyłącznie jako żywego dowodu na matactwa i zdradę wielkiego inkwizytora. Miał zostać przetransportowany do stacji klasztornej jezuitów, oddalonej od dominikańskiej o zaledwie pół jednostki astronomicznej, jednak na razie wciąż był przetrzymywany na Rojanno. Wydawało się, że baza służby inkwizycyjnej została przekształcona w siedzibę kontrwywiadu zarówno kościelnego, cywilnego, jak i wojskowego, gdyż oficerowie wszystkich tych agend uczestniczyli w przesłuchaniach. Lecz zawsze prowadził je Santino. To oznaczało, że władze duchowne grały w tym koncercie pierwsze skrzypce.

Ale to, o co zaczęli wypytywać byłego sekretarza tego ranka, sprawiło, że poczuł się zdezorientowany. Razem z wielkim śledczym przyszedł człowiek ubrany całkiem zwyczajnie – ani w barwy jezuickie, ani inkwizycyjne. Po prostu cywil.

Jednak nie tak po prostu...

– To Elazar Mota Carrero – przedstawił nieznajomego Santino. – Profesor Wydziału Astrofizyki i Kosmologii Uniwersytetu Cesarskiego w La Paz.

Już nazwa uczelni zrobiła na Egbercie wrażenie. Uniwersytet był zlokalizowany na Ziemi, co samo w sobie nadawało mu wielkiego splendoru. A nazwisko Carrero znane było każdemu, kto miał chociaż odległy związek z naukami ścisłymi.

– Jestem zaszczycony – wymamrotał Egberto, zastanawiając się, dlaczego wielki naukowiec fatygował się, aby z nim rozmawiać.

A Carrero wpatrywał się długo w zmęczoną, wymizerowaną twarz Contadora. Nie spodziewał się najwyraźniej, że zobaczy taki strzęp człowieka, tym bardziej że od chwili aresztowania sekretarza przez inkwizytora minęło zaledwie parę dni. Z kolei Egberto patrzył w głębokie, mądre oczy naukowca i dostrzegł w nich błysk współczucia. Lecz zamiast jakiegokolwiek wdzięczności, a może przynajmniej ciepłej myśli, poczuł ostre ukłucie złości. Nie potrzebował współczucia. Potrzebował pomocy. Od poprzedniego ranka bolała go potwornie głowa. Miewał czasem migreny, lecz ten atak był jeszcze gorszy od innych. Czaszka pulsowała, jakby miała zaraz pęknąć. Chwilami miał trudności ze zogniskowaniem wzroku. Doznania były tak przykre, że zapominał o dojmującym, tępym bólu w odciętej ręce. Słabe to jednak stanowiło pocieszenie. W dodatku nikt się nie przejmował jego raną, jedynym zabiegiem medycznym, jaki mu zapewniano, były zmiany opatrunków w medmacie. Wiedział, że jeszcze kilka dni, a przestanie mieć szansę na odbudowanie tkanek metodami naturalnymi, tym bardziej że nie pobrano od niego nawet komórek macierzystych, koniecznych do rozpoczęcia kuracji. Będzie skazany na mechaniczną protezę, a tego by nie chciał...

Najwyraźniej nikomu na nim nie zależało, musiał więc sam coś z tym zrobić.

– Pan profesor ma do ciebie kilka pytań, synu – powiedział jezuita. – O pewne sprawy, które dotyczą twojego byłego chlebodawcy.

– Przecież powiedziałem wszystko – jęknął Egberto. – A to, czego nie powiedziałem, znaleźliście w węzłach implantów mojej ręki... – Spojrzał z żalem na zabezpieczony natryskowym opatrunkiem kikut.

– Tego, o co chodzi profesorowi, nie znaleźliśmy w implantach – odparł surowo wielki śledczy. – I zapamiętaj, synu, że człowiek nigdy nie ma prawa mówić, jakoby wyjawiał już wszystko. Zawsze coś pozostaje.

– To samo powtarzał Lerma – mruknął Egberto.

– Don Sebastianowi nie sposób odmówić mądrości – rzekł Santino. – Jest może zdrajcą, ale nie głupcem! A teraz posłuchaj...

– A teraz to pan, Ekscelencjo, posłucha, co ja mam do powiedzenia – wszedł mu w słowo Egberto. Ból głowy okazał się zbawienny. W tej chwili nie odczuwał strachu, a tylko znużenie i złość. Było mu wszystko jedno. – Jeśli chcecie, abym współpracował i potwierdził zarzuty w stosunku do wielkiego inkwizytora przed Trybunałem Cesarskim i Zgromadzeniem Ogólnym, zaczniecie o mnie dbać.

– Nie masz prawa wysuwać żądań – warknął jezuita. – Sam zdradziłeś swego pana...

– Proszę mi nie przerywać! – syknął Egberto. – Nie usłyszycie ode mnie ani jednego słowa więcej, jeśli nie zostanie mi zapewniona odpowiednia opieka medyczna, a przede wszystkim jeśli nie rozpocznie się proces odbudowy mojej ręki!

– Może od razu z implantami? – zadrwił Santino.

– Znakomity pomysł! – Złość sprawiła, że migrena nieco ustąpiła, ale teraz nasiliła się do niebotycznych rozmiarów. – Żadam... – zaciął się i urwał, przymykając oczy.

– On cierpi – zauważył profesor Carrero.

– Nie możemy mu podawać większych dawek leków, bo przestanie logicznie myśleć. Aż taki dokuczliwy ból w kikucie nie jest – odparł wielki śledczy.

– Mnie chodzi o to, że cierpi na migrenę – wyjaśnił naukowiec. – Widzę to po jego zachowaniu. Sam się z tym zmagam, więc wiem, jakie to dokuczliwe i jak zakłóca myślenie.

Santino podszedł bliżej do Egberta, pochylił się nad nim i zajrzał mu w oczy.

– To prawda? Czemu nic nie mówiłeś, synu? – spytał.

– Mówiłem kilka razy wartownikom... – Więzień znów urwał, kiedy ból nakrył go szorstkim całunem.

– Porozmawiam sobie z nimi – obiecał śledczy. – Zaraz dostaniesz leki, ale musisz odpowiadać na pytania pana profesora. To bardzo zajęty człowiek. A teraz ma jeszcze więcej obowiązków przez tę przeklętą dziwną materię...

– Co z moją ręką? – spytał Egberto.

Santino syknął zniecierpliwiony, ale odparł spokojnie:

– Będzie, jak zechcesz. Tym bardziej że wyhodowanie jej wprost na ciele wyjdzie jednak taniej niż implant hodowlany albo pełna proteza. Ale zdajesz sobie sprawę, że na dobre cztery tygodnie trafisz do inkubatora i będziesz utrzymywany w stanie śpiączki, prawda? Właśnie. A my potrzebujemy informacji od ciebie już teraz! Im szybciej się uwiniesz, tym prędzej stanie się zadość twoim żądaniom!

Egberto skinął głową i natychmiast tego pożałował, gdyż od karku ku czołu przepłynęła koszmarna fala, obejmując całą głowę niczym zbyt ciasny hełm.

– Proszę pytać – szepnął.

Jezuita wezwał medmat i zażądał środków przeciwmigrenowych.

– Może pan odpowiadać? – upewnił się profesor. – Wiem, jak trudno się skupić przy takim bólu.

– Dam radę – wymamrotał Egberto. Przyjął od wielkiego śledczego koktajl leków. – To i tak za wiele nie pomoże – dodał po wypiciu. – Rozwinięta migrena niechętnie się cofa.

– Zgadza się – pokiwał głową Carrero. – Lecząc czasem przychodzi ulga po lekach. Nigdy nie wiadomo. Ale przejdźmy do rzeczy. – Zamilkł na chwilę, jakby układał dopiero w myślach pytanie. – Proszę mi powiedzieć, co mówił don Sebastian na temat tych pojawiających się w kosmosie skupisk specyficznej materii i jej oddziaływania.

– Wysyłał na ten temat raporty – powiedział ze zdziwieniem Egberto. – Powinniście wiedzieć lepiej ode mnie...

– Nie chodzi o to, co pisał w raportach, ale co mówił. Szczególnie ostatnio, zanim wymógł pozwolenie wysłania w rejon sigmy Errani tej flotyli niszczycieli. Coś musiał mówić, prawda?

– Nie wiem, o co panu chodzi, profesorze. – Egberto zdrową ręką przetarł twarz. Ból nie ustąpił, ale zaczął jakby nieco się oddalać. Wiedział, że za kilka minut powróci z poprzednią siłą, ale na razie cieszył się krótką chwilą względnej ulgi. – Mówił, tak, słyszałem nawet jego rozmowę z szefem kontrwywiadu wojskowego na ten temat. Nie wiem tylko, czy jestem w stanie wiernie wszystko powtórzyć, bo jednych rzeczy nie rozumiem, a inne nie mieszczą mi się w głowie...

– Proszę mówić – zachęcił go profesor. – Jeśli czegoś nie będę pewny, dopytam, a niewykluczone, że pomogę odświeżyć w pamięci to i owo, czy też nawet ułatwię panu zrozumienie.

– Niech będzie – zgodził się Egberto. – Nie przekazywałem tych informacji, bo nie miałem pojęcia, że są w ogóle istotne. Oczywiście z punktu widzenia moich odbiorców.

– Pracował dla pewnej organizacji – wyjaśnił wielki śledczy zdziwionemu ostatnim zdaniem profesorowi. – Nie wiedział, że jednocześnie pracuje też dla nas. – Roześmiał się. – Don Sebastian, miotając się przez ostatnie lata po różnych zakątkach przestrzeni, przegapił to i owo. A niektóre sprawy zwyczajnie zlekceważył.

– Rozumiem – rzekł naukowiec. – W takim razie, bracie Egbercie, bo tak chyba należy się do pana zwracać? Proszę mi łaskawie przedstawić ostatnie poglądy don Sebastiana. Wiemy o jego wymianie uwag z szefem sekcji badawczej podczas wyprawy do Regora. Wiemy, że dopuścił możliwość, jakoby tajemnicza materia, rosnąca w pobliżu tamtego układu, pochodziła z innego wszechświata.

– Już samo w sobie takie przypuszczenie jest niebezpieczne – wycedził przez zaciśnięte zęby jezuita – i kłóci się z nauką Kościoła! Nawet biorąc pod uwagę dopuszczalność istnienia mnogości wszechświatów, nie jest możliwe, aby Bóg miał pozwalać na ich łączenie się! Taki pogląd to zwykłe obrazoburstwo.

– Z kosmologicznego, nawet niekoniecznie religijnego punktu widzenia to powinno być wykluczone – potwierdził profesor. – Zważywszy zresztą na zapisy Księgi Genesis, a dokładnie ich interpretację ogłoszoną przez sobór passański oraz cytaty z Biblii dotyczące budowy świata, wszechświaty nie mogą ulec pomieszaniu, a w każdym razie nie wcześniej niż w Dniu Sądu Ostatecznego. Wówczas Bóg może dopuścić do ich połączenia, lecz połączenia w pokoju.

– Chyba żeby wszyscy zostali potępieni – mruknął Egberto.

– Co mówiłeś, synu? – śledczy pilnie nadstawił ucha.

– Don Sebastian powiedział, że odbywać się to może w pokoju, chyba że wszyscy zostaniemy potępieni, bo wówczas przenikanie wszechświatów mogłoby się odbywać gwałtownie, aby zamienić rzeczywistość w otchłanie piekielne.

– A to ciekawy pogląd – syknął jezuita.

– Jednak inkwizytor raczył wówczas żartować – uściślił były sekretarz. – Podkreślił to zaraz potem, a mnie się to teraz po prostu przypomniało.

– Bardzo chwalebna jest twoja lojalność względem człowieka, który ci to uczynił – rzekł łagodnie Santino – ale nawet jako żart jest to niezmiernie interesujące.

Egberto popatrzył na niego posepnie. „Lojalność?” – pomyślał. „Raczej uczciwość. W końcu Lerma nic mi nie zrobił złego przez całą moją karierę, to ja na niego donosiłem. A poza tym traktujecie mnie wcale nie lepiej niż on po aresztowaniu, jak się nad tym zastanowić”. Odwrócił wzrok, napotyając klujące źrenice jezuita, i mimowolnie dotknął krawędzi opatrunku na kikucie.

– Nie użalaj się już nad sobą, synu – powiedział wielki śledczy. – Na wszystko trzeba sobie zapracować. I na karę, i na nagrodę.

Egberto poczuł dreszcz przebiegający przez plecy. Tak, jego sytuacja stanowczo była nie do pozazdroszczenia. Stał się zakładnikiem własnej zdrady.

– Co pan powie na ten niby-żarcik don Sebastiana? – zapytał Santino, odwracając wzrok od więźnia i patrząc na profesora.

Carrero wzruszył ramionami.

– Z punktu widzenia nauki mieszanie wszechświatów tak samo nie powinno mieć miejsca, jak i z punktu widzenia kosmologii teologicznej. Jeśli weźmiemy pod uwagę teorię bran, czyli istnienia metaświata, w którym istniałyby obiekty poruszające się we wspólnym ośrodku, albo nawet jakby płachty wiszące obok siebie, oddzielone nie przestrzenią nawet, ale po prostu oddzielone w pewien sposób... Nie chcę się wdawać w głębokie spekulacje.

– To koncepcja wywodząca się z teorii strun – wtrącił się jezuita. – Do mnie zbytnio nie przemawia...

– Wybaczy pan, Ekscelencjo – odparł naukowiec – ale do mnie właśnie ona przemawia chyba najmocniej. To ona dopuszcza zderzenia bran w pewnych warunkach...

– Ale czy wówczas nie mielibyśmy do czynienia z katastrofą na skalę wszechświatową? – wyraził wątpliwość Egberto, zapominając na chwilę o bólu i swoim żalosnym położeniu. – O tym także wspominał don Sebastian. Gdyby brany się zderzyły, mogłoby nastąpić coś w rodzaju Wielkiego Wybuchu...

– Czyste spekulacje! – zirytował się nagle Santino. – Bez woli Bożej nic się nie dzieje na świecie, a w każdym razie nic, co decyduje o losach tegoż świata.

Profesor spojrział na duchownego nieco zdziwiony.

– Czyżby Wasza Ekscelencja zaliczał się do grona skrajnych kreacjonistów? – spytał. – To pogląd swego czasu forsowany przez Vis Universi, a potem Frakcję Ojca Gabriela.

– Najwidoczniej w tym miejscu nasze poglądy są styczne. Tak się zdarza – wycedził zimno Santino. – Bardziej mnie ciekawi, co do powiedzenia na ten temat miałby nasz drogi nieobecny.

– Z tego, co zrozumiałem, jego punkt widzenia zgadza się mniej więcej z tym, o czym mówił profesor. Tyle że jeśli chodzi o te zderzenia bran, miał pewną koncepcję... Nie do końca to rozumiem, ale wydawała się całkiem rozsądna...

– Mów zatem! – zachęcił Egberta wielki śledczy. – Mów, chętnie posłuchamy, nawet jeśli coś tam pomylisz...

* * *

Nad Forgottą wisiało mrowie okrętów. Właściwie nie tyle wisiały, co poruszały się po

kontrolowanych przez komputer stacji orbitach. Tworzyły jakby dwie chmury elektronów okrążających wspólne jądro, którym była Forgotta. Wewnętrzna stanowiły jednostki Cesarstwa i Republiki, z działami wycelowanymi w bazę, pozbawioną wszelkiej osłony siłowej, zewnętrzną zaś okręty piratów, z bronią skierowaną ku intruzom. Obie strony miały jednak świadomość, że wyjęci spod prawa nie odważyliby się użyć nawet zwykłego działka impulsowego, aby nie sprowokować ostrzału cennej dla nich bazy.

A zupełnie na zewnątrz, jakby samotna cząstka, oderwana od innego atomu, unosił się „Vincent”. Kiedy do detektora na pancerniku piratów dotarł impuls tachionowy, informujący o pojawieniu się zagrożenia bezpośrednio przy ich małej ojczyźnie, z miejsca porzucili walkę z kolosem. W samą porę, bo dowódca „Vincenta” z największym niepokojem słuchał raportów o kolejnych uszkodzeniach. W strefie działań bojowych pozostał tylko monitor, a i to jedynie dlatego, że nie był w stanie dotrzymać kroku całej reszcie. Zapewne miał też za zadanie trzymać w szachu porozbijany pancernik, jednak skończyło się to prostym oderwaniem się „Vincenta” od przeciwnika. Sułtan mógł pokusić się o zniszczenie silnie opancerzonego i uzbrojonego potwora, jednak uznał, że nie warto poświęcać czasu i energii na takie działanie. Pozostawił więc wściekłego szypra monitora, który wzywał go do honorowej walki na wszystkich dostępnych kanałach. Posłał mu jedynie na pożegnanie zmasowaną salwę z baterii głównej, która sprawiła, że osłony ciężkiej jednostki rozjarzyły się już nie tylko w symulacji komputerowej, ale zaśniły światłem widzialnym.

A potem zdarzyło się to, co najbardziej zaskoczyło kontradmirała.

– Może mi pan przydzielić jakiś pistolet plazmowy, igłowy albo chociaż białą broń boczną? – poprosił inkwizytor. – W pośpiechu nie zabrałem zupełnie nic, a mamy przecież bez przerwy stan alarmu bojowego najwyższych stopni.

– Jak pan chce, Ekscelencjo – odparł zdziwiony Gutierrez. – Nie przypuszczam jednak, żeby zaszła potrzeba... Nie przewidujemy abordażu na nasz okręt, więc...

– Wojna to wojna – przerwał mu Lerma. – Nigdy nic nie wiadomo. Poproszę o coś w stu procentach sprawnego.

– Później wydam polecenia zbrojmistrzowi. – Sułtan wzruszył ramionami. – A na razie proszę przyjąć to.

Odpiął pas z małym pistoletem ultradźwiękowym, zwanym piccolo z uwagi na wysoki pisk, jaki towarzyszył uruchamianiu urządzenia. Skuteczny zasięg broni wynosił od dziesięciu centymetrów do dwudziestu metrów, w zależności od nastawy, potem fala ulegała rozproszeniu. Spolaryzowane ultradźwięki w pewnych sytuacjach mogły być groźniejsze od lasera. Używano tego typu uzbrojenia rzadko nawet przy abordażu, gdyż ogniwa wystarczały na zaledwie pięć, góra sześć strzałów. Sułtan nosił piccolo jako uzupełnienie dla pistoletu impulsowo-laserowego średniej mocy, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się go użyć. Regulamin wymagał jednak, aby dowódca okrętu większego od niszczyciela w czasie alarmu bojowego posiadał co najmniej dwie sztuki broni.

– Piszczalczka – mruknął don Sebastian. – Cóż, musi mi wystarczyć.

Rozejrzał się po mostku, spojrzął na liczne urządzenia.

– A teraz proszę mi wskazać radiostację splątaniową – zażądał. – Tyle tu tego jest, że nie mogę jej dostrzec.

– Jest zamontowana tam. – Sułtan wskazał niepozorną skrzynkę z płaskim wyświetlaczem, umocowaną na ścianie tuż obok jakiegoś urządzenia, które wydawało niskie, ledwie słyszalne pomruki, a na jego półholograficznym ekranie przesuwwały się długie kolumny danych. – W tej

chwili jest nieczynna, musiałbym przynieść z sejfu pakiet kryształów, wprowadzić kod, którego jedną trzecią znam ja, drugą mój zastępca, a trzecią oficer łączności drugiej wachty. Uwierzytelnienie w centrali potrwa chwilę, jednak później będę musiał pisać raporty, wyjaśnienia... Zresztą komu ja to tłumaczę. Nie prościej byłoby skorzystać z pośrednictwa „Sirene”? Mają ten prościutki komunikator, a pan, Ekscelencjo, chyba nie zamierza wysyłać nic więcej niż komunikat słowny, w dodatku do swoich na stacji klasztornej?

– Bez obaw. – Lerma uśmiechnął się łagodnie, a Sułtan poczuł ukłucie niepokoju, widząc ten grymas. „Łagodny uśmiech demona” – przeleciało mu przez głowę. – Nie będzie potrzeby pisać raportów, drogi kontradmirał, może poza jednym, krótkim.

Inkwizytor nie przypiął nawet pasa z bronią. Wyjął piccolo, odbezpieczył. Rozległ się charakterystyczny wizg, przechodząc po chwili w rejestry niesłyszalne dla ludzkiego ucha.

– Spokojnie, Ekscelencjo – zaniepokoił się jeszcze bardziej dowódca pancernika. – Przecież nie dałbym panu niesprawnej broni.

– Jestem tego pewien – odparł z tym samym co przedtem uśmiechem don Sebastian.

A potem podszedł do wskazanej skrzynki, przyłożył do niej lufę i wystrzelił.

– Jezu Chryste, co pan robi?! – wrzasnął Sułtan.

– Bez obaw, nastawiłem zasięg na czterdzieści centymetrów – oznajmił pogodnie Lerma. – Poza tą granicą nie została naruszona żadna struktura.

– Dlaczego?... – wyszeptał Gutierrez, czując miękkość w kolanach.

– Żebyś nie musiał wybierać między obowiązkiem a lojalnością. W raporcie napiszesz, że inkwizytor z rozmysłem zniszczył radiostację kwantową. Masz na to cały mostek świadków. – Ogarnął szerokim gestem oficerów trzeciej wachty, patrzących na niego z niedowierzaniem.

– Nie rozumiem, Wasza Ekscelencjo – powiedział Sułtan.

– I nie musisz, kontradmirał. Pozostajesz pod moimi bezpośrednimi rozkazami do chwili, kiedy przyjdą inne dyspozycje z głównego sztabu floty.

– A dyspozycje nie przyjdą – mruknął kontradmirał.

– W każdym razie nie wcześniej niż za osiemset siedemdziesiąt cztery lata drogą konwencjonalną – potwierdził inkwizytor. – Ale, znając moich przeciwników politycznych, jestem przekonany, że najdalej za kilka dni dotrze tutaj jakiś okręt, żeby wyjaśnić sytuację. I z pewnością wówczas otrzymasz odpowiednie rozkazy.

– Powie mi pan, Ekscelencjo, o co w tym chodzi? – Sułtan chyba jeszcze nigdy nie czuł się tak zagubiony. Znał Lermę od lat, wiedział, na co go stać, tym większe było jego zdziwienie. Przecież ten dominikanin był psem Kościoła, ale przede wszystkim psem władzy. A teraz zrobił coś, co przeczyło elementarnemu poczuciu obowiązku wobec mocodawców, z cesarzem włącznie.

– Powiem – westchnął ciężko Lerma, a uśmiech zniknął z jego ust. – Powiem, kontradmirał, ale trochę później. Proszę nie mieć do mnie żalu, ale muszę zwyczajnie odpocząć. Nie spałem od dwóch dni.

– Nie spał pan? – zdziwił się Sułtan. – Przecież miał pan kajutę, przebywał w obserwatorium...

– Nie spałem – potwierdził don Sebastian. – Myślałem intensywnie, a spraw do przeanalizowania miałem więcej, niżbym chciał i mógł zanalizować.

– Wie pan doskonale, Ekscelencjo, że nie wyznaję się na tych wszystkich religijno-politycznych rozgrywkach.

Lerma popatrzył na niego i wydał lekko wargi.

– Drogi kontradmirał Gutierrez. Obaj wiemy, że to bzdura. Mało który dowódca orientuje się właśnie w tych rozgrywkach tak dobrze jak pan. Lecz tym razem wykreśliłbym część religijną. Wprawdzie usłyszysz, że jestem winny przemieszczenia, że moje poglądy nie zgadzają się z dogmatami wiary i paradygmatami nauki zgodnej z nauczaniem Kościoła. Możesz w to uwierzyć albo nie, ale pamiętaj o jednym...

– Im więcej się mówi w takich sprawach o religii, tym mniej jest ona w gruncie rzeczy istotna, a stanowi jedynie skuteczną broń? – wpadł mu w słowo Sułtan.

Don Sebastian pokiwał głową.

– Nie inaczej. Pamiętaj też o jeszcze jednej sprawie. Nie ustawiaj się naprzeciw rozpędzonej pięści Frakcji Ojca Gabriela, która stanie się w najbliższym czasie najważniejszą siłą w Cesarstwie.

– Frakcja? – spytał Sułtan z niedowierzaniem. – A czy ta organizacja nie uległa kilkadziesiąt lat temu kasacji?

– A czyż jezuita swego czasu również nie zostali skasowani? – odpowiedział pytaniem na pytanie inkwizytor. – A przecież odrodzili się i stali jedną z najważniejszych sił w łonie Kościoła. Jednak gabrieliści nawet nie zostali zdelegalizowani. Sami zawiesili aktywność, gdyż dziad obecnie nam panującego cesarza bardzo niechętnie patrzył na ich działalność i rzeczywiście groziły im konkretne konsekwencje prawne. Tak czy inaczej, pamiętaj o słowach Pana Naszego Jezusa Chrystusa: „Bądźcie więc roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębice! Miejcie się na baczności przed ludźmi”. Wiem, że jesteś roztropny, choć z ową nieskazitelnością zapewne gorzej, ale zapamiętaj te słowa. I doprawdy, miej się na baczności przed ludźmi, choć nie odrzucaj ich.

– Mówicie, Wasza Ekszelencjo, jakbyście udzielali mi rad na koniec własnego życia – znów się zaniepokoił Sułtan.

Don Sebastian westchnął.

– Kto może wiedzieć, co go jutro czeka? Odkąd otrzymałeś stopień admirałski, jesteś nie tylko wyższym oficerem, ale i poniekąd politykiem. Jeśli więc masz brać z kogoś przykład, niechże to będzie wiceadmirał Pedro Rodrigo Romero, a nie na wskroś skorumpowany i chciwy Gonzaga.

* * *

Na stacji klasztornej wszystko na swoim miejscu i jak trzeba, wracaj więc spokojnie, ojciec wielki inkwizytorze. Wszystko się dzieje wedle twych dyspozycji oraz życzeń, audiencja u cesarza potwierdzona. Niech Bóg Cię prowadzi, nie zważaj po drodze na syreni śpiew.

Przypięty do pryczy Aidan wpatrywał się w informację przesłaną na radiostację kwantową „Sirene” dla don Sebastiana. Powinien teraz spać, nie mógł jednak uspokoić myśli. Zbyt wiele zdarzyło się w ciągu krótkiego czasu, żeby sen przyszedł sam i bez problemów. Niewiele rozumiał z wiadomości, poza samą jej treścią. Jeszcze raz spojrzął na podpis – ojciec Randolfo. Na pewno dominikanin i zapewne człowiek nadzorujący węzeł komunikacyjny stacji Rojanno. O co mogło w tym chodzić? Wiadomość była niewinna, nie budziła podejrzeń. Ale po co ktoś przysyłałby taką informację, korzystając z komunikatora splątaniowego? Coś się tam musiało wydarzyć, coś, z czego nawet wszechwładny Lerma nie zdawał sobie sprawy.

Rzecz jasna, istniała możliwość, że stacja klasztorna przesłała wielkiemu inkwizytorowi zwyczajną kurtuazyjną informację. Poetycka wzmianka o śpiewie syren sugerowała, że

Odyseusz może zmierzać prosto do Itaki bez rozglądania się i nasłuchiwania.

„Zaraz... Odyseusza wodziły na pokuszenie właśnie syreny” – Aidan przypominał sobie starożytny mit. „A zatem można to rozumieć dwojako. Syrenim śpiewem może być także wezwanie...”

Na szczęście w szkole kadetów katowano ich klasyką, choć chłopcy burzyli się przeciwko temu z całych sił. Lecz to nauczyciele mieli rację, a nie krnąbrni uczniowie. Tak to już jest – starość bywa z reguły mądrzejsza od młodości, ale młodość absolutnie nie chce tego zrozumieć. Kto czekał na Odyseusza? Wierna Penelopa. A syreny miały go zwieść, sprowadzić na manowce. W całej wiadomości to jedno zdanie o syrenach wydawało się kluczowe. Właśnie, tylko jak je rozumieć? Jeśli to zwykła wiadomość, należałoby wprost, ale jeżeli stanowi kod... Diabli wiedzą tych inkwizytorów. Z jakiegoś powodu jednak przecież Lerma, ledwie zapoznał się z wiadomością, rozkazał wyłączyć radiostację kwantową i nie uruchamiać jej bez jego osobistego zezwolenia.

– Wahadłowiec z dowódcą stacji Forgotta rozpoczyna manewr cumowania – zawiadomił Samuela dowódca drugiej wachty, pełniący dyżur na mostku.

– Dziękuję, Rodrigo, już tam idę.

Odpiął pasy, podpłynął do szafki z kombinezonami. Zastanawiał się przez chwilę, czy włożyć zwykły sort polowy, czy wybrać wzór galowy. Wreszcie zdecydował się na to drugie. Po chwili wypłynął przez rozsuwane drzwi, po drodze zgarnął ze ściennego chwytaka bazkom. I bardzo dobrze, bo ledwie zaczął odpychać się od klamer zamontowanych w ścianach korytarza, zgłosiła się Amanda.

– Co zamierzasz? – spytała.

– Dowiesz się – odparł. – Moja rozmowa z dowódcą stacji będzie transmitowana na wspólne łącze dowódców. Ale na razie idę go powitać na pokładzie.

– Z honorami? – Amanda uśmiechnęła się krzywo.

– Z honorami – potwierdził. – Bronili się jak wojownicy. Ile miałaś strat w grupie abordażowej?

– Dwóch zabitych i pięciu rannych.

– To była dobra walka – stwierdził. – Szkoda każdego człowieka, ale możemy być dumni z naszych marynarzy. A piraci z kolei też mogą być dumni z siebie. Stawili zacięty opór, wiedząc, że w istocie rzeczy jest beznadziejny.

– Coś bardzo obstajesz za tymi bandytami – zauważyła.

– A twoim zdaniem może nie są ludźmi? Jeden z moich najlepszych oficerów, a twój przyjaciel i ulubiona maskotka zarazem, wychował się wśród piratów. To nie bestie, tylko ludzie. Bestiami są ci, co nami rządzą i wysyłają całe flotylle na pewną śmierć, byle tylko ugrać coś swojego!

Amanda milczała przez chwilę, a potem odezwała się:

– Widzę, że jesteś dzisiaj w podniosłym nastroju. Ale żeby nie było, trochę racji masz. Nie pamiętam chyba tak trudnego abordażu. Przecież po odstrzeleniu dobrej jednej ósmej stacji powinniśmy wejść na gotowe.

Aidan przypominał sobie, jak Bosquito wrzeszczał na swoich ludzi, żeby trwali na pozycjach. Od strony stanowiska dowodzenia Forgotty wyszło silne przeciwnatarcie. Piraci ewidentnie mieli zamiar odrzucić napastników, a nawet wyrzucić ich w przestrzeń. Gdyby dowodził ktoś inny, mogłoby im się udać. Ale sierżantowi wystarczyło tylko jedno – słowa kapitana:

– Lorenzo, utrzymaj pozycje za wszelką cenę!

Aidan wiedział, że Bosquito nie potrzebuje zachęty, bo da z siebie wszystko i wykrzesze ostatnie siły z podwładnych, ale nie mógł się powstrzymać. W tamtej chwili żałował, że nie może wziąć bezpośredniego udziału w walce.

– Tak, sir! – wrzasnął sierżant. – Solidny kop w dupę każdemu, kto się cofnie! – zmotywował grupę na swój sposób. Ten kopniak nie był wcale przenośnią i stanowiłby dla ochotników największe upokorzenie. Każdy z nich, szkolony przez komandosa i poddany w czasie treningów ostremu reżimowi, wolałby oddać życie, niż narazić na szwank honor wojownika. – Szyper oczekuje od nas poświęcenia, pieprzone szczury pokładowe, tchórzliwe małpy! Poświęcenia, barany cholerne, rozumiecie?!

Zarówno „szczury pokładowe”, jak i pozostałe inwektywy były sformułowaniami pełnymi miłości do podwładnych. Szczególny wydźwięk miały „tchórzliwe małpy”. Tym terminem zwykł się zwracać do desantowców, kiedy chciał krótko podkreślić, że jest z nich dumny.

Aidan zastanawiał się przez mgnienie oka, jak to się dzieje, że brutalny, a chwilami potwornie wręcz ordynarny podoficer jest w stanie przywiązać do siebie ludzi, a nawet przekonać ich, że są wyjątkowi, mimo tych wszystkich zniewag i wyzwisk, jakich im nie szczędził. To był po prostu urodzony dowódca. Za takim ludziskie pójdą nie tylko w ogień, dla kogoś takiego wyrzekną się nawet własnego zbawienia.

Samuels mógł powiedzieć jedno o roli Bosquita – przez dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent czasu przebywania sierżanta na pokładzie każdy normalny dowódca zastanawiałby się, po co trzyma tego darmozjada. Ale ta jedna dziesiąta procent, kiedy wchodził do akcji, wystarczała, aby odpowiedzieć na to pytanie. Komandos wnosił zupełnie inną jakość do zdolności bojowych niszczyciela.

– Amando, skontaktuję się z wami zaraz po powitaniu Salmana as-Sarifa. Na razie bez odbioru.

– Baw się dobrze – usłyszał jeszcze, zanim przerwał połączenie.

Kiedy dotarł do śluzy, było już tam czterech marynarzy z bosmanem. To stanowiło największą eskortę honorową, jaką regulaminy dopuszczały na średniej jednostce dla gościa o randze poniżej wiceadmirała. W zasadzie mógłby zarządzić włączenie obrotów modułów mieszkalnych i gospodarczych okrętu, żeby zapewnić choćby minimalneciążenie, ale musiałby w tym celu odwołać alarm, a tego nie chciał robić. Nie wiedział przecież, co uczynią koniec końców piraci, jeśli rozmowy zakończą się fiaskiem.

– Witam na pokładzie niszczyciela Jego Cesarskiej Wysokości „Sirene” – powiedział, kiedy dowódca stacji wpłynął do środka.

Pancerne drzwi zatrzasnęły się za plecami przybysza. Ten obejrzał się odruchowo, a potem spojrzął na kapitana.

– Przybywam w pokoju, kapitanie Samuels – oznajmił.

– Przyjmuję pana w pokoju, Salmanie as-Sarifie. Jaki jest pański stopień na stacji?

– Może mnie pan nazywać komandorem, wedle nomenklatury Republiki, albo *Capitán de Fragata*, zgodnie z nazewnictwem Cesarstwa. Bo dla moich, jako dowódca jednostki, jestem...

– Komendantem – wszedł mu w słowo Aidan. – Albo szyprem. Tak, wiem. Jeśli pan pozwoli, będę się zwracał do pana wedle waszej tradycji.

– Tak też wolę – mruknął pirat. – Ale skąd pan wie, że niektórzy nazywają mnie szyprem? Nawet jeśli dowodzę nieruchawą stacją, a nie mobilnym okrętem?

Aidan roześmiał się. Może w sposób nieco sztuczny i wymuszony, ale chciał rozładować sytuację.

– Jednym z moich oficerów jest dawny pirat. Uparcie nazywa mnie szyprem i zaraził tym sporą część załogi. Chybabym już wolał tego komendanta.

– Służy u pana zdrajca? – Salman z miejsca zeszywniał. – Jeśli ma pan na pokładzie zdrajcę...

– Został wzięty do niewoli jeszcze jako nastoletni chłopiec – Aidan nie zamierzał łagodzić napiętej nagle sytuacji. – A przedtem piraci porwali go z rodzinnej kolonii.

– Jednak to zdrajca! – Salman uczynił krok w tył, jakby zamierzał wrócić do wahadłowca. – Nie przystoi mi przebywać na jednym okręcie...

– Słuchaj no, panie piracie! – przerwał mu Aidan wściekłym warknięciem. Komendant zamknął usta, choć chciał powiedzieć coś jeszcze. – Po pierwsze, mój człowiek jest oficerem Jego Cesarskiej Mości, a po drugie, to właśnie tacy jak ty zostawili go wówczas na pastwę wroga! Bronił się do końca i pewnie by głupi szczeniak w końcu zginął w boju, gdyby nie oberwał w porę impulsem paralizującym. Jeśli mówisz o jakiejś zdradzie, pogadaj ze swoimi ziomkami z waszej kolonii przy delcie Meduzy. Niech ci opowiedzą, jak zostawili całą flotyllę na łup ekspedycji floty cesarskiej.

Salman zaciął zęby, a węzły mięśni ukazały na policzkach.

– Tak, to była hańba naszych braci – wydusił wreszcie z siebie. – Jeśli pański oficer wtedy właśnie wpadł w wasze ręce, rzeczywiście nie mogą mieć pretensji.

– Tym bardziej że czasem człowiek powinien zachowywać się rozsądnie, a nie rzucać na oślep w otchłań. Tak właśnie pan postąpił, komendancie, oddając nam stację, zanim uległa całkowitemu zniszczeniu. Biliście się dzielnie – dodał, aby złagodzić wydzźwięk ostatnich słów. – Furia w naszym ataku napotkała na nie mniejszą furie w obronie. Na szczęście zachował się pan bardzo rozsądnie.

Salman skinął głową, napięcie na jego twarzy ustąpiło.

– Powiem prawdę. Nie spodziewaliśmy się tak sprawnych grup abordażowych – mruknął. – Szczególnie jednej. Ta z pańskiego niszczyciela była wprost niewiarygodna, ale i pozostałe dały nam naprawdę niezłe w kość.

– Zapewniam, że moja grupa nie różni się wiele od innych tego typu formacji na okrętach cesarskich, chociaż dowodzi ją wyjątkowy podoficer. Wydaje mi się, że do tej pory miał pan głównie do czynienia z jednostkami cywilnymi, a jeśli już okrętami, to eskortowymi, w dodatku takimi, które nazywamy wylęgarniami oficerków. Ich grupy uderzeniowe składają się nie z ochotników, ale ze zwykłych żołnierzy, branych najczęściej wbrew woli z oddziałów naziemnych, którzy absolutnie nie mają ochoty umierać za swoich dowódców. Inna rzecz, że muszą za nich umierać, bo dowódcy z kolei absolutnie nie życzą sobie ryzykować życia swojego ani potomków szlacheckich rodów.

– Wylęgarnia oficerków – powtórzył w zamyśleniu Salman. – Nie słyszałem tego określenia. Ale rzeczywiście, zasadniczo nie prowadzimy działań przeciwko regularnym formacjom floty. Jak się pan domyśla, dla piratów to żaden interes. Przede wszystkim liczy się łup.

– Zapraszam do mesy – powiedział Aidan, dając znak bosmanowi, żeby zwinął już eskortę honorową.

Przeplłynęli przez dwa korytarze do modułu mieszkalnego. Salman rozglądał się po okręcie. Aidan pomyślał, że zgodnie z regulaminem powinien takiemu gościowi zawiązać oczy, ale był

dziwnie pewien, że dowódca stacji pirackiej doskonale zna budowę niszczycieli typu Maza, a nawet dokładny rozkład pomieszczeń. Piraci przejęli przecież niejedyn taki okręt od chwili wprowadzenia ich do linii, a jeśli nawet ten konkretny oficer nie był nigdy na takiej jednostce, na pewno bez trudu znalazłby schematy w swojej bazie danych.

– Proszę się rozgościć – zaprosił komendanta. – Oczywiście na ile to możliwe, za chwilę rozpoczniemy konferencję, muszę tylko jeszcze wejść na mostek. Na razie steward poda panu jakiś posiłek.

– Byle nic z wieprzowiną – mruknął Salman.

– Oczywiście. I nic z alkoholi, jak rozumiem...

– Tego nie powiedziałem. – As-Sarif uśmiechnął się lekko po raz pierwszy. – Może mam arabskie nazwisko i wyglądam na Araba. Co więcej, z całą pewnością moi przodkowie wyznawali islam. Ale wieprzowiny odmawiam nie z przyczyn religijnych. Medyk mi zabronił, wie pan, ciśnienie...

– Ciśnienie. – Aidan pokiwał głową. – Obawiam się, że wieprzowina nie ma tu wiele do rzeczy. Medyk powinien panu raczej zabronić dowodzenia grupą liczniejszą niż dwóch ludzi.

– Dwóch równie dobrze może popsuć człowiekowi dzień jak dwudziestu – zauważył szef stacji.

– Zapewne, ale dwustu potrafi już naprawdę nieźle dopiec. A mówiąc o dwóch, miałem na myśli pana samego jako dowódcę i pana samego jako zdyscyplinowanego podwładnego, wypełniającego rozkazy ukochanego szefa.

– A tak, wtedy rzeczywiście można mówić o pewnym komforcie pracy, choć i tu mogą zdarzyć się jakieś nieporozumienia...

– Juan. – Aidan skinął na marynarza pełniącego dyżur w mesie. – Zajmij się naszym droгим gościem.

– Tak jest, sir – odparł potężny marynarz, który ledwo mieścił się w drzwiach kambuza.

Samuels pokręcił głową z lekkim niedowierzaniem. Prosił co prawda o kogoś, kto może spełniać jednocześnie rolę kelnera, jak i ochroniarza, ale z tym wielkoludem bosman Collins chyba przesadziła. Tym bardziej że sama także pojawiła się w kuchni, bo widział jej jasne włosy za plecami osiłka.

Zapewne była cokolwiek wściekła, że nie miała w końcu okazji wziąć udziału w walkach na terenie stacji. Zanim jej oddział tam dotarł, dowódca Forgotty zdecydował się poddać, aby uniknąć zbyt wielkich zniszczeń, a nawet zagłady.

* * *

– Powie mi pan wreszcie, Ekscelencjo, o co w tym chodzi? – spytał bez większej nadziei Sułtan.

Lerma siedział nad jakimiś danymi, obliczał coś na panelu zapasowego stanowiska nawigacyjnego. Podniósł na kontradmirała lekko nieobecne spojrzenie.

– W tym? – zapytał, wskazując wyświetlacz. – Właśnie sprawdzam najnowsze odczyty. Są praktycznie identyczne z tymi, które mieliśmy w Układzie Regora, chociaż występują chyba jednak pewne różnice. Trzeba to obliczyć. Niemniej ta dziwaczna struktura, otoczona nieprzenikalnym bąblem, wydaje się być tym samym zjawiskiem... Przepraszam, takim samym.

– Nie, Wasza Ekscelencjo, nie chodzi mi o to dziwactwo. Chodzi mi o powód, dla którego zniszczył pan komunikator kwantowy, i o tę depezę, którą przekazał Samuels. Nie wiem

przecież nawet, co zawierała, w odróżnieniu od niego...

– Ależ proszę, jej treść nie jest tajemnicą.

Palce inkwizytora zatańczyły na wirtualnej klawiaturze i po chwili Sułtan usłyszał sygnał nadchodzącej wiadomości na swoim stanowisku. Podeszedł tam pośpiesznie, rzucił okiem, a potem spojrzął na dostojnika.

– Co to znaczy?

– Przecież widzisz, kontradmirał, co tam napisano.

– Pewnie, że widzę, ale nic z tego nie rozumiem!

– Toż to prościutkie i znaczy, co znaczy.

– W jakim sensie? – Sułtan zaczął się irytować.

– Sam pan widzi. Mogę więc spokojnie wracać do domu, wszystko jest jak trzeba.

Gutierrez potrząsnął głową.

– I dlatego rozpieprzył pan łączność nadprzeprzenną? – prychnął. – Raczy pan żartować?

– Pewnie, że raczę żartować – Lerma oznajmił to z pełną powagą. – Tak naprawdę to ostrzeżenie. Ojciec Randolfo z pewnością nie należy do moich wielbicieli, ale zakonna solidarność jest silniejsza od wewnętrznych animozji. Zresztą kto wie? Może nadał to, nawet odczuwając wielką satysfakcję? Wcale bym się nie dziwił. Najważniejsze jednak, że wysłał.

– Cholera ciężka – zaklął dowódca „Vincenta”. – No tośmy się wpakowali...

– Pan się w nic nie wpakował – przerwał mu don Sebastian. – Pan ma uszkodzony okręt i musi czekać, aż ekipa naprawcza poradzi sobie z awarią napędu. Co więcej, cała ta sprawa nie dotyczy pana w najmniejszym stopniu. Dlatego im mniej pan będzie wiedział, tym lepiej.

– Jak się domyślam... – zaczął Gutierrez, ale inkwizytor znów wszedł mu w słowo:

– Lepiej niech się pan nie domyśla zbyt wiele, dobrze? I zostawi owe domysły dla siebie.

Ile jeszcze potrwa naprawa?

– Szef sekcji przewiduje jakieś czterdzieści osiem godzin.

– Może niech się pośpieszy, jeśli to możliwe. Wolałbym, żeby pan stąd zniknął jak najszybciej. Zanim dotrze jakaś jednostka ze sztabu.

– Co się dzieje... – Sułtan zamilkł, zgromiony gniewnym spojrzeniem don Sebastiana.

– Proszę przygotować wahadłowiec. Kiedy tylko kapitan Samuels zakończy negocjacje z piratami, przeniosę się na którąś z mniejszych jednostek.

– Przecież tam są także okręty wroga! – zaprotestował Gutierrez. – Zdaje pan sobie sprawę, co by się działo, gdyby się dowiedzieli, że mają w zasięgu ręki jednego z najważniejszych ludzi w imperium? Jest pan dla nich łakomym kąskiem.

– Poradzę sobie – mruknął Lerma.

– Czy pan oparłby się pokusie, wiedząc, że na jednym z okrętów Republiki znajduje się wysoki komisarz, główny śledczy albo przewodniczący nadzwyczajnej senackiej komisji wojennej? Niech pan wraca ze mną. Jeśli stało się coś, co panu zagraża, może trzeba temu stawić czoła osobiście?

Don Sebastian odetchnął głęboko, spojrzął na dane, wreszcie wzruszył ramionami.

– Zaryzykuję pozostanie, i na tym zakończmy rozmowę na ten temat. A skoro już tu jestem, wybiorę się obejrzeć z bliska to dziwo.

– Jak sądzę, ma pan jakieś konkretniejsze niż ostatnio hipotezy dotyczące tej materii – Sułtan także wolał zmienić temat. Jeśli sam Lerma ostrzegwał, żeby czegoś nie drążyć, należało go posłuchać.

– Mam i nie mam. Muszę się upewnić, dlatego zrobiłem wszystko, aby wysłać tę grupę

zadaniową. Chciałem potwierdzić, że to na pewno identyczne zjawisko. A ponieważ odkryto je na terenie pirackim, musiałem zaprosić do współpracy Republikę. Sam wiesz, jak jest, to są zawsze terytoria sporne, choć teoretycznie nie należą do nikogo i nikt ich nie kontroluje poza banitami. Ale, co ważniejsze, te zjawiska mogą się okazać naszym wspólnym problemem, niezależnie od polityki i wojny o wpływy. Dlatego wolę, żeby wróg zdawał sobie sprawę z zagrożenia na równi z nami.

– No dobrze, ale czy wciąż pan uważa, że to jest obce? Na pewno nie pochodzi z naszego wszechświata? Może to właśnie ta materia egzotyczna, dzięki której moglibyśmy skonstruować wreszcie kompletny napęd Alcubierre’a w miejsce tych protez, których teraz używamy?

– Na pewno to ja nie wiem nic, Guido, i to jedno jest pewne. Wiem, moje słowa brzmią jak popłuczyny po Sokratesie i tym zresztą są, ale za to znakomicie oddają stan faktyczny. Jednak gdyby to była materia egzotyczna, mielibyśmy do czynienia z ujemną masą i odpychaniem grawitacyjnym w miejsce przyciągania. Tymczasem nie wydaje się, żeby tam była masa ujemna, a pęcherz ma zupełnie inną naturę niż czysta grawitacja. To coś więcej. I mam pewną koncepcję.

Sułtan oparł się plecami o kolumnę multikonsoli na swoim stanowisku.

– Zamieniam się w słuch, Ekscelencjo. To bardzo interesujące. Uważa pan zatem, że zjawisko jest czymś w rodzaju przebicia z równoległego wszechświata? Sąsiedniego?

– Sąsiedniego? Z pewnością. Ale nie przykładaj do koncepcji budowy wieloświata potocznego rozumowania, opartego na wymiarowości, jakiej doświadczamy. W moim pojęciu obok nas mogą się znajdować bardzo liczne wszechświaty. Nieskończona ich liczba na dobrą sprawę. – Lerma znów zerknął na dane. – Niewiele wynika z tej całej matematyki, jaką tutaj uprawiam. To raczej kwestia intuicji, opartej na logicznych przesłankach i twardej wiedzy. Wiesz, co się stało tuż po Wielkim Wybuchu, prawda?

– Zgodnie z aktualną nauką Kościoła?

– Nie wygłupiaj się, kontradmirał! – warknął don Sebastian, ale bez złości.

– No wiem mniej więcej. Walka materii z antymaterią, tworzenie się zrębów znanego nam świata. Kocioł z wrzątkiem, a raczej gorącą zupą. Ale chyba nie o to panu chodzi, prawda?

– Niezupełnie. Idzie mi raczej o to, co nazywamy oddziaływaniami podstawowymi. Wiesz, o czym mowa?

– Co tu dużo gadać, Ekscelencjo. Jestem wojownikiem, a nie naukowcem. Coś tam z fizyki, chemii i astrofizyki liznałem, ale... – Sułtan rozłożył ręce w przeproszającym geście. – Nie może pan zbyt wiele ode mnie wymagać. Mogę co najwyżej wezwać szefa sekcji naukowej...

– Z nim się kontaktowałem jeszcze na stacji Minerve. Dyskusja była zażarta, ale do niczego nie doprowadziła. Brak nam danych empirycznych. W każdym razie mamy cztery rodzaje oddziaływań podstawowych. Słabe, odpowiedzialne między innymi za rozpad promieniotwórczy, silne, zarezerwowane dla kwarków czy gluonów, elektromagnetyczne oraz grawitacyjne. Nasz wszechświat wygląda właśnie tak, jak wygląda, dzięki działaniu tych sił, a one funkcjonują tak, a nie inaczej również w związku z jego budową. To wszystko skutek rozdzielenia się poszczególnych sił podczas powstawania naszej przestrzeni. Ale wyobraź sobie, że pierwsze ułamki sekund i sekundy po Wielkim Wybuchu wyglądałyby inaczej. Że materia ulegałaby nieco innym procesom, a w związku z tym oddziaływania podstawowe nie rozszczepiły się na te cztery rodzaje albo rozszczepiły się inaczej, tworząc egzotyczne z naszego punktu widzenia konfiguracje.

Zamilkł, czekając, aż znaczenie słów dotrze w pełni do umysłu Sułtana. Zdawał sobie sprawę, że Gutierrez nie jest naukowcem, ale też wiedział, iż w sprawach naukowych orientuje się lepiej, niż chciał to pokazywać. To nie było wcale głupie. W imperium nauka wprawdzie kwitła, ale nigdy nie było wiadomo, czy w pewnej chwili ta lub inna koncepcja nie znajdzie się na czarnym indeksie, albo inkwizycji, albo kurialnym.

– Chce pan powiedzieć, don Sebastianie – oznajmił powoli Sułtan – że to, co obserwowaliśmy w Regorze i co wykwitło tutaj, stanowi zupełnie inny rodzaj materii niż ten, który znamy? Że tam nie ma tablicy Mendelejewa, tylko zupełnie inna tablica? Że taka stała Plancka wcale nie jest tam wartością stałą, a może wcale jej nie ma?

– To obca materia, nazywajmy rzecz po imieniu. Nie jest absolutnie zwyrodniała czy egzotyczna, nie jest to na pewno rodzaj antimaterii lub inna postać tego, co powstało w naszej czasoprzestrzeni. Ta materia jest po prostu obca i tyle.

Sułtan potrząsnął głową. To było zaskakujące. Wprawdzie już wcześniej Lerma i doktor Cassan doszli do podobnych wniosków na temat pochodzenia tajemniczego zjawiska, ale koncepcja o innym rozkładzie sił elementarnych w przebijającym się wszechświecie wydawała się wręcz porażająca. Nie mówiąc już o tym, jak mogła okazać się ryzykowna, jeśli neokreacjoniści zaczną swoje tańce i zyskają większe wpływy, a może nawet władzę, co już się w historii Cesarstwa zdarzało.

– Obca materia – powtórzył kontradmirał. – Tak obca, że posiada inny skład cząstek elementarnych.

– I oddziałuje zupełnie inaczej niż ta, którą znamy – dodał Lerma. – Nie zdziwiłbym się, gdyby w tamtym wszechświecie nie istniało nawet mikrofalowe promieniowanie tła. Przecież nawet tachiony nie przechodzą przez ten pęcherz. Zatrzymuje je w jakiś sposób.

– A może wpadają po prostu do tamtej przestrzeni i w niej później przebywają? Ewentualnie wracają do naszej w innym miejscu. Przecież bardzo możliwe, że te cząstki w ogóle pochodzą z innego wszechświata, a nawet przenikają cały multiświat. Jest nawet taka teoria.

– Brawo – uśmiechnął się Lerma. – Też o tym myślałem. Wprawdzie doktor Cassan ma na ten temat zupełnie inną hipotezę, ale każda idea jest tak samo dobra dopóty, dopóki nie odkryje się prawdy.

– A koncepcja doktora na czym polega, jeśli to nie tajemnica? – chciał wiedzieć Sułtan.

– Nie, nie tajemnica. On uważa, że ten pęcherz wokół materii może być czymś na kształt pułapki dla tachionów, które dołączają do obcych cząstek.

– Nie podoba mi się takie rozwiązanie.

– Bo jest nieeleganckie? – Lerma znów się uśmiechnął. – A prawdziwe teorie powinny być eleganckie? Jak równanie Einsteina?

– Wydaje mi się zwyczajnie przekombinowana. A w dodatku, jakże tachiony miałyby się łączyć z materią? Ich masa spoczynkowa to przecież liczba urojona... Nie wiadomo w ogóle, czy są w stanie istnieć, poruszając się poniżej prędkości światła.

Don Sebastian spojrział na Gutierrezą i pokiwał głową. Dowódca „Vincenta” zupełnie zapomniał, że przecież praktycznie nie zna się na sprawach naukowych.

– Sęk w tym, że doktor jest w tym względzie zwolennikiem podejścia bliższego kreacjonizmowi w zmodyfikowanej wersji. Jego zdaniem nie może istnieć obiekt materialny pozbawiony zupełnie masy rzeczywistej, bo to by przeczyło dziełu bożemu. Tylko duszę można próbować wyrazić w liczbie urojonej, co z kolei dla mnie jest bzdurą, albowiem dusza nie

wyraża się żadną liczbą, nie należy w ogóle łączyć jej istnienia ze ścisłą nauką. Cassan nie wyklucza, że tachiony wchodzą w skład chmur atomowych, krążąc tam wciąż z prędkością nadświetlną.

Sułtan skrzywił się. Nie przypadło mu do gustu takie wyjaśnienie, aczkolwiek fakt, że było zgodne z neokreacjonistycznym podejściem do budowy świata, mógł pogładowi zapewnić w pewnych kręgach popularność. Za to Lerma nie szedł na skróty ani na łatwiznę. Zadawał pytania i szukał wiarygodnych odpowiedzi. Natura inkwizytora ujawniała się nawet tutaj – chciał poznać prawdę, nawet jeśli okazałaby się trudna.

– A teraz chce pan sprawdzić, który z was ma rację – bardziej stwierdził, niż zapytał Gutierrez.

– A teraz chcę zobaczyć to zjawisko z bliska i osobiście – odparł don Sebastian. – Nie wiem, czy cokolwiek zrozumieć albo zdołam odkryć. Ale muszę spróbować.

– Nie mamy nawet odpowiedniego sprzętu do badań. Niszczyciele też nie.

– Wiem, kontradmirał. Nie spodziewałem się, że tak to się rozwinie. Grupy zadaniowe miały potwierdzić, czy chodzi o to samo zjawisko. Ale skoro już tu jestem... Mam nadzieję, że coś zdołam wymyślić. Tylko potrzebuję trochę czasu.

– A przede wszystkim spokoju od rozgrywek politycznych – uzupełnił Sułtan.

– Z ust mi to wyjąłeś, Guido. Ale polityka upomni się o mnie raczej prędzej niż później. I skłamałbym, gdybym twierdził, że z utęsknieniem czekam na ten moment.

– Kiedy tak pana słuchałem, Ekscelencjo, odniosłem wrażenie, że nauka jest panu bliższa niż polityka – zauważył Sułtan.

– To nie tak – odrzekł z pełną powagą Lerma. – Te dwie dyscypliny są po prostu bardzo do siebie podobne, bo wymagają zarówno trzeźwego osądu, jak i chłodnej głowy, jeśli chce się coś osiągnąć. Pamiętaj o tym, kiedy już wejdiesz w świat brudnych rozgrywek i nieuczciwych rozdań politycznych.

– Naprawdę nie wybieram się w tę stronę, chociaż mi pan to wmawia – zaprotestował Sułtan. Chciał jeszcze coś dodać, ale przerwał mu zgrzytliwy śmiech Lermy.

– I znów się zapierasz jak Szymon Słupnik. Doprawdy, nie jesteś typem, który zakończy karierę jako dowódca okrętu, a nawet całej floty. Zajdziesz wysoko i albo się tam utrzymasz, albo runiesz w przepaść. Nawet nie próbuj protestować. Znam się na ludziach i doskonale wiesz, że mam rację.

* * *

W niewielkiej mesie oficerskiej panował ścisk. Czy też może raczej poczucie ścisku, bo fizycznie przebywali tutaj tylko Aidan z Salmanem. Pozostali kapitanowie, rzecz jasna, byli obecni tylko jako hologramy. Ale Farlan urządził spotkanie tak, jakby wszyscy zajmowali miejsca dookoła stołu. Kiedy dowódca Forgotty to zobaczył, mruknął z uznaniem:

– Ma pan niezły sprzęt, ale przede wszystkim świetnego oficera łączności.

– Wiem. – Aidan uśmiechnął się. – Najlepsze jest to, że trudno go jeszcze nazwać oficerem. To chorąży.

– No, no. – As-Sarif pokręcił głową. – Nie spodziewałem się, że na imperialnej jednostce tak ważną funkcję może pełnić ktokolwiek poniżej podporucznika.

– Życie jest pełne niespodzianek – podsumował sentencjonalnie Samuels. Rozejrzał się po zebranych. – Szkoda tylko, że nie możemy uruchomić ruchu obrotowego modułów, żeby posiedzieć przy sztucznej grawitacji, ale w tych punktach nawet ja przestrzegam ściśle

regulaminu. Witam zatem wszystkich. Jak widzę, nikogo nie brakuje.

– Sułtan ani inkwizytor nie biorą udziału w zebraniu? – spytał z niejakim zdziwieniem Moreno.

– Nie, kapitanie – odparł Aidan. – Mają chyba ważniejsze sprawy na głowie, a poza tym to my zdobyliśmy stację i do nas należy prowadzenie negocjacji oraz dzielenie przyzu.

Widząc, że Salman poruszył się niespokojnie, wykonał pojednawczy gest.

– Proszę się nie obawiać, komendancie. Z tym przyzem to tylko żart. Nie zależy nam na waszych bogactwach ani okupie. Tak jak ustaliliśmy, zadowolimy się uzupełnieniami aprowizacji i amunicji, w tym pełnym zapasem rakiet oraz pocisków kinetycznych.

– Od razu mi ulżyło – rzekł z przekąsem As-Sarif.

– Dobrze, skoro mamy to wyjaśnione, mały apel do zgromadzonych. Bardzo proszę, żeby wyjątkowo odzywali się tylko ci z was, którzy mają coś konkretnego do powiedzenia. Jest nas tutaj dziewięcioro, więc łatwo o chaos. Gdyby ktoś zapomniał, ja dowodzę grupą imperium, a kapitan Bernhardt jest komandorem okrętów Republiki.

– Ma pan nas za durniów? – prychnął del Potro. Najwyraźniej już odzyskał formę po nieprawdopodobnej awanturze, jaką urządził mu dowódca.

Aidan obdarzył go wyrazistym spojrzeniem.

– Niektórych mam – rzucił krótko i zanim kapitan „William Wallace’a” zdążył zareagować, ciągnął dalej: – Musimy ustalić, co robimy w tej zupełnie nowej sytuacji. Nie przypuszczam, żeby ktoś w naszych sztabach to przewidział. O nas samych już nawet nie wspomnę, bo mieliśmy zapewnienie, że piraci nie zauważą nas wcześniej niż po kilku dniach, kiedy już będziemy mogli wracać. O ile w ogóle zauważą. To tak gwoli przypomnienia i wyjaśnienia. Jakies pomysły?

– Chyba powinniśmy zneutralizować stację bandytów – znów się wyrwał del Potro.

– Tak, powinniśmy, kapitanie – powiedział Bernhardt. – Ale, do cholery, nie zrobimy tego z kilku względów! Po pierwsze, nie zostaliśmy tu wysłani jako ekspedycja karna. Po drugie, mamy do wykonania konkretne zadanie i nakazano nam powrót z informacjami i podstawowymi pomiarami, a przede wszystkim własnymi opiniami. Nie gap się tak, Nicolas. Świadectwo oczu bywa czasem cenniejsze od danych z urządzeń. Kiedyś to może zrozumiesz, jeśli wcześniej osobiście łba ci nie odstrzelę. Po trzecie, w każdej chwili możemy unicestwić stację, wszędzie są pozakładane ładunki wybuchowe, ale wtedy ta cała chmara okrętów rzuci się na nas i tym razem rozpieprzą nas w drobny mak. Jestem dziwnie spokojny, że spora część zabawiłaby się w kamikadze, a to byłaby katastrofa. Nie należy drażnić osaczonego drapieznika nad miarę, bo może się rzucić do gardła, nie bacząc na nic. A po czwarte i najważniejsze, jest różnica między zabijaniem w walce a eksterminacją. Co innego rozstrzelać bandytę, a inna rzecz rozwalić także jego kobietę i dzieci. A na tej stacji są przecież też kobiety i dzieci. Jeśli sami banici nie dadzą nam pretekstu, absolutnie nie zgadzamy się z komandorem imperium na podejmowanie działań bojowych.

Odetchnął głęboko, a potem zwrócił się do Aidana:

– Wybacz, Samuels, tę przydługą przemowę, ale powinniśmy chyba wszyscy mieć świadomość, jak wygląda sytuacja. Jeśli oczywiście do kogoś to jeszcze nie dotarło.

– Dostaniemy po dupie od sztabowców, jak się dowiedzą, żeśmy zajęli Forgottę i nie wysadziliśmy jej – mruknął dowódca „Saragossy”. – Regulamin Marynarki jasno stanowi, co należy robić w podobnej sytuacji.

– Dostaniemy – zgodził się Aidan. – Nie pierwszy i nie ostatni raz. Kto jak kto, ale kapitan

Berger, kapitan Guardado i ja mamy twarde tyłki. Gdybyśmy wszyscy trzymali się ściśle regulaminów, nie miałbym teraz na pokładzie jednego z najlepszych nawigatorów we flocie. Jeśli jednak obawia się pan konsekwencji, kapitanie Moreno, może pan złożyć raport i skargę na moje postępowanie.

– Nie to miałem na myśli, kurwa – burknął urażony Santiago. – Nie jestem jebanym donosicielem i też nie lubię mordować niewinnych.

– Przecież wiem – rzekł znużonym tonem Aidan, a potem nagle podniósł głos: – No to czego pieprzysz głupoty, człowieku?! Przecież prosiłem, żeby się skupiać na rzeczach istotnych!

– Przepraszam, sir – mruknął Moreno. – Chyba jestem kurewsko zmordowany i mózg mi się zamienia w rzadkie gówno.

„Tak – skonstatował Samuels – naprawdę nie różni się wiele od brata”. W takich chwilach miał wrażenie, że nie rozmawia z Santiagiem Morenem, ale ze świętej pamięci Gasparem.

– Myślałem, że tylko moje narady z szyprami tak wyglądają – mruknął Salman.

– Też tak dyskutują? – zainteresował się natychmiast Bernhardt. – Bo wie pan, komendancie, ja myślałem, że nie ma większych gadułów niż kapitanowie Republiki, a nasz drogi Samuels był przekonany, że to jemu zawsze przypada najbardziej niezdyscyplinowane towarzystwo. Widzę jednak, że to bez różnicy.

– Chyba jednak pewne delikatne różnice są. – As-Sarif uśmiechnął się lekko. – Nie przypuszczam, żeby wasi dowódcy upuszczali sobie krwi podczas zgromadzeń, albo nawet zabijali się przy sporach o podział łupów.

– To fakt. – Bernhardt pokiwał głową. – Ale też we flotach Cesarstwa i Republiki wprowadzono sztywne zasady co do udziałów w przyziewie po to, aby uniknąć nieporozumień.

– A u nas to nie? – prychnął Salman. – Ale zawsze znajdują się tacy, którzy nie mają ochoty podporządkować się prawu.

– Panowie! – Aidan postanowił przywołać rozmówców do porządku. – Jeśli chcemy, aby nasi podwładni stosowali się do poleceń, sami powinniśmy dawać przykład. A wy sobie urządzacie pogaduszki. Przypominam, że wciąż mamy stan alarmu szóstego stopnia według regulaminów wojennych zarówno floty cesarskiej, jak i Republiki. A to oznacza, że podjęcie działań bojowych zależy od uznania oficerów dyżurnych. Jeśli chcemy rozluźnić reżim pogotowia na okrętach, musimy coś wreszcie ustalić.

– Poza tym najważniejsze naprawy na stacji stoją w miejscu, bo wasze zespoły abordażowe nie dopuszczają sekcji naprawczych w rejon uszkodzeń – dodał Salman. – Na razie panujemy nad sytuacją, ale w module numer siedemnaście znajdowała się część systemów podtrzymywania życia oraz zespoły awaryjnego zasilania. To wszystko da się wyremontować, ale w razie jakiegś rozległej awarii moduły mieszkalne pozostaną bez zasilania i bez recyklingu. Wiecie, co to oznacza, prawda?

– Dobrze, zezwolimy na wejście ekip remontowych – powiedział Aidan. – Oczywiście pod nadzorem naszych specjalistów z sekcji naprawczych. Czy ktoś z zebranych ma coś przeciwko takiemu rozwiązaniu?

Kapitanowie milczeli, kilku tylko pokiwało głowami.

– A zatem postanowione. Rzecz jasna, status alarmu redukujemy do czwartego stopnia, aby pozostać w zgodzie z regulaminami.

– Dziękuję – tym razem w głosie As-Sarifa nie było ironii. Widać było, że martwią go uszkodzenia, a przede wszystkim los ludzi, którzy pozostawali pod jego rozkazami lub byli

zależni od decyzji, jakie podejmie.

– Farlan! – Aidan wywołał łącznościowca.

– Tak jest, sir.

– Słyszałeś? W takim razie przygotuj natychmiast odpowiednie rozkazy.

– Kapitanie, przypominam, że osobiście nie mam prawa do podejmowania takich decyzji, nawet z upoważnienia, bo dotyczą całej grupy zadaniowej. Musi je autoryzować ktoś z kadry oficerskiej na mostku, i to na podstawie pańskiego osobistego zezwolenia z kodem.

– Fakt – zreflektował się Samuels. – W takim razie niech rozkaz autoryzuje pierwszy oficer w moim imieniu. Przyda się na coś wreszcie jego kapitański stopień. Kod dwadzieścia sześć.

– Zamilkł na chwilę, a potem powtórzył: – Kod dwadzieścia sześć, potwierdzam rozkaz.

– Tak jest – w głosie Farlana próżno by szukać entuzjazmu. Rozmowa z Vesaniem najwyraźniej nie znajdowała się na szczycie listy jego ulubionych sposobów spędzania czasu.

Tymczasem Bernhardt załatwił już sprawę ze swoimi załogami. W regulaminach Republiki nie była wymagana bezwzględnie obecność na mostku kapitana lub upoważnionego oficera w podobnych sytuacjach.

– Mam do pana pytanie – odezwał się Guardado, patrząc na dowódcę Forgotty. – Jak to się stało, że byliście tak dobrze przygotowani na nasze przybycie? A potem również na pojawienie się pancernika? Zdążyliście tam nawet podciągnąć monitor...

– Otrzymaliśmy ostrzeżenie – odpowiedział As-Sarif po chwili milczenia. – Nie dowierzaliśmy, bo nadeszło z niesprawdzonego dotąd źródła, dlatego ograniczyliśmy się do wysłania większej liczby sond w spodziewany rejon waszego przybycia. Dlatego kiedy nadeszła wiadomość o tym, jakoby w tym samym rejonie Obłoku Oorta miał wyskoczyć pancernik, postanowiliśmy go przywitać naprawdę dużymi siłami.

– Wiedzieliście nawet, że nie będzie miał własnej osłony myśliwskiej? – to pytanie zadał Roderick Brown. – Dlatego od razu podeszliście do niego w szyku okrężnym?

– Tak – przyznał Salman. – I dlatego też podciągnęliśmy monitor, zresztą znajdował się całkiem blisko tego rejonu od chwili, kiedy przyszła pierwsza informacja. Wiecie, że temu kolosowi niewiele jest w stanie zaszkodzić, ale właśnie ataki myśliwców bywają dla niego zabójcze.

– To wiele wyjaśnia – rzekł Aidan. – Ale nie wszystko. Na spotkanie z pancernikiem wysłaliście więcej jednostek niż na nasze powitanie. Dlaczego?

– Liczyłem się z tym, a nawet byłem pewien, że przylecicie mu na odsiecz. A jeśli chce pan zapytać, dlaczego do was nie poszło aż tyle... Cóż, muszę szczerze to powiedzieć, że nie doceniliśmy was. Nie mieliśmy pojęcia, że wyślą do nas największych zakapiorów i skurwysyńskich szaleńców z flot Cesarstwa i Republiki.

– Przyjmuję to jako komplement – rzucił Bernhardt. – Tych skurwysyńskich szaleńców także.

– I bardzo słusznie – burknął Salman. – A manewr z przeniesieniem środka ciężkości działań w rejon stacji był genialny. Nie przypuszczałem zresztą, że tak małe siły mogą się zdobyć na podobne wariactwo. W dodatku rozpieprzyliście z marszu jedyne dwa nasze krążowniki, zanim w ogóle zdążyliśmy się połapać, że coś się dzieje.

– I taki był nasz zamysł. Pełne zaskoczenie, inaczej nie moglibyśmy liczyć na sukces. Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że moduły niszczyliśmy również z przyczyn taktycznych, a nie w celu eksterminacji.

– Oczywiście. Nie jestem głupcem, kapitanie. Powinienem być wam nawet wdzięczny, bo

wiem, że zlikwidowaliście leżące naprzeciw siebie części po to, żeby stacja nie straciła równowagi. Poza tym wybraliście puste przestrzenie. Powiem szczerze, na podstawie moich dotychczasowych doświadczeń z waszymi flotami nie spodziewałem się takiego postępowania. Raczej tego, że zechcecie opanować i zniszczyć Forgotte. Ale to już ustaliliśmy. Nie jesteście ekspedycją karną, macie inne cele.

– I te inne cele sprawiają, że musimy tu jeszcze pozostać, a także dojść do porozumienia co do warunków naszego pobytu. I dla was, i dla nas będzie to trudne i wiąże się z kompromisami. Bo na razie nasi marynarze i twoi banici pilnują się nawzajem jak dwa stada drapieżników.

Salman westchnął ciężko.

– Cóż, skoro musimy, to się dogadamy. Macie przygotowane jakieś propozycje?

– Jasne. – Aidan dał znak i Juan przyniósł mu panel dowódcy, wielkości tabletu, ale niebędący samodzielnym komputerem, lecz końcówką sprzężoną z mózgiem okrętu.

– Tutaj mamy punkty do negocjacji.

– Możecie przecież nakazać mi teraz wszystko – mruknął As-Sarif.

– Możemy, jednak nie o to chodzi, żeby wam maksymalnie dopiec, ale przeprowadzić to w jakiś normalny, w miarę komfortowy sposób. Bo jest chyba oczywiste, że załogi okrętów nie mogą wrócić na stację, zanim my się nie wyniesiemy...

– Kapitanie! – rozległ się głos Farlana.

– Co jest, Norman? Mam tutaj ważną naradę, gdybyś nie wiedział.

– Kapitanie, mamy pewien problem...

– Niech zgadnę – warknął Aidan. – Czy ten problem ma na imię Ruiz?

– Tak, sir. Korzystając z kodu, właśnie wydał rozkaz, aby nasze grupy abordażowe zaatakowały patrole piratów na całej stacji...

* * *

Egberto spoglądał z obawą na specjalistyczny medmat. To nie była taka maszyna, do jakich przywykł – wielofunkcyjne urządzenie diagnostyczno-leczące, wyposażone w kilkanaście ekranów i mnóstwo końcówek. To, co przed nim stało, najbardziej ze wszystkiego kojarzyło się z cmentarzem. Było elegancko gładkim sarkofagiem o zaokrąglonych krawędziach. Rzędy przycisków po obu stronach wieka, wprawdzie bardzo odległe, ale jednak przypominały ozdoby trumienne. Jedyne światło umieszczono dyskretnie u wezłowania medmatu, co przywodziło na myśl tablicę nagrobną.

– Ten autoklaw na kilka tygodni stanie się pańskim domem – powiedział lekarz.

Podszedł do byłego sekretarza, wprawnie zdjął mu opatrunek. Egberto odwrócił wzrok. Nie chciał patrzeć na kikut. Kiedy nie kierował wzroku w jego stronę, wciąż miał wrażenie, że ma całą rękę. Bolała go nawet, w dodatku bardzo często. Wiedział doskonale, że to bóle fantomowe, gdyż struktury mózgu jeszcze nie przystosowały się do nowego stanu organizmu i wciąż w polach czuciowych i ruchowych pozostaje reprezentacja kończyny jako całości.

Do pokoju wszedł wielki śledczy. Na widok pobladłej twarzy Egberta uśmiechnął się krzywo.

– Strach oblatuje? – spytał. – Nie musisz się obawiać, synu. Gdybyśmy chcieli cię zgładzić, dostałbyś przy jakiejś okazji zastrzyk z trucizną albo w ogóle zabójca przyszedłby do twojej kwatery i zwyczajnie zrobił swoje.

– Przecież zdaję sobie z tego sprawę – mruknął Egberto. – Ale na myśl, że będę przez

najbliższe dwadzieścia osiem dni przebywał zanurzony całkowicie w płynie, zdany na urządzenia podtrzymywania życia...

– A czymże to się różni na dobrą sprawę od przebywania w statku kosmicznym albo na stacji? – roześmiał się lekarz. – Wszędzie, poza przyjazną atmosferą planet podobnych do Ziemi, człowiek jest zdany na systemy podtrzymywania życia. Tyle że jego płuca wypełnia powietrze, a w autoklawie będzie pan miał w nich płyn. Ale najważniejsze jest to, że nie odczuje pan upływu czasu. Coś się najwyżej panu przyśni i już nastąpi wybudzenie. Wszyscy, którzy byli poddawani tej formie odtwarzania kończyn, twierdzą dokładnie to samo. Nie ma czego się obawiać.

Egberto nabrał powietrza. Dla człowieka, który za kilkanaście minut miał zostać uspiiony i zanurzony we wzbogaconym roztworze soli fizjologicznej i do którego żył zamierzano podłączyć mnóstwo igieł, wężyków i rurek, perspektywa spędzenia w takich warunkach prawie miesiąca nie wydawała się zbyt atrakcyjna. Jednak jeśli później będzie mógł z powrotem czuć własną rękę...

– Ile potrwa rehabilitacja? – zapytał. – Kiedy odzyskam sprawność w przedramieniu?

– Tego nie da się określić precyzyjnie – odpowiedział lekarz. – Ogromną rolę grają cechy osobnicze. Czasem trwa to tygodnie, innym razem miesiące, ale bywają przypadki, że nawet ponad dwa lata. Jak rozumiem, odcięto panu rękę z wszczepionymi implantami. To nieco komplikuje sprawę.

– Nie rozumiem. – Egberto zaniepokoił się.

– Rzecz jest prosta. Gdybyśmy panu odtwarzali przedramię wraz z elektroniką, byłoby łatwiej, bo pozostały przecież drogi neuronowe, prowadzące do mózgu, a utworzone podczas implantacji. Jednak w karcie medycznej nic o tym nie ma.

Egberto spojrział na wielkiego śledczego i skrzywił się.

– Nie zamierzacie inwestować więcej środków w moją skromną osobę?

Jezuita wzruszył ramionami.

– Nie będziesz nam więcej potrzebny jako szpieg, synu. A takie implanty sporo kosztują. Wiem, że panuje przekonanie, iż wywiad czy kontrwywiad dysponują nieograniczonymi środkami, ale w gruncie rzeczy to nieprawda. Musimy pilnować budżetu, bo jesteśmy z niego skrzętnie rozliczani. Niech ci wystarczy, że wydajemy naprawdę dużą sumę na zrekonstruowanie kończyny.

– Ale przecież nie za darmo – rzekł z goryczą Egberto. – W zamian za to będę zeznawał przeciwko don Sebastianowi! Taką zawarliśmy umowę.

Santino syknął, rozwścieczony.

– Doktorze, proszę nas na chwilę zostawić! – rozkazał.

Lekarz spojrział w zimne oczy śledczego i wyszedł czym prędzej.

– Posłuchaj, drogi chłopcze – wysyczał jezuita, zbliżając się do więźnia. Był nieco niższy, ale Contador i tak miał wrażenie, że musi patrzeć w górę. – Ten łapiduch nie jest osobą, przy której powinniśmy omawiać nasze sprawy. Jeszcze jeden taki wyskok, a obawiam się, że poznasz prawdziwy smak próżni... I nie będę baczył na to, czy jesteś cennym świadkiem, czy tylko zwykłym, małym tchórzem, który prag- nie uratować cienką, szczurzą skórkę, gryząc dłoń, która go wykarmiła.

Zamilkł na chwilę, wpatrując się kłującymi źrenicami w oczy byłego sekretarza.

– Mamy dość nagrań z twoimi zeznaniami, aby już teraz pogrążyć don Sebastiana. Jesteś mi potrzebny żywy tylko dlatego, aby je w odpowiednim momencie wzmocnić, o ile zajdzie taka

potrzeba. Bądź więc wdzięczny, że odzyskasz rękę, chociaż, jak Bóg na niebie, nie zastąpi ci ona utraconego honoru.

– Honoru?! – Egberto poczuł wzbierającą wściekłość. Wiedział, że to oznaczało opóźnienie rozpoczęcia zabiegu o przynajmniej dwie godziny, gdyż bilans hormonalny organizmu musiał zostać należycie zrównoważony przed umieszczeniem pacjenta w autoklawie, a na skutek tej rozmowy w jego krwi znalazł się cały szereg substancji zakłócających prawidłowe wejście w medytację poprzedzającą działania typowo farmaceutyczne i medyczne. – Honoru, mówi pan, Ekscelencjo? A kto mnie zapewniał, jak nie pańscy podwładni, że poczucie honoru powinno mi nakazać właśnie ujawnianie tajemnic wielkiego inkwizytora? Kto przekonywał, jakoby miało to być rutynowe działanie służb, mające na celu tylko i wyłącznie dobro imperium? Że takim urzędnikom jak Lerma należy oczywiście ufać, ale też patrzeć im na ręce?

– Uwierzyłeś w to, w co chciałeś uwierzyć. – Santino nie wyglądał na poirytowanego czy w jakikolwiek sposób poruszonego nagłym wybuchem Contadora. Co więcej, wszystko wskazywało na to, że właśnie takiej reakcji się spodziewał i jest z niej zadowolony. – I nie świeć mi teraz w oczy jakimiś ideologicznymi przesłankami. Zarobiłeś na pracy dla mnie całkiem pokaźną fortunę. Lecz musiałbyś jej większą część wydać na rehabilitację ręki, gdybym nie okazał ci łaski i nie sfinansował rekonstrukcji. Doceń to, niewdzięczny gówniarzu. Bo przed trybunałem i tak byś powiedział wszystko, co chcemy. Jeśli jest rzecz, której obawiasz się bardziej niż śmierci, to chyba tylko zdechnąć w nędzy. Zatem nie wspominaj więcej w mojej obecności o pobudkach, z których podjąłeś współpracę, aby nie zachciało mi się właśnie do nędzy cię doprowadzić! Widziałeś kiedyś nory bezdomnych na stacji kosmicznej albo na terraformowanej planecie? Mieszkają w kanałach wentylacyjnych, w kolektorach, w komorach asenizacyjnych. W każdej chwili mogą się spodziewać, że padną ofiarą brygad oczyszczania, walczących przede wszystkim ze szczurami, ale nieprzejmujących się losem takich meneli. Trujące gazy, wcale nie mniej zabójcze płukanki, wypalanie ogniem... A w dodatku część z tych ludzkich pasożytów sama się też wyrzyna, czy to podczas konfliktów, czy włącząc w miejsca wypełnione metanem, czy też spożywając zatrute jedzenie i pijąc podły bimber. Chciałbyś się znaleźć między nimi, Egberto? Zażyć prawdziwie twardej, męskiej przygody?

Egberto uśmiechnął się, choć tylko on wiedział, ile go ten grymas kosztował.

– Nie oszukujmy się, Ekscelencjo. Gdybym był panu zupełnie niepotrzebny, nawet by pan nie kiwnął palcem, żeby mi pomóc. Dług wdzięczności ważnego świadka, to właśnie pragnie pan ugrać. Tak, będę posłuszny i zeznam wszystko, co trzeba, żeby móc później korzystać z pieniędzy, używać życia, skoro i tak zaprzepaściłem karierę w strukturach służb wywiadu i kontrwywiadu. Nie mam już ochoty narażać się i ginąć, bo w jednym ma pan rację, Ekscelencjo. Życie jest dla mnie najważniejsze, a znajdując się na progu śmierci, dopiero zdałem sobie w pełni sprawę, jak jest istotne. Dlatego proszę się nie obawiać, zeznam, co tylko pan zechce. Jest mi już wszystko jedno, byle się ten cały kocioł skończył.

– Znakomicie, Egberto! – Wielki śledczy aż klasnął. – Właśnie to chciałem usłyszeć! Wreszcie zrozumiałeś, o co toczy się gra i że jesteś tylko małym, choć w pewnej mierze istotnym trybikiem maszyny, którą uruchomiłem, aby wreszcie uporządkować sprawy państwa. Nie przeceniaj jednak swojej roli. Możesz mi ułatwić pracę, możesz utrudnić, ale nie jesteś w stanie przeszkodzić w osiągnięciu celu.

Egberto nie odpowiedział. Zdawał sobie z tego wszystkiego doskonale sprawę. Lecz gdyby

powiedział, że jest zupełnie pogodzony z losem, skłamałby. Przede wszystkim chciał odzyskać rękę, a potem postara się jeszcze ugrać z jezuitą, ile tylko zdoła. Rzeczywiście musi się jednak pilnować, aby nie przesadzić z roszczeniami.

– Doktorze, prosimy! – wywołał medyka Santino. – Pacjent jest gotów do dalszych przygotowań.

Egberto zerknął na autoklaw i znów zadrżał na myśl, że niebawem zostanie zamknięty w jego wnętrzu. Będą z nim mogli zrobić, co chcą...

„Tak jakby teraz nie mogli” – zaśmiał się gorzko w duchu. „Santino ma przecież rację. Gdyby chcieli mnie zgładzić, nie robiliby takiego przedstawienia”.

– No dobrze – powiedział lekarz, ledwie zobaczył poblądłą ze zdenerwowania twarz Contadora. – Muszę pana jeszcze raz gruntownie przebadać. Coś mi się zdaje, że będziemy mieli małe opóźnienie.

Bezkres zimna

Aidan czekał na pierwszego oficera w towarzystwie Amandy i Morena. Gaspar, jako dowódca okrętu o największych możliwościach ataku bezpośredniego, pozostał na „Fitzcarraldzie”, w mesie przebywał tylko jego hologram. Siedzieli w milczeniu, nikomu nie chciało się odzywać. Wprawdzie opanowano sytuację na stacji, jednak trzy osoby zostały ranne. Na szczęście podejrzliwy i doświadczony Lorenzo Bosquito nie wykonał rozkazu, podobnie zresztą jak szefowie oddziałów abordażowych „Greese’a” i „Fitzcarralda”. Żaden z dowódców nie dał wiary, że kapitan Samuels wydał podobne polecenie bez powodu, a przede wszystkim nie łącząc się z nimi osobiście. Jedyne grupa z „Saragossy” zareagowała. Ofiarami ostrzału byli jeden marynarz z niszczyciela i dwóch piratów.

Obie strony zaprzestały jednak ognia, kiedy do banitów przemówił Salman, a Moreno oprawił soczyście swojego dowódcę grupy abordażowej. Jednak sytuacja, i tak już przedtem napięta, stała się jeszcze trudniejsza. W ogóle była mocno skomplikowana, bo chociaż As-Sarif poddał Forgotę, to w niektórych modułach wciąż przebywali uzbrojeni piraci. Poza tym warunki kapitulacji zakładały, że w pewnych częściach stacji zostaną ustanowione wspólne patrole. Samuels z Bernhardttem zgodzili się na to, gdyż nie zamierzali przecież zostawać tutaj dłużej, niż to konieczne, a newralgiczne części stacji tak czy inaczej wpadły w ręce marynarzy z grup bojowych i od razu zostały gęsto zaminowane.

Ruiza miał doprowadzić na sprawę patrol oficera. Cekał na wezwanie w areszcie okrętowym, pomieszczeniu bodaj najrzadziej wykorzystywanym na „Sirene”. Aidan wrócił myślami do rozmowy z senatorem. Trochę inaczej to powinno wyglądać...

– Panie kapitanie – powiedział wówczas stary hrabia – powiem prawdę, której i tak się pan zapewne domyśla. Mam nadzieję, że pod pana rozkazami mój syn stanie się wreszcie mężczyzną. Nie chcę nawet, żeby stał się wielkim wojownikiem i znakomitym dowódcą. Ale niechże przestanie być wreszcie głupim szczeniakiem. Taka nauczka jak ostatni pojedynek na pewno nie wystarczy. To tylko prztyczek, który otrzeźwi go na moment, a potem gałgan znów osunie się w czeluść bezmyślnego egoizmu.

– Naprawdę uważa pan, panie senatorze, że faktu oddania go pod moje właśnie dowództwo nie potraktuje wyłącznie jako upokorzenia?

– I właśnie o to chodzi. Musi dostać porządnie w zęby, żeby się opamiętał. To będzie jak kubał zimnej wody na jego rozpaloną głowę.

Senator milczał przez chwilę, a potem wyrzucił z siebie:

– Tak naprawdę to chciałbym, aby zrobił pan z niego dobrego oficera! Wiem, że to będzie bardzo trudne, o ile w ogóle możliwe... Ale tak, chciałbym, nie będę oszukiwał ani siebie, ani pana! Źle go wychowałem, a tak naprawdę wcale go nie wychowywałem. Na dobrą sprawę, zorientowałem się, że coś jest nie tak, dopiero kiedy go pan aresztował. Czuję to wcześniej, ale odsuwałem takie myśli. Lecz właśnie wtedy dotarło to do mnie z całą mocą. Żeby pan wiedział, jak pana wówczas znienawidziłem!

Znów zamilkł, a kapitan nie odzywał się, zdając sobie sprawę, ile takie wyznanie kosztuje dumnego arystokratę.

– Nie będę też ukrywał, że kiedy pobił pan gubernatora stacji, to ja spowodowałem, że

dostał pan stosunkowo surowy wyrok. Ale później przemyślałem to. Ktoś, kto potrafi stanąć w obronie przyjaciela, nie bacząc na konsekwencje, godzien raczej jest szacunku niż więzienia. A gubernator Minerve był dupkiem, jest dupkiem i umrze, będąc nieodmiennie pieprzonym dupkiem.

– Zatem również panu zawdzięczam uwolnienie? – Aidan musiał to uściślić.

– Bądźmy uczciwi. Tylko po części. Okoliczności tak się ułożyły, że wyżsi oficerowie upomnieli się o dobrych dowódców, podobnie jak pan odsiadujących wyroki za jakieś drobne przewinienia. Niemniej, rzeczywiście, zaangażowałem się w tę sprawę i wykorzystałem moje znakomite stosunki z don Sebastianem.

– A zatem jestem panu winien wdzięczność – powiedział z pełną powagą Samuels.

– Przecież powiedziałem, że najpierw wręcz pana wsadziłem za kraty!

Aidan machnął lekceważąco ręką.

– I tak bym tam trafił po tym numerze. A nawet jeśli dostałbym mniejszy wyrok, toby mi dopieprzyli inaczej. Z kolei bez pańskiej interwencji mogliby mnie w ogóle nie zwolnić, bo gubernator musiał sobie zakarbować w pamięci moją skromną osobę. A jak pan wie, tacy ludzie miewają nieoczekiwane mocne koneksje.

– Cieszę się, że nie żywi pan do mnie urazy...

– Ależ żywię, żywię – zaśmiał się Aidan. – Tyle że chyba niewielką. Rzec można, że jesteśmy kwita. Ja wsadziłem do mamra pańskiego syna, pan go uwolnił. Dołożył się pan do mojego wyroku, ale i mnie pan wyciągnął, tyle że wcześniej nawet niż Ruiza. A teraz chce pan ode mnie przysługi. I nie mogę odmówić, prawda?

– Może pan. Naprawdę, proszę mi wierzyć – oznajmił senator. – To, że został wcielony do pańskiej załogi, że usłyszał pan, jakie też wpływowe osoby za tym stoją, nie oznacza jeszcze, że musi pan się z nim męczyć. Powiem tak: jeżeli pan odmówi, nie będę wcale zdziwiony. I nie zamierzam naciskać. Dla was obu to będzie trudna przeprawa.

– Niech będzie, señor – powiedział Aidan, zanim zdążył dobrze pomyśleć. A może raczej zgodził się rozmyślnie, nie czekając, aż nadciągną uzasadnione wątpliwości. – Biorę go. Ale wie pan, że podczas misji mogą się zdarzyć różne rzeczy, a pan chce z niego zrobić mężczyznę...

– Wiem, rzecz jasna. Ale wierzę też, kapitanie, że nie robi pan nic, aby celowo doznał krzywdy.

– Przeciwnie, będę go strzegł jak oka w głowie – mruknął Aidan.

– Nie! – zaprotestował stanowczo Vesano. – Ani mi się waż, chłopcze! – ciągnął z gniewem. – Będzie twoim zastępcą, choć wolałbym, aby zaczął służbę jako zwykły majtek czy chłopiec okrętowy...

– Na niszczycielach nie ma chłopców okrętowych – zauważył z lekkim uśmiechem Aidan.

– Wiem przecież! Tak czy inaczej, dobrze by było, gdyby poznał flotę od samych smrodów. Ale na to jest zbyt późno. Poza tym to moje dziecko... Lecz nie mam nic przeciwko temu, żeby dostał w kość na swoim stanowisku. I jeśli trzeba będzie nadstawiać karku, również proszę go nie oszczędzać.

Znów zamilkł, zacisnął usta w wąską kreskę, dopiero potem zakończył:

– Prawdę mówiąc, wolałbym go zobaczyć martwego niż znów w kajdanach! Nie wiem, czy pan to rozumie.

– Nie mam dzieci – powiedział Aidan. – Oczywiście takie moje oświadczenie jest tylko o tyle wiarygodne, o ile mężczyzna może twierdzić podobne rzeczy z całą pewnością... Ale

nie mam dzieci, o których coś bym wiedział i mógł je darzyć uczuciem. Jestem sobie w stanie jednak wyobrazić, co pan czuje, senatorze, i dlaczego pan tak mówi. Lecz obawiam się, że to nie do końca prawda. Nie żyjemy w czasach Sparty, kiedy matka, wręczając synowi tarczę, mówiła: „Wróc z nią lub na niej”.

– Myli się pan – w głosie hrabiego zadźwięczała stal. – Śmierć syna to tragedia dla ojca, szczególnie jeśli to jedyny syn i dziedzic fortuny. Ale, proszę mi wierzyć, kiedy zobaczyłem go w więziennym uniformie, w towarzystwie automatów strażniczych... Nie, Aidanie, naprawdę wolałbym, aby umarł jak bohater, niż żył niczym szczur, poroniony, tchórzliwy wypierdek wielkiego rodu. Noblesse oblige, jak mówi stare powiedzenie. My, arystokraci, powinniśmy dawać przykład innym. I w życiu, i w śmierci...

– Zdaje pan sobie sprawę, że jest dinozaurom w obecnych czasach? – Samuels nie wiedział, jak senator to przyjmie, ale zbyt go swędziały szczęki, żeby mógł się powstrzymać od wypowiedzenia tych słów. – A nawet trylobitem! Niewielu szlachciców myśli w ten sposób. Jeszcze wśród hidalgów trafiają się oficerowie gotowi iść za dewizą, że szlachectwo zobowiązuje, potrafiący poświęcić siebie dla dobra państwa i innych ludzi, ale wśród grandów... Proszę o wybaczenie, jeśli pana uraziłem, wasza miłość. – Tytuł wyrwał mu się zupełnie odruchowo.

– Wiem, kapitanie Samuels. Lecz zdarzają się jeszcze honorowi grandowie wśród tej zgrai pajaców, podobnych do Pedra de la Hoi. Poznał pan przecież także drugiego z sekundantów, Pabla de Hernante.

– Wywarł na mnie jak najlepsze wrażenie – przyznał Aidan.

– I słusznie, bo to uczciwy młodzieniec, wnuk bohatera wojny ayaksańskiej.

– Wnuk admirała de Hernante? – zdziwił się Aidan. – To był wspaniały, genialny wprost dowódca. Jego posunięcia taktyczne i strategiczne...

– Tak, właśnie tego – przerwał mu senator. – Z zazdrością muszę stwierdzić, że nie tylko odziedziczył kapitalne geny, ale w dodatku potrafi je też doskonale wykorzystać. Kiedyś zastąpi na stanowisku naszego drogiego Gonzagę, mówię ci.

– Im wcześniej, tym lepiej – mruknął Aidan.

– Kapitanie – rzekł surowo Vesano – udam, że tego nie słyszałem... – Ale nie wytrzymał i roześmiał się. – Coś mi się wydaje, że co najmniej połowa mszy na okrętach Floty Kosmicznej Jego Cesarskiej Wysokości odbywa się w intencji wymiany na stanowisku głównodowodzącego floty.

– Oficjalnie może nie, ale jeśli wziąć pod uwagę zdanie marynarzy...

– Och, wówczas byłoby to zapewne dziewięćdziesiąt dziewięć procent – dokończył stary hrabia.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć procent – rzekł z zastanowieniem Samuels. – No nie wiem, señor... Ale wydaje mi się, że jest to znacznie zaniżona liczba!

Teraz roześmieli się obaj. „Szkoda, że nie ma więcej takich jak on w naszej kochanej Radzie Cesarskiej” – pomyślał Aidan. „Życie byłoby o wiele prostsze...”

– Jak rozumiem – hrabia spoważniał – zawarliśmy porozumienie. Wie pan, czego oczekuję.

– Wiem, wasza miłość – odparł Aidan również poważnie, znów ze zdumieniem konstatując, jak naturalnie wypłynął mu z ust tytułarny zwrot. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy. O ile Ruiz mi pozwoli.

– Oczywiście. Niemniej liczę na ciebie.

A teraz miał osądzić własnego pierwszego oficera. I to nie za schrzanie roboty, nie za

odmowę wykonania rozkazu nawet, lecz za wykorzystanie upoważnienia dowódcy. Aidan nie miał pewności, czy w historii floty cesarskiej coś podobnego w ogóle kiedykolwiek miało miejsce. Było wysoce możliwe, że to pierwszy występ tego typu. Potwierdził to zresztą główny komputer okrętu.

– Nie ma podobnego punktu skonkretyzowanego dokładnie w kodeksach – poinformował mózg zaraz po zdarzeniu, kiedy Aidan zadał pytanie. – Nie przewidziano możliwości, aby zastępca dowódcy zmienił brzmienie pełnomocnictwa. Owszem, jest artykuł traktujący o sprzeciwie zastępcy dowódcy okrętu w stosunku do kapitana. Brane są pod uwagę dwa przypadki: zarówno sprzeciw mający podstawy, jak i bezprawny. Natomiast zmiana rozkazu wydanego w formie jednorazowego kodowanego pełnomocnictwa nie została wzięta pod uwagę, przynajmniej w dostępnych dla mnie źródłach. Zgodnie z zasadami należałoby ją traktować jako zwyczajną zdradę w warunkach bojowych.

Wreszcie strażnicy przyprowadzili Ruiza. Wpłynął przez drzwi w towarzystwie dwóch potężnych bosmanów. Aidan wiedział, że obaj byli ochotnikami w grupie Bosquita i uświadomili Ruizowi, co go czeka, jeśli spróbuje choćby drgnąć.

Obie ręce aresztanta zostały przypięte kajdankami do poręczy specjalnie wstawionego i przymocowanego do podłogi ciężkiego fotela. Kapitanów na miejscach przytrzymały wiązania biodrowe, ale Vesano został przypięty do mebla pasami umocowanymi pięciopunktowo. Aidan nie miał ochoty na żadne więcej niespodzianki. Młody arystokrata miał pewną siebie, wyniosłą minę, jednak w tym przypadku była to bardziej kwestia nawyku niż odzwierciedlenie prawdziwego nastroju.

– Zebraliśmy się, aby poddać radzie kapitanów pod osąd sprawę niesubordynacji – zaczął Aidan. – Zanim jednak rozpoczniemy rozprawę, niech główny komputer poda odpowiedni artykuł.

– Jak już pana informowałem, kapitanie, nie ma podobnego punktu w prawie – zakomunikował natychmiast mózg okrętu. Na twarzy Vesana zagościł złośliwy uśmiezek. – Nie przewidziano, co podkreślam ponownie, możliwości, aby zastępca dowódcy zmienił brzmienie rozkazu pełnomocniczego. A zatem, zgodnie z zasadami obowiązującymi podczas działań wojennych, przestępstwo potraktować należy jako zdradę w warunkach bojowych, zagrożoną karą śmierci na równi ze zdradą stanu. Jednak właściwa kwalifikacja czynu zależy w tym momencie od komisji orzekającej lub trybunału kapitanów.

W tej chwili uśmiezek zniknął z ust Ruiza. Popatrzył Aidanowi głęboko w oczy.

– No to masz okazję, żeby mnie ostatecznie wykończyć – wycedził.

– Zanim przejdziemy do dalszych punktów posiedzenia – wtrącił się Moreno, nie dopuszczając do głosu Samuela, który zamierzał ostro ripostować – proszę powiedzieć, szanowny hrabio, kapitanie Vesano, dlaczego dopuścił się pan inkryminowanego czynu... – Porywczy oficer nie utrzymał się jednak zbyt długo w roli chłodnego arbitra i wrzasnął nagle: – Czy całkiem ci odjechało, kindybałe pierdolony?! Co ci strzeliło, kurwa, do tego posranego łba, kutafonie?! Czegoś dał rozkaz do ataku, bezmózgi chuju?! Urwać ci jaja i wsadzić w dziurki kinola?! A byłoby w co wkładać, kurwa mać, bo masz ten nochal zajebiaszczy jak fujara świętego Antoniego!

„On jest chyba nawet jeszcze lepszy od brata” – pomyślał Aidan z mimowolnym podziwem.

– Właśnie – mruknął, z satysfakcją patrząc na osłupiałego pierwszego oficera. Tak się do niego nie zwracano nawet w więzieniu. – Nasz drogi Santiago może w niezbyt wyszukanych

słowach, ale rzeczywiście dotknął jądra problemu.

– Dlaczego w niewyszukanych? – spytał Guardado, najwyraźniej rozbawiony. – To była jednakowoż dość wyszukana wiązanka.

– Właśnie – poparła go Amanda. – Dawno nie słyszałam tak misternie skleconych bluzgów. Dokładnie od... – zacięła się, zerknęła na Morena i dokończyła: – Chyba od ostatniej wizyty w knajpie dla niższego personelu technicznego.

Ale Santiago, wciąż jeszcze rozgniewany, nawet nie zwrócił uwagi na niezręczność kapitan Berger.

– No mów, do kurwy nędzy!!! Co tak cię zatkało jak koszarowy sracz po grochówie?!

– Protestuję – zaczął dziwnie słabym głosem Vesano, ale Samuels nie dał mu dokończyć.

– Protestować będziesz później, pierwszy. Na razie odpowiedz na pytanie.

– Na które? – spytał wyniośle młody hrabia. Zaczął odzyskiwać formę.

– Na wszystkie, kurwa! – wrzasnął Moreno, wpierając ręce w blat stołu. – Mój człowiek dogorywa w lazarecie, bo ci się, pizdolcu pierdolony, wojenki zachciało! Odpowiadaj, bo jak do ciebie wstanę, trybunał nie będzie, kurwa, potrzebny. Zajebię cię gołymi rękami, skurwysynu!

– Zamknij się! – syknął Aidan, widząc, że Vesano znów chce zgłosić jakiś protest. – Możesz otworzyć usta, ale tylko po to, aby odpowiedzieć na pytania. A może jednak kapitan Moreno ma się wypiąć z krzesła?

– Baza piratów powinna zostać zniszczona! – oświadczył Ruiz. – Zmieniając rozkaz pełnomocniczy, zamierzałem przywrócić należyty porządek! Siłom imperium nie wolno w żadnym wypadku pozostawiać siedlisk banitów w całości! Nie wolno z nimi paktować!

Aidan patrzył na arystokratę z niedowierzaniem. Wyglądało na to, że młody hrabia mówi zupełnie poważnie.

Zapowiadało się długie posiedzenie.

* * *

– Żegnaj, kontradmirał – powiedział Lerma. Miał na sobie skafander, pod pachą trzymał pękaty hełm.

Sułtan po raz pierwszy, odkąd się znali, zobaczył w oczach inkwizytora coś, co mogło się kojarzyć ze smutkiem. Zazwyczaj te źrenice były puste, czujne i zimne. Kiedyś Aidan powiedział, że nawet jeśli don Sebastian śmieje się do rozpuku, jego oczy nie zmieniają wyrazu, człowiek zawsze ma wrażenie, że dostojnik taksuje go, ocenia i wietrzy zdradę. Gutierrez rzadko się zgadzał z Samuelsem w stu procentach, ale w tym przypadku musiał mu przyznać całkowitą rację.

– Chyba raczej do widzenia, Ekscelencjo – odpowiedział nieco zdetonowany Sułtan.

– Żywię taką nadzieję, ale nie mam pewności. – Lerma założył hełm, poczekał, aż automatyczne zatrzaski zadziałają, i podszedł do niszy przy śluzie, żeby automat sprawdził stan skafandra.

Normalnie pasażer nie zakładałby nawet grubego kombinezonu, a tylko podstawowy ciśnieniowy, z dołączonym niewielkim hermetycznym kaskiem. Ale podczas pogotowia bojowego procedury nakazywały właśnie taki strój – pełny kosmiczny skafander z zapasem tlenu na cztery godziny, z naładowanymi do pełna bateriami systemów podtrzymywania życia i z minimum cywilnym hełmem kosmicznym. Lerma zżymał się trochę na procedury, bo czekał go lot góra dwudziestopięciominutowy, ale oficer dyżurny był nieugięty.

– Ekscelencjo, jeśli się panu coś stanie, nikt nie będzie brał pod uwagę pańskich zachcianek, ale odpowiem własną głową za zaniedbanie. Proszę uznać, że nie zabezpieczam pana, lecz przede wszystkim siebie.

Don Sebastian musiał skapitulować przed taką argumentacją, tym bardziej że publicznie, w obecności oficerów na mostku, wsparł ją kontradmirał.

– Najpierw urwą dupę komandorowi, a potem mnie! Ewentualnie na odwrót, ale to przecież bez znaczenia. Nawet chłopca pokładowego nie wysłalibyśmy podczas alarmu bez tego całego cyrku.

Inkwizytor z ulgą zdjął hełm, odłożył go na wierzch szafki z bronią, spojrzął na kontradmirała.

– Jak prace nad napędem? – spytał.

– Są na ukończeniu. Najdalej za trzy godziny będziemy mogli odlecieć.

– Wie pan dokładnie, co ma powiedzieć po powrocie? – spytał Lerma.

– Wiem, co mam powiedzieć admirałowi Gonzadze – odparł Sułtan.

– Nie rozumiem. – Inkwizytor potrząsnął głową. – Miał pan przecież wracać na Minerve i zażądać nowych rozkazów przez ich dział łączności, skoro nie ma pan komunikatora kwantowego.

Sułtan uśmiechnął się krzywo.

– Zmieniłem zdanie – rzekł po chwili. – Wciąż obowiązują mnie rozkazy dołączenia do zgrupowania, którym dowodzi sam admirał. Jest wysoce prawdopodobne, że zdążę dotrzeć w rejon koncentracji przed ostatecznym upływem terminu.

– Co pan kombinuje, kontradmirał? – zaniepokoił się Lerma.

– Dam panu po prostu nieco więcej czasu – odparł Sułtan. – W sztabie też się spodziewają, że jeśli wrócę, to właśnie na pozycję wyjściową. Zanim się w tym wszystkim połapią, zanim wyklóca, co zrobić należy, co trzeba, a czego absolutnie nie wolno, minie jakiś czas.

– Możesz mieć problemy...

– Ja?! – Sułtan wytrzeszczył oczy w udanym zdumieniu. – Z powodu wykonania rozkazu? Nikt nie odwołał rozkazu stawienia się na zgrupowanie, prawda? A ja nie mogę przecież zlekceważyć woli najwyższego dowódcy. Pan to polecenie zawiesił mocą swojego urzędu, musiałem się podporządkować, chociaż protestowałem i złożyłem nawet na pana ręce petycję w tej sprawie...

– Niczego pan przecież nie składał – powiedział Lerma, marszcząc brwi.

– Składałem, składałem. Ustną, ale pan jej nie przyjął.

– A tak, rzeczywiście! – Lerma roześmiał się. – Dobrze mówiłem, że wysoko zajdziesz, kontradmirał. To działanie w moim stylu.

– A zatem uznałem – ciągnął Sułtan – że skoro postanowił pan mnie stąd już zwolnić, powinienem się trzymać pierwotnych zarządzeń, tym bardziej że zostałem pozbawiony możliwości bezpośredniego połączenia...

– Zapytają, dlaczego nie skorzystał pan z radiostacji na „Sirene” – zauważył don Sebastian.

– To na „Sirene” jest komunikator kwantowy? Nic mi o tym nie wiadomo. Ani Samuels, ani pan nie wspomnieliście o tym słowem. Przecież...

– Dobrze już. – Lerma uniósł dłoń, przerywając słowotok Sułtana. – Wszystko pan przemyślał, jak widzę. Poza jednym.

– Tak? A o czym zapomniałem? – Gutierrez okazał uprzejme zainteresowanie.

– Jak rozumiem, tutaj nie jesteśmy nagrywani przez mózg okrętu? – spytał inkwizytor.

– Nie, Ekscelencjo. Kamery i mikrofony nawet podczas pogotowia bojowego uruchamiają się w tym miejscu tylko na mój rozkaz. A ja, rzecz jasna, takowego nie wydawałem. Tylko w czasie bezpośredniej walki oczy i uszy pancernika w tym rejonie czuwają bez moich dyrektyw.

– Wolałem się upewnić. – Lerma skinął głową. – Posłuchaj, synu... Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale moja pozycja w Cesarstwie uległa w ostatnich dniach bez wątpienia sporemu osłabieniu. Powiem więcej, wcale nie byłbym zdziwiony, gdybym po powrocie do wewnętrznych obszarów imperium dowiedział się, że jestem osobą co najmniej niepożądaną, albo został oskarżony o jakieś przestępstwa.

– To wywnioskował pan z tej krótkiej wiadomości?

– Żebyś wiedział, kontradmirał. Czasem nie trzeba wielu słów, aby zrozumieć ważne przesłanie. Dlatego lepiej dla ciebie będzie, jeśli odetniesz się ode mnie. Powiedz, że wykonywałeś moje rozkazy, nie mając zupełnie świadomości, że coś może być nie w porządku.

– Ależ tak właśnie było i jest! Przecież nic nie wiem, don Sebastianie! Zastanawiam się tylko, co będzie, jeśli wyślą tu kogoś, aby zbadać sprawę, skoro uparcie milczymy.

– Wówczas będziesz już daleko. Ale jeśli idzie ci o to, czy mnie aresztują – cóż, zobaczymy. Jest takie stare powiedzenie, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Nasze obecne problemy z piratami mogą się w tym momencie okazać wręcz błogosławieństwem. To, że moi wrogowie napuścili ich na misję Samuela i Bernhardta, obróci się przeciwko nim. Oczywiście zakładając, że ktoś się w ogóle zjawi, zanim ty dołączysz do Gonzagi i zameldujesz się za pośrednictwem jego radiostacji kwantowej.

Wyciągnął rękę do Sułtana. Ten pochylił się, zamierzając ucałować złoty pierścień z dużym szmaragdem, zawierającym podobno kroplę krwi Dunstana Męczennika Remaire'a, ale inkwizytor nie pozwolił mu na to. Przytrzymał za ramię dowódcę „Vincenta” i tylko potrząsnął mocno jego dłonią.

– Uważaj na siebie, Gutierrez – powiedział poważnie. – Nie daj się zjeść. A jeśli będzie trzeba, nie wahaj się także ostro krytykować mojej osoby i wyrażać się o mnie w najgorszych słowach.

– Ależ, Ekscelencjo... Nie mógłbym.

– Mógłbyś, Guido. – Lerma odstąpił o krok. – Potrafisz to zrobić, bo jesteś inteligentny i dość zdeterminowany, aby osiągnąć sukces. Nie będę miał pretensji. Dla mnie ważne jest, abyś przetrwał zdrów i cały. Oczywiście nie wykluczam, że sprzymierzysz się z moimi wrogami. Nie zaprzeczaj, bo nawet święty Piotr zapałł się Jezusa, a ja nie śmiałybym się choćby w najdrobniejszym stopniu porównywać do Naszego Pana! Każdą twoją decyzję zrozumieć, chłopcze, i nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś. Choć wiem, że kusilo cię, aby mnie na wszelki wypadek aresztować i zyskać potężnych protektorów. Bo o tym, że moi przeciwnicy muszą być potężni, na pewno wiesz doskonale.

Z wyraźnym zadowoleniem patrzył na zarumienioną twarz Gutierrezza.

„Skąd ten stary diabeł wie takie rzeczy?” – przeleciało przez głowę kontradmirała. „Przecież z nikim nie dzieliłem się wątpliwościami”.

– No dobrze, wystarczy tego długiego pożegnania, bo jeszcze ktoś pomyśli, że łączy nas coś więcej niż zależność służbowa – powiedział Lerma.

Wziął hełm z szafki, włożył go pod pachę.

– Tak, wiem – powiedział, zanim Sułtan zdążył go upomnieć. – Regulaminy regulaminami,

ale nie mam ochoty przepychać się przez służbę w tej puszczy na głowie, skoro nie istnieje realne zagrożenie. Włożę baniak po drugiej stronie.

Tym razem nie korzystał z wyjścia desantowego, ale z wahadłowca zacumowanego przy zewnętrznych ładowniach pancernika. Okrągły właz wjechał w ścianę, Lerma już zrobił krok, żeby przekroczyć próg grodzi, ale odwrócił się.

– Nie jestem wcale takim starym diabłem – powiedział, patrząc prosto w oczy kontradmirała. – Jak na możliwości demonów, to raczej ze mnie szczeniak.

A potem zniknął we wnętrzu małego wahadłowca.

Gutierrez wrócił na mostek. Kiedy wszedł, machnął tylko ręką, żeby obsada nie wstawiała.

– Kapitanie, wahadłowiec opuścił okręt – zameldował zastępca dowódcy.

Sułtan spojrzał na oficera łączności, podszedł do jego stanowiska i spytał cicho:

– Masz to wszystko nagrane?

– Tak jak pan kazał, señor. Każde słowo i każdy gest.

– W takim razie skopiuj to cztery razy i zapisz na różnych nośnikach, a jeden plik prześlij na mój panel.

– Tak jest!

Kontradmirał nieśpiesznie podszedł do swojego stanowiska, połączył się z działem lekkiej artylerii.

– Cosma?

– Słucham, señor.

– Wykonasz rozkaz nie za siedem, ale za pięć minut.

– Jest pan pewien, señor, że mam to zrobić?

– Cosma! – w głosie Sułtana brzmiała groźba. – Wiesz, co sędzę o powtarzaniu poleceń! Pamiętaj tylko o zmianie. Nie siedem, lecz pięć minut. Chcę mieć pewność precyzji trafień.

– Tak jest!

* * *

Aidan siedział naprzeciwko Amandy. Kawa w podciśnieniowych naczyniach ostygła już do poziomu, jaki oboje lubili.

– Chciałaś, żebym została – mruknęła kobieta – chociaż powinieneś się teraz szykować na przyjęcie Lermy. Powiesz, o co chodzi?

– Muszę z kimś pogadać – odparł cicho. – Mesa to może nie najlepsze miejsce, ale sama wiesz, że na niszczycielu trudno o samotność. Zaprosiłbym cię do kajuty, jednak poza koją nic tam właściwie nie ma. Jeszcze przy małym nawet ciężeniu można przysiąść na obrotowym taborecie, ale teraz... – Machnął ręką. – Musielibyśmy się przypinać do koi.

– Dobra, chłopie – zniecierpliwiła się Amanda. – Mów, o co ci chodzi.

Aidan pociągnął mały łyk kawy, milczał przez chwilę.

– Nie masz wrażenia, że to wszystko jest trochę dziwne? – spytał wreszcie.

– Trochę? – Zrobiła wielkie oczy. – Trochę?! To jest niedopowiedzenie roku! I ta wyprawa, i pojawienie się „Vincenta”, i teraz przeniesienie się inkwizytora na „Sirene”... Ale najbardziej mnie zaskoczyłaś tym, jak dzisiaj potraktowałaś Vesana!

– O tym rozmawiać nie będziemy! – warknął. – To mój oficer i moja decyzja.

– To po co zwoływałaś trybunał kapitański? Trzeba było od razu zrobić swoje.

– Prawdę mówiąc, liczyłem, że coś mądrego doradzicie...

Zamilkł, bo Amanda ryknęła śmiechem. I nie był to śmiech wymuszony czy histeryczny. Być

może stanowił w pewnym stopniu rozładowanie stresu ostatnich dni, ale na pewno brzmiał szczerze.

– Jak chciałeś usłyszeć coś mądrego – wykrztusiła w końcu kobieta, trzymając się za brzuch – trzeba było puścić sobie na przykład „Dialogi” Platona. Człowieku! Moreno jako głos rozsądku! Albo ja! – Znow zaczęła się śmiać. – Guardado jeszcze, ale od niego coś konkretnego wyciągnąć można chyba tylko na torturach.

Po chwili spoważniała, popatrzyła na Samuela.

– Dobra, Aidanie, przestań pieprzyć o jakimś niepokoju z okazji dziwnej sytuacji. Kiedyż to bywa dla nas inna? Szczególnie ostatnimi czasy? Gadaj, o co ci naprawdę chodzi.

Odetchnął głęboko. Miał wrażenie, że za chwilę rzuci się do lodowatej wody. Ale też taki skok należało wykonać bez zbędnych namysłów, bo każda chwila zwłoki powoduje, że człowiek nabiera wątpliwości, czy da radę się przemóc.

– Martwię się o ciebie, Amando – bąknął wreszcie. Powinien powiedzieć to bardziej zdecydowanie, jednak wyszło, jak wyszło.

Spojrzała na niego. Na początku widać było, że nie dociera do niej sens słów, dopiero po chwili potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Możesz powtórzyć?

– Martwię się o ciebie – powiedział głośno i wyraźnie.

Milczała przez kilkanaście sekund, wpatrując się przed siebie, gdzieś obok niego.

– Oszalałeś, prawda? – bardziej stwierdziła, niż spytała.

– Nie, nie oszalałem. – Znow odetchnął głęboko. – To nie jest zresztą tylko moje zdanie...

– No pięknie! – prychnęła jak rozżłoszczona kotka. – Nie masz o czym rozmawiać z innymi panami kapitanami, tylko o mojej kondycji psychicznej?! A może ze swoim kumplem Bernhardtem też wymieniałeś uwagi na mój temat?

Wbiła wzrok w blat stołu, zacisnęła usta.

– No właśnie – powiedział spokojnie. – Nie zachowujesz się tak jak zawsze. Powinnaś teraz zacząć kłąć i zaprzeczać. Powinnaś wypiąć się z krzesła i zasuwać do wyjścia, rzucić we mnie pojemnikiem z kawą... A ty siedzisz tylko sfochana. Amanda, co się dzieje?

Podniosła na niego oczy. Przez chwilę obawiał się, że będą pełne łez, ale na szczęście okazały się zupełnie suche.

– Nic się nie dzieje. Co ma się dziać? Nie wiem, może jestem po prostu zmęczona.

– A może wypalona?

– Cholera, Samuels, a ty nie jesteś wypalony? Powiedz, nie masz już tego wszystkiego dość? Tej wojny, tych ciągłych podchodów dowództwa, wciąż nowych wymagań i obowiązków. Tak jak teraz. „Greese” zasłużył, żeby go podpicowali w stoczni, a ja powinnam wreszcie odpocząć. I przepadł mi... – urwała nagle, jakby powiedziała zbyt wiele.

– Co ci przepadło? – spytał Aidan. – Amanda! Co ci przepadło?

Dopiero teraz oczy jej zwilgotniały.

– Miałam iść na zabieg rekonstrukcji jajników. Załatwiłam już sobie miejsce w klinice na Saratodze. Mają tam niezłe warunki i dobrą kadrę medyczną. Cieszyłam się od początku, że właśnie tam nas kierowali na leże.

– Cholera, nie wiedziałem – mruknął Samuels. – Nie przypuszczałem, że możesz w ogóle liczyć na taki zabieg. Chcesz mieć jeszcze dzieci?

– Nie wygłupiaj się. – Otarła dłonią oczy. – Ja nie mogę mieć dzieci. Lekarze powiedzieli mi wyraźnie, że promieniowanie wykoślawiło mi geny na tyle, że mogłabym urodzić co

najwyżej jakiegoś potworka. Ale chciałabym być z powrotem kobietą, rozumiesz? Wiedzieć, że mam tam w środku coś więcej niż tylko pustkę. Chciałabym dostać okresu, chociaż kiedy miesiączkowałam, zawsze klęłam podły los mojej płci.

Aidan skrzył się w duchu. Żałował teraz, że zdecydował się na tę rozmowę. Ale skoro już...

– A gdybyś jednak zaszła w ciążę? – spytał. – Przecież jeśli będziesz miała menstruacje...

– Z kim, głupku jeden? – spytała z goryczą. – Z kim?! Z męskim robotem w burdelu?

Przecież mnie nie zechce żaden normalny facet! Jestem skazana na sztucznego fiuta. Ty chodzisz do bajzlu, żeby zabawiać się z fembotami typu Cornelia, bo to lubisz, a ja korzystam z maszyn, bo muszę!

Aidan zaczerwienił się i zagryzł wargi. Cholera ciężka! Myślał, że poza Shaderem nikt nie wie o tej jego słabości! A Robert na pewno nikomu nie pisał słowa. Samuels robił wszystko, żeby utrzymać swoje dziwactwa w tajemnicy.

– Skąd wiesz, że korzystam z fembotów, a nie zwykłych panienek? – spytał wyzywająco.

– Proszę cię, Samuels. Zdajesz sobie sprawę, co to jest tajemnica w burdelu? To taka sama dziwka, jak te panienki – niby dyskretne na zamówienie, ale tak naprawdę dostępne dla każdego. Wystarczy dobrze popytać, postawić alkohol, może dać parę reali...

– Cholera, szpiegowałaś mnie?! – Aidan z oburzenia zapomniał o zażenowaniu.

– Zaraz tam szpiegowałam. Jedna taka sama zaczęła opowiadać. Wiesz, te dziewczyny czują się niezbyt docenione, kiedy mężczyzna woli taką Cornelie. I nie myśl, że chodzi im o forszę. Czują się niedocenione uczuciowo.

– Przecież nie wolno im mówić, co się dzieje w lokalu!

– Nie wydurniaj się! – Amanda wyduła wargi. – Oczywiście, że im nie wolno. Tym chętniej dają się naciągać na zwierzenia. A tobie się chyba wydaje, że twoje zwyczaje seksualne kogokolwiek interesują, fascynują lub bulwersują. Mylisz się. A jeszcze mniej by ludzi obchodziły, gdybyś się z nimi tak skrzętnie nie ukrywał.

– Ciebie jakoś zaciekały – mruknął. Stracił w tej rozmowie inicjatywę, ale na razie nie czuł się na siłach przejść do ofensywy.

– Zaciekały? Niekoniecznie. W pewnym momencie zaczęłam cię podejrzewać o jakieś straszne perwersje. Wiesz, wolałabym, żeby mój przyjaciel, że cię tak trochę na wyrost określe, nie był jakimś zbokiem zabawiającym się z odkurzaczem.

– No dobra. – Aidan wziął się w garść. Musiał się pogodzić z tym, że jego sekret nie jest już sekretem, przynajmniej dla Amandy. – Wróćmy jednak może do ciebie...

– A nie wyjaśniliśmy już sobie powodów mojego rozstrojenia? – spytała zdziwiona.

– Częściowo. Wydaje mi się, że jest coś więcej na rzeczy...

– Możemy o tym nie rozmawiać?

– Wydaje mi się...

W tej chwili zabrzmiał sygnał alarmu.

– Cholera, co jest?! – Aidan natychmiast założył bazkom na ucho, Amanda poszła za jego przykładem.

– Panie kapitanie, „Vincent” właśnie ostrzelał wahadłowiec, którym leci don Sebastian...

– Co?! Dawaj obraz! Zrób też sprzężenie z bazkomem kapitan Berger! Amanda, podaj mu kod dostępu!

Po sekundzie ukazał się przed ich oczami obraz z kamer umiejscowionych na lewej burcie „Sirene”. Wahadłowiec koziołkował. Przedział maszynowy zamienił się we wrzącą lawę, a po

chwili został odrzucony.

– Trzy trafienia laserem rubinowym – zameldował Farlan. – Chce pan powtórkę zdarzenia?

– Nie ma czasu! Wyślij natychmiast wahadłowiec ratowniczy! Nawigator, trajektoria uszkodzonego obiektu! Jest kolizyjna w stosunku do Forgotty?

– Jeśli nic się nie zmieni, raczej nie uderzy w stację – zameldował po chwili Martinez. – Przeleci o trzysta pięćdziesiąt metrów nad szczytowym modułem obserwacyjnym.

– Blisko – mruknęła Amanda.

– To dobrze, bo mamy czas na spokojną akcję. Oczywiście, jeśli Lerma jeszcze żyje. Dział skanerów?

Czuł się nieco ślepy, nie mając przed nosem wyświetlaczy swojego stanowiska na mostku. Ale nie było teraz czasu, żeby się przemieszczać. Zresztą sytuacja nie była na tyle poważna, aby musiał osobiście dowodzić całym okrętem.

– Costa, sir – zgłosił się bosman.

– Czy „Vincent” jeszcze strzela? – spytał z niepokojem Samuels.

– Panie kapitanie, pancernik się zawinął i spieprza z relatywistyczną. Duże przyśpieszenie, w tym tempie za trzydzieści sekund osiągnie osiemdziesiąt pięć procent prędkości światła.

„Chociaż tyle” – pomyślał Aidan. „Byłaby niezła łaźnia, gdyby prowadził dalej ogień”.

Nie miał teraz możliwości analizować tego, co właśnie zaszło.

– Wahadłowiec ratowniczy w przestrzeni – zameldował Farlan.

– Dawaj natychmiast dowódcę Forgotty! – Kiedy pojawił się sygnał aktywnego łącza, Aidan oznajmił: – Komendancie, oświadczam, że nie podejmujemy działań bojowych!

– Wiem, kapitanie – rozległ się prosto w głowie Aidana głos As-Sarifa. – Czy zezwoli pan na udział naszego holownika w akcji? Oczywiście jako asekuracji pańskiej jednostki ratunkowej.

– Zgadza się.

Spojrzał na Amandę. Wyglądała na równie zszokowaną jak on.

– Costa, czy na pokładzie uszkodzonego wahadłowca jest ktoś żywy?

– Skanery potwierdzają obecność jednego człowieka, sir. Chwileczkę... Właśnie odciął komputer jednostki i sam przejął stery. Uruchomił dziobowe silniki korekcyjne, tylko te mu zostały. Jest tam też poważny wyciek atmosfery.

– Miejmy więc nadzieję, że założył skafander – powiedział Aidan. – Farlan, połącz się z nim i niech wykonuje polecenia jednostki ratowniczej. A najlepiej daj mi go na bazkom.

– Nie da rady, sir. Wybuch uszkodził nie tylko przedział maszynowy, ale również urządzenia łączności audio i wideo. Dopiero kiedy nasz ratownik podejdzie, będzie mógł się połączyć bezpośrednio z małą radiostacją skafandra. Teraz jonizacja po działaniu lasera zakłóca sygnał.

– Pięknie – mruknął Aidan. – Róbcie swoje. Zaraz będę na mostku. Amando – spojrzał na przyjaciółkę – musimy odłożyć rozmowę.

– I bardzo dobrze – burknęła. – Bo zrobiła się całkiem bezsensowna.

– Chodź ze mną na mostek.

– Powinam wrócić na „Greese’a”...

– No przecież nie teraz! – zirytował się. – Trwa akcja.

– No tak – sapnęła Amanda. – Niech ci będzie. Prowadź, mój kapitanie.

* * *

Don Sebastian ściągał na siebie wolant sterowania z całych sił. Wiedział, że to nie ma większego sensu, bo silowniki i tak robiły swoje, kolumna nie posiadała przecież bezpośredniego przełożenia na cięgła i silniki pomocnicze, ale miał wrażenie, że wczepiony w ster ma na cokolwiek większy wpływ.

– Chyba przesadziłeś, Gutierrez – wymamrotał. – Trochę przesadziłeś, przyjacielu...

Odkąd udało mu się odciąć bezużyteczny zupełnie komputer, który zaczął wykonywać jakieś dziwaczne procedury, za pomocą silników kierunkowych zdołał zredukować nieco ruch obrotowy przez dziób. Czuł lekkie mdłości, spowodowane niewielkim przeciążeniem, jakie odczuwał podczas ruchu. Absolutnie nie nadawałby się na pilota. Oni musieli znosić o wiele bardziej przykre zjawiska, zachowując pełnię możliwości psychofizycznych.

Lecz teraz nie miał czasu roztkliwiać się nad własnym samopoczuciem. Zdawał sobie sprawę, że Samuels z pewnością zarządził akcję ratunkową, ale ponieważ radiostacja nie działała, czuł się tak, jakby przebywał zupełnie sam w ogromnej pustce. Punkciki krążących wokół stacji okrętów mieszały się z gwiazdami, nie potrafiłby ich nawet odróżnić. Za to lękiem napawała zbliżająca się nieustannie sylwetka Forgotty. Teraz była jeszcze całkiem niewielka, za grubą, pancerną szybą regularnie przesuwał się z dołu do góry jej dysk, uwyraźniony światłami pozycyjnymi. Widok kojarzył się z czarnym spodkiem, na który ktoś sypnął garść drobnutkich cyrkonii, a te rozsypały się w regularny, gwiazdzisty wzór.

– Przesadziłeś... – powtórzył po raz trzeci Lerma, a potem zaczął się modlić, bezgłośnie poruszając ustami.

Lecz co się stanie, jeśli Aidan jednak nie podejmie akcji, nie wyśle jednostki ratunkowej? To nie byłoby wprawdzie w jego stylu, ale przecież zapoznał się z informacją przeznaczoną dla inkwizytora. Nie jest tak głupi, by się nie domyślić, że przekaz zawiera jakąś dodatkową wiadomość. Gdyby kapitan nie podjął w tej chwili żadnych działań, by uratować dostojnika, nie tylko by nie odpowiadał za zaniechanie, ale mógłby nawet liczyć na wdzięczność wysoko postawionych osób, choć dostałby solidną burę od bezpośrednich przełożonych. Ostrzelanie wahadłowca przez „Vincenta” świadczyło o tym, iż coś jest na rzeczy. Kuty na cztery nogi Sułtan nigdy by się nie odważył w taki sposób potraktować cesarskiego urzędnika bez powodu i nie czując się bezkarnym. To z kolei oznaczało, iż można inkwizytora zgładzić bez konsekwencji. A fakt, że Gutierrez zbiegł zaraz potem, tylko to potwierdzał. Uciekł przecież nie gdzieś na niezbadane manowce Galaktyki, ale na pewno wprost do swoich, pochwalić się wyczynem.

Don Sebastian poczuł zimny pot występujący na czoło. Oderwał lewą rękę od wolantu, żeby się obetrzeć, ale dłoń w rękawicy stuknęła tylko bezradnie o szybę hełmu. Inkwizytor przechodził szkolenia w obsłudze ciężkich skafandrów próżniowych, lecz nie miał zbyt wielu okazji korzystać z nabytej wiedzy. Było mu gorąco, a zapomniał zupełnie, jak włącza się klimatyzację. Któryś z przycisków na płycie sterującej, umieszczonej na piersi... Dla zawodowego pilota te różnobarwne guziki opatrzone maleńkimi symbolami były czytelne i znane jak dla starego biskupa brewiarz. Ale wahadłowiec oprócz koziołkowania wpadł w wibracje po odpaleniu silników kierunkowych, Lerma widział więc na drgającej powierzchni płytki tylko kolory, symbole uległy zamazaniu.

– Niech to diabli – mruknął i syknął, zdając sobie sprawę, że wypowiedział te słowa podczas modlitwy.

Chwycił wolant na powrót obiema rękami. Silniki korekcyjne pracowały na najwyższych obrotach, lecz rozpędzona masa wahadłowca z trudem poddawała się ich oddziaływaniom.

Gdyby główny napęd działał chociaż w dziesięciu procentach, ruch obrotowy już by został opanowany. Ale główny napęd po prostu nie istniał, co komputer zameldował już po pierwszym strzale. Drugi uszkodził poważnie powłoki zewnętrzne, a trzeci spowodował wyciek powietrza. Don Sebastian aż wstrząsnął się na myśl, co by było, gdyby zlekceważył regulamin i nie założył hełmu zaraz po wejściu na pokład. Tkwiłby w tej chwili przypięty do fotela z wybałuszonymi oczami i krwawił ze wszystkich otworów ciała. A potem uległby zamrożeniu, wprawdzie w temperaturze wyższej od zera absolutnego, ale na pewno przekraczającej minus sto osiemdziesiąt stopni.

Wyłączył silniki korekcyjne, widząc, że poziom energii spadł poniżej połowy. Od tej chwili powinien ich używać pulsacyjnie. Tylko trzeba włączać urządzenia w odpowiednim momencie... Nie był w stanie dokonać obliczeń w pamięci, nie wiedział przecież nawet, z jaką dokładnie prędkością wiruje. Na pewno jeden pełny obrót przypadał na około dwie sekundy. Zaraz! Przecież powinno wystarczyć, aby włączał na krótką chwilę przeciwny ciąg, ale dokładnie w tych samych interwałach. Na ile? Ćwierć sekundy? Pół? Ale zaraz... Przecież w miarę zwalniania obrotów należałoby też dostosować czas uruchamiania hamowników. Tak czy inaczej, z obecnym zapasem energii może nie dać rady całkowicie powstrzymać ruchu. Spróbować jednak trzeba.

Uruchomił komputer. Na szczęście bezpośrednie połączenie mózgu ze skafandrem działało. Po kilkudziesięciu sekundach maszyna zameldowała gotowość działania.

– Czy przejąć kontrolę nad jednostką? – zapytała.

– Nie! – Lerma powiedział to o wiele głośniejszym głosem, niż było trzeba. Obawiał się, że zanim komputer zacznie realizować rutynowe procedury, upłynie zbyt wiele czasu. A poza tym to był mózg o niewielkich stosunkowo możliwościach. Istniało ryzyko, że uruchomi silniki korekcyjne na pełną moc, aby jak najbardziej ograniczyć koziółkowanie, a nie, aby je powstrzymać. A don Sebastian obawiał się, że jeśli nie przestanie się kręcić, może się skończyć wymiotami, które w skafandrze i w stanie nieważkości bez wątpienia okazałyby się zabójcze. Sama myśl o wymiocinach, które oblepiają mu twarz i wciskają się do ust z każdym oddechem, sprawiła, że cały się spocił.

– Hamowanie impulsowe – polecił. – Każdy impuls w tej samej pozycji podczas obrotu względem wybranego punktu odniesienia...

– Głównej gwiazdy układu, planety czy obiektu sztucznego? – chciał wiedzieć komputer.

Lerma wypuścił powietrze, wydymając policzki. No tak, o tym nie pomyślał. Odruchowo miał ochotę nakazać orientację na jakiś punkt na Forgotcie. Ale przecież oprócz obracania się wahadłowiec wykonywał także ruch postępowy. A to oznaczało, że tego typu odniesienie okaże się kolejną zmienną. To samo, choć w nieco mniejszym stopniu dotyczyło planety. Dlaczego jednak komputer zadał takie pytanie? Powinien chyba sam zdecydować... Lecz na rozważania nie było czasu.

– Względem gwiazdy – rozkazał. Spojrzał na sigmę Errani, z tej odległości wyglądającą jak jasna plama wielkości dużej monety.

Z miejsca odczuł pulsowanie silników, kiedy komputer przejął nad nimi kontrolę.

– Jaką mamy trajektorię w stosunku do stacji kosmicznej? – zapytał.

Lecz zanim komputer zdążył odpowiedzieć, radiostacja kombinezonu otrzymała sygnał wywołania. Inkwizytor natychmiast wysłał potwierdzenie.

– Czy don Sebastian Lerma? – spytał zniekształcony trzaskami kobiecy głos. – Proszę potwierdzić identyfikację.

– Potwierdzam – odparł z ulgą. A jednak Samuels zrobił to, czego powinien się po nim spodziewać.

– Witam, Ekscelencjo. Z tej strony bosmanmat Inez Hedronne, dowódca zespołu ratunkowego Alfa niszczyciela Jego Cesarskiej Mości „Sirene”.

– Witam, pani bosmanmat. Słucham rozkazów.

– Czy jest pan w stanie zmniejszyć jeszcze ruch wirowy, Ekscelencjo?

Lerma spojrział na wskaźniki paliwa.

– Na pewno, aczkolwiek widzę już, że nie da się go zatrzymać zupełnie.

– Nie szkodzi. W zasadzie moglibyśmy już spróbować pana podjąć, ale gdyby się udało jeszcze o dwie dziesiąte sekundy opóźnić koziołkowanie, byłoby łatwiej.

– Nie musimy się śpieszyć?

– Na szczęście nie. Kurs wahadłowca nie jest kolizyjny względem Forgotty.

– W takim razie możemy poczekać.

Miał już najzupełniej dość tej karuzeli, ale też nie chciał utrudniać pracy ratownikom. Przymknął powieki, żeby nie widzieć pojawiającej się coraz wolniej w przednim oknie stacji, ale zaraz tego pożałował. I tak czuł mdlące przeciążenie, a w dodatku wyobraźnia podpowiadała mu wrażenie coraz szybszych obrotów. Otworzył oczy i odetchnął głęboko kilka razy.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się Hedronne. Zakłócenia były nieco mniejsze niż na początku, musiała więc usłyszeć oddech inkwizytora.

– W porządku, pani bosmanmat – odparł. – Bardzo dziękuję za pomoc. Od dawna jest pani członkiem załogi „Sirene”? – zapytał, żeby oderwać się od przykrych doznań.

– Od czterech lat. Czy to ważne? – spytała czujnie.

– Ależ skąd, moja droga. Zajmuję tylko panią rozmową, jak przystało dwornemu szlachcicowi względem damy.

Nie miał pojęcia, na ile rozwinięte jest poczucie humoru pani podoficer, ale zaryzykował. Odpowiedział najpierw cichy, lecz perlisty śmiech, a potem głos:

– Wprawdzie nie jestem damą dworu Jego Cesarskiej Mości, ale muszę stwierdzić, że konwersacja z Waszą Ekscelencją jest dla mnie prawdziwą przyjemnością.

– Tuszę, iż sprostam pani wymaganiom, señorita – odpowiedział Lerma. Uczyniło mu się nieco lżej. Kontakt z drugą osobą znacznie pomagał znieść niedogodności. – Jeśli to się dobrze skończy, czy pozwoli się pani zaprosić na dobrą kolację i wino?

– Dobra kolacja na niszczycielu! – Kobieta roześmiała się, ale zaraz stłumiła wesołość, przypominając sobie, że prowadzi działania w przestrzeni kosmicznej i kim jest rozbitek. – Wybacz pan, Ekscelencjo, ale powiedział pan coś zabawnego, choć może pan o tym nie wiedzieć.

– Spędziłem jakiś czas na średnich jednostkach – mruknął Lerma. – Rzeczywiście, na zbytek luksusu nie można narzekać. Niemniej zaproszenie na kolację jest aktualne.

– Zastanowię się, Ekscelencjo – odparła kobieta. – Jeszcze około dwóch minut – przeszła nagle na ton rzeczowy. – Potem przystąpimy do ewakuacji. Grindba – jej głos nieco przycichł, kiedy przysłoniła dłonią mikrofon, zwracając się do kogoś z załogi – możesz odesłać holownik piratów. Poradzimy sobie. Przekaż im nasze podziękowanie za gotowość do akcji.

– Pani bosmanmat – odezwał się po chwili Lerma – czy mam się przygotować do wyjścia?

– Tak. Jednak proszę poczekać w fotelu, zjawię się po pana. Gdyby pan mógł jedynie odstrzelić właz z lewej burty. I tak już nie ma na wahadłowcu atmosfery. Wtedy nie będę

musiała...

– Oczywiście. Stanie się wedle pani woli – znów wrócił do dwornego tonu.

Nieoczekiwanie dla samego siebie stwierdził, że ten niewinny, pozbawiony głębszych emocji i nadziei na ciąg dalszy flirt z zupełnie nieznaną kobietą sprawia mu przyjemność.

„Muszę mieć nerwy w strzępach” – uznał. „Jak to inaczej wytłumaczyć?”

Był przyzwyczajony, rzecz jasna, do podobnych słówek i przekomarzań na cesarskim dworze czy w pałacach gubernatorów, ale w przestrzeni kosmicznej, w otoczeniu okrętów wojennych... To było co najmniej dziwne, ale pomagało zachować opanowanie w obliczu zagrożenia.

– Komputer – powiedział – awaryjne odstrzelenie lewego włazu.

– Proszę o potwierdzenie rozkazu.

– Potwierdzam – powtórzył. – Odstrzelenie lewego włazu. Wykonać.

Poczuł lekkie szarpnięcie. Atmosfera w wahadłowcu była już tak rzadka, że nie dotarła do niego fala ciśnienia.

– Idę po pana, Ekscelencjo – odezwała się Inez.

– Czekam z niecierpliwością – odparł.

* * *

Ocknął się w całkowitych ciemnościach. Były najzupełniej nieprzeniknione, nie potrafił dostrzec najmniejszego choćby źródła światła. Pomyślał, że jeśli pozbawiono go wzroku, stał się głucho-niewidomy. Po chwili zaczęły się pojawiać barwne, jaskrawe płatki, ale wiedział, że to nie świadczy o jakimkolwiek funkcjonowaniu widzenia. Zwykła fizjologia, polegająca na wyładowaniach zachodzących w mózgu. W stanach deprywacji sensorycznej to by było normalne doświadczenie. Czy znajdował się w komorze deprywacyjnej? Chciał podnieść dłoń do twarzy, przesunąć palcami od brwi w dół, żeby sprawdzić, czy gałki oczne są na swoim miejscu. Gdyby tam były, mógłby wnioskować, że coś się stało na poziomie nerwów albo nawet w samych polach mózgowych.

Nie mógł jednak wykonać ruchu. Zupełnie jakby nie miał ciała, chociaż je przecież odczuwał. Znów spróbował i tym razem skłamałby, gdyby stwierdził, że nie może unieść ręki. Wrażenie było raczej takie, jakby ta ręka przeleciała przez głowę, zatoczyła pełne koło i wróciła do poprzedniej pozycji. Kolejna próba, tym razem drugim ramieniem, zakończyła się dokładnie tak samo. Nie mógł też zmienić pozycji, chociaż wydawało mu się, że ciało jest w stanie wykonać polecenie. Niestety, nie umiał sobie poradzić sam ze sobą. To było bardzo niepokojące.

Pomyślał, że jeśli zamknięto go w doskonale ciemnym pomieszczeniu, nie zdoła się połapać, jak wygląda jego prawdziwe położenie, dopóki ktoś nie zapali światła.

Swoją drogą to, że w ogóle żył, stanowiło dlań nie lada zaskoczenie. Przecież widział doskonale, że broń gwardzystów nastawiona była na impuls śmiertelny. A poza tym nawet słabszy strzał z takiego przyłożenia musiałby okazać się zabójczy.

Zapadł w coś w rodzaju snu, ale trudno by to było nazwać choćby płytką drzemką. Zupełnie jakby unosił się w jakiejś gęstej zupie skojarzeń i dziwacznych myśli. Przysięgłby, że otacza go niewidzialny świat, jakiego do tej pory nie miał okazji poznać. Wciąż nic nie widział, ale gdzieś błyskały zniekształcone twarze. Twarze uśmiechnięte i wykrzywione złością...

Nie, jednak nie widział ich, to były tylko wrażenia. Dziwnie realne, przypominające do

złudzenia bodźce wzrokowe, ale tylko wrażenia. Miał świadomość, że wciąż nic nie widzi. A potem zabrzmiała muzyka. Najpierw delikatna, potem głośniejsza... Wariacja Enrica Pastana na temat *allegro vivace* z dziewiątej symfonii Beethovena. To był jeden z ulubionych utworów Lopeza. Wprawdzie inkwizytor namawiał go nieraz, aby zapoznał się bliżej z twórczością Bacha, Mozarta czy Haydna, i to nieprzetworzoną przez późniejszych mistrzów, ale nie miał do tego przekonania. To nie mieściło się w jego estetyce, choć musiał przyznać, że coś wielkiego w tej muzyce było. Wolał jednak dźwięki wydobywane ze współczesnych instrumentów, a nie brzmienie starych skrzypiec, obojów, kontrabasów, fletów i całego tego klasycznego zbioru. A właśnie Pastano potrafił wlać nowe życie w nuty tak stare, że można by bez ryzyka określić je mianem starożytnych. A poza tym przez setki lat w muzyce wydarzyło się wiele interesujących rzeczy. Niech dawne wykonania służą zagorzałym koneserom. Nie po to utalentowani muzycy tworzą je na nowo, żeby lekceważyć ich pracę.

„Zaraz... O czym ja myślę? Nie wiem, gdzie jestem, nie mam pojęcia, czy straciłem wzrok, czy to tylko ciemność, nie czuję własnego ciała, a snuję rozważania o muzyce?”

Gdyby mógł, potrząsnąłby głową.

Ale nie mógł...

Diabli... A może tak właśnie wygląda druga strona? Może faktycznie zginął tam, w węzle łączności, a teraz czeka na swoją kolej, aby przejść dalej?

Chyba że nie ma żadnego „dalej” i tak właśnie ma wyglądać wieczność. Duch pozostający sam ze sobą, pogrążony w wizjach i dźwiękach.

„Tylko niebo to czy piekło?”

Lecz przecież nawet inkwizytor powiadał, iż istnienie piekła jako krainy wiecznego potępienia wydaje się mocno wątpliwe. Wprawdzie kreacjoniści, a właściwie neokreacjoniści, jeśli chodziło o ścisłość, uważali taki pogląd wręcz za herezję, jednak na szczęście w Cesarstwie panowała wciąż jeszcze wolność przekonań. Przynajmniej w pewnej mierze i do pewnego stopnia.

Muzyka przybrała na sile. Diakon miał ochotę zanucić ulubiony motyw, a najlepiej go wystukać dodatkowo palcami, ale... Zresztą czy usłyszałby własny głos? W dodatku teraz nie czułby pewnie nawet wibracji własnej krtani.

Spróbował.

Rzeczywiście – nic nie słyszał i nie czuł...

Tymczasem muzyka przesączała się do świadomości, wybrzmiewał każdy dźwięk, zupełnie jakby jej słuchał z odtwarzacza. Znał to – takie wyraziste wspomnienia utworów muzycznych przychodziły zawsze przed zaśnięciem, w tym dziwnym stanie, kiedy człowiek przez chwilę pozostaje zawieszony między jawą a snem, gdy ogólna dekoncentracja paradoksalnie powoduje, że można skupić się na czymś bardzo konkretnym – przywołać doznania, obrazy, dźwięki.

„Co się ze mną dzieje? Gdzie jestem?”

Nagle poczuł ukłucie paniki. I nie była to obawa związana z czymś konkretnym. Opanował go zwykły, płaski, zwierzęcy strach. Zupełnie jakby z upiornej ciemności miały się zaraz wysunąć oślizgłe macki, żeby go otoczyć i pociągnąć w otchłań. W tej chwili poczuł charakterystyczne swędzenie w krzyżu, które zwykło towarzyszyć podobnym lękom.

I nagle oślepiło go światło... Krzyknął z zaskoczenia...

Nie – wcale nie krzyknął, lecz tylko chciał...

W zasadzie światło go nie oślepiło. Pojawiło się po prostu zniecka, nie zmusiło jednak

do odruchowego zamknięcia powiek.

Może dlatego, że nawet nie mógłby ich zamknąć! To było przedziwne doznanie. W ciemności nie wydawało się niczym szczególnym to, że nie mrugał. Nie wiedziałby przecież nawet, że to robi. Ale teraz miał pełną świadomość, że nie jest w stanie zamknąć oczu. Co gorsza, nie mógł także poruszyć głową, żeby się rozejrzeć. Widział tylko to, co miał przed sobą, w dodatku pole widzenia było ograniczone do około siedemdziesięciu stopni. A to, co zobaczył, upewniło go tylko, że wcale nie znalazł się w lepszym świecie. Zwyczajny widok – szafki z szufladami, zamykane na szyfrowane zamki, biurko i obrotowy fotel, przystosowujący się do kształtu ciała, a na suficie lampy imitujące światło słoneczne. Wyglądało na jakieś laboratorium.

To znaczyło, że żył.

I wcale nie był z tego powodu uszczęśliwiony.

– Witaj, diakonie – zabrzmiał głęboki, melodyjny głos.

Lopez drgnął z zaskoczenia... To znaczy drgnąłby, gdyby w jakimkolwiek stopniu panował nad ciałem. Słyszał. Naprawdę słyszał! A to oznaczało, że musiał przejść odpowiedni zabieg.

– Nie sil się na odpowiedź – ciągnął dalej głos. Lopez już wiedział, z kim ma przyjemność. A może raczej nieprzyjemność... – Na razie nie otrzymasz możliwości mówienia, bo zasypałbys mnie milionem pytań, a tego sobie nie życzę. Wystarczy mi taki kontakt, jaki mamy w tej chwili.

Mężczyzna zamilkł, przeszedł w pole widzenia diakona, popatrzył w jego stronę. Ale Lopez nie określiłby tego jako spojrzenie prosto w oczy. Miał wrażenie, że ten człowiek spoglądał gdzieś w bok i nieco wyżej.

– Jeśli mnie jeszcze nie poznałeś, w co wątpię, przypomnę ci. Jestem Sergio Vettamora del Fatima Saruso, generał zakonu jezuitów.

„I przywódca Frakcji Ojca Gabriela” – dokończył w myślach Lopez.

– Tak, i przywódca Frakcji Ojca Gabriela – potwierdził jezuita.

„Cholerny telepata?” – zdziwił się diakon.

– Nie telepata. – Saruso uśmiechnął się, wciąż nie patrząc prosto w twarz rozmówcy. – Wiesz doskonale, że opowieści o wyjątkowych zdolnościach parapsychicznych inkwizytorów, śledczych i całej naszej wpływowej trójki można włożyć między bajki. To coś innego. O wiele prostszego, a zarazem niesłychanie skomplikowanego. Rzeczywiście, widzę twoje myśli, lecz nie ma to nic wspólnego z telepatią.

„Wyświetlają się na jakimś ekranie?” – pomyślał Lopez.

– Brawo, chłopcze! – zawołał jezuita. – Brawo! Lerma nie na darmo uczynił cię osobistym gwardzistą. Jesteś bystry i naprawdę szybko kojarzysz fakty!

„To nie było trudne, skoro nie patrzysz mi w oczy, tylko gdzie indziej!”

– Hm... Nie jestem pewien, czy życzę sobie, abyś mówił mi na ty, synu. A poza tym powinienes dodawać „Wasza Ekscelencjo”.

„Spierdalaj” – Lopez poczuł gniew.

– Nieładnie, diakonie, bardzo nieładnie. Cóż, ostrzegano mnie, że jesteś nieokrzesany i gwałtowny. Jednakowoż takie słowa nie przystoją duchownemu. Nawet niższemu stopniem duchownemu.

Lopez czuł coraz większy gniew. O co chodzi? Gdzie jest? Dlaczego nie został zabity? Z jakiego powodu przywrócili mu słuch?

Jezuita z lekkim uśmieszkiem patrzył nad głową więźnia.

– Właśnie dlatego nie pozwoliłem ci mówić – rzekł. – Zasypałbyś mnie takim właśnie gradem pytań. A wypowiedziane zakłóciłyby znacznie tok naszej pogawędki. Już? Wyczerpałeś zapas?

„Głupi ku...” – Lopez rozpoczął myśl, ale jej nie skończył. O nie, ten dostojny bałwan nie będzie się z nim w ten sposób bawił.

Wprawdzie nie mógł zamknąć oczu, żeby wspomóc koncentrację, ale przecież został doskonale wyszkolony, potrafił opanować emocje, umiał odpłynąć w krainę medytacji w każdym, najgorszym nawet położeniu. Don Sebastian cenił go nie tylko za umiejętność sprawnego zabijania i bezwzględną lojalność...

– Brawo! – zawołał Saruso ze szczerym podziwem. – Brawo, diakonie! Widzę, że Lerma był doskonałym mentorem. Muszę wyznać, że jestem pod wrażeniem.

Lopez, który koncentrując się, sprawił, że postać generała jezuitów rozmazała się i oddaliła gdzieś na peryferie uwagi, znów skupił na nim wzrok.

– Tak, Lopez! – Saruso klasnął w dłonie. – Czy wiesz, ile czasu zazwyczaj zajmuje takim naszym podopiecznym jak ty odkrycie sposobu na ukrywanie myśli? Miesiąc, dwa, a najczęściej nawet pół roku. Masz wyjątkowo zdyscyplinowany umysł.

„Powiesz mi wreszcie, gdzie jestem i dlaczego nie czuję własnego ciała?”

– Nie teraz, mój chłopcze. Musisz się na to odpowiednio przygotować. Szok po usłyszeniu prawdy mógłby cię zabić lub przyprawić o szaleństwo. A na razie odpocznij. Nie powinieneś się forsować.

Saruso zniknął z pola widzenia, a po chwili zapadła ciemność. Lecz teraz mrok wydawał się przyjazny i aksamitny, choć był równie nieprzenikniony jak przedtem.

Diakon zapadł w odrętwienie, bo zwyczajnym snem tego stanu nie odważyłby się nazwać.

Żar tajemnicy

– Nie bardzo rozumiem. – Inkwizytor potrząsnął głową. – Młody Vesano dopuścił się ciężkiego przestępstwa według prawa wojskowego i cywilnego, a ty co zrobiłeś, kapitanie?

– Ile razy mam powtarzać? – zirytował się Aidan. – Wałkujemy to od pół godziny.

– I powałkujemy jeszcze trochę – obiecał Lerma. – Powinieneś, człowieku, normalnie wsadzić go do ancla i oddać po powrocie pod sąd, jeśli sam nie chciałeś brudzić sobie rąk. Ja bym go wywalił za burtę bez skafandra i nawet by mi brew nie drgnęła.

– A jednak postanowiłem inaczej! Jako dowódca grupy jestem pierwszy po Bogu! Nawet pan w obecnym położeniu nie może mi nakazać zmiany tej decyzji!

Don Sebastian uniósł ręce w udawanym obronnym geście.

– Ależ nie zamierzam cię do niczego zmuszać, kapitanie! Dziwię się tylko, bo za taki numer każdego innego sam wypieprzyłbyś w kosmos. Nawet najbliższego kumpla!

– Nie przesadzajmy – mruknął Aidan. – Martineza albo Shaderę skierowałbym najpierw na badania psychiatryczne. Bo żeby coś takiego wymyślić, trzeba mieć gówno we łbie.

– Wielkie i cuchnące – przytaknął wielki inkwizytor.

„Sirene” wisiała w przestrzeni, siedem minut świetlnych od szacunkowej granicy sfery otaczającej tajemniczą materię. Trzysta kilometrów dalej rzucił kotwicę „Hornblower”.

– Postanowiłem dać mu szansę – burknął Samuels.

– Jesteś kretynem, Aidanie – odparł Lerma. – Mówiono ci już coś o tym?

– Taka opinia na temat moich władz umysłowych nie jest mi obca. – Kapitan wzruszył ramionami. – Nie wiem tylko, czy ktoś, kto ma zamiar zrobić jedną z większych głupot, o jakich słyszałem, jest uprawniony do wygłaszania takich uwag.

Lerma zachnął się, zamierzał odpowiedzieć ostro, ale zrezygnował. W sumie Aidan miał całkiem sporo racji. Tylko że inkwizytor przypuszczał, że ryzyko jest znikome. A w każdym razie miał taką nadzieję.

– Dobrze. Zrobiłeś, co zrobiłeś, kapitanie. Ja bym na twoim miejscu nie wahał się, żeby zgnieść pod podeszwą takiego skorpiona. Nie boisz się, że ci narobi jeszcze bałaganu?

– Ciastek go już tam dopilnuje!

– Kto? – zdziwił się Lerma.

– Ach, przecież pan nie wie. Taką ksywkę dostał nasz Bosquito od ludzi z grup abordażowych Republiki.

– Chce mi pan powiedzieć, kapitanie Samuels – głos inkwizytora zadźwięczał lodowatą stalą – że grupy marynarzy na stacji zaczęły się bratać?

Aidan wzruszył ramionami.

– Zaraz tam bratać. Poznali się po prostu. I trzeba było kogoś wyznaczyć na koordynatora działań. Wszyscy dość zgodnie uznali, że mój sierżant będzie się najlepiej nadawał do takiej roboty.

– Nieważne zresztą. – Lerma wypuścił powietrze. – Tyle rzeczy się zmieniło, a u mnie stare nawyki jeszcze biorą górę. W końcu to ja przeforsowałem pomysł wspólnej ekspedycji. To co z tym... jak go nazwali? Proszę powtórzyć...

– Ciastek. Sprawa jest prosta. Przecież wie pan, że oni tam w Republice oprócz

wspólnego i *new modern pidgin* używają jeszcze powszechnie dość archaicznej odmiany angielskiego. A po angielsku *biscuit* to herbatnik. Nazwisko Bosquito mocno się niektórym z tym kojarzyło. Ale herbatnik jakoś nie pasowało do naszego sierżanta. Zresztą we wspólnym jakoś kiepsko to brzmi. Wymyślili mu więc przezwisko Ciastek.

Lerma pokręcił głową.

– Powiedz mi jeszcze, że Lorenzo nie protestował.

– Oczywiście, że protestował – zaśmiał się Aidan. – Ale wszystkich przecież nawet on nie pobije... W każdym razie uważam, że pod jego skrzydełkami Vesano będzie się sprawował jak należy. Kto jak kto, ale Bosquito nie pozwoli mu podskakiwać. Prędzej kobra nauczy się latać, niż hrabiątko coś z nim ugra.

– Jak rozumiem, Ruiz został zdegradowany?

– Skąd! Po co mi kłopot z pisaniem raportów i stawanie przed komisjami? Został przydzielony jako asystent sierżanta. Oficjalnie odbywa przeszkolenie w pokojowych misjach lądowych.

Lerma spojrzął na Aidana swoimi zimnymi oczami bez wyrazu.

– Przeszkolenie – mruknął. – Niezły pomysł. Mnie by to chyba nie przyszło do głowy.

– Bo pan, Ekscelencjo, nie musi na co dzień użerać się ze sztabowymi pajacami. Potrafią zmusić człowieka do kombinowania jak nikt inny.

– Ten zwyczaj pogardliwego wyrażania się o wyższej kadrze dowódczej przysporzy ci kiedyś wielkich kłopotów, kapitanie.

– Nie zamierzam się z panem spierać w tej kwestii, inkwizytorze. – Samuels wzruszył ramionami. – Ale takimi rzeczami będę się martwił kiedy indziej. Na razie chciałbym pana odwieść jakoś od tego szaleństwa... Jesteśmy przeszło dziesięć godzin świetlnych od Forgotty. Jeśli coś się panu stanie, dostarczenie do szpitala zajmie co najmniej czterdzieści minut samego lotu, manewrowania i negocjacji już nawet nie liczę.

– Nic mi nie będzie – mruknął inkwizytor. – Jeśli moje domysły są słuszne, po tej stronie pęcherza raczej nic mi nie grozi. Żadne promieniowanie. Co innego, gdybym znalazł się wewnątrz, jak nieszczęsny Gaspar Moreno z załogą.

Aidan spojrzął uważnie na Lermę. Nie widział go jeszcze w takim stanie. Don Sebastian nie był ani rozgniewany, ani czujny, ani nadmiernie zgryźliwy. Wydawał się zwyczajnie przygnębiony.

– A co się dzieje z wrakiem „Santorina”? – zapytał Samuels. – Chyba jest obserwowany przez jakieś jednostki przy Regorze?

– Zanika – odparł krótko Lerma.

– Słucham?! Znika?

– Nie znika. Zanika. To jest odpowiednie słowo. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, sam nie do końca to pojmuję. „Santorino” wciąż krąży na granicy zewnętrznej nieprzenikalnego pęcherza i traci masę. Zupełnie jakby rozpuszczał się powoli w jakiejś substancji. Ale przecież po tamtej stronie też jest pustka. Coś sprawia najwyraźniej, że przestają działać wiązania między atomami, a nawet w ramach samych atomów.

– To coś go pożera?

– Gdyby tak było, powiedziałbym właśnie, że znika. Ale to jest zanik. Nic go nie pożera. I nie rozłazi się w szwach, że tak sobie to pozwolę dość nieładnie określić. Zanika. Uważam, że wiązania atomowe ulegają bardzo powolnym procesom rozpadu, dzięki czemu nie prowadzi to do reakcji jądrowych. Pamięta pan, jak antymateria w tajemniczy sposób

wyparowała, kiedy utknęliście nosem w przeszkodzie?

– Jak mógłbym o tym zapomnieć! – Samuels zaśmiał się. – Po pierwsze, mieliśmy niezły zgryz z powrotem do zgrupowania, pamięta pan? Musiał po nas przylecieć lotniskowiec, żebyśmy się nie wlekli dwa tygodnie z podświetlną. A potem te inspekcje, pytania... Zupełnie jakbyśmy sobie pochowali antymaterię po kieszeniach na handel. Ale pocieszam się, że James ze swoimi przeżył coś podobnego. Ale niech pan mówi, co z tym zanikaniem?

– Przypuszczam, że destabilizujące oddziaływanie tej obcej materii, bo uznaję roboczo, iż pęcherz wokół niej jest manifestacją jej działania, rozciąga się na bardzo niewielkim obszarze również poza pęcherzem, przenikając poza barierę. Albo samo zetknięcie z granicą tak zadziało. W każdym razie antymateria, jako najbardziej niestabilna z materiałów na okrętach, jako pierwsza uległa temu powolnemu rozpadowi. Nie znikła, ale zanikła. Gdyby zwyczajnie znikła, pozostałoby po niej przynajmniej jakieś promieniowanie... Nie mówiąc o tym, że eksplozja by was rozniosła po całej okolicy.

– Już do mnie dociera – mruknął Aidan. – Biblijnie rzecz ujmując, ta dziwna materia jest naprawdę nie z tego świata.

Lerma pokiwał głową.

– Tak. Z innego wszechświata.

– Który zapewne radykalnie różni się budową od naszego. Inne prawa fizyki, a nawet jeśli podobne, bo przecież coś dostrzegamy i jesteśmy w stanie zbadać naszymi przyrządami, to z jakiegoś powodu wszystko działa inaczej. Tam w ogóle jest grawitacja? I czas?

– Przecież komunikowaliście się aldisem z Morenem – zauważył don Sebastian.

– Ale czy to znaczy, że tam jest czas, czy tylko tyle, że my podlegamy jego procesom w jakichś interwałach? Ekscelencjo, przecież my nawet nie wiemy, czy czas jest w naszym własnym wszechświecie zjawiskiem obowiązującym w każdym miejscu, a jeśli nawet tak, to czy wszędzie biegnie tak samo! Weźmy takie cholerne tachiony. Przecież w gruncie rzeczy, skoro poruszają się z prędkościami nadświetlnymi, mogą przelecieć w mgnieniu oka przez cały wszechświat, to co jest w ich przypadku z czasem? Przecież mogą nieść informację o tym, co z naszego punktu widzenia dopiero się zdarzy. Za ułamek sekundy, ale jednak zdarzenie jest przed nami, nie za nami. Albo pary kwantów. Zmiana stanu każdego z nich następuje w tym samym momencie, nie można z całą pewnością stwierdzić, który z nich rozpoczyna proces. Gdzie tu miejsce na czas jako zjawisko obiektywne?

– W mikroskali w ogóle natura funkcjonuje inaczej – powiedział Lerma. – Ale zadziwiasz mnie, kapitanie. Wiedziałem, że jesteś bystry, jednak te przemyślenia...

– Och, wcale nie jestem taki mądry ani samozajebisty, jak bohaterowie naszych propagandowych filmów wojennych. Po prostu mam zwyczaj myśleć, a chyba każdy, kto lata w daleką przestrzeń, musi w pewnej chwili zacząć interesować się sprawami naukowymi. Do tego rozmawiałem sporo z Bernhardtem. On jest z wykształcenia fizykiem. Pracował nawet w jakimś instytucie astrofizyki na Virginii, zanim powołano go do wojska.

– O, nie wiedziałem. – Lerma uniósł brwi. – Przecież to na ich stołecznej planecie. W takim miejscu nie umieszcza się podrzędnych ośrodków naukowych. Może powiesz mi jeszcze, że pracował na Uniwersytecie Ernesta Rutherforda?

– Nie wiem – Aidan wzruszył ramionami – nie pytałem. A wracając do tematu. Tak, prowadziliśmy komunikację alfabetem Morse'a, bo jak pan doskonale wie, żadne inne promieniowanie poza pewnym zakresem widzialnego stamtąd nie dociera... – mówił coraz wolniej, aż zamilkł. – Zaraz... – powiedział po chwili. – Czy to nie jest jakiś dowód na to, że

ta materia ma diametralnie inną strukturę niż nasza? A jej oddziaływania różnią się od tych, które znamy? Dlatego mogą destrukcyjnie wpływać na strukturę materialną naszego wszechświata?

Don Sebastian przyglądał się mówiącemu.

– Jak na dowódcę średniego szczebla, jest pan zatrważająco bystry. Naprawdę – stwierdził wreszcie. – Nie mam teraz czasu ani nastroju wyjaśniać wszystkiego w szczegółach, ale muszę przyznać, że pańskie intuicje i wnioski są bardzo trafne. A teraz, jeśli pan pozwoli, przystąpimy może do realizacji mojego szalonego planu?

* * *

Ruiz Vesano wpatrywał się w wyświetlacz taktyczny. Dyżur w zaimprovizowanym centrum dowodzenia grupami abordażowymi każdego mógł przyprawić o szaleństwo z nudów, a co dopiero oficera zmuszonego do wykonywania pracy przeznaczonej raczej dla niższej kadry.

Jednak i tak czuł coś w rodzaju bardzo niechętej wdzięczności dla Samuela. Zdawał sobie doskonale sprawę, że dowódca mógł go skazać nawet na śmierć i wykonać wyrok natychmiast. Lecz zesłanie na Forgottę, pod komendę sierżanta Bosquita okazało się karą mocno dotkliwą.

Sierżant, jak większość żołnierzy wojsk specjalnych, nie cierpiał oficerów innych niż bezpośredni przełożeni z jego własnej formacji. Obecnie robił wyjątek jedynie dla Samuela, Shadera czy Naalnisha. Z takim Callahanem, Martinezem i paroma innymi był po imieniu, w ogóle nie widział w nich szarży, a im wydawało się to nie przeszkadzać. Im zresztą też okazywał szacunek. Może dlatego, że wiele razem przeszli. Kumplował się za to blisko ze zdegradowanymi oficerami, to znaczy bosmanami Costą i van den Broekiem, którzy podzielali poglądy komandosa na korpus oficerski.

Natomiast dla Vesana sierżant nie miał nawet krzty respektu. Wprawdzie Ruiz nie mógł powiedzieć, że traktował go inaczej niż pozostałych marynarzy oddelegowanych do służby na stacji, ale jednak bolało, kiedy Lorenzo zwracał się do niego w ten sam sposób jak do nich.

Tak jak teraz...

Bosquito zajrzał na stanowisko kapitana.

– Co, małpoludzie?! – huknął. – Nic tam nie widać? A może oglądasz gołe dupy, zamiast dyżurować, co?

Vesano zacisnął szczęki tak mocno, że zdrętwiały. Miał ochotę odpowiedzieć beczelnemu trepowi jak należy, postawić go do pionu, ale widział już, co się stało z pewnym bosmanem z „Fitzcarralda”, który uznał, że można się postawić sierżantowi. Wrócił na macierzystą jednostkę z połamaną szczęką. A słuchy niosły, że kapitan przysolił mu jeszcze karę dyscyplinarną i obiecał pojechać po premii. Zresztą dla Edgara Guardada Ciastek też robił wyjątek. I dla Berger. A Ruiz musiał obiektywnie przyznać, że wiedział, dlaczego tak się dzieje. Towarzysze broni Samuela mieli w sobie tyle szaleństwa pomieszanego z rozsądkiem, że musieli przypaść do gustu doświadczonemu wojownikowi, ceniącemu honor wyżej od życia, a jednocześnie bez wątpienia pragnącemu żyć o wiele bardziej, niż ginąć bez celu.

Do młodszego Morena natomiast Bosquito podchodził z nieufnością, choć najwyraźniej jędrny, pełen wulgaryzmów język kapitana „Saragossy” robił na nim bardzo pozytywne wrażenie. Tutaj wydawało się, że trafił swój na swego.

– Odpowiadać, kiedy dowódca pyta! – wrzasnął radośnie sierżant.

– Nic się nie dzieje. – Ruiz z trudem pokonał sztywność szczęk. – W dozorowanym obszarze spokój.

Bosquito miał na wyświetlaczu schemat stacji z zaznaczonymi punktami, w których marynarze Cesarstwa i Republiki trzymali wartę. Gdyby coś się gdzieś wydarzyło, natychmiast otrzymałby sygnał i wszczął alarm. Dlatego pytanie sierżanta stanowiło jedynie zaczepkę. Wyglądało na to, że chciał o czymś porozmawiać.

I rzeczywiście. Wszedł do niewielkiego pomieszczenia, zajmując zwalistą sylwetką co najmniej połowę przestrzeni, oparł się o ścianę przy drzwiach, pozwalając im się zasunąć.

– Posłuchaj, panie kapitanie – powiedział. – Obserwuję cię, odkąd trafiłeś do mnie. Nie jest to długi czas, jednak znam się na ludziach. Zazwyczaj potrafię nowego rozgryźć w ciągu dnia. Ty jesteś tutaj od trzech i zastanawiam się, co w tobie siedzi.

– Może dlatego, że jestem oficerem, a nie marynarzem czy jakimś tam bosmanem – burknął Vesano, niezadowolony, że Lorenzowi zebrało się na konwersację.

– Może – stwierdził pogodnie sierżant – ale myślę, że wątpię. Zdegradowanych oficerów też zdarzało mi się szkolić...

– Nie zostałem zdegradowany – zawarczał hrabia. – Zostałem oddelegowany...

– Jak zwał, tak zwał – przerwał mu Bosquito. – Ale zastanawiam się nad tobą. Tak sobie myślę, że na pewno nie jesteś tchórzem. Gdybyś był, to kurde mol, nie wyzwałbyś na pojedynek takiego Samuela. Nie wyzwałbyś go, nawet wiedząc, że nie jest wielkim mistrzem fechtunku, bo to jednakowoż zakapior jakich mało. – W ustach sierżanta określenie „zakapior” w stosunku do dowódcy zabrzmiało wręcz pieszczotliwie. – A w realnej walce – ciągnął – przydają się umiejętności, i owszem, jednakowoż najważniejszy jest charakter.

Zamilkł na chwilę, wpatrując się świdrującym wzrokiem w hrabiego.

– Charakter, cholera, to ty masz – podjął. – Gdybyś był beznadziejnym przypadkiem, kapitan by cię nie wziął w taki rejs. W żaden by cię nie wziął, choćby mu grozili śmiercią, jak go znam. Musiał mieć jakiś powód, żeby chcieć męczyć się z takim dupkiem... Dobra, dobra, nie obrażaj się i mi tu, kurna, się nie unoś. Jesteś dupkiem i sam dobrze o tym wiesz. Odkąd trafiłeś pod moją komendę, obowiązki wypełniasz bez zarzutu. Ostrzegłeś mnie też, kiedy ten debil od Guardada chciał mnie zaatakować z tyłu. Pewnie bym sobie z nim w końcu i tak poradził, ale dzięki tobie łeb mnie teraz nie boli. A mogłeś przecież spokojnie poczekać, aż mnie rąbnie, czy nawet mu pomóc.

Ruiz lekko poczerwieniał.

– Teraz ty posłuchaj, Ciastek... O nie, nie będziesz protestował przeciw ksywie. Mnie się podoba! A ja akurat mogę zwracać się do ciebie, jak chcę, bo chociaż tutaj dowodzisz, to ja wciąż jestem oficerem. Posłuchaj zatem. Mogę być dla ciebie dupkiem. Cholera, z punktu widzenia takich jak ty, Samuels, Berger et consortes pewnie nawet jestem. Mogłem w życiu robić podłe rzeczy. Mogłem sprzeniewierzyć się rozkazowi, choć wierz mi, uczyniłem to z przekonania. Jeśli popełniłem głupotę, trudno. Co więcej, mogę nawet posłużyć się podstępem. Ale, do ciężkiej kurwy, nienawidzę, kiedy ktoś skrada się i atakuje od tyłu! Przecież gdybym chciał zabić Samuela i chodziło mi tylko o to, stać mnie na wynajęcie mordercy. I to najlepszego z najlepszych!

Spodziewał się ostrej odpowiedzi, ale sierżant tylko pokręcił głową. Odezwał się dopiero po paru sekundach.

– Właśnie dla tego wszystkiego się nad tobą zastanawiam. I radziłbym, żebyś również się nad sobą zastanowił. Mówię poważnie, to nie złośliwość.

Odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia, nie czekając na odpowiedź.

Vesano patrzył za nim przez chwilę pustym wzrokiem, a potem przeniósł spojrzenie na wyświetlacz. Czekają go jeszcze dwie godziny tej potwornej nudy. Miał nadzieję, że na następną wachtę zostanie skierowany gdzie indziej. Już by chyba wolał mycie podłóg...

Niewesołe rozmyślania przerwał mu nagle głos syren alarmowych i pulsowanie świateł.

– Wróg na perymetrze! – rozległo się z głośników. – Wszyscy na stanowiska, kobiety i dzieci do kapsuł!

Raport o sytuacji pojawił się natychmiast na wyświetlaczu taktycznym. Vesano patrzył na niego z niedowierzaniem.

– O kurwa! – zdążył tylko powiedzieć, zanim wszystko dookoła zaczęło się trząść i wibrować.

Rzucił się do wyjścia, popędził korytarzem, ale z tyłu głowy miał myśl, że to wszystko na darmo.

– Wszyscy do kapsuł! – padł rozkaz z głośników.

Nadciągał koniec.

Arystokrata zobaczył sierżanta Bosquita, leżącego pod ścianą i krwawiącego z rozbitej głowy. Wstrząs musiał posłać olbrzyma na kant załomu korytarza.

„Taki twardy gość, a załatwił go nie silniejszy przeciwnik, lecz przypadek”.

To była tylko przelotna myśl, która zresztą zaraz uciekła, bo kolejny udar sprawił, że podłoga wywinęła kozła, uderzając Ruiza w plecy. Odebrało mu dech, ale na szczęście nie stracił przytomności.

„Trzeba się ratować!”

Najbliższe kapsuły ewakuacyjne znajdowały się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Bosquito celowo tak rozmieścił posterunki, żeby każdy z wartowników miał blisko. Ale w panujących warunkach te pięćdziesiąt metrów wydawało się dystansem większym niż odległość ze stacji do gwiazdy...

– Kurwa mać, ludzie, spierdalajcie stamtąd! – do ogólnej sieci włączył się Moreno. – Jeśli tylko damy radę, podejmiemy, kogo się da, ale tu jest jebane piekło...

Jego głos utonął w potwornym huku, a zaraz potem nastąpił wstrząs tak mocny, że poprzednie wydawały się przy nim zaledwie delikatną wibracją.

Vesano poderwał się na równe nogi. Może przyjdzie mu zdechnąć, ale zdechnie, ratując się do samego końca. Jak przystało tak wielkiemu egoście!

* * *

Lopez ocknął się w tej samej ciemności, w której zasnął...

Nie, jednak nie w tej samej.

Coś się zmieniło.

I przecież tak naprawdę nie spał. Przebywał w stanie odrętwienia, jednak świadomość zupełnie nie odeszła. Coś śnił, lecz nie wiedział co, a poza tym wizje znajdowały się gdzieś na obrzeżach umysłu. Obrazy, wspomnienia, twarze... Niewyraźne, ale znajome, choć nie potrafił dopasować rysów do imion. A może wcale nie znał ich imion?

Znów spróbował się poruszyć i znowu zdawało się, że widmowe ciało poddaje się woli, jednak ostatecznie nic się nie działo. Czy tak się czuje człowiek z przerwany rdzeniem kręgowym? Niewykluczone. Ale jeśli włożyli pracę i środki w regenerację słuchu, mieli też możliwość odtworzyć połączenia w drogach piramidowych i pozapiramidowych.

Chyba że właśnie znajdował się w okresie rekonwalescencji. Ale czy wtedy przychodziłby do niego generał jezuitów, żeby ewidentnie naigrawać się z więźnia? Wątpliwe. Musiało chodzić o coś innego.

Zawężone pole widzenia... Co to mogło znaczyć? Jakby patrzył przez obiektyw kamery, i to dość prostej.

A słuch? Dźwięki podczas rozmowy słyszał doskonale, lepiej nawet niż niegdyś. Nie miał pojęcia, czy po rekonstrukcji bębenków i kosteczek słuchowych odbiór tego typu bodźców może ulec poprawie. Musieliby mu chyba wymienić ślimak, bo wyostrzony zmysł wskazywałby na zupełnie świeże rzęski słuchowe. U człowieka po trzydziestce zużywają się one na tyle, że recepcja dźwięków jest słabsza, lecz nie tak, by przeszkadzało to w funkcjonowaniu. Czytał gdzieś, że współcześni kompozytorzy co kilkanaście, a nawet co kilka lat wymieniają cały ślimak, żeby zachować jak najlepszą formę. Jemu było to niepotrzebne.

Dlaczego tak się działo? Dlaczego słyszał ostrzej? Może...

Zapłonęło światło. Tym razem nawet nie próbował zamykać oczu, od razu przyjął blask. Przed sobą miał ten sam widok co poprzednio. Laboratorium, tego był już pewien.

– Witaj, diakonie – rozległ się głos jezuita. – Obudziłeś się już? Wiem, dostałem raport o twoim statusie.

„A wy co, czujniki w mojej dupie trzymacie, żeby wiedzieć, co się ze mną dzieje?”

I w tej chwili zdał sobie nagle sprawę, że przecież nie odczuwa potrzeb fizjologicznych. Nie tylko tych związanych z wypróżnieniem, jakie mu przysły do głowy wraz z ostatnią gniewną myślą, ale nie czuł przecież także łaknienia i pragnienia. Odżywianie dożyłne? Niewykluczone.

Saruso wszedł w pole widzenia, również tym razem patrzył nieco w górę i w bok.

– Z tymi czujnikami to całkiem niezła asocjacja, biorąc pod uwagę twój stan.

„Jaki stan, do cholery?”

– Twój stan, diakonie. Przecież nie mój. Jeszcze się nie domyślasz, co się z tobą dzieje?

„A ty byś się domyślił na moim miejscu?”

Generał jezuitów skrzywił się, widząc, że więzień znów zwraca się do niego obcesowo. Ale pominął to milczeniem.

– Szczerze mówiąc, nie mając odpowiednich danych, na pewno bym nie wpadł na właściwy trop. Może po jakimś czasie. A ty nie masz przecież najmniejszego pojęcia, co się dzieje.

„I zamierzasz mnie tak torturować?”

– To nie tortury, mój synu. To próba.

„Nie życzę sobie brać udziału w żadnych próbach” – Lopez poczuł gniew.

Saruso uśmiechnął się szeroko.

– Twoja wola nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Powinno to już do ciebie dotrzeć.

„Jeśli liczysz na to, że będę zeznawał przeciwko don Sebastianowi...”

– O tym nie ma mowy. – Jezuita podniósł rękę, przerywając myśl Lopeza. – Doskonale wiem, że nawet na najsroższych torturach nie wydałbyś swojego mocodawcy. Podziwu godna lojalność.

„Nawet na Verindolu” – diakonowi błysnęła myśl, którą zaraz stłumił.

Jednak dostojnik zdołał ją odczytać.

– Nie musisz się kryć. Przecież wiem, że zostałeś uodporniony na większość dostępnych

substancji. I zdaję też sobie sprawę, że choćbym znalazł środek, który by ci rozwiązał język, prędzej byś go sobie odgryzł, niż coś wyjawiał. Zrozum, diakonie, nie jesteś mi potrzebny do walki z twoim inkwizytorem. On już właściwie przestał istnieć jako mój przeciwnik.

„Dlaczego? Przecież obaj należycie do tego samego Kościoła...”

– Nie utożsamiaj więzów religijnych z trzeźwym myśleniem. W moich oczach don Sebastian stał się niebezpieczny już w chwili, gdy dopuścił myśl, jakoby tajemnicze zjawiska pojawiające się w przestrzeni kosmicznej miały związek z przenikaniem do nas obcego wszechświata.

„To nie ideologia, to zwykła polityka” – gdyby Lopez mógł mówić, syczałby jak rozwścieczony wąż. „Korzystasz z okazji, żeby zyskać wpływy! Zdobyć jak najwięcej władzy! Nie bacząc na to, iż prowadzimy wojnę”.

– To, co robi Frakcja Ojca Gabriela, ma na celu właśnie dobro imperium! Lerma i jego ludzie zyskali zbyt wielki wpływ na politykę prowadzoną przez Jego Cesarską Wysokość. W zarządzaniu państwem potrzebna jest równowaga. Ewolucjoniści zbyt obrośli w piórka. Co więcej, ewolucjoniści jako siła polityczna i religijna występują przeciw dogmatom Świętej Matki Kościoła! Kreacjonizm musi wreszcie odzyskać należyłą pozycję.

„Polityka” – pomyślał z pogardą Lopez. „To tylko brudna polityka”.

– I wyraża taki pogląd ktoś, kto zamordował dziesiątki ludzi, aby umożliwić machinacje swojemu panu!

Lopez zauważył z satysfakcją, że udało mu się wyprowadzić wreszcie rozmówcę z równowagi.

– Dobrze, diakonie – odezwał się po chwili jezuita, już zupełnie spokojnie. – Miałem ci dzisiaj wyjawić, co się z tobą tak naprawdę dzieje. Dojrzałeś do tego. Jednak za bezczelność i arogancję należy ci się kara.

„Nie trzeba” – pomyślał Lopez. „Sam się domyśliłem. Nie mam już ciała, prawda? Albo zostało spalone, albo wyrzucone w przestrzeń. Zostawiłeś sobie tylko mój mózg... Ale jak to możliwe? Przecież gwardzista powinien rozwalić mi głowę w drobny mak!”

Widząc, jak generał jezuitów odczytuje zapis jego myśli, poczuł ból. To, co wyraził, przyszło mu do głowy dopiero przed chwilą. Jezuita odczytał zapis z kamienną twarzą.

„Dlaczego?”

– Czas odpocząć – oznajmił Saruso, wychodząc z pola widzenia. – Dobranoc, diakonie. Powiedziałbym „miłych snów”, jednak nie wydaje mi się, żeby po dzisiejszym naszym spotkaniu miały takie być. O ile w ogóle masz jakieś sny. Zatem życzę owocnych rozmyślań.

Zanim zapadła ciemność i cisza, Lopez usłyszał:

– Prawda wygląda jeszcze inaczej, niż myślisz, diakonie. Z twojego punktu widzenia chyba znacznie gorzej.

* * *

Don Sebastian dopiero teraz mógł z całą pewnością stwierdzić, jak bardzo nie lubi stanu nieważkości. Na pokładzie okrętu miał przynajmniej bezpośrednie punkty odniesienia, wiedział dokładnie, gdzie jest dół, a gdzie góra, choć i tam przy braku ciężenia niejednokrotnie odczuwał przykre sensacje. Ale zawieszenie w czarnej przestrzeni to zupełnie coś innego.

Miał wprawdzie przed sobą odległy punkt obcej materii, ze wszystkich stron otaczały go gwiazdy, ale prześladowała go myśl, że nieważne jest, czy ogląda ten widok tak, jak wyszedł

z kapsuły, czy obrócił się do góry nogami, czy też o dziewięćdziesiąt stopni, czy pod innym kątem. Jedyne elementy odniesienia stanowiły okręty, z tej odległości wyraźnie widoczne, oraz kapsuła transportowa, ale znajdowały się za jego plecami.

Przymknął na chwilę oczy, odetchnął trzy razy szybko i trzy głęboko, zgodnie z radą Aidana. Pomogło. Zapatrzył się na punkcik materii. Widział ją na zbliżeniach, zdawał sobie sprawę, jak dziwną ma fakturę, ale z tej odległości wyglądała jak jeszcze jedna gwiazda, i to niewielkiej jasności. Nikt nie potrafił określić, czy lśniła własnym blaskiem, czy odbijała część fotonów przechodzących przez barierę.

W ogóle nikt nie potrafił powiedzieć o niej wiele więcej niż to, że w ogóle się pojawiła. I że otacza ją sfera, przez którą, jak do tej pory, zdołał przeniknąć tylko jeden obiekt, lecz i tak nie było wiadomo, w jaki sposób się to stało.

Wyszedł z kapsuły dwadzieścia minut wcześniej. Znajdował się o tysiąc pięćset metrów od miejsca, w którym zlokalizowano barierę towarzyszącą tajemniczej materii. Masa zjawiska powiększała się, podobnie, jak miało to miejsce w Regorze. Tyle że tam osiągnęła już zapewne wartość, która mogła wpływać na poszczególne składniki układu, szczególnie mniejsze gwiazdy. Lecz czy rzeczywiście na nie wpływała? Tego nie wiedział, nie mając bieżącego dostępu do wniosków z naukowych raportów, a nawet surowych danych.

– Zostało siedemnaście minut do prawdopodobnej ekspansji – zameldował łącznościowiec z „Sirene”.

Lerma nie znał tego głosu, to nie był na pewno Farlan. Nie potrafił sobie teraz przypomnieć, która wachta objęła dyżur. Nie miało to zresztą znaczenia. Na mostku bez wątpienia czuwał Samuels, podobnie jak Bernhardt na swoim. Oba niszczyciele połączono stałym kanałem komunikacyjnym. To oczywiście było surowo zabronione i stanowiło wykroczenie przeciwko co najmniej piętnastu punktom regulaminów wojennych, ale don Sebastian wyraził zgodę. Bardziej już chyba sobie zaszkodzić nie mógł.

Teraz pozostało tylko czekać. Na razie nie czuł nic. Może gdyby bardziej zbliżył się do granicy sfery otaczającej materię, byłby w stanie coś poczuć. Tego nie wiedział. Natomiast Aidan nie zgodził się na takie ryzyko.

– W każdej chwili to cholerstwo może się rozszerzyć. Obliczenia obliczeniami, a rozsądek rozsądkiem. Naprawdę chce pan się przekonać, jak dotyk pęcherza działa na człowieka w skafandrze? Cholera wie, a nuż wówczas pana wchłonie i co? Kto się będzie tłumaczył przed cesarzem?

– Nie jestem pewien, czy Jego Cesarska Mość by się tym zmartwił – mruknął inkwizytor. – W tej sytuacji...

– Pan sobie mógł wpaść z łask, señor – przerwał mu kapitan. – Mogą panu tam w stolicy życzyć nawet nagłej śmierci. Jednak jeśli pan zginie, kogo pociągną do odpowiedzialności? Bo przecież ktoś będzie musiał zostać rozliczony.

Don Sebastian musiał przyznać rację Samuelowi. Gorzej, że nie miał najbledszego pojęcia, jak wygląda sytuacja polityczna i jego pozycja w hierarchii władzy. Skoro Lopez nie nadał do tej pory żadnego komunikatu, oznaczało to, że jest naprawdę niedobrze. Lerma kazał uruchomić radiostację na „Sirene”, jednak milczała. To też było niepokojące. Na razie nikt nie próbował wydawać poleceń kapitanowi, nawet tą drogą. Coś się działo...

– Aidanie – odezwał się.

Niszczyciel był oddalony o pięć kilometrów, gotów w każdej chwili do podjęcia akcji ratunkowej.

– Tak, Ekscelencjo – odezwał się zniekształcony zakłóceniami płynącymi od niedalekiej gwiazdy głos kapitana.

– Gdyby coś mi się stało...

– O tym nie ma mowy! – zachnął się Aidan.

– Gdyby coś mi się stało – powtórzył don Sebastian – bardzo proszę, aby przejął pan cały mój bagaż. Nie ma tego wiele. Przy pierwszej okazji zwróci go pan prawowitym spadkobiercom, czyli komukolwiek z dominikanów na Rojanno. Z trzema wyjątkami.

– Słucham. – Kapitan westchnął, ale nie zamierzał wyklócać się z dostojnikiem na temat szczęśliwego powrotu.

– Znajdzie pan kości pamięci. Porządne kryształy, nie żadne surogaty. Jedna z nich jest opisana jako „Regor”. Proszę ją przekazać naukowcom. Zawiera moje rozważania na temat tego przekłętego zjawiska i trochę danych, niekoniecznie dla uczonych dostępnych.

– Jakim naukowcom mam ją przekazać? Świeckim czy dominikańskim?

Lerma milczał przez chwilę.

– Wszystko jedno. Nawet tym z Republiki, jeśli inaczej się nie da. Dziwi się pan, że człowiek, który ma strzec bezpieczeństwa Cesarstwa, godzi się na przekazanie informacji wrogom?

– Nie, nie dziwię się – odparł Aidan. – To wspólne zagrożenie. Wszystko jedno, kto odgadnie jego naturę i odkryje, czym naprawdę jest i jak mu zapobiec.

– Zgadza się. Aczkolwiek wolałbym, aby te notatki trafiły do kogoś z naszej strony.

– Oczywiście. Jaki jest ten drugi wyjątek?

– Znajdzie pan też biografię kardynała Richelieu, wydaną dwieście pięćdziesiąt lat temu zwykłym drukiem, pióra Rodriga de Sauzy. To biały kruk, rzecz cenna i moja ulubiona lektura. Tę zostawi pan sobie.

Aidan odezwał się dopiero po chwili.

– Cenny dar – mruknął. – Królewski. Ale na szczęście nie będzie potrzeby...

– Trzecią rzeczą jest srebrne pudełko, niewielkie, zdobione herbem Złoty Lew. Ten przedmiot odda pan bosmanmat Inez Hedronne.

Aidan nie odpowiadał.

– Zaskoczony? – spytał Lerma.

– Może trochę. Ale Inez padnie, jeśli jej to powiem.

– Tylko w razie mojej śmierci! – upomniał kapitana don Sebastian. – Jeśli przeżyję, nikomu pary z gęby!

– Jasne, jasne – mruknął Aidan, a inkwizytor wiedział już, że kapitan nikomu tego nie powie, z jednym jedynym wyjątkiem. Nie omieszka zwierzyć się Amandzie. Lecz to było do przyjęcia, bo kapitan Berger była bodaj dyskretniejsza nawet od milkliwego Guardada. Dla niej z kolei Aidan stanowił coś w rodzaju ściany płaczu, której mogła powierzyć wszelkie tajemnice, nie ryzykując, że ktoś się o nich dowie.

Inez Hedronne okazała się dość przysadzistą osobką o krągłej, miłej buzi i całkiem pokaznym biuście. Kiedy spotkali się w mesie, uśmiechnęła się do inkwizytora szeroko. Najwyraźniej majestat władzy jej nie onieśmielał. Albo zwyczajnie trudno jej było traktować z pełnym czci respektem człowieka, którego uratowała. A tak dokładnie, wręcz wywlekła z uszkodzonego wahadłowca. Potem, przyczepiony do jej pleców wiązaniami magnetycznymi, leciał w stronę jednostki ratowniczej niczym jagnię niesione z powrotem do stada przez dobrego pasterza. Ledwie znaleźli się na pokładzie, do wraku wahadłowca podleciał

„Fitzcarraldo”, żeby długą salwą z działa hybrydowego zamienić go w zbiorowisko luźnych cząsteczek, które powoli rozproszyły się, zmierzając w stronę wnętrza układu sigmy Errani. W tej postaci nie mogły już zagrażać ani mniejszym jednostkom, ani nawet sondom.

– Kawa z inkwizytorem – mruknęła kobieta. – Nie uwierzą mi w knajpie dla podoficerów, jak już wrócimy. Dlatego nawet nie zamierzam o tym opowiadać.

Miała miły, głęboki i bardzo kobiecy głos, który sprawiał, że przeciętna powierzchowność wydawała się o wiele bardziej atrakcyjna. Jakoś jego brzmienie kojarzyło się don Sebastianowi z tembrem Amandy, z tą różnicą, że kapitan Berger była bardzo atrakcyjna już na pierwszy rzut oka. Gdyby nie ten fatalny wypadek z napromieniowaniem, być może już zrezygnowałaby ze służby, aby poświęcić się rodzinie. Spędziła we flocie dwadzieścia lat, mogła spokojnie odejść na emeryturę, a przynajmniej zawiesić na jakiś czas licencję.

„Szkoda takich genów” – pomyślał don Sebastian. „A gdyby jeszcze skrzyżować je z tymi, którymi dysponuje taki Sułtan... Potomstwo byłoby piękne i utalentowane”.

Inez kawy na szczęście nie chciała. I bardzo dobrze, bo don Sebastian nie miał ochoty truć się lurą serwowaną na średnich jednostkach. Zadowolona się rumem z sokiem limonkowo-granatowym. Rum nie był może najlepszy, ale jednak całkiem przyzwoity, a sok nawet przypominał w jakiś sposób prawdziwy.

– Może kiedyś wynajdą wreszcie syntetyzery serwujące lepsze surogaty – powiedział don Sebastian.

– Obawiam się, Ekscelencjo, że ten soczek jest akurat jeszcze z zapasów – roześmiała się. – Nie przebywamy tak długo w przestrzeni, żeby wszystko musiało pochodzić z recyklingu i łapaczy cząstek. Po prostu dostajemy produkty ostatnich sortów.

– Niech pani nie nazywa mnie Ekscelencją, bardzo proszę – powiedział trochę nieoczekiwanie dla samego siebie. – Przynajmniej nie wtedy, gdy znajdujemy się w sytuacji towarzyskiej.

– Będzie trudno – odparła poważnie. – Pan jest filarem imperium...

– A pani filarem misji ratunkowych – wszedł jej w słowo. – Zdziwiłaby się pani, ile nas łączy... Oczywiście czasem, kiedy wyjątkowo ocalę komuś głowę, zamiast kazać ją ściąć.

Zaśmiała się. Jej śmiech też mu się podobał. W ogóle zaczynała mu się podobać, co stanowiło kolejne zaskoczenie, gdyż nie była kobietą w jego guście.

Ostatnim zaskoczeniem było zaś to, że tę noc – umowną noc w przypadku okrętu – spędzili razem. Lerma nie miał pojęcia, czy Samuels o tym wiedział. Przypuszczał, że tak, bo na niewielkiej jednostce pojęcie dyskrekcji nie istniało.

– Ekscelencjo, jeszcze cztery minuty do prawdopodobnej ekspansji.

Prawdopodobnej... Na podstawie dostępnych danych Martinez obliczył schemat zwiększania się masy tajemniczej materii. Jego rachunki zostały ocenione przez komputer niszczyciela jako prawdopodobne w dziewięćdziesięciu dwóch procentach. To oznaczało, że w jednym na dziesięć przypadków mogły zawieść. Mogło się też okazać, że zjawisko nastąpi nieco szybciej lub nieco później, niż mówiła prognoza.

W przypadku Regora obliczenia były bardziej dokładne, ale też bezpośrednia obserwacja obiektu trwała znacznie dłużej. Don Sebastian porównał dane i stwierdził, że schemat w obu przypadkach kształtuje się podobnie co do samej zasady, lecz zachodzą pewne różnice, znaczące statystycznie. Miało to zapewne związek z masą początkową obiektu, a zarazem z oddziaływaniem na rosnącą materię zjawisk po drugiej stronie, w jej macierzystym uniwersum. To wydawało się oczywiste, niezależnie od tego, czy prawa fizyki były tam takie

same, czy się różniły. Przecież inny byłby napór znanego wszechświata, gdyby przesączał się do równoległego w okolicach pustki galaktycznej, inny przy czarnej dziurze, jeszcze inny w dużym skupisku gwiazd. Te same prawa powodowały bowiem w każdym z tych miejsc nieco inne skutki.

Ale też stanowiło to wskazówkę, że obcy wszechświat nie jest jednorodny, co wydawało się pocieszające.

– Ciekawe, czy jest też tak, że nasze uniwersum przesącza się jednocześnie na tamtą stronę?

To pytanie don Sebastian zadawał sobie od jakiegoś czasu, może tylko w nieco bardziej skomplikowanej formie, niż wyraził je Samuels. Lecz chodziło o to samo. Jeśli jego koncepcja była słuszna, pytanie o to, czy inny wszechświat przenikał tylko w tę stronę, czy też odbywało się to synchronicznie, stanowiło kwestię kardynalną.

„Nigdy dotąd, przez tysiące lat obserwacji kosmosu, nie napotkano nic podobnego. Ale czy to znaczy, że nigdy się nie zdarzyło? Może to zjawisko zachodzące od czasu do czasu, albo nawet stale?”

Zdawał sobie jednak sprawę, że to tylko pocieszanie się. Gdyby coś takiego rosło od tysięcy, a nawet milionów lat, osiągnęłoby wielkość, której przyrządy obserwacyjne nie mogłyby przeoczyć.

– Minuta, Ekscelencjo...

* * *

– Rany boskie! Co to, kurwa, ma być? – Santiago Moreno z niedowierzaniem patrzył na hologram taktyczny. Dwa pancerniki typu Taurus i cztery krążowniki, dwa typu Minotaur 11 oraz dwa ciężkie Minotaur 15, dokonywały potwornych zniszczeń w szeregach piratów. Stacja kosmiczna powoli przestawała istnieć, kiedy trafiały w nią zarówno salwy kierowane, jak i przypadkowe promienie i pociski, których uniknęły okręty. Odrywały się od niej kapsuły ratunkowe, ale coraz rzadziej. – Kapitan Berger, co robimy?

– Na pewno sobie z nimi nie poradzimy – odpowiedziała opanowanym, jednak pełnym pasji głosem – i nie powinniśmy ich atakować!

– Co z okrętami Republiki? Też nie podejmują walki?

– Jak sobie to wyobrażasz? Mają tylko niszczyciel, fregatę i korwetę. Cholera, jest ich mniej licznie niż napastników!

Moreno zaklął paskudnie. No tak, nawet z niszczycielami imperium to byłoby jeden na jeden. Niszczyciel w bezpośrednim starciu przeciwko pancernikowi albo krążownikowi... To nie byłoby nawet śmieszne. Flota piratów praktycznie przestała istnieć w ciągu pierwszych dwóch minut ataku. Okręty banitów krążyły na zewnątrz, narażone bezpośrednio na atak, który nastąpił z całkowitego zaskoczenia.

Potężny wstrząs przywołał go do rzeczywistości.

– Berger, Guardado! – wrzasnął. – Oni w nas napierdalają! Kurwa, co to ma być?

– Sam bym tego lepiej nie ujął – usłyszał spokojny, wręcz flegmatyczny głos dowódcy „Fitzcarralda”. – Amando, nasi przyjaciele z Republiki już się chyba zmywają, a my?...

– Poczekajmy jeszcze chwilę – poprosiła. – Chciałabym im się przyjrzeć. Może uda się podjąć kogoś z naszych?

– Gównu się uda! – zirytował się Moreno. – Jak? Podczas manewrów unikowych? A poza tym co, mamy zgadywać, w których kapsułach siedzą nasi? Posrany pomysł!

– Rozproszyc się – rozkazała Amanda. – Żadnych szyków. To okręty imperium, doskonale znają naszą taktykę.

– Jesteś pewna, że to cesarska flota? – spytał Guardado. – Sygnatury są zamazane.

– A odkąd piraci dysponują tyloma nowoczesnymi okrętami? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. Głos jej się trząsał, kiedy „Greese” wykonywał serię karkołomnych ewolucji. – No kurwa mać! Oberwałam!

– My się ewakuujemy. – Na wyświetlaczu pojawił się mały obraz twarzy del Potra. – Koordynaty takie, jak ustaliliśmy z kapitan Berger.

– My też spierdalajmy! – krzyknął Moreno. – Zanim nam wsadzą pogrzebacz do dupy!

– Amando... – zaczął Guardado, ale nie skończył, bo Berger mu przerwała:

– Zgoda! Odwrót! Koordynaty macie na panelach nawigatorów! Przyspieszenie odejścia maksymalne, przejście w nadświetlną i podróż z dziesięciokrotną prędkością światła! Wszyscy!

– Masz? – Moreno spojrzał na nawigatora.

Porucznik skinął głową.

– No to na co czekasz? Zapiierdalaj!

Przyspieszenie wgniotło go w fotel, amortyzatory grawitacyjne pracowały z pełną mocą. Rzucił jeszcze okiem na panoramiczny wyświetlacz główny mostka. Setki iskierek, które zdążyły oddzielić się od Forgotty, kierowały się gdzieś w prawą stronę.

Zastanowił się przelotnie, gdzie by wołał zginąć – w próżni, dusząc się dwutlenkiem węgla, kiedy skończy się zapas tlenu, a urządzeniom filtrującym zabraknie energii, czy na powierzchni skalistej planety, pozbawionej praktycznie atmosfery. Kapsuły mogły tam wylądować, ale szanse przeżycia były zerowe.

– W ogóle, kurwa, nie chcę umierać... – mruknął.

– Słucham, kapitanie? – zapytał czujnie oficer łączności.

– Nic, nic, Victor – odparł. – Skup się na przyrządach.

– I tak nie mam na razie nic do roboty. – Porucznik wzruszył ramionami na tyle, na ile pozwoliło mu przeciążenie. – Nie uważa pan, że mamy kompletnie przekichane?

– Ja bym raczej powiedział, że przejebane – uściślił po swojemu Moreno. – A teraz zamknij się i daj swojemu kapitanowi pomyśleć.

Jeszcze doleciał do niego cichy pomruk: „Z tym u pana raczej szafu nie ma”, ale puścił to mimo uszu. Naprawdę musiał się mocno zastanowić, co dalej. Wyglądało na to, że zaatakowały ich jednostki Cesarstwa. Nie wiedział tylko, czy to zdrada, czy prowokacja. I co im teraz przyjdzie dalej robić.

* * *

Don Sebastian wstrzymał oddech. Zapomniał zupełnie, że znajduje się w przestrzeni kosmicznej, w mdlącej nieważkości. Dosłownie sekundę wcześniej zaczął się oczekiwany proces. Stało się to dwie minuty później, niż wyliczył matematyczny geniusz Martinez, ale wreszcie nastąpiło.

Nie zdarzyło się nic, co by zauważył bezpośrednio za pomocą zmysłów, nie towarzyszyły temu żadne fale, które odczytałby odbiornik radiowy. Po prostu to poczuł.

Najpierw silny ucisk w splocie słonecznym, zupełnie jakby leżał na plecach, a jakiś olbrzym nastąpił na niego wielką piętą i tak się zatrzymał. Było to doznanie zarazem skrajnie nieprzyjemne, jak i ekstatyczne. Zdawał sobie sprawę, że wszystko odbywa się tylko

wewnątrz jego mózgu, ale wrażenie było tak ostre, że zaczął się obawiać o swoje serce. Zastanawiał się, czy na okrętach też coś czuli. Wątpił. Plastalowo-ceramiczne pancerze, a do tego włączone osłony siłowe, wprawdzie tylko na jałowym biegu, ale zawsze, niwelowały oddziaływanie promieniowania kosmicznego, odbijały drobnicę, jaką można napotkać w przestrzeni. Dawniej okręty pchały przed sobą lodowe tarcze, pochłaniające mikrometeority, różne cząsteczki i nawet większe okruchy. Jednak odkąd opracowano technologię produkcji plastali oraz skuteczne pola siłowe, oblicze podróży kosmicznych zmieniło się diametralnie.

Don Sebastian został wystawiony na warunki próżni międzygwiazdnej tak, jakby był wręcz nagi. Wprawdzie materiał skafandra miał za zadanie pochłaniać wszechobecne promieniowanie, ale niwelował zaledwie pięćdziesiąt do siedemdziesięciu procent. Pozwalało to przetrwać w przestrzeni dłużej niż w dawnych czasach, ale przecież nie w nieskończoność. Zresztą w razie nieszczęścia tlen i tak kończył się o wiele szybciej, niż człowiek zdołałby odczuć negatywne skutki napromieniowania. Lecz nawet krótka ekspozycja na jego działanie mogła mieć przykre skutki, ułatwiać rozwój nowotworów. Wprawdzie rak był chorobą w pełni uleczalną, a jeśli nadmiernie się rozwinął, istniała szansa transplantacji chorych narządów, ale zawsze pozostawiał w organizmie ślady.

Ucisk zmniejszył się, żeby zaraz potem znów przybrać na sile. Takie pulsowanie trwało przez kilkanaście sekund. A potem nagle zniknęło. Don Sebastian odetchnął gwałtownie. Przeleciało mu przez głowę, że to wrażenie wcale nie musiało być wrażeniem. Być może doznanie było jak najbardziej somatyczne? Jeśli tak, powinien chyba pojawić się spory siniak na klatce piersiowej. W miejscu pięty olbrzyma.

Zaraz zapomniał o poprzednim doświadczeniu, bo nadciągnęło kolejne. Równie zaskakujące i równie nieprzyjemne. Opanowało go poczucie, że całe jego ciało, a szczególnie głowa nadyma się, wypełniając skafander niczym rozprężająca się pianka konstrukcyjna. Spodziewał się, że skoro nacisk na splot słoneczny przeszedł w pulsowanie, teraz będzie podobnie, ale nic takiego nie nastąpiło. Po kolejnych kilkunastu sekundach wrócił do swoich zwyczajnych rozmiarów, znów mógł swobodnie poruszać rękami i nogami.

Jednak wraz z domniemaną opuchlizną pojawiło się coś więcej. Opanował go niepokój, usadowiony tak daleko w podświadomości, że jego źródło było niepoznawalne. Niepokój tak wielki, że zaczął czuć swędzenie w całym ciele, głęboko w mięśniach. Gdyby mógł, zacząłby się drapać mocno, do krwi. Na szczęście skafander to uniemożliwiał.

Miał ochotę krzyknąć w panice, lecz było to na tyle obce jego naturze, że zdołał się opanować. Znów zaczął głęboko oddychać.

– Ekscelencjo – odezwał się zaniepokojony Samuels – co się dzieje?

– Nic się nie dzieje – wymruczał inkwizytor. – Nie przeszkadzaj!

Wysłuchał się w siebie. Lęk odchodził w zapomnienie, w jego miejsce pojawił się kolejny ucisk, ale wywierany nie na pierś czy inną część ciała. Zupełnie jakby jakaś prasa, stworzona dokładnie na wymiary don Sebastiana, zaczęła go ścisnąć z miażdżącą siłą. I czuł ten nacisk nie tylko jako działanie zewnętrzne. Zdawało mu się, że każda komórka, każdy atom organizmu z osobna podlegają tej sile. Miał wrażenie, że lada moment ciało podda się tej mocy i zostanie przenicowane na drugą stronę.

Ale wtedy nagle wszystko puściło. Skończyło się.

Czekał w napięciu, czy jeszcze coś się wydarzy.

– Kapitanie Samuels – powiedział i odchrząknął, bo jego głos zabrzmiał głucho i ochryple

zarazem.

– Słucham! Wraca pan do kapsuły?

– Jeszcze kilka minut.

– Jest pan tam już przeszło półtorej godziny.

– To znaczy, że od chwili zarejestrowania zmiany masy materii minęła godzina? – Lerma potrząsnął głową. Przysięgłby, że to wszystko trwało najwyżej kilka minut.

– Prawie. Nie przeszkadzałem panu, ale uważam, że już pora wracać.

– Jeszcze chwilka, proszę.

– Coś pan poczuł? Pęcherz powiększył się na tyle, że znajduje się pan teraz o dwieście dziewięćdziesiąt metrów od jego granicy. Pora chyba jednak wracać.

– Jeszcze moment...

– Jak pan... Cholera, co się dzieje?

Inkwizytor kątem oka dostrzegł jakieś błyski, nie wiedział, co to jest. Kojarzyło mu się ze światłami latarek...

– Don Sebastianie, proszę natychmiast wracać do kapsuły! – rozkazał Aidan. – Albo nie, to cholerstwo jest zbyt powolne. Wysyłam wahadłowiec ratowniczy! Kapsuła wróci sama!

– Co się stało? – spytał Lerma.

– Dokładnie jeszcze nie wiem, ale z całą pewnością nic dobrego!

* * *

Na mostku przebywały dwie pełne obsady. Trzecia wachta kończyła służbę za piętnaście minut, za wcześniej było jeszcze na zdawanie stanowisk, ale Aidan już kazał się stawić pierwszej zmianie.

Don Sebastian siedział na stanowisku zapasowym. Miał przed sobą włączone wszystkie panele, przegląd sytuacji dokładnie taki, jak dowódca okrętu. Tyle tylko, że kiedy dostał się na mostek, Samuels już rozpoczął naradę z kapitanami za pośrednictwem połączenia bazkomu z możliwościami paneli. Pozwalało mu to widzieć rozmówców, co w zaistniałej sytuacji było bardzo ważne, a przy tym obserwować napływające dane.

– Pokaż inkwizytorowi, co się tam działo – polecił Farlanowi. – Wybacz pan, don Sebastianie, ale nie mam czasu na wprowadzenia i inne takie duperele. Krótko mówiąc, Forgotta uległa zniszczeniu, podobnie jak praktycznie cała piracka flota.

– Jakie to były okręty?

– Sygnatury rozmazane, pewnie po to, żebyśmy nie mogli odczytać nazw i złożyć skargi – odparł Aidan. – Ale wszystkie to jednostki nowoczesne, należące do imperium.

Lerma zacisnął zęby.

– A jednak się zdecydowali – wycedził.

– Później, Ekscelencjo. Wypowie się pan później. Na razie proszę obejrzeć zapis skompilowany z nagrań naszych niszczycieli.

Lerma patrzył z niedowierzaniem na film, który przesuwał się przed jego oczami. Sześć wielkich jednostek wysłano w rejon, w który normalnie nie opłacało się wysyłać nawet średnich okrętów. Do zniszczenia pirackiej stacji i przepędzenia floty banitów spokojnie wystarczyłaby połowa tych sił. Ten, kto zarządził wyprawę, najwyraźniej chciał mieć pewność.

Tymczasem Aidan kontynuował rozmowę z dowódcami Cesarstwa i Republiki.

– Nie mamy wiele czasu. Kiedy wyszliście z nadprzestrzeni, cholerne tachiony pofrunęły

we wszystkie strony. – Po raz pierwszy pożałował, że skanery tachionowe zostały udoskonalone i wprowadzone do użytku. – Przy tej odległości już nas namierzili i być może lecą tutaj, żeby dokończyć robotę. Ile wam zajęła podróż?

– Z rozpędzeniem się i wyhamowaniem sześćdziesiąt cztery minuty – odpowiedział Guardado. – Lecieliśmy z dziesięciokrotnością światła.

– Domyśliłem się – mruknął Samuels. – Krążowniki mogą zasuwac o wiele szybciej...

– My przecież także – wtrącił się Martinez, który wisiał nad stanowiskiem nawigacyjnym głową w dół i obserwował raporty, które wyświetlał mu sternik z trzeciej wachty. – Ale tu nie da się lecieć szybciej niż dwanaście c. Za blisko gwiazdy, zbyt wiele różnego śmiecia. Pojawiają się zakłócenia masy i fluktuacje grawitacyjne. Każdy komputer pokładowy zablokuje próby zwiększania prędkości.

– Czyli mogą się pojawić po jakichś pięćdziesięciu pięciu minutach od startu z układu. Skoro to nowoczesne jednostki, mają na pewno te nowe detektory tachionowe, jakie i nam zamontowano. No dobrze. Zakładając, że te krypy mają bardzo porządne skanery, musieli i tak czekać, aż dotrze do nich fala tachionów po waszym wyjściu z bąbli. Czyli gdyby wyruszyli natychmiast, zostało nam obecnie... – spojrzął na zegar – dwadzieścia trzy minuty.

– Na pewno nie ruszyli zaraz po uzyskaniu odczytów. To jest dziesięć godzin świetlnych. Przy tej odległości muszą potwierdzić namiary – zauważył Bernhardt. – Bo tachiony nie lecą przecież zwartą grupą, rozpraszają się, więc należy zrobić triangulację opartą na ekstrapolacji danych. Oczywiście jeśli nie dysponujecie o wiele lepszymi skanerami od naszych.

– Na pewno nie dysponujemy – odparł natychmiast Aidan. – Ale to nam daje i tak zaledwie kilkanaście dodatkowych minut, a pewnie mniej. Musimy zdecydować, co dalej. Co pan powie o tych wydarzeniach, don Sebastianie? – zwrócił się do Lermy.

– Mogę określić to jednym krótkim sformułowaniem – powiedział inkwizytor. – Sformułowaniem, którego zapewne użyłby nasz nieoceniony kapitan Moreno. Mamy przejebane. A dokładniej to mam ja. Bo coś mi się zdaje, że cała ta ekspedycja karna wyruszyła tylko po to, aby dopaść mnie.

– Wątpię – zaprotestował Bernhardt. – Wtedy zniszczyliby część okrętów i zażądali, by pana wydać. Nie mogli oczywiście wiedzieć, że pana tam nie ma.

– Właśnie – poparł go Santiago. – Po co zabijać tylu ludzi? Po co walić do własnych okrętów? – Widać było, że hamuje język przy dostojniku. – To wyglądało, jakby chcieli wszystko roz... zniszczyć.

– Powiedz po ludzku – rzekł Aidan. – Napierdalali do was jak do kaczek.

– Bez wyboru, do wszystkich – zgodził się Moreno. – Czuję się jak samotna dziwka pod prysznicem w męskim pierdłu. Ale nawet tam nie liczyłbym na taki ostrzał...

– Kapitanie Samuels – odezwał się Lerma – muszę coś wyjaśnić pańskim ludziom i panu, zanim podejmiecie decyzję. Ale muszę przeprosić kapitanów grupy zadaniowej z Republiki. To nie jest przeznaczone dla waszych uszu.

– Oczywiście. Pięć minut wystarczy? Bo musimy naprawdę się śpieszyć – powiedział dowódca „Hornblowera”.

– Tak. Dziękuję za wyrozumiałość. Panie Farlan – zwrócił się do łącznościowca inkwizytor – proszę ustanowić łącze podwójnie kodowane dla sygnałów okrętów naszej grupy.

– Tak jest.

Lerma poczekał, aż chorąży da znak, że wszystko gotowe, po czym zaczął:

– Na początek muszę wyznać wam prawdę o mojej sytuacji. Ze wszelkich przesłanek sądząc, stałem się persona non grata w imperium. Nie oszukujmy się, decyzja o wysłaniu tak mocnej grupy bojowej na obszar kontrolowany przez piratów musiała zapaść na najwyższym szczeblu.

– Sam cesarz? – zdziwił się Moreno.

– Może nieco niżej, ale bez błogosławieństwa Jego Cesarskiej Wysokości dla kierunku takich, a nie innych działań się nie obeszło. Początkowo myślałem, że ostrzeżenie, jakie otrzymałem ze stacji klasztornej, to świadectwo, iż moi przeciwnicy podjęli walkę i coś im się tam udało. Frakcja Ojca Gabriela zaczęła podnosić głowę już jakiś czas temu. Ale teraz zyskałem dowód, że gdzieś tam w sferach rządowych, w wywiadach i kontrwywiadach trwa wytężona praca, aby całkowicie pozbawić mnie wpływów.

– Za bardzo pan wyrósł – zauważył Aidan. – Ludzie tego nie lubią.

– Może i tak. Ale zawsze i wszędzie działałem dla dobra Cesarstwa.

– Niech pan da spokój, Ekscelencjo – odezwał się Moreno. – Przecież wiadomo, że w polityce nie ma miejsca na uznanie i wdzięczność. Wszyscy politycy to kutasy i ostatnie kurwy... O, przepraszam...

Lerma spojrział na hologram twarzy dowódcy „Saragossy”.

– Muszę przyznać, że posiada pan, kapitanie, wyjątkową zdolność do ujmowania spraw bardzo treściwie. Oczywiście abstrahuję od formy i stylu. Tak, trudno się spodziewać, że ktoś się ujmie za tym, kto popadł w niełaskę. Ale do rzeczy. Nie musicie wcale rozważać ucieczki. Kapitan Samuels może mnie wydać w ręce dowódcy tej ciężkiej grupy bojowej i wrócicie razem z nimi. Was to wszystko nie dotyczy.

– Tak, już widzę, jak wyłaniają się z nadprzestrzeni i zaczynają z nami uprzejmie rozmawiać – burknął Aidan.

– No pewnie, znów zaczną napierdalać! – zawołał Moreno. – Jak jakieś świry!

– Zaraz... – Amanda potrząsnęła głową. – Czy to nie jest tak, że kapitanowie tych okrętów są zwolennikami gabrielistów? Te zamazane sygnatury. Ta gwałtowność działań... Zupełnie jakby akcja była niezbyt formalna.

– To bez znaczenia – westchnął Lerma. – Bez zezwolenia wyższych urzędników nie przylecieli.

– Ustalmy jedno, Ekscelencjo – powiedział Aidan. – Jest pan w tej chwili na moim okręcie. Bez rozkazu samego cesarza nie wydam pana nikomu. Nie mam takiego prawa! Nawet admirał Gonzaga mógłby sobie takim poleceniem dupę podetrzeć...

W tej chwili odezwał się krótki sygnał radiostacji kwantowej. Aidan spojrział pytająco na Farlana. Chorąży popatrzył na swój wyświetlacz.

– To otwarty tekst – oznajmił. – Brzmi:

Do kapitana Aidana Samuelsa, dowódcy niszczyciela „Sirene”. Proszę natychmiast wracać do stacji Saratoga wraz z wielkim inkwizytorem Sebastianem Lermą. Podpisano: marszałek Cesario.

– No to ma pan swój rozkaz – powiedział Lerma. – Cesario jest osobistym adiutantem cesarza. To tak, jakby...

– Niech pan sobie daruje – przerwał mu Aidan. – Farlan, z jakiej bazy wysłano ten niby-rozkaz?

– Jak to z jakiej, kapitanie? – zdziwił się Norman. – Przecież to łączność kwantowa, jeden nadajnik na jeden odbiornik. Musiała przyjść ze stacji klasztornej.

– No właśnie. Pierwsze słyszę, żebym miał obowiązek wykonywania rozkazów przychodzących od jakichś zakonników. Tylko don Sebastian Lerma, jako wielki inkwizytor, upoważniony przez Jego Cesarską Mość mógłby mi przekazywać rozkazy, ale i tak musiałyby zostać uwierzytelnione. Wyłącz to gówno, Farlan, zanim nam się jeszcze czymś zdefekuje. Niech sobie klechy różańce klepią, a nie robią głupie kawały zapracowanym ludziom.

Lerma przyjrzał się uważnie kapitanowi.

– Wie pan, co ryzykuje? – spytał.

– Wiem. Karierę, wolność i pewnie życie. – Aidan udał ziewnięcie. – Czyli to, co zwykle. Nie wydam pana w łapy tych wariatów, don Sebastianie.

– Mimo że mnie pan nie lubi?

– Nie lubię to naprawdę mało powiedziane. Ja pana zwyczajnie nie znoszę. Ale jeszcze bardziej nie znoszę wszelkiego skurwysyństwa, a właśnie tym mi to wszystko cuchnie. Powiem tak. Mimo wszystko mam do pana jakieś zaufanie, ale do tych różnych innych czarnych pajaków, purpuratów i bandy pieczeniarczy ani trochę. I ma to pewien wpływ na moją decyzję. Oczywiście pozostali kapitanowie mogą wracać, jeśli chcą. Grupa zadaniowa wykonała misję i rozwiązaniu powinna ulec wprawdzie dopiero po powrocie, ale rozwiązuję ją już teraz.

Lerma patrzył przez długą chwilę na Aidana.

– Dziękuję, kapitanie. Ja też za panem nie przepadam, ale...

– Później dacie sobie buzi – zniecierpliwiała się Amanda. – A jeśli...

Przerwał jej Farlan:

– Kapitan Bernhardt przypomina, że czas nas goni.

– Dobra, połącz ich z nami. Już chyba koniec tajnego przez poufne – zarządził Aidan. – Co mówiłaś, Amando?

– Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli ci się zdaje, że zostawię cię samego, to się grubo mylisz. Znów sobie głupi łeb rozbijesz. Zostaję w grupie. Nie wiem, czy taki baran jak ty powinien być dowódcą. Moim zdaniem don Sebastian pokłada zbyt wielkie zaufanie w twoich zdolnościach umysłowych.

– Też cię kocham – burknął Aidan. Spojrzał na Guardada. – Ty wracasz?

– Nie ma mowy. – Tradycyjnie spokojny jak skała kapitan uśmiechnął się. – Wrócę i co? Będę się za was tłumaczyć? Przecież mnie wsadzą i będą przesłuchiwać miesiącami. A poza tym, jeśli tam się aż tyle pozmieniało, wolę już wasze parszywe towarzystwo.

– Oboje jesteście bardzo mili i uprzejmi – rzekł z przekąsem Aidan.

– Coś mnie ominęło? – zainteresował się Bernhardt.

– Niewiele w sumie – odparł Samuels. – Masz przed sobą bandę wyrzutków, którzy nie mogą wrócić do domu, przynajmniej na razie. Pan, kapitanie Moreno, leci do domu?

– Bez jaj, kurwa – prychnął Santiago. – To znaczy bez żadnych takich, komodorze. Musiałbym być ostatnim chujem, żeby zostawić ludzi, którzy byli z moim bratem do samego końca. Aż takim pierdolonym kindybałem raczej nie jestem, chociaż bywam upierdliwy.

– Co z waszymi załogami? – spytał trzeźwo Bernhardt. – Bo, jak rozumiem, wszyscy wybraliście manowce wygnania.

– Trzeba będzie zapytać ludzi, kto chce zostać, a kto wraca – zgodził się Aidan. – Ale przecież nie teraz! Na razie trzeba stąd spieprzać!

– Ale dokąd? – spytał kapitan Archer. – Dokąd chcecie lecieć?

Aidan spojrział każdemu hologramowi prosto w oczy.

– Przypominam wszystkim, że tam, gdzie była Forgotta, są jeszcze nasi ludzie...
– Chce pan wracać? – zdziwił się del Potro. – Przecież to szaleństwo! A jeśli ta grupa bojowa rozdzieliła się i tylko część leci tutaj, a część została przy szczątkach stacji? Jeśli podejmują rozbitków?

Aidan pokiwał głową.

– Rozsądne słowa – stwierdził. – I jeśli tam rzeczywiście trwa akcja ratunkowa, wycofamy się natychmiast. Tylko jakoś mi się nie wydaje, żeby dowódcy okrętów, które strzelały do swoich tak samo jak do piratów, zawracali sobie głowy takimi drobiazgami jak rozbitkowie.

– Niemniej... – znów zaczął del Potro.

– Nie wiem, jak to jest u was – warknął Aidan. – Ale my nie zostawiamy swoich!

– Zostawiamy swoich – wtrącił się Lerma. – Zdradzamy swoich i nawet swoich czasem zabijamy. Lecz pole bitwy rządzi się swoimi prawami. Doskonale rozumiem kapitana.

– Jesteście szaleni – sapnął dowódca „Williama Wallace’a”.

– Przymknij się wreszcie, Nicolas – syknął Bernhardt. – Wstyd nam przynosisz! Jak chcesz, zawijaj ogon i spieprzaj do mamy! Ja, Archer i Brown lecimy z kapitanem Samuelsem!

– Nigdzie się nie wybieram! – warknął del Potro. – Chodzi mi tylko o to, że jeśli się tam wynurzymy, znów nas z miejsca namierzą i przylecą.

– Jeśli o to chodzi – rzekł dowódca „Hornblowera”, patrząc uważnie w twarz Aidana – mam nieodparte wrażenie, że nasz przyjaciel kapitan Samuels ma już w głowie jakiś szczywany plan. Mylę się?

– Nie mylisz się, Bernhardt. Rozbitkowie w kapsułach są w stanie przetrwać nawet do pięciu dni, więc mamy trochę czasu. Zapasy antymaterii wciąż są całkiem spore, możemy trochę polatać. Dlatego nie udamy się z powrotem prostą drogą. Wykołujemy przeciwnika.

– Obawiam się, że w najbliższym czasie proste drogi w ogóle nie będą nam pisane – mruknął Lerma.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

1. Na ostrzu szpady

2. Ślady na szkle

3. Kontredans

4. Pancerny obłok

5. Grom

6. Błysk tajemnicy

7. Bezkres zimna

8. Żar tajemnicy